

# PRZEMYSŁAW BORKOWSKI

Niespodziewane zwroty akcji wybuchają jak bomby, ale dopiero finał wysadzi cię w powietrze. Jeśli masz ochotę się rozerwać, przewróć stronę!

ROBERT MAŁECKI

## ZAKŁADNIK



PRZEMYSŁAW  
**BORKOWSKI**  
**ZAKŁADNIK**

# SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24 ROZDZIAŁ 25 ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29 ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31 ROZDZIAŁ 32 ROZDZIAŁ 33 ROZDZIAŁ 34 ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36 ROZDZIAŁ 37 ROZDZIAŁ 38 ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40 ROZDZIAŁ 41 ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43 ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46 ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48 ROZDZIAŁ 49 ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51 ROZDZIAŁ 52 ROZDZIAŁ 53 ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55 ROZDZIAŁ 56 ROZDZIAŁ 57 ROZDZIAŁ 58 ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60 ROZDZIAŁ 61 ROZDZIAŁ 62 ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64 ROZDZIAŁ 65 ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67 ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70 ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72 ROZDZIAŁ 73 ROZDZIAŁ 74

PODZIĘKOWANIA

# ROZDZIAŁ 1

Zygmunt Rozłucki, doktor psychologii, od czterech miesięcy ponownie pracujący w zawodzie, wpatrywał się z niechęcią w swojego pierwszego dziś pacjenta.

– Proszę powiedzieć, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania?

Pytanie otwarte. Tylko na tyle było go stać. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy to wszystko był naprawdę dobry pomysł. Półtoraroczna czarna dziura, w którą wpadł po samobójstwie siostry, zaczęła mu się jawić ostatnio w niepokojąco jasnych barwach. Przypomniawszy sobie swojego stałego towarzysza tamtych dni – duży kieliszek do koniaku napełniony do połowy dziesięcio- lub dwunastoletnią whisky single malt. Wyobraził sobie, że wychodzi bez słowa ze swojego gabinetu, jedzie metrem na Bielany, wchodzi do domu, myje zęby, otwiera szeroko okno, pozwalając, by ciepłe, czerwcowe powietrze owionęło jego twarz i patrząc na trzy sosny rosnące za oknem, wypija go jednym, długim łykiem. Potem siada w fotelu i czeka na uderzenie. Alkohol pojawia się jak fala, zalewa go gwałtownym przypływem od żołądka aż po czubek głowy, otula ciepłymi, bezpiecznymi, matczynymi wodami...

Cisza, która nagle nastąpiła, uświadomiła mu, że musiało paść pytanie. Pytanie skierowane do niego.

– To bardzo ciekawa kwestia – powiedział, opierając brodę na koniuszkach złączonych palców. – Mógłby pan to rozwinąć?

Pacjent – trzydziestokilkuletni mężczyzna w garniturze, który przyszedł tu prosto po pracy w jednej z wielkich, finansowych

korporacji – popatrzył na niego zdziwiony. Widocznie jednak ta odpowiedź była tylko trochę pozbawiona sensu, bo zaczął mówić dalej.

Wypalenie zawodowe. Na to, zdaje się, skarżył się ten młody jeszcze mężczyzna. Ciekawe, co by powiedział, gdyby usłyszał, że jego terapeuta cierpi na dokładnie to samo? I że nie jest to jedyne wypalenie, jakie mu doskwiera.

Rozłutki po raz kolejny spojrzął na koszulę mężczyzny. Była biała, sztywna, lśniąca wprost czystością. Ciekawe, że na nim każda koszula już po dwóch godzinach noszenia wyglądała jak wymięta szmata, a ten człowiek przyszedł tu po dziesięciu godzinach spędzonych w biurze i ciągle wyglądał, jakby przed chwilą wyjął ją z szafy. „Jak oni to robią?”, pomyślał. „Czy i z tego mają szkolenia? Jak chodzić, siedzieć, jeść, sikać i pisać na komputerze, żeby na założonej rano koszuli nie powstało aż do wieczora najmniejsze nawet zagniecenie?”

Sesja wlokła się niemiłosiernie. Wszystko to słyszał już dziesiątki razy. I to od dokładnie tak samo ubranych mężczyzn. Zmęczenie. Zniechęcenie. Brak motywacji do dalszej pracy. Spadek wyników. Nerwowość. Wyżywanie się na najbliższych. I jeszcze raz zmęczenie. „Jeśli cię to pocieszy, niepognieciony panie, odczuwam to samo”, pomyślał.

Cóż mógłby im wszystkim powiedzieć? Że powinni zmienić pracę. Z tym że nie wiadomo do końca, na jaką. Każda, najprzyjemniejsza nawet czynność, jeśli się ją wystarczająco często i pod przymusem powtarza – a na tym przecież polega praca – staje się prędzej czy później nieznośna. Pamiętał, jak rozmawiał kiedyś na kongresie w Wiedniu – w czasach, gdy jako młody doktorant, nadzieja Wydziału Psychologii, jeździł jeszcze na takie imprezy – z pewnym terapeutą z Francji. Opowiadał mu on, że zgłosił się do niego raz instruktor

nurkowania. Mężczyzna ten wyjeżdżał co roku na kilka miesięcy na Martynikę, gdzie prowadził kursy dla bogatych turystów. Słońce, palmy, nurkowanie na rafie, wieczorem drinki w barze na plaży i wiele romansów – tak wyglądał jego typowy dzień w pracy. Mimo iż jego życie przypominało raj z folderów reklamowych, człowiek ten czuł przemożne zmęczenie i zniechęcenie. Już na miesiąc przed wyjazdem popadał w straszliwą depresję. Miewał myśli samobójcze. Diagnoza – wypalenie zawodowe.

– Czas minął – powiedział, starając się ze wszystkich sił, by w jego głosie nie było słychać ulgi. – Dokończymy tę rozmowę na naszym następnym spotkaniu.

Mężczyzna w niepogniecionej koszuli pożegnał się z nim miękkim uściskiem dłoni i wyszedł. Rozłucki został sam. Spojrzał na widoczny za oknem plac Konstytucji. Na budynku naprzeciwko jarzył się stary, siedemdziesięcioletni chyba neon reklamujący sklep sportowy mieszczący się poniżej. Kobieta w czerwonym trykocie podrzucała piłkę, która spadała następnie w dół po ścianie kamienicy. Dzień w dzień. Minuta po minucie. Od zmierzchu do świtu. Tak właśnie wygląda życie większości ludzi.

„Nie jestem dobrym psychoterapeutą”, pomyślał. „Nie jestem dobrym nikim. Niepotrzebnie zgodziłem się, by tu pracować. Tam, gdzie byłem, w wielkiej, czarnej, śmierdzącej dupie, było mi nawet dosyć dobrze”.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił jego szef i jedyny chyba przyjaciel. Człowiek, który postanowił podać mu rękę i zatrudnić go w swojej prywatnej poradni psychologicznej, gdy wszyscy inni już dawno spisali go na straty. Prawdopodobnie zresztą słusznie. Tego telefonu nie mógł nie odebrać,

choć miał na to wielką ochotę.

– Witam pana profesora! – powiedział, siłąc się na pogodny ton. – Co tam dobrego w świecie wielkich idei?

Ledwie poznał głos w słuchawce. Profesor Witold Konarzewski, jego dawny promotor, a obecnie przełożony, zbawca oraz coś w rodzaju zastępczego ojca, mówił, wydobywając z siebie słowa z wielkim trudem.

– Krztusiec – wyskrzecztał. – Choroba dzieci. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat zapadłem na przypadłość przedszkolaków. Zaraziłem się od wnuka.

– Przykro mi.

– A mi nie. To nawet zabawne. Zapisalem się już na wizytę u pediatry.

To, co usłyszał, było prawdopodobnie śmiechem. A przynajmniej próbą jego wydobycia.

– Musisz mi pomóc – zaświszcztał.

– Chodzi o któregoś z pana pacjentów? – Mimo dwudziestoletniej znajomości i niewątpliwej przyjaźni w dalszym ciągu nie potrafił się przemóc i mówić swojemu dawnemu promotorowi na „ty”.

– To akurat pestka. Chrzanić darmożjadów. Kazałem sekretarce już wszystkich odwołać. W grę wchodzi coś innego – Profesor spróbował dramatycznie zawiesić głos.

– Co?

– Sława, popularność oraz miłość kobiet – Śmiech, który teraz nastąpił, w zadziwiający sposób przypominał pianie koguta. – Krótka mowa, telewizja. Miałem być jutro w porannym programie. Jako ekspert od meandrów ludzkiej duszy. Musisz tam iść za mnie.



## ROZDZIAŁ 2

Na to też niepotrzebnie się zgodził. Przekonały go nie tyle argumenty profesora, co trud, z jakim je z siebie wydobywał. Zgodził się, bo chciał mu już oszczędzić dalszego mówienia. Dobrze, powiedział, dobrze. Pójdę tam. Przypomnę się światu. Zainwestuję w swoją przyszłą pozycję. W dzisiejszych czasach nawet psychoterapeuta powinien być celebrytą. A przynajmniej pół- lub ćwierćcelebrytą.

Siedział więc teraz na krześle przypominającym fotel dentystyczny, z szyją okrytą białym prześcieradłem jak u fryzjera, i poddawał się pierwszemu w swoim życiu zabiegowi nakładania make-upu. Mężczyzna, który mu to czynił – sympatyczny, starszy i bardzo uprzejmy – potwierdzał swoim wyglądem i zachowaniem powszechną opinię, że w telewizji roi się od gejów. Kręciło go w nosie i miał straszną ochotę się podrapać, nie wiedział jednak, czy może, a nie chciał się narażać temu zniewieściałemu w ruchach i głosie dystyngowanemu panu, od którego biła jakaś dziwna charyzma.

Zamiast tego, by odwrócić trochę uwagę od tego uporczywego świerzbienia, przyglądał się sobie w lustrze. Długie włosy i broda – pozostałość po półtorarocznej depresji – nadawały mu, musiał to przyznać, interesujący wygląd. Mimo czterdziestu z górą lat wyglądał dość młodo. Może poderwie tu jakąś trzeciorzędną gwiazdę? Taką, której chce się jeszcze przychodzić na poranny program do telewizji? Łypnie okiem, uśmiechnie się tajemniczo, rzuci jakiś mądro brzmiący psychologiczny banał i następny rok spędzą w łóżku, nie mogąc się opędzić od paparazzich. Kiedy ostatnio miał do czynienia z kobietą? A tak, przed tamtym wydarzeniem.



Szybko odegnał od siebie wspomnienia. Nie teraz. Teraz choć przez chwilę poczuje się jak ktoś, kim nie jest i nigdy nie będzie.

– Dzień dobry, panie Stasiu – usłyszał za sobą kobiecy głos. – Kończy pan? Bo ja bym chciała, jak zwykle, do pana.

– Już, już – odezwał się znad jego głowy zniewieściały mężczyzna. – Jeszcze tylko włoski zrobimy.

Właścicielka głosu przeszła przez pokój i usiadła na fotelu obok.

– To ja poczekam. Mam czas.

Rzucił krótkie spojrzenie na jej odbicie w lustrze. Szczupła, inteligentna twarz i długie, proste, kasztanowe włosy. „Ładna”, pomyślał. „Nawet bardzo”.

– Co też panią tym razem do nas sprowadza? – spytał pan Staś, muskając delikatnymi ruchami włosy swojej aktualnej ofiary.

– To, co zwykle – westchnęła. – Nakręciłam materiał na miarę afery Watergate. Puszczą go, a potem będziemy o nim rozmawiali.

– Coś ciekawego?

– Chyba pan żartuje. Najciekawsze w tej pracy jest jeżdżenie windą. Tam przynajmniej można spotkać czasami kogoś interesującego. Nie uwierzy pan, jaka bzdura. Pracownicy banków przebierają się za wielkie pluszaki, potem przytulają się do siebie, żeby naładować się pozytywną energią. Najnowsza moda prosto z Japonii. Co robić? Nie cierpię ostatecznie na nadmiar zleceń od mojej redakcji.

– Czego to ludzie nie wymyślą... – Pan Staś pokręcił głową.

– A wszystko to pod opieką psychologów, którzy twierdzą, że pozwala to wzbudzić w sobie empatię i rozładować stres. Oraz oczywiście zintegrować zespół. Wyobraża pan sobie?

Rozłucki przełknął ślinę. Ponownie spojrzął na jej odbicie w lustrze. Dziewczyna mówiła z pasją, wydawała się dobrze wiedzieć, czego chce.

„Konkretna babka”, pomyślał. Zawsze miał pociąg do takich kobiet.

Dziewczyna przechwyciła jego odbite w lustrze spojrzenie. Zmieszany uciekł wzrokiem na bok.

– Dzień dobry – powiedziała. I było to najwyraźniej do niego.

– Dzień dobry – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– A pana co do nas sprowadza?

– Jestem jednym z gości.

– No tego się akurat domyśliłam. Na tym polega ten program. Przychodzą do niego różni goście. Interesuje mnie raczej, jakim konkretnie rodzajem gościa pan jest? Co pan robi na tyle interesującego, że dostał pan zaszczytu zaproszenia do telewizji na godzinę szóstą trzydzieści rano?

Spojrzał jeszcze raz na jej odbicie. Patrzyła na niego spokojnym, zaciekawionym wzrokiem. Nie było w tym spojrzeniu ironii czy chęci zaczepki. Po prostu chciała wiedzieć. Co by też mógł jej powiedzieć na tyle ciekawego, by wzbudzić jej zainteresowanie?

– Jestem psychologiem – powiedział. Tylko tyle wymyślił.

Pan Stasiu nad jego głową zaśmiał się dyskretnie. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Pan też każe swoim pacjentom przebierać się za pluszaki i przytulać? – spytała.

– Nie, jeszcze mi się to nie zdarzyło – odpowiedział spokojnie. – Ale potrafię sobie wyobrazić sytuację, w której bym to zalecił.

– Tak? – W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie. – Na przykład jaką?

– Niektórzy ludzie są tak najeżeni emocjonalnie, tak kolczaści wobec świata i swoich bliskich, że taki rodzaj kostiumu mógłby im pomóc nauczyć się być bardziej miękki. Tego typu symboliczne działania

przynoszą czasem nadspodziewanie dobry efekt. To trochę jak rytuał szamański. A rytuały szamańskie bywają dość skuteczne.

– Czyli wygłupiłam się, nazywając to bzdurą?

– Nie. Każda, najbardziej nawet sensowna metoda może zostać użyta w bezsensowny sposób. To, co pani opisała, wygląda mi rzeczywiście na kompletną bzdurę.

– Karolina. – Zobaczył w lustrze wyciągnięta w swoją stronę dłoń.

– Zygmunt. – Odwrócił się do niej i uścisnął jej rękę. Ich spojrzenia po raz pierwszy naprawdę się spotkały.

– Czyli nie wszyscy psycholodzy to zadufani kretyni? – spytała żartobliwie.

– Nie – odpowiedział. – Choć nie wykluczam, że takich jest zdecydowana większość. Z kolei nie wszystkie panusie z telewizji to zakochane w sobie idiotki?

– Nie – zaśmiała się. – Choć nie wykluczam, że takich jest zdecydowana większość.

## ROZDZIAŁ 3

Minęła siódma i rozpoczęły się poranne wiadomości. Rozłucki, z twarzą upudrowaną i sztywną od podkładu, siedział na kanapie w czymś w rodzaju poczekalni, w której goście oczekiwali na swoją kolej wejścia na wizję. Zaproponowano mu kawę, na co on skinieniem głowy się zgodził. Bał się, że gdy otworzy usta, popęka mu podkład i pojawią się na nim rysy niczym na dnie wyschniętego jeziora. Wiedział, że to nieprawda, wszyscy ci wymalowani ludzie, których widział na podglądzie ze studia, mówili przecież, i to dużo, ale póki co wolał nie ryzykować. Czuł się dziwnie, nienaturalnie. Wszystko go uwierało. Bielizna, o której istnieniu zazwyczaj nie pamiętał, nagle zaczęła obcierać go, wpijać się w ciało i drażnić.

Po niewielkim pomieszczeniu biegała w tę i z powrotem mała, chuda inspicjentka. Włosy mocno spięte w kok, wąskie okulary i zero makijażu. Kabłąk mikrofonu sięgający zza jej ucha w kierunku ust nadawał jej lekko militarny wygląd. Gdyby dać jej jeszcze chorągiewki, mogłaby dyrygować startami samolotów na lotniskowcu.

Nagle zatrzymała się przed nim i powiedziała:

– Jeszcze pięć minut. Wchodzi pan po tym materiale.

Poczuł suchość w ustach. A więc to jednak nastąpi. Po co w ogóle zgodził się tu przychodzić? Nie dość, że musiał wstać o piątej rano, to jeszcze za chwilę zrobi z siebie idiotę na oczach milionów jedzących śniadanie telewizorów.

Karolina, idąc w kierunku studia, uśmiechnęła się do niego. Spróbował odwzajemnić ten uśmiech. Z marnym skutkiem. A więc to po tym materiale wchodzi na wizję. Powiódł za nią tęsknym

spojrzeniem. Figurę też miała niczego sobie. Kiedy wyjdzie z tej multimedialnej katowni, a ona wciąż tu będzie, zaprosi ją na kawę. Albo nie, kawę przecież wszyscy już tu pili. Zaprosi ją na cokolwiek.

Na ekranie podglądu pojawili się przebrani za wielkie pluszaki ludzie. Głos lektora informował o nowej metodzie wykorzystywanej w czasie szkoleń pracowników. Twarz Karoliny w zbliżeniu, po chwili inna twarz wystająca z głowy wielkiego zajęcia. „Ciekawe, jak musiała się czuć, przeprowadzając wywiad z czymś takim?”, pomyślał. Sześć lat podstawówki, trzy lata gimnazjum, trzy lata liceum i cztery lata studiów – wszystko po to, żeby udawać zainteresowanie tym, co ma do powiedzenia pluszowy zajęć.

Materiał skończył się i ponownie na ekranie pojawiło się studio. Karolina siedziała na jednym końcu wielkiej, jasnej, półkolistej kanapy naprzeciwko dwójki prezenterów prowadzących program. Za chwilę również on tam usiądzie. Czy będzie w stanie wydusić z siebie choćby słowo? Chwileczkę... O czym w zasadzie miała być jego rozmowa? Za nic nie mógł sobie tego przypomnieć.

– Zaraz pan wchodzi – usłyszał nad sobą głos inspicjentki. – Po tym będzie prognoza pogody, a potem pan. Podejźmy już bliżej.

Wstał i ruszył za kobietą. Potknął się o pęk kabli biegnących w poprzek korytarza. Inspicjentka odwróciła się do niego i wymownie położyła palec na ustach. „A więc wchodzi w strefę śmierci”, pomyślał. Od tej pory wszystko, co powie, zostanie zarejestrowane i puszczane w eter. Dobrze, że nie miał już znajomych, przed którymi musiałby się potem tłumaczyć.

Stanęli za jedną z kamer. Jakiś człowiek w bojówkach i z włosami spiętymi w kucyk jeszcze raz sprawdził, czy mały mikrofon przyczepiony do klapy marynarki Rozłuckiego jest na swoim miejscu.

Kanapa, na której siedzieli Karolina i prowadzący, oświetlona była jasnym, silnym światłem, a tu, gdzie stali oni, panował niemalże półmrok. Rozejrzał się po studiu. Z lewej strony kącik kuchenny. Tam zaproszeni kucharze oraz niektórzy celebryci pokazywali zaspanym gospodyniom domowym, jak przygotować potrawy, które ich mężowie natychmiast wyrzuciliby do kosza. Z prawej stolik zasłany dzisiejszymi wydaniem gazet, czekający na poranny przegląd prasy. Tuż za nim jakiś mężczyzna z pistoletem w wyciągniętej ręce idący szybkim krokiem w kierunku kanapy.

Zaraz. Chwileczkę. Jego mózg dopiero po chwili zrozumiał konsekwencje tego, co zobaczyły oczy. Mężczyzna z pistoletem był już przy kanapie. Krzyczał coś ochryłym głosem, ponieważ jednak był jedyną osobą bez mikrofonu w kłapie, nie było słyhać co. Twarze prowadzących wyrażały bezbrzeżne zdumienie. Karolina podniosła się lekko, jakby zamierzała wstać, lecz wtedy lufa pistoletu zwróciła się w jej stronę, a głos mężczyzny stał się wyższy. Napastnik uniósł pistolet w górę i strzelił dwa razy. Twarz dziennikarki prowadzącej program zrobiła się biała jak ściana, jej partner osunął się w dół na siedzeniu kanapy, jakby zamierzał zemdleć. Dźwiękowiec stojący obok kamery zerwał słuchawki i chwycił się za uszy. Wszędzie spadały kawałki szkła z roztrzaskanego kula reflektora, lśniąca w jaskrawym świetle.

Ludzie będący w studio patrzyli się na to jak zahipnotyzowani. Nikt się nie ruszył, ani nie wydał nawet dźwięku. Huk wystrzałów wydawał się ciągle jeszcze odbijać od wysokich, czarnych ścian hali nagraniowej. Dopiero po chwili, gdy mężczyzna z pistoletem odwrócił się do nich i skierował lufę w kierunku najbliższej kamery, rozległ się pierwszy krzyk. Jak na komendę wszyscy rzucili się do ucieczki. Inspicjentka krzyczała coś, przyciskając z całej siły kabłąk mikrofonu do ust.

Kamera, za którą stał Rozłucki, zachwiała się i przewróciła pociągnięta przez zaplątanego w kable operatora.

– Schodzimy z anteny! Schodzimy z anteny! – wrzeszczała inspicjentka, próbując dostać się do wyjścia. Ktoś chwycił Rozłuckiego za ramię i pociągnął za sobą. Wyrwał mu się i ruszył w przeciwną stronę z niejasnym pragnieniem niesienia pomocy tej pięknej, dopiero co poznanej dziewczynie, która siedziała teraz śmiertelnie wystraszona na środku wielkiego i pustego już studia. Wtedy zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Mężczyzna, który go trzymał, wyglądał na przerażonego. Dobrze wiedział, że nie należy człowieka w takim stanie stawiać przed zbyt trudnymi wyborami. I że w sytuacji silnego stresu można nawet nie zauważyć momentu, w którym palec trochę zbyt silnie naciśnie na spust. Uniósł ręce dłońmi w kierunku mężczyzny i wycofał się powoli. Zanim zniknął za zamykanymi już pośpiesznie dźwiękoszczelnymi drzwiami, spojrział jeszcze raz na dziewczynę. Ona też na niego patrzyła. „Nie zostawiaj mnie”, mówiło to spojrzenie. „Nie zostawiaj mnie tutaj”.



## ROZDZIAŁ 4

Po wielkim, przeszklonym holu, w którym zmieściłby się pewnie nieduży kościół, biegali w tę i z powrotem ludzie w mundurach i bez. Na zewnątrz, za obrotowymi drzwiami, na podjeździe wyłożonym granitową kostką stało z pół tuzina radiowozów z włączonymi, kręcącymi się na dachach kogutami. Na dziesięciu ekranach wiszących półkolem na ścianach holu pokazywano na okrągło to samo – mężczyznę w szarej marynarce i džinsach idącego z pistoletem przez telewizyjne studio. Twarze prezenterów różnych stacji komentujących to nagranie wyrażały to samo – zawodowy smutek i profesjonalną powagę, które tym razem wydawały się być jednak odrobinę bardziej szczerze niż zazwyczaj.

Patrzył na to wszystko, siedząc przy stoliku w przylegającej do holu restauracji, gdzie policjanci zgromadzili wszystkich tych, którym udało się uciec ze studia. Ile osób nie zdołało, nie było jeszcze do końca wiadomo. Oprócz dwójki prowadzących i Karoliny, nie udało się doliczyć co najmniej dwóch osób.

„Pięciu zakładników. To jeszcze nie tak źle”, usłyszał rozmowę przy sąsiednim stoliku. „Ciekawe, czy jeśli zginą, prezydent ogłosi żałobę narodową?”

Faktycznie ciekawe. Nawet bardzo. Przypomniawszy sobie twarz Karoliny. A w zasadzie nie mógł jej sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że była ładna. Czy tak ją właśnie zapamiętał? Jako ładną dziewczynę bez twarzy? Której nie zdążył zaprosić na kawę, bo zginęła?

– Jest pan podobno psychologiem? – Człowiek, który przed nim stał, i bez munduru wyglądał na policjanta.

– Podobno – odpowiedział. – Ale czasami sam nie jestem tego pewien.

– Komisarz Abramowski – przedstawił się mężczyzna, ignorując jego hamletyzujące wyznanie. – Bóg dał mi szansę na awans, przydzielając mnie do tej sprawy – powiedział w sposób, który jednoznacznie sugerował, że myśli wprost przeciwnie. – Niestety ten kretyń, nasz negocjator, postanowił wszystko spartolić i jadąc tu, władował się pod tramwaj. Teraz wiozą go właśnie do szpitala, gdzie mam nadzieję stanie się kolejną ofiarą błędów lekarskich. Nasz drugi negocjator jest akurat na urlopie i może tu być najwcześniej za trzy godziny. Nie mamy tyle czasu. Musi nam pan pomóc.

– Jak? – zdziwił się Rozłucki.

– Porozmawia pan z tym świrem na górze. Przekona go pan, żeby grzecznie odłożył broń i wyszedł z rączkami uniesionymi do góry. Albo żeby oszczędził podatnikom kosztów procesu i sam palnął sobie w łeb.

– Nigdy nie prowadziłem negocjacji – zaprotestował Rozłucki. – Nie znam się na tym. Potrzebna jest znajomość specjalnych technik, są na to odpowiednie szkolenia... Wasi negocjatorzy uczyli się tego zapewne wiele lat.

– Psycholog to psycholog – odparł komisarz. – Jeden pies. Idzie pan za mną.

Kurtka komisarza pachniała skórą i adrenaliną. Miał ją dokładnie przed swoim nosem, gdy wjeżdżali ruchomymi schodami na górę. Komisarz – solidny, szpakowaty mężczyzna koło pięćdziesiątki, z ciężką, grubą twarzą – wyglądał, jakby przez cały czas miał ochotę komuś przyłożyć. Zapewne nawet w domu nie schodził mu z twarzy ten grymas, będący mieszaniną pogardy i irytacji. Jego syn, jeśli takowego

miał, pewnie nie miał z nim lekko.

– Jakież zmiany? – rzucił do młodego mężczyzny w bluzie z kapturem, który podszedł do nich, gdy znaleźli się w pomieszczeniu, gdzie jeszcze niedawno Rozłucki czekał na swoje pięć minut sławy.

– Mamy czwartego zakładnika. To podobno jakiś pracownik telewizji. Miał pecha, nie zdążył uciec jak inni. Siedzą teraz we czworo na kanapie. Nasz pojeb trzyma ich wszystkich na muszce.

– A ten piąty, którego się nie mogli doliczyć?

– Nic. Pewnie schował się gdzieś w ciemnym kącie i czeka. Bardzo rozsądnie. Miejmy nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy nic głupiego.

– Jakież możliwości zdjęcia delikwenta? – komisarz zwrócił się do drugiego z mężczyzn, ogolonego na łyso i ubranego w czarny mundur z wieloma kieszeniami.

– Niewielkie. Piętro wyżej jest reżyserka z dobrym widokiem na studio. Niestety oddziela ją od niego gruba, dźwiękoszczelna szyba. Strzał przez taką szybę to zawsze ryzyko. Grube szkło zakrzywia światło. To, w co celuje snajper, nie pokrywa się z faktyczną linią strzału. Można próbować to jakoś korygować, ale i tak strzela się na wyczucie.

– Szturm?

– Możliwy tędy. – Antyterrorysta pokazał coś na planie studia wyrysowanym na postawianej pod ścianą białej tablicy. – Tu jest drugie wejście niewidoczne z miejsca, gdzie siedzi cel. Niestety potem, o tu – wskazał znowu coś na mapie – otwiera się bardzo duża, pusta przestrzeń, jakieś kilkadziesiąt metrów. Nasz cel będzie miał sporo czasu, żeby zareagować, zanim moi chłopcy go dopadną. A wtedy jeden czy dwóch zakładników może już witać się z Panem Bogiem.

– A nie mógłby któryś z tych twoich asów wychylić się zza winkla, o

tu, i go odstrzelić?

– Niestety tu jest ta jebana kuchnia. Prawie dokładnie na linii strzału. Snajper musiałyby wyjść aż do tego miejsca. A wtedy będzie już doskonale widoczny. I bach, bach! Zakładnicy nie żyją.

Komisarz pokiwał głową.

– Aha – powiedział. – No to już przynajmniej wiemy, w jakim szambie stoimy.

– No i jeszcze jedno – odezwał się chłopak w bluzie. – Przybiegł tu przed chwilą sam pan prezes. Ten gość na kanapie, prowadzący, to cholerna gwiazda. Koń pociągowy stacji. Jego programy przyciągają reklamodawców jak psia kupa muchy. Pan prezes niedwuznacznie zasugerował, że jakiegokolwiek działania narażające jego życie są absolutnie niedopuszczalne. Jak również absolutnie niedopuszczalne są jakiegokolwiek działania narażające życie pozostałych osób obecnych w studio. Gdyby któraś z nich zginęła, byłaby to dla stacji katastrofa wizerunkowa. I jeśli coś takiego się stanie, rozjedzie nas medialnie. Będziemy mieć gorszy PR niż w stanie wojennym.

– A wiadomo już, czego ten świr chce?

– Póki co się nie odezwał. Zresztą nie ma za bardzo jak. Nie ma mikrofonu.

– Prezenterzy mają przypięte mikrofony do ubrań. Mógłby powiedzieć coś do jednego z nich.

– Może nie wie, że tak można. A może czeka na nasz ruch.

– Mamy jakiś kontakt z zakładnikami?

– Prezenterzy mają tak zwane „ucho”, mały mikrofon włożony do małżowiny, przez który mówi do nich reżyser. Możemy to wykorzystać.

– Radziłbym póki co tego nie ruszać – odezwał się antyterrorysta. – Najprawdopodobniej nasz pojeb o tym nie wie. Jeśli teraz tego

użyjemy, może coś usłyszeć, a wtedy nie wiadomo, jak zareaguje. Może się wkurzyć, że robimy coś za jego plecami. W najlepszym razie każe im wyjąć mikrofon i wyrzucić. Lepiej trzymać sprawę w tajemnicy i wykorzystać w czasie ewentualnego szturmu.

– Czyli co? Negocjujemy. – Komisarz spojrział krytycznie na Rozłuckiego. – Wchodzisz.

## ROZDZIAŁ 5

Podwójne, dźwiękoszczelne drzwi prowadzące do studia uchyliły się. Rozłucki, zgodnie z poleceniem komisarza, wysunął przez nie najpierw uniesioną prawą rękę z otwartą dłonią. Później, po dłuższej chwili, wystawił głowę. Zamachowiec został wcześniej poinformowany o nadejściu negocjatora za pomocą interkomu i skinieniem głowy wyraził na to zgodę. Mimo to Rozłuckiemu zrobiło się słabo, gdy tylko jego twarz minęła krawędź drzwi. Komisarz Abramowski stał tuż za nim, gotowy w razie jakichś kłopotów natychmiast wciągnąć go z powrotem. Całe szczęście nie okazało się to konieczne. Przez długie, cholernie długie dwie sekundy on i zamachowiec patrzyli sobie w oczy, potem, zgodnie z instrukcją komisarza, Rozłucki spuścił wzrok i wszedł dalej.

– Mogę? – spytał głośno, lecz studio było na tyle duże, że nie był pewien, czy tamten to w ogóle usłyszał.

– Proszę.

Głos mężczyzny był spokojny i zaskakująco, biorąc pod uwagę okoliczności, uprzejmy.

Rozłucki spojrzał ponownie na mężczyznę. „Musisz nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale nie możesz zrobić tego za wcześnie. – Przypomniał sobie instrukcje komisarza. – Zrób to dopiero wtedy, gdy uznasz, że możesz. Jeśli się pospieszysz, może to odebrać jako wyzwanie i poczuć się zagrożony”. Ton głosu mężczyzny przekonał go jednak, że ten czas nadejdzie już niedługo.

Mężczyzna siedział z lewej strony długiej, półkolistej kanapy, trzymając oparty na kolanie pistolet z lufą wycelowaną w czwórkę zakładników ściśniętych na jej drugim końcu. Wyglądał nad wyraz

zwyczajnie. Ubrany był w czarne, skórzane pantofle, ciemne dzinsy, niebieską koszulę i tweedową marynarkę. Nalana twarz i rozpychający guziki koszuli brzuch zdradzały typową dla mężczyzn w wieku czterdziestu kilku lat nadwagę. Brązowe włosy były gęste i mocne. Przycięte krótko, lecz nie za krótko. Gdyby zrobić mu portret pamięciowy, pasowałby on do połowy czterdziestolatków w Polsce.

Rozłucki powoli podszedł bliżej. Mężczyzna patrzył na niego, lecz nie reagował. Zakładnicy również wbijali w niego swoje spojrzenia. Karolina wydawała się dość spokojna, choć niewątpliwie była przerażona. Prezenter wyglądał, jakby miał się za chwilę rozsypać. Dłonie mu drżały, krew całkiem odpłynęła z twarzy. Jego partnerka trzymała się lepiej, choć ona również była bardzo blada. Oczy miała wilgotne, jakby była na granicy płaczu. Tylko ostatni zakładnik – łysiejący mężczyzna z wydatnym brzuszkiem, ubrany w kraciastą koszulę i kamizelkę z wieloma kieszeniami – nie patrzył na Rozłuckiego. Siedział na brzegu kanapy, jakby nawet w tej sytuacji odczuwając skrępowanie zajmowaniem nieprzynależnego mu miejsca. Jego nieruchomy wzrok spoczywał gdzieś na odległym krańcu hali.

– Mogę tu stanąć? – spytał Rozłucki. Mężczyzna z pistoletem skinął głową. – A usiąść? – Rozłucki wskazał głową dużą, jasną pufę w tym samym kolorze co stojąca parę metrów od niej kanapa.

Zamachowiec skinął ponownie. Rozłucki podszedł do puffy i powoli na niej usiadł. Była dość miękka i niska, tak że zapadł się w nią głęboko. Siedział teraz w niezbyt wygodnej pozycji z kolanami sięgającymi prawie brody. Gdyby musiał stąd nagle uciekać, przyszło mu do głowy, nie byłoby mu łatwo szybko się zerwać.

Opuścił ręce, które do tej pory ciągle trzymał w górze, i oparł je wyprostowane o kolana. Zaryzykował i spojrział mężczyźnie w oczy.



– Pierwszy raz w telewizji? – spytał.

W jego oczach dostrzegł zaskoczenie. Nie takiego pytania się spodziewał. O to właśnie chodziło Rozłuckiemu. O wybicie z roli, zmianę kontekstu. Był to stary trik znany wszystkim psychoterapeutom. Przynajmniej na coś jego głupia praktyka się przydała.

– Tak, pierwszy – odparł ostrożnie mężczyzna.

– Ja też – stwierdził z uśmiechem Rozłucki. Pierwsza zasada prowadzenia negocjacji, jak wyłożył mu przed wejściem komisarz Abramowski, to zbudowanie poczucia wspólnoty między negocjatorem a zamachowcem, utworzenie między nimi jakiegoś rodzaju emocjonalnej więzi. Wmówienie mu, że tak naprawdę jadą na tym samym wózku. – Imponujące, co? – kontynuował zachęcony początkowym sukcesem. – Nie wiedziałem, że te studia są takie wielkie.

Mężczyzna odruchowo powiódł spojrzeniem dookoła. Wyglądał, jakby dopiero teraz przyjrzał się dokładniej miejscu, w którym się znajduje.

– Ciekawie jest zobaczyć, jak to wszystko wygląda od kuchni – ciągnął dalej Rozłucki. – Do tej pory patrzyłem na to przez ekran telewizora, a teraz proszę, jestem tu, w środku. Niezłe uczucie, nie?

Mężczyzna powoli kiwnął głową. Rozłucki ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na Karolinę. Ta więź emocjonalna z kolei tylko by mu przeszkadzała.

– Wie pan, że dziś po raz pierwszy w życiu zrobili mi make-up? Umalowali mnie, jakbym był kobietą.

Mężczyzna spojrzał na niego uważnie, jakby próbował dopatrzeć się śladów makijażu na jego twarzy.

– Nazywam się Dariusz Jakubiec – powiedział. – Zgadzam się, by w mediach podawano moje pełne nazwisko.

## ROZDZIAŁ 6

– Chce odczytać swoje oświadczenie na wizji – powiedział, gdy już znalazł się z powrotem za podwójnymi drzwiami. – Ma być nadane na żywo na wszystkich kanałach należących do stacji. Nawet na sportowym i kulinarnym. Inaczej zacznie zabijać zakładników.

– No to żeś pan wynegocjował! – Komisarz Abramowski opadł ciężko na fotel.

– Uprzedzałem, że nie mam do tego odpowiednich kwalifikacji.

– Ja też nie mam odpowiednich kwalifikacji do użerania się z kretynami, a jednak to robię.

„Najciężej masz chyba z samym sobą”, pomyślał Rozłucki, lecz nie powiedział tego głośno.

– Najciężej ma pan komisarz z samym sobą – rzucił za niego młody chłopak w bluzie. Komisarz, o dziwo, uśmiechnął się pod nosem.

– Dobra, do roboty – powiedział z nagłym ożywieniem. – Leć do tego prezesika – zwrócił się do chłopaka – i sprowadź go tutaj. Niech podeślą tu też kogoś, kto zna się na całym tym sprzęcie w studio. Pan zostaje. – Spojrzał na Rozłuckiego. – Póki co należy pan do ekipy.

Rozłucki usiadł na wąskiej, białej kanapie pod ścianą. Tej samej, na której siedział, gdy Karolina wchodziła do studia. Przypomniał sobie jej twarz, gdy przez chwilę ich spojrzenia spotkały się tam, w środku. Twarz poważną, ściągniętą przerażeniem, ale też pełną nadziei, że oto on przyszedł tu, aby ją z tego wyciągnąć. „Nie ma co ukrywać”, pomyślał, „więź emocjonalna została zawiązana”. W podobnych sytuacjach, pełnych silnych, ekstremalnych doznań, takie rzeczy dzieją się szybciej.

– Jak pan myśli, zrobi to? – Pytanie komisarza wyrwało go z zamyślenia.

– Słucham?

– Myśli pan o czymś innym? To, co się tu dzieje, nie jest dla pana wystarczająco pasjonujące? – W głosie komisarza zabrzmiała irytacja. – Pytam się, czy ten świr to zrobi? Jest w stanie kogoś zastrzelić?

– Nie wiem.

– A kto ma niby wiedzieć? Jest pan psychologiem, tak czy nie? Powtórzę jeszcze raz, gdyby miał pan znowu problemy z koncentracją: czy nasz kolega z pistoletem potrafiłby kogoś zabić? To znaczy nie, źle postawiłem pytanie, każdy jest w stanie zabić, może mi pan wierzyć. Matka Teresa, gdyby ją postawić w odpowiedniej sytuacji, też pociągnęłaby za spust. Chodzi raczej o to, czy potrafi zastrzelić z zimną krwią niewinnego człowieka, który niczego złego mu nigdy nie zrobił? Czy też porwał się na coś, co go przerasta, i w ostatniej chwili zadrży mu ręka? A może blefuje, bo nigdy nie miał zamiaru nikogo zabijać, ma po prostu nadzieję, że się ugniemy, a kiedy nie spełnimy jego żądań, grzecznie odłoży broń i powie: „W porządku, nie było sprawy”?

Rozłucki zamyślił się.

– Żeby odpowiedzieć panu na to pytanie, musiałbym spotkać się z nim parę razy i zadać mu kilka dobrze ukierunkowanych pytań, być może nawet zrobić jakieś testy, ale nawet wtedy nie byłbym w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Mógłbym co najwyżej na tej podstawie wyrobić sobie opinię, jak funkcjonuje i jaką ma osobowość, i czy ma predyspozycje do tego typu zachowań, ale rozumiem, że nie o taką odpowiedź panu chodzi.

– Precyzyjnie rzecz ujmując, mam taką odpowiedź w dupie.

– Właśnie. Rozumiem, że wobec tego chodzi panu o odpowiedź, za

którą nie jestem w stanie wziąć odpowiedzialności, bo nie mam wystarczających danych, by jej udzielić?

– Tak. Właśnie taką.

– Sądzę, że nie.

– Co, nie?

– Nie potrafiłby zrobić czegoś takiego. To nie jest typ mordercy, choć za takie zdanie wyrzucono by mnie z pierwszego roku psychologii. Nie widać w jego zachowaniu żadnych objawów charakterystycznych dla człowieka zaburzonego w jakikolwiek sposób. Powiem panu więcej: gdy tam byłem i rozmawiałem z nim, bałem się go tylko na początku. Potem zaczęło mi być go żal. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale bije od niego jakiś smutek.

– Czyli co? Nie mamy się czego obawiać? Możemy tam wejść i powiedzieć: „Hej, kolego, koniec zabawy, opuść lufę i chodź z nami”?

– Tego bym nie ryzykował. Pan zapewne też nie, sądząc po sarkazmie, z jakim wypowiedział pan ostatnie zdanie. Sam pan powiedział, że każdy jest w stanie zabić, wystarczy postawić go w odpowiedniej sytuacji. Nie wiemy tak naprawdę, w jakiej on jest sytuacji. Po coś tu przyszedł, coś chce tym osiągnąć. Nie wiemy, jaka jest jego motywacja i jak jest silna. Nie wiemy też, jak zachowa się, gdy przyprzemy go do muru. Sam pan wie, że przy silnym stresie traci się zdolność w pełni racjonalnej oceny rzeczywistości. Nie panuje się też wystarczająco nad własnymi odruchami. Gdy trzyma się palec na spuście, może to być bardzo niebezpieczne. Strzał może wtedy paść w zasadzie przypadkiem. Kilku policjantów zastrzeliło przez to kilku niewinnych ludzi.

Komisarz pokiwał głową.

– Czyli co pan radzi?

– Czekać i obserwować. I w żadnym razie nie podejmować żadnych gwałtownych działań.

– Jasne. I za takie opinie panu płacą?

– Nie. Płacą mi za wysłuchiwanie znudzonych bufonów w garniturach. Widzi pan tu kogoś takiego?

Komisarz sapnął i pokręcił głową. W tym momencie drzwi na korytarz otworzyły się i wszedł przez nie chłopak w bluzie. Szedł za nim niski, siwy mężczyzna w brązowej, sztruksowej marynarce.

– Pan Matecki – przedstawił go chłopak. – Zna się na tym. – Zrobił szeroki gest ręką ogarniający wszystko dookoła.

– Kim pan jest? – Komisarz Abramowski najwyraźniej nie miał zamiaru odwzajemniać się podaniem swojego nazwiska.

– Mówiąc zrozumiale, jestem szefem telewizyjnych techników.

– Co jesteście w stanie zrobić z tym sprzętem, który pan tam ma? – Komisarz wskazał ręką na studio. – Podobno prowadzący mają przypięte do ubrań mikrofony. Możemy wykorzystać je jako rodzaj podsłuchu?

– Nie.

– Nie?

– Niestety wszystkie linie są głuche. Już to sprawdzaliśmy.

– Dlaczego?

– Nie wiem – Niski mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem! A może mi pan to, kurwa, jakoś dokładniej wytłumaczyć?

– Mówiąc zrozumiale, te mikrofony podpięte są kabelkiem do małych przekaźników przyczepionych zazwyczaj do paska od spodni. Ten przekaźnik ma formę takiej plastikowej kostki z wyświetlaczem. Kostka drogą radiową przesyła sygnał dalej, do odbiornika stojącego w

studio. I dopiero z tego odbiornika kablami przesyłane jest to do reżyserki. Żaden sygnał stamtąd do nas nie dochodzi.

– Powtórzę jeszcze raz: dlaczego?

– Powtórzę jeszcze raz: nie wiem. Podczas ewakuacji studia było spore zamieszanie. Może ktoś niechcący wypiął jakiś kabel? Potknął się, wpadł na mikser, nacisnął łokciem jakiś guzik? Nie mam pojęcia.

– Można to jakoś naprawić?

– Trzeba by wejść do studia i sprawdzić, co jest nie tak.

– Czyli nie można.

– Czy to samo dotyczy tych mikrofonów wsadzonych do ucha? – spytał antyterrorysta.

– Tak. Zasada ich działania jest taka sama.

Antyterrorysta pokiwał głową.

– Czyli nie mamy żadnego podsłuchu na to, co się dzieje w studio?

– Żadnego. Gdyby to był program z publicznością, byłyby zainstalowane mikrofony pojemnościowe zbierające dźwięki oklasków. Takie mikrofony podłączone są zwykłymi kablami. Niestety w programach porannych publiczności nie ma.

– Kamery? Co z nimi? – spytał komisarz.

– Wszystkie działają. Niestety część z nich skierowana jest teraz w sufit, albo na ścianę, bo operatorzy, uciekając, poruszyli nimi i zmienili ich nakierowanie.

– Sam widziałem, jak jeden o mało nie przewrócił swojej – wtrącił Rozłucki.

– Właśnie. Ale z innych obraz jest całkiem niezły.

– Mógłby pan dać nam taki podgląd na ten ekran? – Komisarz wskazał telewizor zawieszony na ścianie.

– Jasne. Ale z reżyserki piętro wyżej widać wszystko jeszcze lepiej.



Nie woleliby panowie przenieść się tam?

– Wykluczone – odparł antyterrorysta. – Jak gość zobaczy, że tam stoimy i go obserwujemy, może zrobić się nerwowo.

– A co z panem prezesem? – komisarz zwrócił się do chłopaka w bluzie. – Nie pofatyguje się do nas?

– Na razie nie – odparł chłopak. – Szkoda, że nie widziałeś, co się tam u nich dzieje. Wygląda to tak, jakby to tam wpadł zamachowiec, a nie tutaj. W każdym razie pan prezes kategorycznie wykluczył możliwość wygłoszenia jakiegokolwiek oświadczenia na wizji.

– No to już wiemy, w jakim szambie stoimy – powtórzył już po raz drugi komisarz.

# ROZDZIAŁ 7

Ekran nagle rozświetlił się i pojawiło się na nim wnętrze studia. Kamera, z której płynął obraz, nastawiona była na szeroki plan, więc postaci siedzące na kanapie były małe i wydawały się znajdować w znacznej odległości od patrzących.

– To ujęcie jest najlepsze – powiedział Matecki. – Kamera łapie wszystko, choć zamachowiec i zakładnicy nie są dokładnie w centrum obrazu. Inne kamery nastawione były na zbliżenia, ponieważ jednak filmowane przez nie osoby nie siedzą dokładnie na tych samych miejscach, co w momencie wtargnięcia zamachowca, pokazują teraz ramiona albo na przykład kawałek kanapy.

Przez chwilę wszyscy z napięciem wpatrywali się w ekran. Zamachowiec siedział nieruchomo, w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej zapamiętał go Rozłucki. Oparty o kolano pistolet wciąż wycelowany był w zakładników.

– Czy on śpi? – spytał komisarz. – Wygląda, jakby spał.

– Ostatnie wydarzenia musiały go bardzo wyczerpać emocjonalnie – wyjaśnił Rozłucki. – Nie jest łatwo wpaść gdzieś z bronią i grozić wszystkim śmiercią. Prawdopodobnie zastygł w czymś w rodzaju trybu stand-by. Wystarczy najmniejszy impuls, by się z powrotem włączył.

– Skurwysyn – powiedział chłopak w bluzie.

– Niewątpliwie – zgodził się komisarz.

– Czy on wie, że teraz na niego patrzymy? – spytał antyterrorysta.

Rozłucki popatrzył na niego jak na idiotę, pytanie jednak, jak się okazało, nie było aż tak bardzo pozbawione sensu, bo Matecki odpowiedział:

– Na kamerze, z której obraz jest aktualnie transmitowany, zapala się czerwone światełko, żeby prowadzący wiedzieli, w którą stronę mówić. Teraz oczywiście niczego nie transmitujemy, ale mechanizm w dalszym ciągu działa. Nie jesteśmy w stanie w tym momencie tego wyłączyć. Jeśli o tym wie, wie również, że go obserwujemy.

– Wydaje mi się, że wie – powiedział powoli komisarz.

Mężczyzna z pistoletem odwrócił głowę i spojrzał prosto w obiektyw. Widać to było wyraźnie pomimo sporej odległości. Potem wstał, chwycił jednego z zakładników i ruszył z nim w stronę kamery. Gdy byli już dostatecznie blisko, tak że widać było wyraźnie rysy ich twarzy, wypchnął zakładnika przed siebie, a sam stanął za nim. Łysiejący mężczyzna w kraciastej koszuli, biedak, który nie zdążył uciec ze studia, tak jak jego pozostali koledzy, trząsał się jak osika. Kiedy lufa dotknęła jego potylicy, zacisnął powieki i zaczął szlochać. Słyszeli niemal ten płacz, wdzierał im on się do mózgów, mimo iż monitor, w który wbijali spojrzenia, nie wydawał z siebie żadnego dźwięku z wyjątkiem jednostajnego elektrycznego szumu. W tej chwili cali byli wzrokiem, zatopieni bez pamięci w tym okrutnym reality show, transmitowanym specjalnie dla nich ekskluzywnym pokazie ludzkiego strachu i cierpienia. I kiedy wreszcie czerwona ciecz zabryzgała od wewnątrz ekran, na który patrzyli, żaden z nich nie wydał nawet dźwięku.

## ROZDZIAŁ 8

Ktoś przyniósł kawę i wodę, Rozłucki nie zauważył nawet kto. Pan Matecki, szef techników, odwieziony został do szpitala z podejrzeniem stanu przedzawałowego. Karetka czekająca od jakiegoś czasu pod budynkiem przydała się w końcu. Nie po raz ostatni pewnie dzisiaj. Tamtemu biedakowi, na którego mózg przez chwilę patrzyli, przydałby się już zupełnie inny rodzaj transportu.

Komisarz Abramowski siedział w fotelu. Patrzył na prezesa telewizji, który stał przed nim, wymachując rękami. Wyraz jego twarzy mówił aż nadto wyraźnie, co myśli o tym tłustawym człowieku z brodą, na którego wypukłym brzuchu spoczywał krawat niczym pstrąg na półmisku.

– Czy pan w ogóle wie – ni to mówił, ni to krzyczał prezes – kim jest ten człowiek na kanapie? Czy pan go w ogóle zna?

– W tym kraju trudno go nie znać – zauważył chłopak w bluzie. – Nie prowadził już chyba tylko tramwaju.

Pan prezes nie zwykł najwyraźniej zwracać uwagi na słowa wypowiedane przez kogoś o pozycji tak dalece niższej od jego, bo nawet na niego nie spojrzał.

– Kontrakt gwiazdorski, trzy programy w naszej stacji, w tym jeden na licencji, za którą zapłaciłem grube miliony! Jeśli pan myśli, że zgodzę się na jakiś szturm, to jeszcze mnie pan nie zna.

– Ściśle rzecz ujmując, nie ma pan nic do gadania – powiedział spokojnie komisarz.

Prezes uśmiechnął się, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– A jak pan myśli – powiedział, cedząc słowa – skąd macie te

wszystkie odblaskowe pierdoły, które rozdajecie na pogadankach w szkołach? A jak pan myśli, dlaczego w naszych programach policja jest zawsze stawiana w dobrym świetle? Pamięta pan, jak zastrzeliliście tego chłopaka w Wielkopolsce, bo wydał wam się podobny do bandyty, którego ścigaliście? A pamięta pan, jak to relacjonowaliśmy? To proszę sobie wyobrazić, że w przyszłości takie zdarzenia możemy relacjonować zupełnie inaczej. I co pan na to? Panie komisarzu, my jesteśmy patriotami i wspieramy siłę, która dba o bezpieczeństwo naszych obywateli, ale jeśli ta siła zacznie tych obywateli narażać, przestaniemy ją wspierać. Niech pan porozmawia ze swoim szefem, a on niech porozmawia ze swoim. I jak już sobie wszyscy porozmawiacie, proszę przyjść do mnie i jeszcze raz powtórzyć, że nie mam w tej sprawie nic do gadania.

– Panie prezesie. – Komisarz starał się zachować spokój. – Mamy tam wariata z bronią, który zastrzelił już jednego człowieka, zresztą pana pracownika. Nie wiemy, kiedy zastrzeli następnego. Niech pan spojrzy na ten ekran, widzi pan? Obraz jest lekko czerwony. To krew, której resztki nie spłynęły do końca z obiektywu kamery. Chce pan, żeby całe studio tak wyglądało?

Prezes spojrział na monitor i widać było, że ta konfrontacja z rzeczywistością zrobiła na nim pewne wrażenie.

– Proszę pana – powiedział znacznie już łagodniejszym tonem – nasza stacja ma poważne problemy finansowe, śmierć głównej gwiazdy może je jeszcze pogłębić. Tu pracują setki ludzi, mają rodziny na utrzymaniu, część ma kredyty. Proszę mi wierzyć, nie chodzi mi wyłącznie o własny tyłek.

– Bardzo mi przykro – powiedział komisarz – lecz z naszego punktu widzenia szturm jest jedynym rozwiązaniem. Takie są procedury w

podobnych sytuacjach. W momencie, gdy zamachowiec zaczyna zabijać zakładników, zarządza się szturm.

– Czego on chce? Oświadczenia na wizji, tak? Jestem w stanie się na to zgodzić.

– Słucham?

– Puszczę mu to na wszystkich naszych kanałach, skoro sobie tego życzy.

– To wbrew wszelkim regułom. Ten człowiek zastrzelił przed chwilą zakładnika. Zgadzając się teraz na jego żądania, nagrodzimy go za to. Wyślemy sygnał do wszystkich świrów w tym kraju, że mogą zacząć działać.

– Biorę za to pełną odpowiedzialność. Także wobec pana przełożonych.

Wyszedł, jakby decyzja została właśnie podjęta.

– Możemy to wykorzystać – powiedział siedzący pod ścianą antyterrorysta.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

– Takie oświadczenie to niezła przykrywka. Przebierzemy jednego z moich chłopców za gościa z telewizji, niech trzyma mikrofon, czy co tam się trzyma, i kiedy facet będzie wdzięczny się do kamery, ciach! Zdmuchniemy go jak paproch z kurtki.

– Na wizji? A jak coś się nie uda? – spytał komisarz.

– To amator – odpowiedział antyterrorysta. – Ma więcej szczęścia niż rozumu. Jego przewaga nad nami wynika z okoliczności, nie z umiejętności. Zmieńmy okoliczności, a odzyskamy przewagę. Gdy zostanie sam na sam z dobrze wyszkolonym człowiekiem, nie będzie miał żadnych szans. Nawet nie zauważy momentu, w którym znajdzie się na ziemi. Skuty kajdankami i z butem na karku. A my będziemy

mieli sukces transmitowany na żywo.

## ROZDZIAŁ 9

– Chce pana. – Komisarz Abramowski patrzył na Rozłuckiego jak na dziwny przedmiot, którego wartości dla innych nie jest w stanie się zrozumieć. – Ten debli, nasz negocjator, przyjechał tu tylko po to, żeby to właśnie usłyszeć. Że ma iść do diabła, a zamiast niego ma wrócić pan. I to pan ma trzymać mikrofon podczas wygłaszania oświadczenia. Czyli z całego naszego planu nici.

To ostatnie zdanie wypowiedział tak, jakby to była wina tylko i wyłącznie Rozłuckiego.

– Przykro mi.

– A mi nie. – Komisarz przysiadł się do jego stolika. Restauracja Kaprys świeciła teraz pustkami. Pracownicy telewizji i goście porannego programu po wstępnym przesłuchaniu zostali zwolnieni do domów. Tych, którzy chcieli zostać i zobaczyć, jak to się wszystko skończy, grzecznie wyproszono.

– Właśnie odebrałem telefon – powiedział, wypuszczając ciężko powietrze. – Dzwonił mój drogi szef. Pan prezes musi mieć naprawdę wysoko postawionych znajomych, bo otrzymałem wyraźnie polecenie: żadnych akcji. Czyli i tak nic z tego. Pomysł w każdym razie jest taki, żebyś tam wszedł i wszystko zorganizował. Pomysł nie mój, zaznaczam. Masz stać za kamerą, a oświadczenie ma przyjąć nasz drogocenny gwiazdor, który, tak się szczęśliwie składa, jest akurat na miejscu. Chodzi zdaje się o to, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Ma to być przy okazji promocja stacji oraz news stulecia, który przebieje oglądalnością lądowanie Pana Twardowskiego na księżycu. Dla porządku dodam, że możesz się nie zgodzić.



Rozłucki przypomniał sobie twarz Karoliny, a chwilę potem eksplodującą głowę pierwszego zakładnika.

– Zgadza się – powiedział.

– Tak też myślałem. Zatem chodźmy. Musimy cię poobklejać różnymi urządzeniami. Pan prezes zaplanował początek show na siedemnastą, mamy więc jeszcze trochę czasu. Początkowo upierał się przy dwudziestej, w porze tak zwanego prime time’u, ale całe szczęście udało nam się to mu wyperswadować.

– Mam tylko jedno pytanie.

– Tak? – komisarz odwrócił się.

– Czy ja też mogę zacząć mówić panu na „ty”?

– Nie, ty nie. Być może dostąpisz tego zaszczytu, jak przeżyjesz.

## ROZDZIAŁ 10

– Zanim tu podejdziesz, podnieś koszulę, a później zdejmij z siebie wszystkie te nadajniki, które ci przyczepili – mężczyzna z pistoletem patrzył na niego zmęczonym wzrokiem. Trzecie, stalowe oko również wycelowane było w niego.

Rozłucki posłusznie rozpiął guziki, a potem sięgnął ręką za plecy i odkleił tak pieczołowicie przed chwilą zamontowany podsłuch. Syknął z bólu, gdy odrywany plaster wydepilował mu kawałek skóry.

– A teraz chodź tu.

Ciągnąc za sobą kabel od trzymanego w dłoni mikrofonu, Rozłucki ruszył w stronę kanapy. Starał się nie patrzeć na leżące z jego lewej strony ciało. Mimo to rozchodzący się wokół zapach krwi o mało nie doprowadził go do wymiotów. Jak wskazywały ślady obok kanapy i drugi z unoszących się w powietrzu zapachów, ktoś nie zdołał, tak jak on, powstrzymać tego odruchu.

– Przypominam ci – głos mężczyzny był równie zmęczony jak jego spojrzenie – że jesteś cywilem. To nie twoja wojna, więc nie ryzykuj dla niej życia. Jeśli nie zrobisz nic głupiego, przeżyjesz. Podobnie jak oni. Chcę tylko zrobić to, co muszę zrobić, i wszyscy wróćcie do domów. Będziecie mieli co opowiadać znajomym.

„I psychoterapeutom – pomyślał Rozłucki – nie jest łatwo pozbyć się traumy po czymś takim”.

– Stań tu, za tą kamerą. – Wskazał mu miejsce pistoletem. – Wystarczy, że nakierujesz ją na mnie. Powinna sama złapać ostrość. Ty – wskazał prowadzącego – weź mikrofon.

Prezenter sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał. Jego rozszerzone

przerażeniem oczy wpatrywały się w otwór lufy. Mężczyzna szturchnął go pistoletem w udo.

– Dalej! – powiedział.

Prezenter nie reagował. Jego blada twarz ściągnięta w dziwnym wyrazie niedającym się przypisać żadnej znanej emocji pozostawała nieruchoma. Zdawał się wręcz nie oddychać.

– No już! – Zniecierpliwiony zamachowiec przystawił mu pistolet do czoła.

– Nawet jeśli pana słyszy, prawdopodobnie nie jest w stanie się poruszyć – ostrożnie powiedział Rozłucki. – Silny stres doprowadził u niego do katatonii. Zawiesił się. Nawet gdyby strzelił mu pan w stopę, zapewne by się nie ruszył. Radzę wybrać kogoś innego.

Mężczyzna spojrział na Rozłuckiego, jakby zastanawiał się, czy to, co powiedział, jest prawdą. Widocznie jednak mu uwierzył lub po prostu było mu wszystko jedno, bo teraz dla odmiany wycelował pistolet w Karolinę.

– Ty – rozkazał. – Ty go weź. Stań tu i trzymaj go w wyciągniętej ręce.

Karolina wstała i podeszła do Rozłuckiego. Nawet teraz poruszała się z gracją. Wzięła od niego mikrofon i stanęła obok. Odnalazła jego spojrzenie i uśmiechnęła się smutno.

„Czy to jest materiał, o jakim marzyłaś?”, pomyślał Rozłucki. „Ciekawy, pasjonujący, z wyrazistym bohaterem targanym silnymi emocjami? Trochę to się różni od wywiadu z człowiekiem przebranym za pluszowego zająca”.

– Raz, raz, próba mikrofonu – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się kącikiem ust, jakby to był żart. – Mam nadzieję, że mnie słyszycie. Mam tutaj – podniósł do góry dłoń – najnowszy telefon z dużym

wyświetlaczem i szybką transmisją danych. Można na nim oglądać telewizję. Nastawiłem go na wasz kanał. Jeśli nie zobaczę za chwilę na ekranie swojej twarzy i nie usłyszę swojego głosu, zabiję najpierw ją. – Pistoletem trzymany w drugiej ręce wskazał siedzącą ciągle na kanapie prezenterkę.

Kobieta wydała z siebie stłumiony odgłos, ni to jęk, ni to szloch, i zaparła się dłońmi w siedzenie kanapy.

– Spokojnie – powiedział Rozłucki. – Proszę się nie bać. Obraz zaraz się pojawi. – Poczul, jak dłoń Karoliny ściska go mocno za ramię.

Oczy wszystkich wbiły się teraz w mały ekran, na którym ubrany w garnitur człowiek poważnym głosem odczytywał po raz kolejny tekst tej samej wiadomości. Żółty pasek u dołu ekranu i duży napis „wydanie specjalne” widoczne były nawet na tak niewielkim urządzeniu. Po chwili smutny człowiek zniknął, a zamiast niego pojawiło się nagranie przedstawiające mężczyznę w szarej marynarce idącego z pistoletem w wyciągniętej ręce przez telewizyjne studio.

– Powtarzają to już chyba setny raz – powiedział mężczyzna. – Mam nadzieję, że równie często podają moje nazwisko. Widzisz mnie dobrze? – zwrócił się do Rozłuckiego.

– Tak. – Rozłucki spojrział na mężczyznę przez wizjer kamery. Ostrość obrazu rzeczywiście wyregulowała się automatycznie.

Mężczyzna był spokojny, można by wręcz powiedzieć, że zrezygnowany. Nie widać w nim było żadnego podekscytowania, jakiego można byłoby się spodziewać po kimś, kto za chwilę osiągnie swój cel i znajdzie się na wizji. Wyglądało to tak, jakby realizował metodycznie jakiś plan. Punkt po punkcie, niczym pilot przed startem wciskający guziki w odpowiedniej, zawsze tej samej kolejności.

Sekundy mijały, lecz obraz z kamery, za którą stał Rozłucki, nie

pojawił się na ekranie telefonu komórkowego.

– No, dalej – przynaglił mężczyzna trzymane w dłoni urządzenie, a Rozłucki poczuł, jak kropla potu spływa mu po karku. Prezenterka załkała cicho z kanapy.

– Proszę... – jęknęła błagalnie.

Czas dłużył się niemilosiernie. Jak długo mogło to trwać? Pięć minut, dziesięć? Nie, zapewne minęło raptem parę chwil, lecz każda z nich przetaczała się przed nimi powoli, niczym pociąg z czterdziestoma wypełnionymi węglem wagonami.

Rozłucki obejrzał się nerwowo za siebie, jakby mógł coś zobaczyć za zamkniętymi, dźwiękoszczelnymi drzwiami. Czy ten idiota w czarnym mundurze znowu czegoś nie wymyślił? Wydało mu się wręcz, że widzi czające się z prawej strony za kuchnią cienie z długimi lufami. Zrobiło mu się niedobrze, jakby ściśnięty strachem żołądek wypchnął całą swoją zawartość w kierunku przełyku.

Nagle prezenter na ekranie komórki przestał mówić. Przez chwilę siedział w milczeniu, potem powiedział:

– Przerwywamy wydanie specjalne i łączymy się ze studiem, w którym zamachowiec przetrzymuje troje zakładników. Już za chwilę odczyta on na naszej antenie swoje oświadczenie. Będzie to pierwsza tego typu transmisja w dziejach polskiej telewizji. Zostańcie z nami. Wracamy za chwilę.

# ROZDZIAŁ 11

– Reklamy?! – mężczyzna z pistoletem krzyknął z niedowierzaniem.

– Kurwa... – jęknęła prezenterka i zaczęła śmiać się nerwowo.

Na ekranie telefonu komórkowego pojawiła się młoda dziewczyna i równie młody chłopak. Oboje byli przeszczęśliwi i biegli przez park. Po chwili znana francuska aktorka rozkoszowała się smakiem polskiej wody mineralnej.

– Ile może trwać taki blok reklamowy? – spytał mężczyzna, wpatrując się w ekran.

– To zależy od oglądalności programu, który jest po nim – rzeczowo odpowiedziała prezenterka. – Jeśli jest duża, nawet do dziesięciu minut.

– A nasza jest duża?

– Miejmy nadzieję.

Spojrzenia wszystkich utkwione były w wyświetlaczu małego urządzenia. Zgromadzeni wokół niego ludzie na moment wyszli ze swoich ról kata i jego ofiar. Magia poruszających się obrazków zrównała ich i zjednoczyła. Wyglądali teraz jak kibice piłkarscy czekający na rozpoczęcie transmisji meczu. Jakby mimo różniącej ich diametralnie sytuacji zależało im na tym samym – żeby zobaczyć siebie w telewizji, dobrze w niej wypaść i mieć dużą oglądalność.

Blok reklamowy wreszcie się skończył. Na ekran komórki wrócił ponownie poważny prezenter, który jeszcze raz zapowiedział niezwykłą i niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju emisję na żywo. Brakowało tylko, by powiedział, że w konkurencyjnych stacjach czegoś równie ekscytującego nigdy nie będzie można zobaczyć. Po nim, zamiast

obrazu ze studia, pojawiła się twarz prezesa telewizji.

– No nie... – westchnęła prezenterka. – Jeszcze i on!

Pan prezes głosem poważnym i smutnym, pełnym troski i poczucia odpowiedzialności poinformował widzów, że zgodził się na tak kontrowersyjne posunięcie, by ratować ludzkie życie, bo człowiek był, jest i zawsze będzie dla jego stacji najważniejszy. Że nie była to łatwa decyzja i długo bił się z myślami, czy powinien na to przystać. Wspominając o znanym prezenterze siedzącym teraz obok nich na kanapie w stanie katatonicznego stuporu, przypomniał mimochodem, że już wkrótce poprowadzi on nowy, niezwykle interesujący program. Po czym pożegnał się i życzył wszystkim, zapewne z przyzwyczajenia, miłego odbioru.

– Jak myślicie, puszczą znowu reklamy? – spytała Karolina.

Reklamy jednak już się nie pojawiły. Zamiast nich na ekran komórki wrócił poważny prezenter, który już po raz trzeci zapowiedział telewizyjne wydarzenie stulecia. Dochodziła właśnie siedemnasta. „Nieźle wycucie czasu”, pomyślał Rozłucki. Nagle w studio rozległ się głos z interkomu:

– Uwaga! Za pięć sekund wchodzimy!

Mężczyzna z pistoletem wyprostował się i machinalnie poprawił włosy. Prezenterka przybrała zboląły, lecz pełen godności wyraz twarzy i odwróciła się do kamery lewym, zapewne w jej mniemaniu lepszym, profilem. Nawet znany prezenter na moment wyszedł ze swojego stanu katatonicznego zawieszenia, spojrział w oko kamery i uśmiechnął się, co w połączeniu z grymasem, w którym zastygła wcześniej jego twarz, dało efekt groteskowy i z lekka przerażający.

– ...trzy, dwa, jeden. Akcja! – oznajmił głos z interkomu.

Na ekranie komórki pojawiła się twarz zamachowca. Mężczyzna

rzucił na nią okiem, potem niepewnie spojrział w kamerę. Spróbował sięgnąć po coś do kieszeni marynarki, lecz obie ręce miał zajęte, gdyż w jednej trzymał pistolet, a w drugiej telefon. Widać było, że tej trudności nie przewidział, bo przez chwilę rozglądał się wokół zagubiony. Potem jednak znalazł rozwiązanie – schował telefon do bocznej kieszeni marynarki i uwolnioną lewą ręką wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. Rozprostował ją za pomocą dłoni trzymającej pistolet, przytrzymał palcami obejmującymi rękojeść, zaś lewą ręką ponownie wyjął z kieszeni komórkę. Jeszcze raz sprawdził, czy na jej ekranie widzi swoją twarz, po czym skupił wzrok na kartce.

– Nazywam się Dariusz Jakubiec, chciałbym przeprosić wszystkich za to, co zrobiłem – zaczął czytać. – Biorę na siebie całą winę i wszystkie związane z nią konsekwencje. Przed chwilą zabiłem człowieka, nazywał się Andrzej Lesicki. Śmierć człowieka jest zawsze wielką tragedią, zwłaszcza dla jego bliskich. Dlatego proszę jeszcze raz o wybaczenie. Jednak wina, zwłaszcza jeśli została uznana i przyjęta, jeśli szczerze za nią żałujemy, nie wyklucza przebaczenia. Powinniśmy odpuścić sobie nasze zbrodnie i wyrzec się zemsty. Dlatego ja, Dariusz Jakubiec, stojąc nad zwłokami człowieka, którego zabiłem, Andrzeja Lesickiego, proszę, błagam o wybaczenie. – Mężczyzna uklęknął, a Rozłucki odruchowo podążył za nim obiektywem kamery. Widział teraz krople potu na prześwitującej pod jego włosami skórze głowy. Mężczyzna jeszcze raz sprawdził na ekranie komórki, czy dobrze go widać, potem spojrział na Rozłuckiego, jakby chciał mu podziękować. – Wybaczenie jednak nie wyklucza i nie może wykluczać kary – czytał dalej. – Tę karę wymierzę sobie sam. – Potem włożył sobie pistolet do ust i strzelił.



## ROZDZIAŁ 12

Telefon dzwonił już od kilku minut. Rozłucki nie odbierał, licząc na to, że kiedyś wreszcie umilknie. Póki co nie milkł. Ktoś, kto dzwonił, musiał wiedzieć, w jakim stanie jest jego właściciel.

Kto to mógł być? Była żona? Jeszcze kilka miesięcy temu miałby taką nadzieję, zerwałby się i podbiegł do telefonu, nie zważając na wzbierające wymioty i łupiący ból w czaszce. Dziś wiedział już, że to nie może być ona. Może to i lepiej, przynajmniej nie będzie musiał znów jej się tłumaczyć. Z tego samego co zawsze. I to pomimo tego, że od dłuższego czasu nie wymagała już od niego żadnych wyjaśnień.

Ale to nie była ona. A telefon wciąż dzwonił.

Przewrócił się na wznak i spróbował sięgnąć po niego ręką. Leżał na szafce, metr od jego łóżka. Już dawno powinien przesunąć ją bliżej. Jego była żona się na to nie zgadzała. Twierdziła, że będzie to źle wyglądało. Szafka przy łóżku, a potem aż do ściany dziura. Lepiej, żeby szafka stała pod ścianą. A po telefon zawsze można przecież wstać. Albo po to, żeby wyłączyć budzik.

Teraz mógł sobie przesuwać szafki, gdzie tylko chciał. Dziwne, że tego nie robił.

Wymacał wreszcie dłonią aparat, choć naciągnął sobie przy okazji jakiś mięsień w szyi. Przysunął telefon do oczu, starając się skupić wzrok na wyświetlaczu. No tak. To była ta druga osoba, która mogła wiedzieć, w jakim jest teraz stanie. Jego drogi, kochany szef.

– Tak? – Wysuszona śluzówka w ustach sprawiała, że z trudem dawał sobie radę z mówieniem.

– To ja. – Głos profesora, w odróżnieniu od jego własnego, brzmiał

trochę lepiej niż przedwczoraj.

– Tak? – powtórzył.

– Przykro mi z powodu tego, co się zdarzyło. Czuję się winny, bo to ja cię w to wpakowałem. Nie potrzebujesz może pomocy? Nie dzwoniłem wczoraj, bo wiedziałem, że i tak nie odbierzesz.

Tak, wczoraj by raczej nie usłyszał tego telefonu. Wczoraj miał w uszach muzykę z wyspy Islay. Dziesięcioletnia Laphroaig to znakomita whisky, ale nie powinno jej się pić w takich ilościach. Bardzo nieprzyjemnie się po niej wymiotuje. Ten posmak torfu nie jest już wówczas taki miły.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– A ja z kolei myślę, że nie na pewno. Wiesz przecież, jak takie przeżycie wpływa na psychikę. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć. Psychoterapeuci nie są z tego zwolnieni. Może byś pomyślał o jakiejś małej terapii? W razie czego służę swoją skromną osobą. I tak masz u mnie zaległą superwizję. Oczywiście za jakiś czas, jak trochę dojdiesz do siebie.

– Może.

– Przemyśl to sobie, gdy już istota szara w twoim mózgu zacznie z powrotem przewodzić impulsy elektryczne. O pracę nie musisz się póki co martwić. Poprosiłem sekretarkę, żeby odwołała na razie wszystkich twoich pacjentów.

– Dzięki.

– Uważam też – profesor wciągnął głęboko powietrze, jakby chciał mu powiedzieć coś przykrego – że póki co nie powinieneś prowadzić terapii. To oczywiście tylko sugestia, zrobisz, jak zechcesz. Nie mogę ci

niczego kazać, sam odpowiadasz za swoich pacjentów, ale takie jest moje zdanie. Przeżyłeś wielki wstrząs, nie możemy być pewni, że nie będziesz podświadomie rzutował swoich negatywnych uczuć na relację terapeutyczną. Ryzyko pojawienia się przeciwprzeniesienia jest w twojej sytuacji bardzo duże. Zrób sobie chwilę przerwy, wejrzyj w siebie, zobacz, czego ci trzeba. Może sam potrzebujesz pomocy? Jeśli się zgodzisz, udzielę ci bezterminowego, płatnego urlopu. Wytlumaczymy twoim pacjentom, że przez jakiś czas nie będziesz się mógł z nimi spotykać. Tym, którzy nie będą chcieli czekać, zaproponujemy przejście do kogoś innego. Sam wiesz, że nie są to raczej nagłe ani skomplikowane przypadki, nie powinno więc być z tym problemu.

Tak, wiedział o tym. Pan profesor, gdy zatrudniał go w swojej poradni, pamiętał doskonale, że Rozłucki skończył co prawda tuż po studiach dwuletni kurs psychoterapii, ale nigdy nie miał dotąd okazji zastosować tej swojej wiedzy w praktyce. Że jest w rzeczywistości tylko psychologiem – teoretykiem, co prawda z doktoratem, ale za to bez żadnej praktyki w leczeniu pacjentów. I mimo że z formalnego punktu widzenia nic nie stało na przeszkodzie, by pracował jako psychoterapeuta, to mimo wszystko wolał nie przydzielać mu nikogo, komu jego brak doświadczenia mógłby w jakikolwiek sposób zaszkodzić. To dlatego do Rozłuckiego trafiali prawie wyłącznie znudzeni pracownicy korporacji.

– I co? – spytał profesor. – Co o tym sądzisz?

„Super. Mi to pasuje”, pomyślał Rozłucki.

– Tak, zgadzam się – odpowiedział.

– Zgadzasz się? – Zdaje się, że profesor Konarzewski spodziewał się silniejszego oporu. – Na pewno? Nie chciałbym, żeby to wyglądało, jakbym cię do czegoś zmuszał.

– Nie wygląda. To po prostu dobry pomysł.

Który umożliwi mu częstsze spędzanie czasu w towarzystwie dobrej whisky. Ciekawe, ile mu jeszcze zostało na koncie? Picie whisky single malt to nie jest tania rozrywka, pytanie więc brzmiało, czy zdąży się zachlać na śmierć, zanim będzie zmuszony przejść na coś tańszego?

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Rozumiesz chyba, że musiałem ci to zaproponować? – Profesor ciągle nie mógł uwierzyć, że Rozłucki się zgodził. Sam nigdy w życiu nie zostawiłby swoich pacjentów. Prawdopodobnie prowadziłby terapię jeszcze na łożu śmierci.

– Tak, rozumiem.

– To dobrze. – W głosie profesora wreszcie dało się wyczuć ulgę. – Teraz odpocznij i dojdź do siebie. Jakby co, dzwoń do mnie. W każdej, nawet najbliższej sprawie. I zastanów się poważnie nad terapią. Proszę cię o to jako twój przyjaciel. Nie możemy dopuścić, by wróciła tamta historia.

– Jasne.

Odłożył telefon na pościel. „Nie możemy dopuścić, by wróciła tamta historia”... Niewątpliwie. Nie powinniśmy. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, skąd się wziął ten na poły ojcowski stosunek, jaki pan profesor doktor habilitowany Witold Konarzewski miał do niego, swojego największego pedagogicznego zawodu? Czyżby w grę wchodziło stare, dobre poczucie winy? Irracjonalne oczywiście, jak większość tego typu uczuć, bo przecież pan profesor w żaden sposób nie przyczynił się do upadku swojego wychowanka. A może pan profesor, tak jak większość ludzi w podobnej sytuacji, nie był w stanie przyznać, że inwestycja, w którą zaangażował kiedyś tyle czasu i nadziei, nigdy nie przyniesie zysku? Że jego syn marnotrawny co prawda wrócił, ale nigdy

nie będzie już takim dziedzicem jego naukowej fortuny, na jakiego kiedyś się zapowiadał? Dlatego skłonny był dalej, wbrew logice i oczywistym faktom, inwestować w niego swoje uczucia i pragnienia, mimo iż dawno już powinien o nim zapomnieć.

A może po prostu pan profesor go lubił?

Tylko za co można lubić kogoś takiego?

## ROZDZIAŁ 13

Telefon zadzwonił ponownie. Musiał spać, bo nie słyszał sygnału. Obudziły go wibracje rozchodzące się od położonego na brzuchu aparatu.

Podniósł go do oczu i półprzytomnym wzrokiem spojrzął na wyświetlacz. Numer, który zobaczył, nie był zapisany w kontaktach.

– Tak, słucham? – wychrypiął. Jego usta każdym wydobytym z siebie dźwiękiem domagały się wody.

– Cześć. – usłyszał kobiecy głos. – Nie przeszkadzam?

Sądząc po tym głosie, jego posiadaczka musiała być zjawiskową, hollywoodzką pięknoscią. Wiedział jednak, jak bardzo takie wrażenie potrafi być mylne.

– Jeśli nawet, to nic nie szkodzi – odpowiedział. – Już dawno żadna kobieta nie była skłonna mi przeszkadzać.

– Aż tak źle? – głos zdziwił się na poły żartobliwie. – Może powinien pan pójść do psychologa?

– Już prędzej do agencji towarzyskiej – odpowiedział. – Niezbyt sobie cenię usługi psychologów.

– To widzę, że źle trafiłam. Bo ja poniekąd w tej sprawie. Potrzebuję czegoś w rodzaju konsultacji psychologicznej.

Zdziwił się. Pacjenci dzwonili zazwyczaj bezpośrednio do poradni. Nigdzie, ani na stronie internetowej, ani na żadnych ulotkach, nie było numeru jego prywatnej komórki.

– Dostałam ten numer od profesora Konarzewskiego – odpowiedziała na jego niezadane pytanie. – Nie było to łatwe, ale od dziecka mam dar przekonywania.

To już było bardzo dziwne. Profesor, który właśnie namówił go na bezterminowy urlop, podsyła mu nową pacjentkę?

– Musiało zajść jakieś nieporozumienie – powiedział. – Nie jestem w stanie pani przyjąć. Jestem na czymś w rodzaju zwolnienia chorobowego. Przeżyłem ostatnio dość ciężkie chwile i nie jest wskazane, bym prowadził teraz terapię.

– Ja właśnie w sprawie tych ciężkich chwil. Karolina. Poznaliśmy się dwa dni temu w telewizji. Nawet z tego, co pamiętam, przeszliśmy na „ty”. Ale to było przed tym... wszystkim.

W jej głosie pojawiła się nowa nuta. Żartobliwy ton, którym go dotąd czarowała, znikł. Karolina... Prawie o niej zapomniał.

Przez chwilę po obu stronach bezprzewodowego łącza zapanowała cisza. Jakby oboje powrócili do tamtych chwil i tamtych mrozących krew w żyłach obrazów. Każde pograżone we własnej trwodze.

– To zmienia postać rzeczy – powiedział wreszcie. – W czym mógłbym ci pomóc?

– Muszę z kimś o tym porozmawiać. A ty jesteś jedyną osobą, która się do tego nadaje. Jesteś psychologiem, no i byłeś tam. Stałeś koło mnie, gdy on...

– Tak.

– Dzielimy wspólną traumę. To jak braterstwo krwi, nie uważasz?

Żartobliwy ton znowu wrócił. „Niepoważne mówienie o poważnych sprawach to częsta reakcja obronna w tego typu sytuacjach”, pomyślał. „Widocznie ona przyjęła właśnie taką taktykę”.

– Kiedy chciałabyś się spotkać?

– W zasadzie to zaraz. Właśnie wysiadłam z metra koło twojego domu. Profesor Konarzewski dał mi również twój adres. Mogę być u ciebie za dziesięć minut.

## ROZDZIAŁ 14

Otworzył wszystkie okna i zaczął myć zęby, próbując jednocześnie ściągnąć z siebie wczorajsze, przepocone i śmierdzące alkoholem ubranie i założyć nowe. Dziesięć minut! Dziesięć minut, by zatrzeć ślady całonocnego picia. Zwinął swoje brudne łachy w kulkę i wepchnął ją do szafy. Uczesał sterczące na wszystkie strony, przetłuszczone włosy. Chwycił butelkę z wodą toaletową i obficie spryskał nią szyję, ubranie i kark. Potem psiknął jeszcze kilka razy w powietrze. Dziesięć minut! Jeśli nie zdąży, może spróbować przetrzymać ją jeszcze parę chwil przy domofonie.

Dzwonek do drzwi przerwał mu te rozmyślania. „Cholera! Furtka musiała być otwarta. Dlaczego nigdy jej nie domykają!”

Rzucił okiem po raz ostatni na swoje błyskawicznie posprzątane mieszkanie, wciągnął nosem zapach wody toaletowej Hermes i spojrzał w lustro. Ten ostatni test wypadł zdecydowanie najgorzej. Były dni, gdy wydawał się sobie nawet przystojny, lecz to zdecydowanie nie był jeden z nich. Uspokoił oddech, odciągnął zasuwę i otworzył drzwi.

Akurat zgasło światło na klatce, więc zobaczył tylko jej postać. Stojącą w półmroku, wysoką, szczupłą, ze spływającymi z głowy prostymi włosami.

– Proszę – powiedział i cofnął się o dwa kroki.

Weszła do środka i stanęła w przedpokoju. Rozejrzała się dokładnie tak samo jak przed chwilą on i tak samo jak on wciągnęła powietrze.

– Whisky – powiedziała. – Lubię mężczyzn, którzy ją piją.

Zamknął drzwi. Teraz dopiero mógł jej się dokładniej przyjrzeć. O mało nie westchnął, patrząc na jej figurę. Opięte dzinsy na jej nogach



wcale nie wyglądały na opięte. Gdy stała, między jej udami tworzyła się urocza szpara. Wyglądała jak gazela gotowa do skoku.

– Mogę wejść dalej? – spytała.

– Tak, oczywiście. Zazwyczaj przyjmuję w poradni, ale...

– Byłam w tej twojej poradni – przerwała mu. – Z niczego bym tam nie była w stanie się wyleczyć. Kto wam projektował to wnętrze? Pracownik działu z farbami w sklepie budowlanym? Tu jest zdecydowanie przyjemniej. Ładny masz widok.

Patrzyła na rosnące w małym ogródku za oknem trzy stare sosny. Jedna z nich aż pod prawie samą koroną obrośnięta była bluszczem. Ten widok był głównym i w zasadzie chyba jedynym powodem, dla którego kupił to mieszkanie.

– Widzę, że nie masz żony – powiedziała, rozglądając się po mieszkaniu. – Ale miałeś – dodała po chwili, patrząc na wiszące nad lodówką we wnęce kuchennej trzy małe obrazki.

– Niezła z pani psycholog, pani redaktor. Co jeszcze może mi pani o mnie powiedzieć?

– Przez całą noc piłeś. A po moim telefonie usiłowałeś zatrzeć tego ślady. Może to świadczyć o dwóch rzeczach: albo próbujesz ukryć przed światem swój problem alkoholowy, albo ci się podobam.

„Albo jedno i drugie”, pomyślał.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział.

– Umiejętność obserwacji i szybkiego wyciągania wniosków bardzo się przydaje w moim zawodzie. A teraz kolej na ciebie. Co mi powiesz o mnie?

– Nie jestem dobrym psychologiem – odpowiedział. – Nigdy nie byłem, choć kiedyś wydawało mi się inaczej. Tkwię w tym jak ksiądz, który stracił wiarę. Bo nie umiem robić nic innego.

– Bardzo ciekawe – powiedziała z ironicznym uśmiechem. – Ale wciąż mówisz o sobie. A ja pytałam o mnie. Mogę usiąść? – Wskazała na krzesło.

– Jasne. Przepraszam, że ci nie zaproponowałem.

Usiadła przy stole.

– No więc?

Usiadł na krześle naprzeciwko niej. Resztki alkoholu krążące w jego żyłach toczyły nierówny bój z początkami kaca. Być może to właśnie sprawiło, że nie spróbował być delikatniejszy.

– Żartobliwym tonem i zaczepnością próbujesz ukryć, także przed sobą, że jesteś śmiertelnie przerażona. Parę dni temu po raz pierwszy zostałam skonfrontowana z faktem, że umrzesz. Wiedziałaś o tym oczywiście wcześniej, wszyscy to wiedzą, ale wczoraj po raz pierwszy to do ciebie naprawdę dotarło. Jasno i z całą ohydłą bezwzględnością. To zburzyło twój świat i podało w wątpliwość wszystkie priorytety i wszystkie cele, ku którym zmierzałaś. Boisz się więc i będziesz się bała, dopóki nie uda ci się włączyć tej prawdy do swojego przebudowywanego właśnie światopoglądu. Teraz się trzymasz, i to, jak widzę, dość nieźle, ale twoja trauma jeszcze się odezwie. Któregoś dnia, pod wpływem jakiegoś błahego być może zdarzenia, małego niepowodzenia lub czegoś w tym rodzaju, wszystko eksploduje.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Też tak masz? – spytała.

– Nie – odpowiedział. – Tę lekcję już kiedyś odrobiłem.

Spojrzała na niego poważnie.

– Co to było?

– Nie opowiadam o takich rzeczach na pierwszym spotkaniu. To byłoby nieprofesjonalne. Problemy terapeuty nie mogą być ważniejsze

od problemów pacjenta.

– Nawet, gdy są takie same?

– Nawet wtedy. Poza tym nie lubię mówić o sobie.

– Dlaczego?

– Nie wydaję się sobie interesujący. Pięć lat studiów psychologicznych i parę lat pracy naukowej nauczyły mnie też, że większa część naszego tak zwanego życia wewnętrznego jest żałośnie banalna.

– No proszę. I znów mówisz o sobie.

Uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech... Ten uśmiech wywołał w nim zupełnie banalne uczucia.

– To co, zaczynamy? – spytała.

– W zasadzie, zgodnie z regułami sztuki, terapię traumy powinno się rozpoczynać najwcześniej miesiąc po wydarzeniu, które ją wywołało.

– Nie mam tyle czasu – odpowiedziała. – Jestem dziennikarką, mieszkam w Warszawie, za miesiąc mogę mieć już zupełnie inną traumę.

Znowu się uśmiechnęła. Była w tym uśmiechu pewność, że zaraz dostanie to, po co przyszła. Zazwyczaj pewnie tak było. Patrząc na nią, Rozłucki wcale się temu nie dziwił.

– No dobrze. – Spróbował odzyskać kontrolę nad swoimi myślami. – Skoro tak ci zależy, możemy spróbować zacząć trochę szybciej. Niestety nie mam tu kozetki – usiłował żartować. – Mogę ci co najwyżej zaproponować kanapę w pokoju obok. Ale chyba równie dobrze możemy zostać tutaj. Zgadzasz się?

– Tak. Tym bardziej, że ja również nie mam zwyczaju kłaść się na kanapie już na pierwszym spotkaniu. To by było nieprofesjonalne.

Spojrzała mu prosto w oczy, a potem roześmiała się.

– Zaczerwieniłeś się – stwierdziła z rozbawieniem.

– To przez to wczorajsze picie – mruknął zakłopotany.

– Przepraszam, nie chciałam cię zawstydzić. Zdaje się, że swoim zachowaniem ciągle potwierdzam twoją diagnozę. Tę o żartobliwym tonie i zaczepności. Masz rację, możemy zaczynać.

– Dobrze. – Sięgnął po leżący na stole duży notatnik i odnalazł w nim czystą kartkę. – Skupmy się na początek na rzeczach najprostszych. Jak się czujesz?

– Rozbita. Przygnębiona.

Pokiwał głową.

– I zaciekawiona.

– Zaciekawiona? – zdziwił się.

– Tak – odpowiedziała, ruchem głowy odrzucając włosy z czoła. – To najlepszy temat, na jaki w życiu trafiłam.

## ROZDZIAŁ 15

Spojrzał na nią zdezorientowany.

– No dobrze, czas wyłożyć karty na stół – powiedziała. – Nie przyszedłem tu do ciebie po terapię. W każdym razie nie w klasycznym rozumieniu tego słowa. Chciałabym zaproponować ci współpracę.

Dzieci na podwórku pod blokiem naprzeciwko grały w piłkę. Ich głosy wpadały przez otwarte okno.

– Współpracę? – spytał zaskoczony.

– Chcę nakręcić reportaż o tym, co się zdarzyło przedwczoraj. Mam już wstępną zgodę stacji. Będzie to rodzaj dziennikarskiego śledztwa, które ma odpowiedzieć na pytanie, co popycha człowieka do dokonania takiego czynu. Potrzebuję kogoś takiego, jak ty. Psychologa, który pomógłby mi odkryć wewnętrzną motywację bohatera. Byłeś tam, widziałeś to, rozmawiałeś z nim. Masz przewagę nad każdym, komu mogłabym to zaproponować. Poza tym – uśmiechnęła się porozumiewawczo – byłaby to doskonała terapia.

Pokiwał głową.

– Na kaca najlepsza praca – powiedział.

– Właśnie. Badając tę sprawę, będziemy to jednocześnie, jak to się mówi? Przepracowywać. Na tym przecież polega terapia, prawda? Na cofaniu się do traumatycznych wydarzeń. Zamiast w gabinecie, będziemy to robić w terenie. I dokumentować to wszystko za pomocą kamery.

Oczy jej błyszczały, policzki się zaróżowiły. Wyglądała teraz jeszcze ładniej.

– To dosyć niespotykana reakcja na tego typu przeżycie – zauważył.

– Większość ludzi wolałaby raczej o wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

– Taka już jestem. – Wzruszyła ramionami. – Jak się czegoś boję, rzucam się na to. Niektóre zwierzęta tak mają. Zawsze to lepsze niż siedzenie na brzegu łóżka i kiwanie się w przód i w tył. To co, pomożesz mi?

– Słuchaj... – powiedział.

– Musisz się zgodzić – przerwała mu. – To najciekawszy materiał, na jaki trafiłam. Pomyśl tylko, jaka to okazja! – ciągnęła z pasją. – Takie rzeczy działy się do tej pory gdzieś tam, na świecie. W Ameryce albo na Bliskim Wschodzie. Nigdy w Polsce. Nasza chata zawsze była z kraja. A tu taka bomba! Prawdziwy zamach terrorystyczny! I to do tego sfilmowany na żywo! A my poznaliśmy zamachowca. Widzieliśmy, jak zginął. Możemy teraz zrobić o tym dokument, jakiego dotąd nie było. Porozmawiać z jego rodziną, znajomymi, kolegami z pracy. Prześwietlić jego przeszłość, cofnąć się nawet do dzieciństwa. Pokazać krok po kroku, jak dojrzewał w nim ten chory zamiar. Nie fascynuje cię to?

Próbował coś powiedzieć, lecz znowu nie dała mu dojść do słowa.

– Dla ciebie, jako dla psychologa, to przecież też musi być ciekawe. Nie chciałbyś zrobić takiej pośmiertnej psychoanalizy? Nie mów mi, że ktoś w Polsce prowadził już badania na temat zamachowców-samobójców. Nie chciałbyś być pierwszy? Chyba nie prowadzisz teraz żadnych ciekawszych projektów?

Przypomniał sobie swoje rozmowy ze sfrustrowanymi pracownikami korporacji.

– Raczej nie – przyznał.

– Ja też wolałabym nie wracać do reportaży o ludziach przebranych za wielkie pluszaki. To co, zgadzasz się?

Spojrzał na nią i pomyślał, że nigdy w życiu piękniejsza kobieta nie złożyła mu ciekawszej propozycji.

– Nie – odpowiedział.

## ROZDZIAŁ 16

– Przepraszam, że musieliśmy znowu pana fatygować. – Komisarz Abramowski patrzył na niego świdrującym, lecz niewyrażającym żadnych uczuć spojrzeniem policjanta. – Sprawa jest w zasadzie zamknięta, ale, sam pan rozumie, porządek w papierach musi być.

– Oczywiście. Jako dobry obywatel przyszedłem tu z prawdziwą przyjemnością.

Komisarz uśmiechnął się pod nosem.

– Jeśli pan chce, mogę panu częściej fundować takie przyjemności.

– Nie, dziękuję. Z doświadczenia wiem, że nawet rzeczy bardzo miłe dość szybko się nudzą. Gdzie mam podpisać?

– Tu, na dole.

Rozłutki przeleciał wzrokiem raz jeszcze swoje dopiero co złożone zeznanie. Z zawodowego przyzwyczajenia spróbował określić uczucia, jakie wzbudzają w nim słowa na tej kartce. Póki co nie było tych uczuć zbyt wiele. Wiedział jednak, że jest na to trochę za wcześnie. Niepokój, poczucie zagrożenia, sny powtarzające w nieskończoność scenariusz przeżytych wydarzeń – to wszystko jest jeszcze przed nim. Wystarczy poczekać.

– Czyli, jak rozumiem, śledztwo jest zakończone?

– W zasadzie tak. Sprawa jest dziecinnie prosta. Podejrzany nie żyje, mamy na to kilka milionów świadków. Podobnie jak na to, że to on był mordercą. Sądząc po oświadczeniu, które odczytał, był wariatem. Nic nie wskazuje, by miał współników. Pozostaje oczywiście parę niewyjaśnionych spraw, na przykład to, jak dostał się do telewizji, nie mając przepustki, i jak wniósł tam broń, skoro przy wszystkich



wejściach są bramki do wykrywania metalu, ale tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Telewizja już wdrożyła odpowiednie procedury, które mają zapobiec podobnym przypadkom w przyszłości. Tak nam przynajmniej powiedzieli.

– Czyli co, zginęło dwoje ludzi, i nic?

– Czasami po prostu nie ma kogo wsadzić, przykro mi.

– Coś mi tu jednak nie daje spokoju. Ten zamachowiec...

– Dariusz Jakubiec.

– ...Dariusz Jakubiec – nie zachowywał się jak wariat. Ja w każdym razie nie zauważyłem u niego żadnych oznak świadczących o depresji, psychozie czy jakichkolwiek zaburzeniach osobowości.

– „To był taki normalny, zwyczajny człowiek...” Wie pan, jak często słyszymy takie rzeczy od sąsiadów czy krewnych?

– Tak, ale ten opis dotyczy zazwyczaj tego, co dzieje się przed kryzysem. Człowiek, nawet silnie zaburzony albo będący w głębokiej depresji, potrafi często ukrywać swój stan przed otoczeniem. Obserwatorom z zewnątrz wydaje się, że funkcjonuje w miarę normalnie. Jednak gdy następuje przesilenie, przestaje już panować nad swoim zachowaniem. Tu mieliśmy ewidentnie do czynienia z człowiekiem, który był, lub powinien być, w trakcie kryzysu. Tymczasem żadnych objawów tego stanu nie było.

– Panie doktorze. – W głosie komisarza dało się wyczuć zniecierpliwienie. – Rozumiem, że czuje się pan winny temu, co się stało. Szczerze mówiąc, jako negocjator nie sprawdził się pan najlepiej. Pana początkowa ocena sytuacji także dość dalece minęła się z prawdą. Może więc pan myśleć, że tych dwóch mężczyzn zginęło poniekąd przez pana – komisarz zrobił przerwę, żeby Rozłucki mógł w pełni odczuć cios, który właśnie otrzymał – ale sądzę, że niepotrzebnie się pan wini.

Nasz zamachowiec był wariatem. Świadczą o tym jego czyny. Czy jest pan w stanie podać mi jakiś w miarę racjonalny powód, dla którego zrobił to, co zrobił?

– Nie.

– Czy jest pan w stanie wymyślić wiarygodny motyw, którym się kierował?

– Nie.

– Takie rzeczy robi się zazwyczaj po coś. Zamachowcy biorą zakładników, bo chcą coś uzyskać. Chcą pieniędzy albo uwolnienia swoich towarzyszy. Albo żeby policja pozwoliła im odjechać w spokoju. A ten, co chciał uzyskać?

– Chciał odczytać oświadczenie.

– Które było kompletnie bez sensu. Przepraszał w nim za morderstwo, które popełnił, bo chciał odczytać oświadczenie. A potem strzelił sobie w łeb. Uważa pan, że to się trzyma kupy?

– Nie. Wydaje mi się jednak...

– Wydawało się panu również, że zamachowiec nie pociągnie za spust. A potem pociągnął. I to dwa razy. Przypominam, że ciągle czekam na pana podpis.

Rozłucki po raz ostatni rzucił okiem na leżące przed nim na biurku zeznanie.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Mówił pan, że Jakubiec wszedł do budynku telewizji, choć nie miał przepustki. Przy bramkach jest na pewno monitoring. Sprawdzaliście to?

Komisarz westchnął.

– Tak. Niech pan sobie wyobrazi, że sprawdzaliśmy.

– I co?

– I nic. Nie ma go na żadnym nagraniu.

– To jak wszedł do środka?

– Z tyłu budynku, od strony parkingu, są drzwi, które otwierają się automatycznie, na fotokomórkę. Nie ma tam bramek ani ochrony, bo korzystają z nich głównie pracownicy. Nie ma też monitoringu. Teoretycznie może przez nie wejść każdy.

– Czyli dostał się tamtędy?

– Prawdopodobnie. Tyle tylko, że jest pewien problem.

– Jaki?

– Bramki i ochrona są wcześniej, przy wjeździe na parking. Jakoś musiał je ominąć.

– Jak?

– Nie wiem. Możemy tylko zgadywać. Może ukrył się w którymś z samochodów, które tamtędy wjeżdżają. Rano jest ich całkiem sporo. Pracownicy telewizji przyjeżdżają do pracy, dostawcy dowożą towar do kilku działających na terenie kompleksu barów i sklepów. Ochrona przy bramkach sprawdza tylko przepustki, nie zagląda do środka.

– No dobrze, ale w jaki sposób dostał się do takiego samochodu? Nie wskoczył do niego chyba w biegu, gdy ten podjeżdżał pod bramę?

– Raczej nie. Na takiego kaskadera to on mi nie wyglądał. Musiał wsiąść do niego wcześniej. To by zaś znaczyło, że jakoś się dowiedział, które samochody tam rano wjeżdżają. I wślizgnął się do jednego z nich, na przykład gdy ten stał jeszcze zaparkowany pod jakąś hurtownią czy sklepem.

– Albo że miał wspólnika. Właśnie mi przyszło do głowy, że dość dobrze znał się na niektórych technicznych sprawach dotyczących telewizji. Wiedział na przykład, że kamera sama łapie ostrość.

– Mógł to znaleźć w internecie. To nie jest wiedza tajemna. Nasi technicy sprawdzają jego komputer pod tym kątem.

– Albo mógł mu to ktoś powiedzieć. A potem pomóc dostać się do środka.

– Bierzemy to pod uwagę. Mógł kogoś przekupić, sprzedając mu bajeczkę, że chce powiedzmy zdobyć autograf jednej z telewizyjnych gwiazd.

– Przesłuchaliście pracowników i dostawców?

– A jak pan myśli? Oczywiście, że przesłuchaliśmy. Nikt nic nie wie, nikt nic nie zauważył. Tak przynajmniej twierdzą. Możliwe jednak, że ten, kto go wpuścił, nie chce się przyznać, bo boi się konsekwencji. I bardzo słusznie zresztą. Jeśli jednak ich znajomość była incydentalna, jeśli nie znali się wcześniej, to bardzo trudno będzie nam do tej osoby dotrzeć.

– A co jeśli wspólnik był wtajemniczony w plan? Jeśli wiedział, co tamten zamierza, i świadomie mu pomógł?

– Dla nas to lepiej. To by znaczyło, że muszą istnieć między nimi jakieś wcześniejsze powiązania, że musieli znać się wcześniej. A wtedy prędzej czy później go dorwiemy.

## ROZDZIAŁ 17

– Cześć, tu Karolina.

– Cześć.

– Jesteś w domu?

– Aha. A ty co, stoisz pod moją furtką?

Zaśmiała się.

– Nie, a chciałbyś?

„Pewnie, że bym chciał”, pomyślał.

– Nie za bardzo. Mam dość zazdrosną sąsiadkę. Odkąd wyprowadziła się moja żona, próbuje mnie zeswatać ze swoją córką. Bardzo chciałyby mieć zięcia lekarza. Wolałyby chirurga, ale psycholog też może być.

– Słuchaj, musimy się znowu spotkać.

Poczuł nagły, przyjemny skok ciśnienia krwi.

– Wygląda na to, że zaczynasz mi się narzucać – powiedział. – Uważaj, bo mi się to spodoba.

Flirt. Kiedy ostatni raz prowadził taką rozmowę?

– Mam nowe informacje. Poszperałam trochę tu i tam.

Ciśnienie spadło. Poczuł nagłe zniechęcenie.

– Mówiłem ci już, że nie jestem zainteresowany.

– Dlaczego?

– To też mówiłem. Byłoby to dla mnie zbyt trudne z przyczyn emocjonalnych.

– Ale nie wyjaśniłeś dlaczego. A moja dziennikarska natura nie przyjmuje niczego na wiarę. Musi poznać dokładne przyczyny i motywacje.

Odetchnął głęboko.

– No dobrze, zacznijmy od tego, że zmagam się z poczuciem winy. Byłem tam, mogłem im pomóc. Ale nie potrafiłem. Po raz kolejny okazało się, że dupa ze mnie, nie psycholog. Czuję się odpowiedzialny za to, co się stało. I próbuję sobie z tym poradzić, pijąc alkohol, co jest jeszcze jednym dowodem na to, że marny ze mnie psycholog i jeszcze gorszy terapeuta, bo przecież doskonale wiem, że robiąc to, pogarszam tylko sprawę. Mimo wszystko wolałbym, by nikt mi w tym nie przeszkadzał.

– Aha. Bardzo piękna historia. I bardzo wzruszająca. Ale nawet ja wiem, że zaangażowanie w projekt, który ci proponuję, mogłoby ci tylko pomóc. Więc nie chodzi o to. To o co?

A więc jednak będzie musiał to powiedzieć. Poczul, jakby jakiś wieloreki potwór zaciskał powoli dłonie na wszystkich jego wewnętrznych narządach.

– Ta sprawa... przypomina mi o czymś... co mi się kiedyś przydarzyło.

– Też brałeś zakładników?

Ten sam uroczo kpiący ton. Tym tonem mogłaby powiedzieć kalece, że chodzi jak oferma, a on i tak byłby zadowolony.

– Nie – odpowiedział. – To nie do końca to.

– Słuchaj, zrobimy tak. Przyjadę do ciebie i opowiem, czego się dowiedziałam. A ty mi potem znowu powtórzysz, że nie jesteś zainteresowany. Zgoda?

Popatrzył na rosnące za oknem sosny. Trudno mu było nie przyznać, że po prostu chce, żeby przyjechała.

– Zgoda.

– Nie obawiaj się. Dziś dam ci trochę więcej czasu. Będę za jakąś

godzinę. Tym razem zdążysz umyć włosy.

Odłożył telefon. Zachciało mu się pić. Najchętniej napiłby się whisky, jednak z racji zbliżającej się wizyty Karoliny zdecydował się poprzestać na herbacie. Poszedł do kuchni i włączył elektryczny czajnik. Sięgnął do szafki nad głową. Czerwono-złote tekturowe pudełko z napisem „yunnan” było puste. Nie miał również kawy i cukru, a na pokrojonym chlebie nawet przez folię widać było zieloną pleśń. Otworzył szafkę pod zlewem i wyjął z kosza przedwczorajszą torebkę ekspresowej herbaty. Opłukał ją pod bieżącą wodą i włożył do wyjętego ze zlewu kubka. Gdy woda się zagotowała, zalał ją wrzątkiem. Popatrzył na zmieniający powoli barwę płyn. Woda w szklance raczej mętniała, niż nabierała koloru.

„Najwyższy czas pójść na zakupy”, pomyślał.

– Popytałam trochę, podzwoniłam, przeszukałam internet i wyszły mi bardzo ciekawe rzeczy. – Siedziała przed nim na tym samym krześle, co poprzednio, i była tak samo ładna.

– Co mianowicie? – spytał.

– A mianowicie nic. Nie znalazłam kompletnie niczego.

– Jak to?

– A tak to. Nasz zamachowiec, Dariusz Jakubiec, lat trzydzieści dziewięć, był zupełnie, ale to kompletnie zwyczajnym człowiekiem.

„Gdzieś to już ostatnio słyszałem”, pomyślał.

– Bardzo często sąsiedzi mówią dokładnie to samo o ludziach, którzy okazują się być mordercami lub pedofilami – powtórzył argument komisarza Abramowskiego.

– Tak, ale tu nie chodzi tylko o opinie znajomych. Prześwietliłam całe jego życie – oczywiście na tyle, na ile można to zrobić na odległość i przez internet – i nie znalazłam niczego, ale to absolutnie niczego, co

mogłoby spowodować taki atak. Szczęśliwy mąż, ojciec dwójki udanych dzieci. Córka w tym roku zdała maturę i dostała się na studia. Syn dwa lata młodszy. Oboje dobrze się uczą i nie sprawiają kłopotów wychowawczych. Właściciel dobrze prosperującej firmy, żadnych długów ani zaległości podatkowych. Żadnych plotek o romansach czy zdradach – niedawno był z żoną na nartach we Włoszech. Pojechali tam z okazji rocznicy ślubu. Dlaczego ktoś taki przyjeżdża do Warszawy, wchodzi do telewizji i bierze zakładników? A potem strzela sobie w głowę na oczach milionów telewidzów?

– Nie był z Warszawy?

– Nie. Z małej miejscowości w okolicach Olsztyna.

– Może to jest odpowiedź. Warmia to depresyjna kraina. Wiesz, pełno lasów, jezior, mokradeł... – Już kiedy kończył, wiedział, że ten żart mu nie za bardzo wyszedł.

– Bardzo zabawne. – Popatrzyła na niego z politowaniem. – Tak się składa, że też pochodzę z Olsztyna. To zresztą dzięki temu tyle się dowiedziałam. Mam tam jeszcze kilku znajomych z liceum. Większość z nich się we mnie kochała – dodała niewinnym głosem.

– Nie wątpię.

– Uważaj, bo znów się zaczerwienisz.

– Bez obaw. Całą krew mam teraz gdzie indziej.

Zaśmiała się zadowolona.

– No, brawo! Zaczynasz oddawać ciosy! Będą z ciebie jeszcze ludzie. No dobrze, ale wróćmy do tematu. Co pan, panie psychoterapeuto, sądzi o naszym pacjencie? Co mogło go skłonić do tak desperackiego czynu?

Zastanowił się.

– Nie wiem – powiedział. – Trudno stawiać diagnozę komuś, kto nie



żyje. Jej podstawą zazwyczaj bywa rozmowa.

– Tej jednak nie jesteśmy w stanie przeprowadzić. Co mógłbyś powiedzieć na podstawie tych danych, które masz?

– Taka diagnoza byłaby niezbyt wiarygodna.

– Spróbuj. Nikt oprócz mnie jej nie usłyszy.

– Ktoś ostatnio prosił mnie już o coś takiego, efekty były takie sobie i dość daleko odbiegały od tego, co okazało się być prawdą.

– Przestań się już krygować i mów.

– No dobrze – westchnął. – Niech ci będzie. Więc po pierwsze: są ludzie, którzy naprawdę dobrze potrafią ukrywać swoją depresję. To zazwyczaj ci energiczni i przedsiębiorczy. Wysokoaktywni. Żyją dalej jak gdyby nigdy nic, wydają się być pełni energii, bo po prostu taki jest ich modus zachowania. Nie potrafią inaczej. – Spojrzał na Karolinę. Zdaje się, że ona właśnie prezentowała sobą ten typ. – Tacy ludzie mogą do ostatnich chwil planować przyszłość – ciągnął dalej – rozpoczynać nowe projekty i nagle, bach! Popełniają samobójstwo. Wszyscy są w szoku, pytają: „Jak to? Jak ktoś taki mógł targnąć się na swoje życie? To niemożliwe. To musiał być wypadek albo zabójstwo”. Tymczasem nie. Po prostu pokrywa od tego szybkowara była tak szczelnie zamknięta, że żadna para nie wydostawała się na zewnątrz. Aż do momentu eksplozji.

– Uważasz, że to właśnie taki przypadek?

– Nie wiem. Nie. Chyba nie. To, co on zrobił, wymagało jednak pewnych przygotowań. Musiał, no nie wiem, wsiąść do samochodu, przyjechać do Warszawy, wymyślić sposób, w jaki dostanie się do budynku telewizji. Nie wygląda mi to na spontaniczne działanie będące wynikiem nagłego kryzysu, przelania się czary.

– To jaka jest inna możliwość?

– Choroba. Jeśli leczył się psychiatrycznie, to nie miałś prawa się o tym dowiedzieć. Psychiatrów także, a może przede wszystkim, obowiązuje tajemnica lekarska.

– I nikt ze znajomych by o tym nie wiedział?

– A dlaczego nie? Skoro ludzie potrafią całymi latami ukrywać, że mają w innym mieście drugą rodzinę, to równie dobrze mogą ukryć, że raz w tygodniu chodzą na terapię. Albo że biorą leki. Jest też inna ewentualność. Być może epizod psychotyczny miał dawno temu, w młodości, albo jeszcze nawet w dzieciństwie. Przez lata nic się nie działo, a uaktywniło się to dopiero teraz.

– Gdybyśmy pojechali na miejsce, moglibyśmy spróbować to sprawdzić.

– To jedź.

– Potrzebuję eksperta.

– Poradzisz sobie.

– Kogoś, kto odróżnia psychozę maniakalno-depresyjną od choroby afektywnej dwubiegunowej.

– To to samo.

– No widzisz! A ja tego nie wiedziałam!

– Wiedziałaś.

– Może i wiedziałam, ale wielu innych rzeczy nie wiem.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić.

– Słuchaj, ubrałam się dzisiaj naprawdę wystrzałowco. Makijaż robiłam dłużej niż zwykle. Posuwam się nawet do prób podrywania ciebie. Mógłbyś to docenić i się zgodzić.

– Chciałbym. Uwierz mi, że chciałbym. Ale nie potrafię.

– Mógłbyś mi wyjaśnić dlaczego?

– Samobójstwo to nie jest temat, którym chciałbym się zajmować.

– Dlaczego?

Zapatrzył się na ścianę przy oknie. Od parapetu w kierunku podłogi spływały długie zacieki, powstałe gdy kilka razy trochę za mocno podlał kwiaty. Które i tak potem zresztą zwiędły. Wiedział, że w którymś momencie musi się odezwać, lecz nie umiał zacząć.

– Jestem nim obciążony dziedzicznie – powiedział w końcu. – Samobójstwo popełnił mój ojciec, a dwa lata temu moja siostra. Czasami czuję, że jestem następny w kolejce.

## ROZDZIAŁ 18

– I jak tam ta młoda dama, która się do ciebie wybierała? Spotkaliście się? – Profesor Konarzewski starał się nadać swojemu głosowi możliwie neutralne brzmienie.

– Nie sądzi pan, panie profesorze – zaczął Rozłucki, patrząc z góry na siedzącego za biurkiem dystyngowanego starszego pana – że to trochę niezbyt profesjonalne dawać pacjentce prywatny numer telefonu i adres terapeuty?

Wpadł do poradni na chwilę, by podpisać jakieś podobno okropnie ważne papiery.

Profesor zmieszał się.

– Po prostu uważałem, że miałbyś ochotę się z nią spotkać – powiedział tonem, w którym uraza walczyła o lepsze z poczuciem winy. – W końcu wiele razem przeszliście. Nie miałem racji?

– Miał pan rację, ale to nie zmienia faktu, że postąpił pan wbrew tym wszystkim zasadom, których sam mnie pan uczył. Nie uważa pan, że wypadałoby najpierw zadzwonić i zapytać mnie o zgodę?

– Sam wiesz, w jakim byłeś wtedy stanie.

– To znaczy, że można było podejmować decyzje za mnie? Jeszcze rozumiem numer telefonu, ale adres???

Profesor zmieszał się jeszcze bardziej.

– Może rzeczywiście ta młoda osoba trochę mnie omotała. Jest niezwykle urocza, nie uważasz? – Rzucił mu krótkie spojrzenie z nad biurka. – A jestem już w tym wieku, że dość łatwo mnie podejść metodą „na wnuczkę”. A tak w ogóle, to nie stój tak nade mną! Szyja mnie boli od patrzenia się w górę.

Rozłucki opadł na stojące przed biurkiem krzesło.

– A czy nie dałoby się raczej w pana zachowaniu dostrzec pewnej próby, być może podświadomej, zmuszenia mnie podstępem do rozpoczęcia terapii? Młoda, piękna kobieta, która z racji wspólnych przeżyć nie jest mi całkiem obojętna emocjonalnie, przychodzi prosić mnie o pomoc w sprawie, która jest bliźniaczo podobna do mojego własnego problemu. I to pan mi ją podsyła. Sprytnie wymyślane, tylko pachnie mi to manipulacją.

Profesor Konarzewski obruszył się. Czyżby odrobinę teatralnie?

– No tu już trochę przesadziłeś!

– Sam mnie pan tego uczył. Ukryte motywacje. Częstoć niewidoczne dla samego zainteresowanego.

– Po prostu uważałem, że dobrze by ci zrobiło spotkanie z tą niezwykle interesującą i piękną kobietą. Samotność moim zdaniem ci nie służy. Taka była moja ukryta motywacja, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć.

– Chciał mnie pan zeswatać? – zdziwił się Rozłucki. – To chyba również nie jest zbyt profesjonalne?

– Do diabła ciężkiego! Nie jestem twoim terapeutą, tylko przyjacielem! A przyjaciele mają prawo do takich zachowań. To uświęcona, wielowiekowa tradycja!

Zamilkli. Siedzieli tak przez chwilę, każdy patrząc w inny róg pokoju. Profesor Konarzewski odezwał się pierwszy.

– A tak na marginesie: ruszyliście tę... sprawę?

Rozłucki wbił wzrok w podłogę.

– Nie – odparł.

– Dlaczego?

Spojrzał na siedzącego za biurkiem profesora, na którego twarzy już

bardzo wyraźnie widać było troskę.

– Bo musiałbym się wówczas zmierzyć z demonem, z którym mierzyć się nie mam póki co ochoty.

– Panie Zygmuncie, czy to poważne? – Powrót do formy „pan” świadczył, że profesor Konarzewski ma zamiar skorzystać ze swojego autorytetu. – Terapeuta, który boi się terapii? Uważa pan, że to uczciwe w stosunku do pana pacjentów? Każe im pan rozdrapywać swoje stare rany, ale sam brzydzi się dotykać własnych?

– Co innego wyrywać zęby, a co innego pozwalać, by ktoś wyrywał twoje. Poza tym jestem teraz, jak sam pan wie, na urlopie, więc nie muszę się babrać ani we własnym, ani w cudzym wnętrzu.

– To nie jest droga, która pana zbyt daleko zaprowadzi.

– Na razie mam właśnie ochotę postać trochę w miejscu.

Ponownie zapadło między nimi milczenie. Profesor Konarzewski kręcił młynka palcami na brzuchu, a Rozłucki zaczął żałować, że był trochę zbyt obcesowy.

– Hm – mruknął profesor. – Nie powinienem chyba tak cię pochopnie oceniać. Nigdy nie byłem w podobnej sytuacji. Łatwo doradzać, gdy samemu się nigdy czegoś takiego nie przeżyło. Ale całe moje zawodowe doświadczenie i cała wiedza psychologiczna, którą przecież także i ty posiadasz, mówi mi jednoznacznie, że musisz z tym coś wreszcie zrobić. Może ta ostatnia historia z telewizji jest dla ciebie paradoksalnie szansą? Mógłbyś pracować nad problemem, który ciebie samego trapi, na materiale, który cię bezpośrednio nie dotyczy. Przemyśl to jeszcze raz. Podobna okazja może się nie powtórzyć. Wydarzenia sprzed paru dni otworzyły u ciebie dawną, niewyleczoną do końca ranę. Zamiast pozwolić, by znowu zarosła i nabrzmiała jak poprzednio ropą, trzeba ją teraz oczyścić.

Rozłucki pokiwał głową. Bez przekonania.

– Obiecaj mi, że się nad tym jeszcze raz zastanowisz.

– Jasne. To akurat mogę obiecać.

Sen. Dawno nie śniło mu się nic, co by pamiętał po przebudzeniu. A już na pewno nie tak szczegółowo. Otworzył oczy i spróbował przypomnieć sobie wszystko po kolei. Teraz, na świeżo, póki jeszcze obrazy były wyraźne. Wiedział, że sny zapomina się bardzo szybko. Ich materia jest ulotna, bo nieprzywiązana do obiektów i wydarzeń z prawdziwego świata. Mózg łatwo się jej pozbywa, gdyż jej korzenie w rzeczywistości są płytkie.

On jednak był już zbyt długo psychologiem, by nie wyrobić sobie automatycznego odruchu zapamiętywania i analizowania własnych snów. Z tym że ostatnio nie było co zapamiętywać ani co analizować. Nic, zero. Czarne źródło marzeń sennych w jego głowie wyschło. Wydawało się, że już na zawsze.

Aż do dzisiaj. Dzisiaj znowu śnił mu się sen. Sen rozbudowany, symboliczny, z długą i skomplikowaną fabułą. Sen będący marzeniem każdego terapeuty, taki, który można by analizować i interpretować w nieskończoność.

Był więc w domu, swoim rodzinnym domu, który jednak wyglądał zupełnie inaczej niż ten prawdziwy. Był drewniany, dwupiętrowy, a wokół niego rozciągał się sad. Wszedł na strych razem ze swoim nieżyjącym ojcem. Był dzieckiem, chłopcem, lecz on był stary. Starszy niż wtedy, gdy znalazł go wiszącego w garażu na haku do wyciągania silnika z samochodu.

Jedno z okien na strychu sięgało aż do samej podłogi i było otwarte. Zabezpieczała je drewniana, rzeźbiona barierka zapobiegająca

wypadnięciu. Jego ojciec ostrzegł go, by nie podchodził do niej ani się na nią nie wspinał, bo może spaść i się zabić. Wyrzwał ostrożnie przez to okno. Na dole, wśród drzew, wśród bujnej, gęstej trawy upstrzonej żółtymi kwiatami mlecza stali umarli i zadzierając w górę głowy, patrzyli na niego. Jego matka, siostra i ojciec, tym razem młodszy niż w dniu samobójstwa. Nagle spostrzegł, że po krawędzi spadzistego dachu od zewnętrznej strony ktoś idzie. Chwytając się rękami dachówek i drutów odgromnika, wspierając stopy na poziomej, biegnącej wzdłuż dachu rynnie, szedł ku niemu Dariusz Jakubiec, zamachowiec z telewizji. Trzymał w dłoni szmatkę i wycierał bardzo dokładnie zewnętrzne parapety i framugi okien.

Cofnął się przerażony. Jego ojca już przy nim nie było. Poczuł, że od strony okna wieje silny wiatr. Odwrócił się i spostrzegł, że pod ścianą, naprzeciwko okna, stoi stara kanapa pokryta wypłowiałą narzutą i zakurzonymi poduszkami. Na kanapie siedziały pluszowe zabawki – misie, króliczki i zajaczki. Ich plastikowe oczy pełne były strachu, a futerko na pyszczkach rozwiewał wiejący od okna wiatr.

\*

Sięgnął po telefon, żeby sprawdzić godzinę. Ósma czternaście. Na wyświetlaczu był też symbol nieodebranego połączenia. Sprawdził, kto dzwonił. Karolina. Dokładnie dwie minuty temu.

A więc to ona go obudziła. W tym samym momencie, gdy to pomyślał, telefon zadzwonił ponownie. Odebrał.

– Cześć, tu Karolina. Dzwonię, bo wsiadam właśnie do busa. Mam ekipę, sprzęt i delegację na trzy dni. Za chwilę wyruszamy spod telewizji. To ostatnia szansa, żebyś z nami pojechał. Za pół godziny



moglibyśmy być u ciebie. To co, jedziesz z nami?

Przypomniał sobie przerażone spojrzenia pluszowych zabawek i twarz Dariusza Jakubca stojącego po zewnętrznej stronie okna i mówiącego do niego coś, czego nie słyszał i nie potrafił zrozumieć. Co to było? Jaką to ważną informację miał mu do przekazania człowiek, który na jego oczach strzelił sobie w głowę? Wiedział zresztą, że tak naprawdę nie chodziło przecież wcale o niego, o Dariusza Jakubca. Że to tylko jakiś wewnętrzny konflikt w nim samym, Zygmuncie Rozłuckim, jakiś nierozwiązany problem, który przybrał postać zamachowca z telewizji i próbował przemówić do niego z głębi jego własnej podświadomości. Tym ciekawsze było to, co mu do powiedzenia.

– Halo! – usłyszał głos Karoliny. – Jesteś tam?

– Jestem – odpowiedział.

– To co, jedziesz ze mną?

– Tak – odparł. – Jadę.

## ROZDZIAŁ 19

– Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzamy w tak trudnych dla pani chwilach, ale chcielibyśmy porozmawiać o pani mężu. Przygotowujemy reportaż o tym, co się stało, próbujemy zrozumieć jego motyw i postępowanie, pomyśleliśmy więc, że mogłaby nam pani w tym pomóc.

Karolina stała na stopniach schodów prowadzących do drzwi dużej, podmiejskiej willi. Ubrana była w ciemny dwuczęściowy kostium i białą, skromną koszulę. Włosy miała spięte w kok. Mówiła głosem spokojnym, rzeczowym i pełnym współczucia. „W tym stroju i z tym głosem”, pomyślał, „mogłaby pracować w zakładzie pogrzebowym”.

Kobieta, która otworzyła drzwi – czterdziestokilkuletnia, szczupła blondynka – ubrana była na czarno. Jej twarz sprawiała wrażenie zmrożonej, zastygłej w wyrazie głębokiej rozpacz. Jej zasnutę mgłą oczy patrzyły na nich z daleka, z bardzo daleka. Nie dzwonili do niej wcześniej, nie zapowiadali, że przyjadą. Karolina twierdziła, że tak jest lepiej. Znacznie łatwiej jest odmówić komuś, z kim rozmawia się przez telefon.

– Kim państwo są? – spytała kobieta zachrypniętym głosem.

– Jesteśmy z telewizji – powtórzyła cierpliwie Karolina. – Kręcimy reportaż o pani mężu. Nazywam się Karolina Janczewska, a to jest Zygmunt Rozłucki, psycholog i terapeuta. Chcielibyśmy dać pani okazję do powiedzenia paru słów o pani mężu, być może do jego obrony.

Kobieta patrzyła na nich przez chwilę pustym wzrokiem.

– Nie – powiedziała w końcu. – Proszę stąd odejść.

– Proszę pani, ten film powstanie, czy pani nam coś powie, czy nie.

Wielu ludzi będzie się w nim wypowiadało o pani mężu, większość, jak się pani zapewne domyśla, niezbyt pozytywnie. Być może jest pani jedyną osobą, która mogłaby przedstawić go w innym świetle, pokazać, że nie był takim potworem, za jakiego wszyscy go teraz uważają.

Zapadła cisza. Widać było, że kobieta myśli powoli i z trudem. „Pewnie jest na xanaxie lub innym tego typu gównie”, pomyślał Rozłucki.

– Mój mąż był dobrym człowiekiem – powiedziała wreszcie.

– Może to pani powiedzieć do kamery? – Karolina była nieustępliwa.

Znowu przerwa. Zawieszenie transmisji danych. Przypominało to oglądanie filmów w internecie na komputerze, który nie ma szybkiego łącza.

– Kiedy to pójdzie? – spytała po chwili.

– Jak najszybciej. Myślę, że za trzy, cztery dni. Gdy tylko wrócimy do Warszawy, zmontuję materiał i film będzie gotowy do emisji.

– Trzy, cztery dni... – powtórzyła, jakby się nad czymś zastanawiała. – Nie dałoby się szybciej?

– Nie, raczej nie – odpowiedziała Karolina. W jej głosie dało się wyczuć lekkie zdziwienie. – Musimy jeszcze porozmawiać z paroma ludźmi, potem to zmontować... Trudno tu coś przyspieszyć.

– Moglibyśmy to podrzucić *Wiadomościom* – odezwał się nagle stojący z tyłu kamerzysta. – Tylko pani wypowiedź. Rozmowa z żoną zamachowca – na pewno to kupią. W Olsztynie jest Ośrodek Regionalny, podjedziemy tam, opracujemy i puścimy do Warszawy. Mogłoby to pójść nawet dzisiaj, w wieczornym wydaniu.

– Dzisiaj? – spytała kobieta. Jej oczy popatrzyły na nich przytomniej.

– To co, zgadza się pani?

– Tak – odpowiedziała.

– A pozwoliłaby nam pani wejść do środka? – spytał kamerzysta. – Łatwiej by nam było rozstawić sprzęt.

– Proszę. – Kobieta cofnęła się w głąb domu.

Weszli do środka. Karolina stanowczym gestem kazała im zdjąć buty. Już podczas podróży busem do Olsztyna Rozłucki zrozumiał, że potrafi trzymać swoją ekipę twardą ręką.

Kobieta zaprosiła ich do salonu, który wielkością przypominał małą salę gimnastyczną. Wysoki na dwie kondygnacje, przechodził następnie w niższą o połowę, otwartą kuchnię. Na jego głównej ścianie pyszniło się ogromne, sięgające od podłogi aż do sufitu, zakończone łukowato okno, przez które widać było ogród i las w oddali.

Kobieta usiadła na jednej z wielkich, pokrytych brązową skórą kanap stojących pod ścianami, nieobecny wzrokiem wpatrując się w wygasły, wyłożony jasnym trawertynem kominek, równie wielki, jak wszystko w tym pomieszczeniu.

– Przepraszam – wysoki, chudy kamerzysta z siwymi włosami upiętymi w kitkę odezwał się, nie odrywając oka od wizjera kamery. – Mogłaby pani przesiąść się tam? – Wskazał placem kanapę po drugiej stronie salonu. – Światło z okna psuje mi obrazek.

Kobieta wstała i bez słowa przesiadła się we wskazane miejsce. Tym razem jej nieruchomy wzrok utkwiał w ścianie, gdzieś między dużym oknem a wyjściem na taras.

– U mnie w porządku – powiedział kamerzysta. – A u ciebie?

Krępy dźwiękowiec z mikrofonem na długiej tyczce i słuchawkami na uszach umieścił swój sprzęt ponad głową kobiety.

– Mogłaby pani coś powiedzieć? – zwrócił się do niej.

– Kto, ja? – Umysł kobiety z powrotem zalogował się w

rzeczywistości.

– Tak, pani. Proszę powiedzieć kilka słów.

– Jakich?

– Nie wiem, niech pani powie, jak się nazywa.

– Małgorzata Jakubiec. Nazywam się Małgorzata Jakubiec.

– W porządku. Możemy zaczynać.

Karolina stanęła obok kamery.

– Proszę powiedzieć, co pani poczuła, gdy dowiedziała się, co zrobił pani mąż?

Małgorzata Jakubiec popatrzyła prosto w oko kamery. Zniknęły gdzieś całe otępienie i powolność jej słów i ruchów.

– Mój mąż bardzo żałował tego, co się stało – zaczęła łamiącym się, lecz nadszpiewanie mocnym głosem. – Nie chciał tego i nie czuł się winny. Zdecydował się jednak wziąć za wszystko odpowiedzialność. W swoim oświadczeniu odczytanym przed śmiercią prosił wszystkich o wybaczenie. Ja też chciałabym się do tego przyłączyć. W jego i swoim imieniu, proszę, błagam o wybaczenie. – Osunęła się na kolana. – Błagam – powtórzyła.

Skończyła i zastygła w tej błagalnej pozie. Klęcząc oboma kolanami na ziemi, z głową zwieszoną i wzrokiem wbitym w podłogę. Jej oczy z powrotem zasnuły się mgłą.

– Pani Małgorzato, proszę wstać. Pani Małgorzato...

Karolina podeszła do niej i wsuwając jej rękę pod ramię, pomogła usiąść znowu na kanapie.

– Możemy kontynuować? – spytała, łagodnie kładąc jej dłoń na plecach.

Nic. Zero reakcji.

– Pani Małgorzato...

Kobieta zdawała się nie słyszeć. Nagle wstała i bez słowa wyszła z pokoju. Po chwili z odległej części domu rozległ się płacz.

Rozłucki uniósł głowę. Wydawało mu się, że coś słyszy. Jakiś dźwięk oprócz stłumionego, zwielokrotnionego echem kobiecego szlochu. Na galerii, którą kończyło się piętro, dochodząc do wielkiego salonu, w półmroku ktoś stał. Młody, kilkunastoletni, szczupły chłopiec. „Podobny do ojca”, pomyślał.

## ROZDZIAŁ 20

– I co o tym sądzisz? – spytała Karolina, gdy siedzieli już w busie.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Gadała jak potłuczona – odezwał się siedzący z tyłu kamerzysty. –

Widocznie cała rodzina taka. Jaki mąż, taka żona.

– Może pomieszało jej się w głowie od tego wszystkiego? – dorzucił dźwiękowiec.

Karolina spojrzała na Rozłuckiego.

– Myślisz, że to możliwe? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko jest możliwe. Wyobraź sobie jej sytuację. Ma udaną rodzinę, mieszka w pięknym domu, dobrze im się powodzi. Pewnie wszystkie koleżanki jej zazdroszczą. I nagle mąż robi coś takiego. I to na oczach całego kraju. Trudno zachować po czymś takim równowagę. Poza tym...

– Poza tym co?

– Była na jakichś prochach. To było widać. Może wzięła po prostu o jedną tabletkę xanaxu za dużo.

– I straciła kontakt z rzeczywistością?

– I wszystko jej się rozjechało i pomieszało. Czasy, przyczyny i skutki, kolejność wydarzeń.

– To dlatego powiedziała: „Mój mąż bardzo żałował tego, co się stało”?

– Nie wiem. Na przykład. A może przyczyna była inna. Gdy się nad tym zastanowić, to powtórzyła prawie dokładnie to, co powiedział przed śmiercią. Tak jakby relacjonowała jego słowa. Może jest jeszcze za

wcześniej, by mogła zinterpretować tę sytuację we własny sposób? Szok w połączeniu z tabletkami zablokowały u niej na razie tę możliwość. Dlatego jedyne, co mogła zrobić, to przejąć opowieść swojego męża. Być mu w jakiś sposób dzięki temu wierną. Ta wierność to jedyna nić, jaka łączy ją jeszcze z dawnym, bezpiecznym światem.

– Szkoda kobiety – odezwał się kamerzysta. – Paskudny jej numer wywinął.

– Chyba przyjechaliśmy tu trochę za wcześnie – dodał Rozłucki. – Powinniśmy dać jej czas, by to wszystko przepracowała i poukładała na nowo. Może wtedy powiedziałałaby nam coś ciekawszego?

– Nie mamy tego czasu – odpowiedziała Karolina. – Albo zrobimy ten reportaż teraz, albo nigdy. Za tydzień lub dwa nikt już nie będzie o tej sprawie pamiętał. Pojawią się nowe, świeższe tematy i o ekipie będziemy mogli zapomnieć.

– Jedno mnie tylko zastanawia... – powiedział Rozłucki.

– Co takiego?

– Jej też się spieszyło. Zależało jej, by wyemitować tę wypowiedź jak najszybciej.

– No i?

– No i nie bardzo potrafię zrozumieć dlaczego.

– Denko jej odpadło. Moim zdaniem dlatego – wtrącił się kamerzysta.

– To nie jest wyjaśnienie. Każde działanie, nawet nieracjonalne, ma swój powód. Nawet wariaci kierują się jakąś logiką, a ona przecież nie jest wariatką. Skoro było to dla niej istotne, skoro różnica trzech dni była dla niej aż tak ważna, to w jej wewnętrznym, zdemolowanym świecie musi istnieć tego przyczyna.

– Czy ta przyczyna jest ważna również dla nas?



– Nie wiem. Może tak, a może nie.

– Możemy już jechać? – wtrącił się nagle dźwiękowiec. – Zrobiłem się trochę głodny.

– Jasne – odpowiedziała Karolina. – Panie Marku, ruszamy. Ośrodek regionalny telewizji, ulica Radiowa. Musimy zmontować jej wypowiedź i wysłać ją do Warszawy. Dobry miał pan pomysł, panie Stefanie, dziękuję – zwróciła się do kamerzysty. – Gdyby nie pan, pewnie odeszlibyśmy z niczym.

– Nie ma sprawy. – Kamerzysta wyszczerzył zęby. – Przy okazji podrzucimy naszym szefom trochę mięsa, żeby wiedzieli, że nie płacą nam na darmo.

Kierowca, który nie odezwał się ani razu, odkąd Rozłucki go poznał, także i teraz nie powiedział nawet słowa. Wpisał adres w GPS i powoli, jakby z ociąganiem, przekręcił kluczyk w stacyjce. „Kolejny człowiek, którego nie bawi jego praca”, pomyślał Rozłucki. „Ciekawe, o czym myślał podczas całej naszej rozmowy, gdy tak siedział bez ruchu, patrząc przez przednią szybę? Słuchał tego, co mówimy, czy nie? Ma na ten temat jakieś zdanie? A może myślał zupełnie o czymś innym? O rodzinie, żonie, dzieciach, o wiosennej kolejce ekstraklasy. A może planował morderstwo teściowej? Nie ma żadnej możliwości, żeby się tego dowiedzieć. Można go oczywiście spytać, ale przecież nie wiadomo, czy powie prawdę. Albo czy będzie potrafił ją powiedzieć. Próbujemy dowiedzieć się, co jest w głowie drugiego człowieka, ale nawet gdy on sam chce nam w tym pomóc, nie jest to łatwe. Bo czy on, Zygmunt Rozłucki, doktor psychologii, potrafiłby wyjaśnić, jaki jest naprawdę? Jakie są jego wewnętrzne motywacje, jakie siły kierują jego postępowaniem? Pewnie nie, i to pomimo tego, że od dwudziestu prawie lat zajmuje się takimi rzeczami. A oni próbują właśnie

dowiedzieć się, co było w głowie Dariusza Jakubca, zanim jego mózg bezpowrotnie zniszczyła wystrzelona przez niego sama kula. Czy ma to jakiegokolwiek szanse powodzenia?”

## ROZDZIAŁ 21

– To jego liceum? Ponure miejsce – powiedział Rozłucki, patrząc na duży budynek z szarego, przybrudzonego wiekiem betonu o charakterystycznej dla lat siedemdziesiątych architekturze.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odpowiedziała Karolina. – Podobno w średniowieczu stała tu miejska szubienica, a to wzgórze nazywano wzgórzem katowskim. Niezłe miejsce na szkołę, nieprawdaż?

– Idealne – zgodził się.

– Ale ma to też swoje dobre strony. Z południowych okien roztacza się piękny widok na stare miasto, zamek i zakole Łyny. A od wschodu budynek przylega do linii kolejowej. Jeżdżą nią pociągi w kierunku Warszawy. Można siedzieć na lekcji fizyki i marzyć o tym, że się ucieka jednym z nich...

– Chodziłaś tu?

– Nie, ale miałam przyjaciół, którzy się tu uczyli. Spotykaliśmy się na mieście, a potem szliśmy razem na ten wysoki, ceglany wiadukt nad Łyną i piliśmy tam tanie wino.

– Na wiadukcie kolejowym? Czy to nie jest niebezpieczne?

– Może trochę – stwierdziła z uśmiechem. – Ale jakie romantyczne.

– Nikt z was nie odjechał na zderzaku lokomotywy w kierunku Warszawy?

– Nie. Tylko ja. Ale, jak widać, wróciłam.

Zamyśliła się, patrząc na zwalistą, kanciastą bryłę.

– Kiedyś ten budynek wydawał mi się większy – powiedziała. – Ale chyba zawsze tak jest. No dobrze, chodźmy. Zobaczymy, co tu nam powiedzą. Panowie, kończcie już, idziemy – rzuciła do swojej ekipy.

Operator i dźwiękowiec posłusznie zgasili papierosy i ruszyli za nimi. Weszli do środka. Tym razem byli umówieni. Podali swoje nazwiska ochroniarzowi przy wejściu i dostali od niego identyfikatory z napisem „gość”. Cały czas przyglądała im się zawieszona pod sufitem, mała, biała kamera.

– Za moich czasów nie było tego wszystkiego – powiedziała Karolina.  
– Można było wchodzić i wychodzić, kiedy się tylko chciało. Kiedyś przyszedłam tu odwiedzić znajomych i tak nam się dobrze rozmawiało, że postanowiłam pójść razem z nimi na lekcję polskiego. Nauczycielka patrzyła na mnie dziwnie, ale nic nie powiedziała. Albo nie kojarzyła do końca wszystkich uczniów, albo stwierdziła, że skoro jakaś młoda osoba koniecznie chce poznać budowę *Stepów akermańskich*, to nie można jej tego zabraniać. Do tej pory jest to jeden z moich ulubionych wierszy.

„Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,  
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,  
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,  
Omijam koralowe ostrowy burzanu...”

– Nie sądzisz, że to piękne? – spytała.

– Wolę Brzechwę – odpowiedział. – Zwłaszcza *Kaczkę dziwaczkę*.

Utożsamiam się z główną bohaterką.

Puste korytarze świadczyły o tym, że trwają właśnie lekcje. Poszli jednym z nich w kierunku, który wskazał im ochroniarz. Dyrektor czekał na nich w swoim gabinecie.

– Witam państwa bardzo serdecznie – powiedział, wstając zza swojego biurka. – Roman Tołoczko – przedstawił się. – Proszę, siadajcie.

Usiedli na dwóch krzesłach stojących przed biurkiem. Operator i

dźwiękowiec stanęli z tyłu, każdy ze swoim narzędziem pracy w ręku. Rozlucky mimowolnie przełknął ślinę. Kiedy chodził do szkoły, był dwa razy u dyrektora. Nie było to zbyt przyjemne.

– Zawsze miło nam gościć dziennikarzy z Warszawy, choć tym razem powód nie jest za wesoły – powiedział dyrektor, zerkając to na nich, to na kamerę. Był to korpulentny, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna z mocno przerzedzonymi na czubku głowy włosami i twarzą świadczącą, że nie zamierzał z powodu piastowanej funkcji rezygnować ani z alkoholu, ani z wesołego trybu życia. Ubrany był w jasny garnitur, który sprawiał wrażenie odrobinę za dużego. Na jego twarzy pyszniły się duże okulary w złotych oprawkach. – Przykro nam, że naszą szkołę ukończyła osoba, która dokonała tak okropnego czynu. Mamy wśród naszych absolwentów wielu sławnych ludzi – aktorów, artystów, znanych dziennikarzy, profesorów wyższych uczelni, posłów na Sejm, ba, nawet jednego biskupa! – to ostatnie powiedział z nieco przesadzoną, ocierającą się o sarkazm emfazą – ale kogoś w ten sposób sławnego wolelibyśmy uniknąć. No cóż, jak to mówią, w każdym stadzie baranów znajdzie się czarna owca – dodał z kamienną twarzą.

Spojrzał na nich z filuternym błyskiem w oczach, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywołał na nich jego dowcip.

Karolina uśmiechnęła się uprzejmie.

– Panie dyrektorze – powiedziała. – Jak już pan wie, kręcimy reportaż, którego bohaterem będzie Dariusz Jakubiec. Chcielibyśmy porozmawiać z ludźmi, którzy go znali. Czy w pana szkole może być ktoś, kto pamięta go z czasów, gdy był jej uczniem?

– Tak – dyrektor przybrał rzeczowy ton. – Zrobiłem nawet na ten temat mały *research*. – To ostatnie słowo wypowiedział konfidencyjnym tonem, jakby chciał podkreślić, że zna i rozumie

dziennikarski slang. – Niestety, jego wyniki nie są zadowalające. Żaden z nauczycieli, którzy uczyli Dariusza Jakubca, nie pracuje już w naszej szkole. Odeszli na emeryturę, a część już po prostu umarła. Minęło w końcu dwadzieścia lat. Ja sam pracuję tu dopiero od siedmiu.

– A może są jakieś zapiski, stare dzienniki, kroniki klasowe? – spytała Karolina.

– Tu znów muszę powtórzyć: Niestety. – Dyrektor rozłożył ręce w stronę kamery. – Nie przechowujemy dzienników tak długo. Zresztą na dobrą sprawę, jaki miałoby państwo pożytek z informacji, jakie miał oceny z geografii, a jakie z chemii? W naszej szkole nie ma też zwyczaju prowadzenia kronik klasowych.

– Dobrze – wtrącił się Rozłucki. – Ale są na pewno spisy absolwentów poszczególnych roczników. Mógłby nam pan podać nazwiska osób, które chodziły z Dariuszem Jakubcem do jednej klasy?

– Przykro mi. Tu również nie mogę pomóc. Obawiam się, że obowiązuje mnie ustawa o ochronie danych osobowych.

Karolina uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Jest pan pewien? – spytała. – Nie wydaje mi się, by zakres jej obowiązywania był aż tak szeroki.

– Wie pani co? Ja też nie jestem tego pewien. Nie jestem prawnikiem, a w naszej szkole nie mamy radcy prawnego. Ale wolałbym nie ryzykować. Bycie dyrektorem nauczyło mnie, że zawsze w tego typu sytuacjach należy dmuchać na zimne. Czasy się zmieniły, droga pani, Niestety. Mieliśmy już dwie sprawy w sądzie, w tym jedną o zaniżone oceny z matury. Wyobraża pani to sobie? – Dyrektor westchnął z rezygnacją. – Ale jeśli przyniesiecie mi podpisaną przez któregoś ze znanych olsztyńskich prawników ekspertyzę, która jednoznacznie dopuszcza taką możliwość, to oczywiście udostępnię

wszystkie potrzebne dane.

Karolina i Rozłucki spojrzeli po sobie.

– Czyli w niczym nie może nam pan pomóc? – spytała Karolina.

– Aż tak źle nie jest. – Dyrektor uśmiechnął się tajemniczo. –

Najlepsze zostawiłem na koniec. Chciałem po prostu nadać naszemu spotkaniu odpowiednią dramaturgię. – Wydawało się, że za chwilę puści oko w stronę kamery. – Jest ktoś, z kim moglibyście porozmawiać – zawiesił głos.

– Kto? – spytała Karolina.

– Adam Romanowski. Absolwent naszej szkoły. Po maturze zdał na uniwersytet w Gdańsku i ukończył tam wydział fizyki. W czasie specjalizacji nauczycielskiej odbył praktyki w naszym liceum. Po ukończeniu studiów złożył u nas podanie o pracę i został przyjęty. Uczy fizyki. Za – dyrektor spojrział na zegarek – dziesięć minut kończy prowadzić lekcję.

Dyrektor uśmiechnął się tryumfująco.

– Dlaczego mielibyśmy chcieć z nim porozmawiać? – spytał Rozłucki.

– Chodził do jednej klasy z Dariuszem Jakubcem.

## ROZDZIAŁ 22

– Też miałeś ochotę mu przyłożyć? – spytała Karolina, gdy już wyszli.

– Staram się panować nad swoim emocjami – odpowiedział. – Analizuję je, przyglądam się im, ale nie pozwalam im sobą kierować.

– Miałeś czy nie?

– Miałem.

Stanęli przed klasą wskazaną im przez dyrektora. Lekcja jeszcze się nie skończyła. Na korytarzu panowała nabożna cisza niczym w kościele.

– Zauważyłeś, że szkoła w czasie trwania lekcji jest jednym z najspokojniejszych miejsc na świecie? – spytała Karolina. – A potem rozlega się dzwonek i nagle znajdujemy się w samym środku tornada.

Dzwonek jak na komendę właśnie zadzwonił. Przez korytarze przetoczył się dźwięk odsuwanych jednocześnie kilku tysięcy krzeseł, potem rozległ się szmer tysiąca rozpoczętych w tej samej chwili rozmów. „Jakby ktoś kopnął w ul i obudził pszczoły”, pomyślał Rozłucki.

Drzwi do klasy otworzyły się. Zaczęli wychodzić pierwsi uczniowie. Każdy bez wyjątku wpatrzony w wyświetlacz telefonu komórkowego.

Gdy już fala pryszczatych i nadmiernie wystylizowanych nastolatków wylała się na korytarz, weszli do środka.

– Dzień dobry. – Karolina zawsze wszędzie wchodziła pierwsza. – Pan Adam Romanowski?

Mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł na nich wzrok znad dziennika. Wyglądał młodo, nawet bardzo. Gdyby nie niedzisiejszy



wąsik i przetykane już gdzieniegdzie siwizną, gęste, sterczące do góry włosy, można by go wziąć za jednego z jego uczniów.

– Tak – odpowiedział. – Słucham?

– Karolina Janczewska i Zygmunt Rozłucki. Jesteśmy z telewizji. Kręcimy reportaż o Dariuszu Jakubcu. Podobno chodził pan z nim do jednej klasy?

– A tak, dyrektor wspominał, że państwo przyjdziecie. – Mężczyzna zamknął dziennik i wstał. Był szczupły i dość wysoki, co sprawiało, że jeszcze bardziej przypominał nastolatka. Ubrany był w granatowy sweter, spod którego wystawał kołnierzyk jasnej koszuli w kratkę. – Zapraszam do środka.

Weszli głębiej. Klasa była zbudowana amfiteatralnie. Ławki i krzesła stały na coraz wyższych podestach, tak by siedzący w nich uczniowie dobrze widzieli przeprowadzane przez nauczyciela eksperymenty. Z okna widać było tory.

– Proszę usiąść. – Mężczyzna wskazał im miejsca w pierwszej ławce. – Niestety nie mamy tu niczego innego. – Sam zajął z powrotem miejsce za biurkiem. – Słucham, w czym mogę państwu pomóc?

– Chcielibyśmy, by powiedział nam pan parę słów o Dariuszu Jakubcu. Jaki był, gdy chodziliście razem do szkoły, jakim go pan zapamiętał? Oczywiście chcielibyśmy nagrać pana wypowiedź. Możemy?

– Tak, proszę.

Karolina skinęła w stronę ekipy. Operator i dźwiękowiec zaczęli rozstawiać swoje sprzęty. Nauczyciel przyglądał im się nieufnym wzrokiem. Wydawał się nieco wystraszony całą tą sytuacją.

– Dobrze – powiedziała Karolina, gdy już wszystko było gotowe. – Możemy zaczynać.

Nauczyciel głośno odchrząknął, po czym wyprostował się za biurkiem. Widać było, że nie bardzo wie, co zrobić z rękami. W końcu schował je pod blat.

– Chodził pan do jednej klasy z Dariuszem Jakubcem. Jak go pan zapamiętał z tamtych lat? – zaczęła Karolina.

Nauczyciel pokręcił głową, jakby nagle zaczął go uwierać kołnierzyk.

– Wydawał się być zupełnie normalny. Chłopak taki sam jak wszyscy – odpowiedział. – Nigdy bym nie przypuszczał, że może zrobić coś takiego. Szczerze powiedziawszy, w naszej klasie było kilku lepszych kandydatów na morderców.

– Zachowywał się normalnie? Czy może było coś, co w jego zachowaniu odbiegało od normy?

– Wie pani, w tym wieku większość ludzi zachowuje się w sposób odbiegający od normy. Nastolatkowie z reguły są rozchwiani i niestabilni emocjonalnie. Dopiero potem wszystko się wyrównuje i spłascza. Jestem nauczycielem, więc widzę to teraz jeszcze wyraźniej niż wtedy. Ale jeśli pyta mnie pani, czy patroszył koty albo czy wrywał muchom skrzydełka, to nie, nie zaobserwowałem u niego takich zachowań.

– Miał jakieś swoje hobby? Coś, co go wyróżniało?

– Słuchał dużo muzyki. Głównie Pink Floyd, Led Zeppelin i Deep Purple. Ale wtedy wiele osób słuchało tych zespołów.

– Czy był lubiany, czy może izolował się i był zamknięty w sobie?

– Myślę, że był raczej lubiany. I na pewno nie był zamknięty w sobie.

– Miał kłopoty w szkole? Może jakieś historie z alkoholem lub narkotykami?

– O narkotykach to myśmy wówczas ledwo co słyszeli. Może w

Warszawie młodzież była z tym tematem bardziej obeznana, ale nie u nas. Czasami widzieliśmy z okien, jak przy nasypie kolejowym jacyś gówniarze wachają klej z torebek, ale to wszystko. Alkohol się piło, oczywiście, ale też bez jakichś specjalnych ekscesów. Gdy patrzę na to, co się dzieje teraz, to myślę, że byliśmy niemal święci.

– Dobrze się uczył?

– Sądzę, że powyżej średniej. Nigdy nie należał do wyróżniających się uczniów, ale też nie ciągnął się w ogonie. Był, zdaje się, niezły z historii. A z chemii z kolei szło mu tak sobie. Ale wszystkim z chemii szło kiepsko. Mieliśmy wyjątkowo wredną chemiczkę.

– Może miał jakieś problemy w domu?

– O niczym takim nie słyszałem. Pochodził z porządnej, pełnej rodziny. Jego ojciec był chyba jakimś adwokatem. Jeśli były tam jakieś patologie, to nie wydostawały się na światło dzienne.

– Miał dziewczynę? A może w kimś się nieszczęśliwie kochał?

– Na pewno nie chodził z nikim z naszej klasy. Na imprezy też raczej przychodził sam.

– A na studniówkę?

Nauczyciel zamyślił się.

– Nie pamiętam. Wie pani, wtedy jeszcze nie było tego zwyczaju co teraz, że trzeba koniecznie przyjść z osobą towarzyszącą. Jak ktoś miał chłopaka czy dziewczynę, to oczywiście go zabierał, ale większość przychodziła sama. Ja na przykład byłem sam.

Karolina spojrzała na Rozłuckiego. Nic, żadnego punktu zaczepienia.

– A może pamięta pan jakieś niezwykle wydarzenie, coś charakterystycznego i niecodziennego, coś, co mogłoby wpłynąć na to, kim się później stał? – podjęła ostatnią próbę.

Nauczyciel zamyślił się ponownie.

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

– Cokolwiek?

– Nie, raczej nie.

Karolina westchnęła z rezygnacją.

– Dobrze, dziękuję. Na tym kończymy.

Dźwiękowiec opuścił swoją tyczkę i ściągnął z głowy słuchawki, a operator wyłączył i zdjął z trójnogu kamerę.

– Przykro mi, że byłem tak mało interesujący – powiedział nauczyciel.

– To przecież nie pana wina.

– On naprawdę był wtedy zupełnie normalny. Ale minęło przecież prawie dwadzieścia lat. A dwadzieścia lat to sporo czasu, by z normalnego człowieka uczynić frustrata. Przyczyna, której państwo szukacie, mogła się pojawić znacznie później.

– Będziemy jej szukać.

– Jeśli była w ogóle jakaś jedna przyczyna – wtrącił Rozłucki.

– Myśli pan, że można stać się kimś takim zupełnie bez powodu?

– Bez powodu nie. Takie rzeczy nigdy nie dzieją się bez powodu. Ale może nim być na przykład choroba psychiczna. Albo, jeśli mówimy bardziej o depresji niż o chorobie, powodów może być kilkadziesiąt. Każdy z nich sam w sobie nie miałby znaczenia, dopiero ich skumulowane i długotrwałe działanie doprowadza do kryzysu. Pytanie tylko, dlaczego stało się to teraz? Dlaczego kryzys nie nastąpił rok temu albo za dwa lata? Musiało coś się wydarzyć. Jakaś jedna kropla przelała czarę.

– Może spróbujecie poszukać w jego pracy? – odezwał się nauczyciel.

– Moja na przykład jest znakomitym źródłem frustracji i stresów.

– Byliśmy dziś rano w jego firmie. Wszystko zamknięte na głucho. Ale dziękujemy za podpowiedź.

– Jeśli mógłbym jeszcze kiedyś w czymś pomóc, proszę się odezwać. To mimo wszystko dość niezwykle uczucie, kiedy się pomyśli, że przez parę lat chodziło się do jednej klasy z przyszłym mordercą, człowiekiem, który na oczach paru milionów widzów zastrzelił zakładnika, a potem siebie.

– Mógłby nam pan pomóc już teraz. Chętnie porozmawialibyśmy z innymi ludźmi z waszej klasy. Ma pan może na nich jakieś namiary? – spytała Karolina.

– Niestety, przykro mi. Straciłem z nimi kontakt dawno temu. Minęło już dwadzieścia lat, a my nigdy nie byliśmy zbyt zżytą klasą. Nie spotykaliśmy się po maturze jak inni. Z tego, co wiem, większość wyjechała na studia do innych miast, a potem tam została. Dwójka lub trójka mieszka za granicą. Raz kiedyś widziałem jednego w jakimś teleturnieju w telewizji. Czasami spotykam kogoś na ulicy, ale mówimy sobie tylko „cześć” i idziemy dalej. Nawet nie wiem, czy mieszkają w Olsztynie, czy tylko przyjechali tu odwiedzić rodzinę.

– Rozumiem. Mimo wszystko dziękujemy. Do widzenia.

Wyszli. Karolina wydawała się być przybita.

– Dupa – powiedziała. – Nikt nic nie wie, a ci, co mogą coś wiedzieć, nie chcą nic mówić.

– I co teraz? – spytał Rozłucki, przekrzykując gwar na korytarzu.

– Nic. Próbuje dalej. Mam adres jego rodziców. Potem postaramy się odnaleźć kogoś, kto z nim pracował.

– Pani Karolino. – Operator kamery szedł ku nim z telefonem komórkowym w ręku.

– Tak, panie Stefanie?

– Dzwonili z firmy. Mamy wracać do Warszawy. Próbowali wcześniej skontaktować się z panią, ale ma pani wyciszony telefon.

– Do Warszawy?! – krzyknęła. – Mamy przecież delegację na trzy dni!

Kilkoro uczniów obróciło się ze zdziwieniem w ich stronę.

– Cofnęli ją. Potrzebują podobno pilnie kamerę.

– A co, kurwa, jedną mają?!

– Powtarzam tylko to, co usłyszałem.

## ROZDZIAŁ 23

Nieduży jak na Warszawę cmentarz wciśnięty był między bloki. Wzdłuż całego jego jednego boku ciągnął się długi, niski budynek, cały upstrzony tabliczkami z nazwami firm, które miały w nim swoje siedziby. Ich pracownicy mieli ze swoich okien doskonały widok na odbywający się tu właśnie pogrzeb.

Zygmunt Rozłucki stał w trzecim lub czwartym szeregu żałobników żegnających Andrzeja Lesickiego, pracownika telewizji zastrzelonego tydzień temu przez Dariusza Jakubca – zwyczajnego, jak wszyscy twierdzili, człowieka, którego jedynym odbiegającym od normy czynem, jaki popełnił w całym swoim życiu, było wtargnięcie do telewizji z bronią w rękę, wzięcie zakładników i zabicie jednego z nich, a potem siebie.

Dowiedział się o pogrzebie od Karoliny. Zadzwoiła do niego wczoraj i spytała, czy nie chciałby przyjść. Nie chciał, nawet bardzo, dość już w swoim życiu widział takich uroczystości. W końcu jednak przyszedł. Uznał, że powinien. Widział przecież śmierć tego człowieka, a to czyniło ich w pewien sposób sobie bliskimi.

Za tym pierwszym powodem czał się jednak drugi, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Chciał jeszcze raz zobaczyć Karolinę. Była to być może ostatnia okazja. W końcu ich współpraca uległa właśnie gwałtownemu zakończeniu. Mógł co prawda do niej zadzwonić i umówić się na przysłowiową kawę, ale wiedział przecież, że i tak tego nie zrobi.

Z tego powodu, w zasadzie z obu tych powodów, wypił wczoraj wieczorem trzy czwarte butelki niezbyt dobrej, szczerze mówiąc,

piętnastoletniej whisky Glenfiddich. Bardzo słusznie, nie należy kisić w barku butelek z kiepskim alkoholem. Teraz będzie mógł sobie kupić coś znacznie lepszego. Już jakiś czas temu wprowadził zasadę, że może sobie sprawić nową butelkę whisky dopiero wtedy, gdy wypije jedną z tych, które już ma. Ten warunek okazał się nad wyraz łatwy do spełnienia.

Wodził więc teraz swoim wysuszonym, przekrwionym od niewyspania i alkoholu spojrzeniem po twarzach przybyłych tu ludzi, szukając wśród nich twarzy Karoliny. Póki co bez powodzenia. Musiała stać gdzieś z tyłu, wśród tego tłumu wypełniającego ciasno wąskie alejki między grobami. A był on naprawdę spory. Oprócz rodziny, znajomych i kolegów z pracy widać było też delegacje związków zawodowych pracowników telewizji, każdą z odpowiednim sztandarem. Nawet sam pan prezes się pofatygował. Gdy widzi się taki pogrzeb, samemu ma się ochotę umrzeć.

Trumna leżała już na deskach przerzuconych nad wykopany grobem. Rodzina zmarłego stała po jej drugiej stronie. Układem przypominało to trochę mszę, z grobem jako ołtarzem, rodziną w charakterze celebransów i żałobnikami pełniącymi funkcję wiernych. Albo przedstawienie w teatrze. Chyba jednak bardziej to drugie. Przybyli na pogrzeb wpatrywali się w twarze członków rodziny zmarłego z dokładnie tą samą ciekawością, z jaką widzowie wpatrują się w twarze aktorów podczas spektaklu, próbując wyczytać z nich uczucia, które nimi targają. Z ciekawością tym większą, że każdy z przybyłych przeżył, lub wiedział, że w końcu przeżyje, taki spektakl z sobą w jednej z głównych ról. Że on także będzie stał po tamtej stronie trumny, a kiedyś, być może szybciej, niż mu się wydaje, sam w niej spocznie.



Rozłucki także przypatrywał się stojącym za grobem ludziom. Żona zmarłego, przysadzista kobieta w czerni o opuchniętych, zaczerwienionych oczach, wspierała się na ramieniu starszego mężczyzny – zapewne brata lub szwagra. Obok stała dwójka staruszków. Sądząc po zbolałych, lecz nie zrozpaczonych minach, byli to raczej teściowie niż rodzice nieboszczyka. Brak kogokolwiek młodszego wiekiem świadczył, że zmarły najprawdopodobniej nie miał dzieci.

Ceremonia powoli dobiegała końca. Czterech krzepkich, żylastych grabarzy chwyciło za liny, a piąty, najmłodszy, wysunął spod trumny deski. Ciało Andrzeja Lesickiego wyruszyło w swą ostatnią, pionową podróż. Jeszcze tylko ksiądz za pomocą małej szufelki rzucił na trumnę garstkę ziemi i już grabarze szybkimi, wyćwiczonymi przez lata ruchami zaczęli zasypywać grób. Kurtyna powoli, szpadel za szpadlem, opadała.

Gdy grób był już zasypywany i uklepany, krzyż wbity, a wieńce od rodziny, znajomych, związków zawodowych i zarządu telewizji zakryły kopczyk, rozpoczęło się składanie kondolencji. Do rodziny zmarłego zaczęli podchodzić kolejni ludzie, ścisnąć im ręce, prawić banały i ze smutnymi minami odchodzić. Dopiero teraz Rozłuckiemu zrobiło się ich naprawdę żal. Gdyby miał jeszcze jakąś rodzinę, pragnąłby im oszczędzić tego właśnie momentu. Zakazałby w testamencie składania kondolencji na swoim pogrzebie. „Wszelkie wyrazy współczucia prosimy zachować dla osób bardziej ich potrzebujących – poleciłby napisać w nekrologu. – Polityków niewybranych na kolejną kadencję, wyrzuconych z pracy prezenterek pogody oraz tych, którzy o drugiej w nocy w całodobowym sklepie przez pomyłkę kupili zgrzewkę piwa bezalkoholowego”.

Nagle poczuł, jak tłum zaczyna napierać na niego od tyłu i popychać w kierunku zapłakanej kobiety w czerni. Miejsca między ciasno ustawionymi nagrobkami było tak mało, że nie miał zupełnie jak uciec z tej kolejki pełnych żalu osób, nie robiąc przy okazji niestosownego w tej sytuacji zamieszania. Chcąc nie chcąc, zbliżał się coraz bardziej do rodziny zmarłego. Fala współczucia niosła go coraz dalej i dalej, aż w końcu rzuciła na czarną skałę przysadzistej żony Andrzeja Lesickiego.

– Najszczęśliwsze wyrazy współczucia – wydukał. – Niezbyt dobrze znałem pani męża, ale widziałem, jak został zabity.

Dopiero teraz zrozumiał, jak obcesowo i okrutnie to zabrzmiało.

– Jestem psychologiem i terapeutą – powiedział, by zagadać poprzednie niepotrzebne słowa. – Gdyby pani lub ktoś z pani rodziny potrzebował pomocy psychologicznej, to chętnie jej państwu udzielę. Oczywiście całkowicie bezpłatnie.

Kobieta popatrzyła na niego niewidzącymi i nierozumiejącymi oczami. Lecz już kolejna osoba składała jej kondolencje.

– Haniu, kochanie, tak mi was żal. – Tleniona blondynka z torebką na długim, złotym łańcuszku rzuciła jej się z płaczem na szyję. – A gdzie Justynka? Czemu nie przyszła na pogrzeb taty?

Naraz poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Cześć – usłyszał za plecami głos Karoliny. Odwrócił się. Stała za nim z zaróżowionymi od szybkiego marszu policzkami. – Spóźniłam się, ale miałam naprawdę dobry powód – powiedziała.

Ta sama fala ludzi, która go tu przyniosła, pchnęła ich teraz dalej, w kierunku mniej zatłoczonych alejek cmentarza. Gdy już znaleźli się w bezpiecznej odległości od rodziny, żałobników, kondolencji i współczucia, spytał:

– Jaki?

Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się z wyrazem tryumfu zupełnie nieprzystającym ani do tego miejsca, ani do okazji.

– Znalazłam jeszcze jednego szkolnego kolegę Dariusza Jakubca. Chodził z nim do tej samej klasy, tak jak ten nauczyciel – powiedziała, ledwie skrywając podniecenie. – Weszłam na Naszą Klasę, pamiętasz, to taki portal do szukania znajomych z dawnych lat. Że też wcześniej na to nie wpadłam! Miałam tam kiedyś konto, ale zupełnie o nim zapomniałam. Odnalazłam ich klasę. Faktycznie nie byli chyba zbyt żywi, bo było tam tylko jedno nazwisko, i to wpisane ładnych parę lat temu. Facet całe szczęście zostawił swój adres mailowy. Napisałam do niego, a on mi odpisał. Nie mieszka w kraju, ale przylatuje niedługo do Polski. Jestem z nim już umówiona.

– Z tego, co pamiętam – powiedział ostrożnie – nie kręcisz już tego reportażu.

– Chrzanić to – odpowiedziała. – Z ekipą czy bez, muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Coś w tej sprawie nie gra, nie masz takiego wrażenia?

– Mam – odpowiedział.

– To najciekawszy temat, jaki mi się trafił w całej dotychczasowej karierze. Nie mogę sobie tego odpuścić, po prostu nie mogę. To, że te dupki z zarządu stwierdziły, że lepiej o wszystkim jak najszybciej zapomnieć, bo to odstrasza widzów i reklamodawców, gównu mnie obchodzi. W ostateczności zrobię z tego reportaż prasowy i sprzedam do jakiejś gazety. Poza tym... – zamilkła i spojrzała w kierunku obłożonego wieńcami grobu.

– Poza tym co?

– Śni mi się to ciągle. Noc w noc. To, jak on zabija jego, a potem strzela sobie w głowę. Tobie nie?

– Mi też – przyznał.

– To co, jesteś ze mną?

Popatrzył na jej zaróżowione policzki, na błyszczące, wpatrzone w niego oczy, na pukiel włosów, który zsunął się na czoło i zasłaniał lewą brew.

– Tak – odpowiedział.

## ROZDZIAŁ 24

Terminal lotniska pasażerskiego w Modlinie był po prostu wielką blaszaną halą stojącą na skraju lasu. Latem było w nim pełno komarów, które przylatywały tu z zarośli rosnących na brzegach pobliskiej Wisły, by pożywić się krwią spoconych pasażerów. Zimą było zwyczajnie zimno. Zbudowano go z myślą o samolotach tanich linii, których nie stać było, by lądować na położonym na obrzeżach Warszawy lotnisku Okęcie, dlatego zarówno swoim wyposażeniem, jak i wyglądem dostosowany był do standardów przez nie oferowanych.

Samolot linii Ryanair lecący z London Stansted do Modlina właśnie wylądował. Jego pasażerowie, targając swój podręczny bagaż po płycie lotniska, zmierzali już powoli w stronę terminalu. Jeszcze tylko krótka odprawa, odbiór bagażu i już będą mogli przywitać się z czekającymi na nich przyjaciółmi i rodzinami. Lub po prostu z kierowcą busa kursującego między Modlinem a Warszawą.

Rozłucki i Karolina stali wśród tłumu stęsknionych ojców, matek, braci i sióstr czekających na powrót swoich ukochanych bliskich.

– Wiesz, jak on wygląda? – spytał Rozłucki. – Ma przy sobie jakąś charakterystyczną rzecz?

– Tak – odpowiedziała Karolina. – Taką walizkę na kółkach.

– Bardzo zabawne – mruknął. – A poważnie?

– Opisałam mu, jak wyglądamy. Powiedziałam, że będzie na niego czekać najładniejsza dziewczyna na lotnisku stojąca obok najbrzydszego, najbardziej zarośniętego faceta.

Rozłucki potarł dłonią swoją brodę.

– No to faktycznie nie powinien się pomylić – odparł.

Szczupły mężczyzna w skórzanej kurtce przeszedł właśnie przez drzwi oddzielające strefę przylotów od ogólnodostępnej hali. Zatrzymał się, rozejrzał przez chwilę, po czym ruszył w ich kierunku.

– Widzisz – powiedziała Karolina. – Mówiłam ci, że ma walizkę.

Mężczyzna podszedł do nich.

– Pani Karolina? – spytał.

– I pan Zygmunt – dodał Rozłucki.

Mężczyzna spojrzał na niego bez zainteresowania, po czym odwrócił się znów w stronę Karoliny.

– Arkadiusz Chmielewski – przedstawił się.

– Karolina Janczewska. I Zygmunt Rozłucki. Zdaje się, że będziemy dziś pańskimi szoferami.

– Świetnie. Nie jest łatwo dostać się do Olsztyna, gdy lata się tanimi liniami.

– O której ma pan pociąg?

– Osiemnasta pięćdziesiąt siedem z Warszawy Centralnej.

– Zatem mamy sporo czasu.

Wyszli z hali i ruszyli w kierunku parkingu. Kilkuletni szafirowy New Beetle Karoliny zdążył się już porządnie nagrzać od słońca. Jego właścicielka wsiadła, włączyła klimatyzację, a potem zaprosiła ich do środka. Chmielewski usiadł z tyłu, a Rozłucki z przodu. Dopiero wtedy Karolina spytała:

– Jak minął lot?

– W porządku. Najpierw wystartowaliśmy, potem lecieliśmy, a na końcu wylądowaliśmy.

Rozłucki uśmiechnął się pod nosem.

Samochód ruszył. Prowadziła oczywiście Karolina. Rozłucki miał prawo jazdy, a jakże. Podobnie jak patent żeglarski i kartę pływacką.

Wszystkie te trzy rzeczy leżały w jednej szufladzie, przywalone stosem innych niepotrzebnych szpargałów.

– Ale pewnie chodzi pani raczej o to, jak dobrze znałem Dariusza Jakubca?

Tym razem to Karolina się uśmiechnęła.

– Tak, chodzi mi raczej o to.

– No cóż. – Chmielewski wypuścił głośno powietrze. – Chodziłem z nim do jednej klasy dwadzieścia lat temu. Można więc powiedzieć, że dość dobrze znałem tego kogoś sprzed dwudziestu lat. Za to zupełnie nie znałem tego gościa latającego z pistoletem po telewizyjnym studio.

– Widział pan to?

– Tak, pokazywali to chyba we wszystkich serwisach na całym świecie. Polska znowu była sławna, jak podczas wyboru Papieża. Dziwnie było zobaczyć swojego dawnego kolegę w takiej roli.

– Przyjaźniliście się?

– Wtedy? Nie, raczej nie należałem do kręgu jego bliskich znajomych. Ale do kręgu dalszych już tak. To był zresztą bardzo szeroki krąg.

– Był lubiany?

– Tak, można tak powiedzieć. Dowcipny, wyluzowany, z taką naturalną pewnością siebie. Gdzie się pojawiał, tam wszystko zaraz zaczynało się kręcić wokół niego. Zupełnie mi to nie pasuje do obrazu człowieka, który bierze zakładników, a potem urządza taką jatkę.

– Miał jakieś problemy?

– On? Żadnych. Należał do tych szczęśliwych ludzi, którzy nie mają żadnych problemów. Bogata rodzina, dobry zestaw genów – dostawał zawsze to, co chciał, dobrze się uczył, wszystko mu łatwo przychodziło. Patrzysz na kogoś takiego i myślisz sobie, że życie jest

niesprawiedliwe. Zwłaszcza, gdy masz kilkanaście lat, trądzik na twarzy, z dziewczynami nie za bardzo ci idzie i już drugi rok jesteś zagrożony z chemii. W pewnym sensie to pocieszające, że tacy ludzie kończą w taki sposób.

– Kim byli jego rodzice?

– Ojciec był jednym z najbardziej znanych olsztyńskich adwokatów. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza. Olsztyn dwadzieścia lat temu był prowincjonalną dziurą w kraju, który dopiero co wychodził z komunizmu. Wokół było szaro, biednie, a pan adwokat miał wszystko. Tu nie chodzi tylko o pieniądze, bo to były czasy, gdy nie wszystko dało się za nie kupić. Jego syn chodził w zachodnich ciuchach, przynosił na imprezy butelki whisky, miał pierwszy w naszej klasie magnetowid, ba, nawet kamerę wideo! Jeździł z rodzicami do Paryża, Londynu, wakacje spędzał w Grecji lub we Włoszech. Teraz jest to wszystko w miarę dostępne, ale wtedy! Jego ojciec wyjeżdżał często na Zachód, przywoził stamtąd rzeczy, o jakich nam się wówczas nawet nie śniło. A syn nam to potem pokazywał, czasami dawał spróbować. To w jego domu po raz pierwszy oglądałem pornosa.

– Z dziewczynami też pewnie nie miał problemów? – wtrącił Rozłucki.

– On? Oczywiście, że nie. Ktoś taki? W miarę przystojny, pewny siebie, z takim łobuzerskim urokiem, imponujący wszystkim swoimi gadżetami. Mógł w nich przebierać. Z tym wiąże się zresztą jedyna rzecz, jaka rzuca cień na to bajkowe życie.

– Jaka? – zainteresował się Rozłucki.

– Była taka dziewczyna, nie w naszej klasie, w innej. Trudno powiedzieć, że z sobą chodzili, bo on raczej nie miał stałej dziewczyny, ale widywano ich czasem razem.



– I co z nią?

– Zaginęła. Tuż po maturze. Wyszła na jakąś imprezę i nie wróciła do domu.

– Wiadomo, co się z nią stało? – spytała Karolina.

– Nie. Zniknęła i tyle. Szukano jej oczywiście, ale nic to nie dało.

Cała szkoła tym żyła.

– A on, jak to przeżył? – spytał Rozłucki.

– Chyba niespecjalnie nim to wstrząsnęło. Jak już mówiłem, nie była to jego dziewczyna, spotkali się może raz czy dwa. Z tego, co wiem, oczywiście. Zresztą już wtedy zaczął chodzić z dziewczyną z innego liceum, też córką prawników. Zdaje się, że rodzice ich ze sobą zeswatali. Aż za skutecznie zresztą, bo ona wkrótce potem zaszła w ciążę.

– Jego ojciec nie był chyba zadowolony?

– To mało powiedziane. Ale przełknął to, tym bardziej, że dziewczyna była z dobrej rodziny, jej ojciec był zdaje się prokuratorem. Taki mariaż może nieźle ustawić karierę, zwłaszcza w takim mieście jak Olsztyn, gdzie członkowie elit tworzą niezbyt szerokie grono i dość dobrze się znają. Zorganizowano szybki ślub i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Darka to chyba trochę przerosło. Maturę zdał bardzo dobrze, ale egzaminy na studia prawnicze zupełnie mu nie poszły. Dostał się potem na politechnikę w Gdańsku, na jeden z tych wydziałów, na które przyjmowali wszystkich jak leci.

– Zawiódł pokładane w nim nadzieje?

– I to jeszcze jak. Ojciec już mu grzał miejsce w swojej kancelarii, szykował go na swojego następcę, a tu synalek wyciął mu taki numer. Wyobrażam sobie, jaki był wściekły.

– I co było dalej?

– Z tego, co wiem, Darek nie skończył studiów. Zaczął ostro imprezować, wkręcił się w jakieś podejrzanе towarzystwo, zaniedbywał żonę i dziecko. Nie wiem, jak to było dokładnie, bo byłem już wtedy w Poznaniu i do Olsztyna przyjeżdżałem dość rzadko, ale kiedyś spotkałem na mieście kogoś z naszej klasy i on mi powiedział, że Darek miał jakieś kłopoty z prawem. Nie za wielkie, zdaje się, ale groził mu nawet wyrok. Ojciec jednak interweniował, uruchomił swoje kontakty w Gdańsku i wszystko rozeszło się po kościach. Ale ściągnął go wtedy do siebie, porządnie natarł mu uszu i Darek trochę się uspokoił. Wspólnie z teściem zbudowali im dom pod Olsztynem i pomogli, nie tylko finansowo, jeśli mnie pani rozumie, rozkręcić własną firmę. Co było potem, nie wiem. Na drugim roku studiów wyjechałem do Londynu i całkiem straciłem kontakt z tym, co się dzieje w Olsztynie. Dopiero kilka lat temu, gdy powstał serwis Nasza Klasa, postanowiłem dowiedzieć się, co słyhać u dawnych kumpli. Mieszkałem już dość długo w Anglii i ogarnęło mnie coś w rodzaju nostalgii. Ale, zdaje się, byłem jedynym z mojej klasy, który czuł taką potrzebę.

Samochód prowadzony przez Karolinę minął tablicę z nazwą „Warszawa”, wkrótce potem skręcił w lewo i zjechał na Wisłostradę.

– A co z tą dziewczyną, która zaginęła, odnalazła się w końcu? – spytał Rozłucki.

– Nie. Z tego, co mi wiadomo, nie.

– Co się o tym wtedy mówiło, były jakieś plotki na temat tego, dlaczego zniknęła?

– Oczywiście, że były. Na początku wszyscy byli bardzo przejęci, rozwieszali ogłoszenia na słupach, współczuli rodzicom, ale potem zaczęły się pojawiać różne niestworzone historie.

– Jakież?

– Że była prostytutką, że spotykała się z bogatymi Niemcami w hotelu Novotel nad jeziorem Ukiel. Że jeden z nich ją zabił i wrzucił ciało do jeziora. W innej wersji zakochał się w niej i zabrał do Reichu. Że widziano ją w Warszawie przed hotelem Marriott, jak wysiadała z wielkiego mercedesa. Takie bzdury.

– Łączono to jakoś z Dariuszem Jakubcem?

– Tak, tak, oczywiście. Ten wariant był wyjątkowo romantyczny. Zwłaszcza dziewczyny lubiły go opowiadać. Podobno kochali się bardzo, ale jego rodzice uważali, że nie jest dla niego odpowiednią partią. Wymusili na nim zerwanie z nią i związanie się z córką prokuratora. To złamało jej serce. Wsiadła więc w pociąg do Warszawy i odjechała. I że widziano ją potem w Warszawie przed hotelem Marriott, jak wysiadała z wielkiego mercedesa.

– Myśli pan, że to może być prawda?

– Myślę, że równie dobrze może, jak i nie może.

– Znał ją pan?

– Nie tyle znałem, co widywałem. Bardzo ładna była. Kiedy chodziłem na kurs na prawo jazdy, ona też go robiła. Mieliśmy tego samego instruktora. Raz czy dwa jechaliśmy razem jednym samochodem. Ona za kierownicą, a ja na tylnym siedzeniu, albo odwrotnie. Pamiętam, że pociłem się wtedy jak pies. I że bardzo ładnie pachniała.

– Perfumami?

– Tak, perfumami. Wtedy dziewczyny w jej wieku nie używały tylu kosmetyków co teraz. Perfum nie spotykało się prawie wcale. A ona je miała.

– Kochał się pan w niej?

– Wie pan, miałem na jej temat różne fantazje, jak to w tym wieku,

ale miłością bym tego nie nazwał.

– Jak wyglądała?

– Długie, proste, kasztanowe włosy, dość wysoka, szczupła. Ciemne, prawie zrosnięte brwi. Trochę podobna do pani.

– Pamięta pan, jak miała na imię?

– Jasne, że pamiętam. Imion takich dziewczyn się nie zapomina.

Justyna.

## ROZDZIAŁ 25

„Kurwa!”, pomyślał.

– Kurwa! – powiedział na głos.

Siedział przed komputerem w swoim mieszkaniu i wpatrywał się z niedowierzaniem w ekran. Duży koniakowy kieliszek stojący tuż obok myszki wyrzucał w powietrze intensywny, śliwkowy zapach osiemnastoletniej whisky Glendronach Allardice.

– Kurwa! – powtórzył jeszcze raz.

Sięgnął po telefon. Karolina odebrała po kilku długich sygnałach.

– Wiesz, która jest godzina? – spytała nieprzytomnym głosem.

– Wiem. – Spojrzał na zegar w prawym dolnym rogu ekranu. – Druga czterdzieści osiem.

– Jesteś pijany? – spytała.

Popatrzył na prawie pustą butelkę z fioletową etykietą. Gdy siadał przy tym biurku, była pełna przynajmniej w połowie. Oznacza to, że wypił dziś wieczorem whisky za co najmniej sto pięćdziesiąt złotych.

– Może trochę – odpowiedział.

– I dzwonisz, żeby mi powiedzieć, że mnie kochasz? – spytała z ironią w głosie. – Niepotrzebnie się śpieszyłeś. Naprawdę, wytrzymałabym jeszcze tych parę godzin w niepewności.

Przez chwilę próbował wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ale zrezygnował. Może pół butelki temu by mu się to udało, ale nie teraz.

– Nie – odpowiedział po prostu. – Ale gdy dowiesz się, co odkryłem, nie będziesz miała pretensji, że cię obudziłem. – Starał się mówić najwyraźniej, jak to było możliwe w tej sytuacji.

Po drugiej stronie słuchawki zapadała cisza.

– Mów – usłyszał po chwili.

– Szukaliśmy nie w tym miejscu – powiedział. – To znaczy w tym, ale zapomnieliśmy o innych miejscach.

– Skup się i powiedz, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o to, że coś mnie tknęło. Gdy odwieźliśmy tego gościa na pociąg, wsiadłem w metro i nim jechałem. I cały czas miałem wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy. I kiedy wróciłem do domu, ciągle miałem to uczucie. Wiesz, taki rodzaj niepokoju...

– Wiem. I co dalej?

– Nalałem sobie whisky, usiadłem w fotelu i oglądałem wiadomości. Ale prawie nic nie rozumiałem, bo w głowie ciągle kręciła mi się ta maszynka do myślenia.

– Do puenty, proszę. Jest środek nocy.

– Potem chyba zasnąłem, a kiedy się obudziłem, nalałem sobie znowu whisky i wtedy, bum! Uświadomiłem to sobie.

– Co, na litość boską?!

– Justyna. Ta dziewczyna miała na imię Justyna. Tak samo ma na imię córka zabitego zakładnika, jak mu tam...

– Andrzeja Lesickiego.

– Andrzeja Lesickiego. Może to zbieg okoliczności, w końcu to nie jest jakieś strasznie dziwne imię, choć współcześnie raczej rzadko jest nadawane. Co innego czterdzieści lat temu, gdy rodziła się tamta dziewczyna. Mody na imiona się zmieniają...

– Dobrze, wiem. Justyna. I co dalej?

– I to uświadomiło mi, że zapomnieliśmy o nim. O zabitym zakładniku. Sprawdzaliśmy mordercę, zafiksowaliśmy się na nim zupełnie, a zapomnieliśmy o ofierze. No więc siadłem do komputera i zacząłem szukać. Wszedłem na Facebooka. Wiesz, to taki portal...

– Wiem, na Boga, co to jest Facebook!

– No właśnie. I odnalazłem konto Andrzeja Lesickiego. Nie wszystkie informacje na jego profilu były widoczne. Część dostępna była tylko dla znajomych, a ja nie jestem jego znajomym. Mógłbym mu wysłać zaproszenie, ale nie miałby mi kto na nie odpowiedzieć, bo on przecież nie żyje...

– Stop! Co tam, do cholery, znalazłeś? Powiesz mi to wreszcie?!

– Poczekaj. No więc nie wszystkie informacje były widoczne, ale część jednak była widoczna. Zwłaszcza jedna.

– Jaka?

Podniósł kieliszek i napił się whisky. Nie mógł sobie odmówić tej chwili budowania napięcia.

– Andrzej Lesicki pochodził z Olsztyna.

Usłyszał, jak wstrzymała oddech.

– Z Olsztyna?

– Z Olsztyna. Tak samo jak Jakubiec. Ale to nie wszystko.

– Co jeszcze?

Wciągnął nosem obłądny, śliwkowy aromat.

– Chodzili do tego samego liceum.

Zapadła cisza. Niemal słyszał, jak w mózgu Karoliny tasują się fiszki z zapisanymi na nich wcześniej informacjami.

– Musimy tam wrócić – powiedziała. – Przyjadę po ciebie o siódmej.

– O siódmej? – O mało się nie zachłysnął. – Jest trzecia! To za cztery godziny!

– Trzeba się było wcześniej położyć.

## ROZDZIAŁ 26

Nie był w najlepszej formie. Zdecydowanie. Próba urwania jeszcze paru chwil snu na bocznym siedzeniu volkswagena New Beetle pędzącego z nadmierną, jego zdaniem, prędkością w kierunku Olsztyna zaowocowała tylko bólem karku. Nie był to samochód dla mężczyzny jego wzrostu. Zwłaszcza, gdy prowadziła go Karolina. Prowadziła z nadmierną, co warto jeszcze raz powtórzyć, prędkością.

Wiedział, co by mu teraz pomogło. Jajecznicza. Jajecznicza i sałatka z pomidorów. I proszek od bólu głowy. Taki na bazie ibuprofenu, nie paracetamolu.

Niestety w menu kawiarni położonej na samym środku drugiego piętra centrum handlowego Alfa w Olsztynie – jedynym otwartym o tak wczesnej porze lokalu tego typu w mieście, nie licząc mcdonalda – nie było ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego. Była kawa. W kilkunastu odmianach. I ciastka. To akurat dobrze. Cukier też nieźle działa na kaca. Co innego kofeina. Z kofeiną może być różnie.

Zamówił więc wczorajszą, sądząc z wyglądu, eklerkę i podwójne espresso. Śniadanie mistrzów. Karolina wzięła dużą latte. I wodę.

Siedzieli tu nie bez powodu. Czekali na byłego chłopaka Karoliny. Zadzwoiła do niego jeszcze z samochodu, tuż po ósmej, bo o ósmej zaczynał pracę. Pracę nie byle jaką i bardzo, z ich punktu widzenia, przydatną. Był policjantem w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Olsztynie. Podkomisarzem, jak się zdaje.

Pojawił się kilkanaście minut po dziesiątej, gdy kelnerka stawiała właśnie na stoliku ich zamówienie. Ogolony na łyso facet ze sporym brzuszkiem i nalaną, świadczącą o zamiłowaniu do alkoholu i fast



foodów twarzą. Ubrany w brązową, wytartą skórzaną kurtkę, której nie byłby pewnie w stanie nawet zapiać, i jasne, trochę przybrudzone na udach džinsy. Trudno było uwierzyć, że są z Karoliną w tym samym wieku. A podobno to kobiety starzeją się szybciej.

– Cześć, śliczna! – Otworzył szeroko ramiona. – Świetnie wyglądasz. Widzę, że chirurgia plastyczna w Warszawie stoi na naprawdę wysokim poziomie.

– A ty przytyłeś! – odpląciła mu Karolina. – Macie tam jakiś specjalny program dożywiania policji? Jak chcesz łapać przestępców z takim brzuchem?

Zaśmiał się.

– Przestępców łapie się najlepiej, siedząc na dupie za biurkiem. I to mnie właśnie gubi. To oraz pociąg do piwa.

Padli sobie w objęcia.

– No, no! – Odsunął ją od siebie na odległość ramion. – Naprawdę świetnie wyglądasz. Gdybym wiedział, że się tak wylaszczysz, to bym cię nie rzucił.

– Z tego, co pamiętam, to ja rzuciłam ciebie. A co tam u Hani?

– Ona z kolei w ogóle się nie zmieniła. Czasami patrzę na nasze dzieci i zastanawiam się, jak to jest mieć taką trzepniętą matkę?

– Zygmunt Rozłucki, Rafał Sąddecki – przedstawiła ich sobie. – Siadaj – zwróciła się do mężczyzny.

Policjant przysiadł się do ich stolika.

– Napijesz się kawy? – spytała Karolina. – Ja stawiam.

– Chętnie – zgodził się z uśmiechem. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką lurę pijemy na komendzie. I jeszcze zjadłbym ciastko, skoro ty płacisz. Dobra ta eklerka?

– Nie bardzo – odpowiedział Rozłucki.

– W takim razie poproszę caffè mocha z dodatkowym espresso i torcik węgierski – zwrócił się do kelnerki, która akurat podeszła do ich stolika.

Czekali na zamówienie, tocząc rozmowę o starych, dobrych czasach, z której to rozmowy Rozłucki nie rozumiał niemalże ani słowa. Imiona dawnych znajomych, nazwy miejsc, nieistniejących już lokali, rzucane hasłowo opisy zabawnych sytuacji rozpoczynające się nieodmiennie: „a pamiętasz?”, wybuchy śmiechu i westchnienia zadumy – wszystko to brzmiało dla niego jak język Eskimosów. Uśmiechał się, przysłuchując tej rozmowie, bo głupio tak siedzieć z kamienną twarzą, gdy obok aż kipi od emocji, ale był to wysiłek daremny, bo ani on, ani ona nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Z nudów zaczął się zastanawiać, jak też mogłaby wyglądać jego rozmowa o starych, dobrych czasach. Czy też skrzyłaby się, błyszczała jak wyciągnięta z pudełka z pamiątkami metalowa broszka? Chyba nie. Nie potrafiłby już znaleźć w sobie takiego entuzjazmu dla przywoływania przeszłości. Zbyt dużo czasu upłynęło od jego starych, dobrych czasów, za dużo złego zdarzyło się potem. Wspomnienia zdarzeń wyblakły przysypane kurzem, ziemią i gruzem, a on nie pamiętał, czy człowiek, który ich doświadczył, to już był on, czy też ten poprzedni, który dawno nie żyje.

– No dobrze – powiedziała Karolina. – Tośmy sobie powspominali, a teraz powiedz, co dla mnie masz?

– Poczekaj, napiję się kawy – powiedział policjant, wyciągając rękę po wysoką szklanę, którą kelnerka właśnie postawiła przed nim na stoliku.

– Już? – spytała Karolina z żartobliwym ponagleniem.

– Już.

– To dawaj.

– No cóż, muszę powiedzieć, że nie dałaś mi dużo czasu, ale coś tam udało mi się znaleźć. A więc tak: Justyna Wasilewska, lat 19, zaginęła w czerwcu dwadzieścia lat temu, niedługo po maturze. O, proszę, tu mam nawet jej zdjęcie. – Podsunął Karolinie fotografię. – Z akt wynika, że wyszła z domu koło siedemnastej, udając się na urodziny do koleżanki, na które zresztą nigdy nie dotarła. Przeprowadzono szeroko zakrojone poszukiwania, które nie przyniosły efektu. Przesłuchano wiele osób, w tym interesującego was Dariusza Jakubca.

– Był o coś podejrzany? – spytała Karolina.

– Nie było o co. Chodziło o zaginięcie, nie o porwanie czy zabójstwo. Zresztą jego ojciec zaraz interweniował. Przesłuchanie odbyło się w jego obecności. Dotarłem do stenogramu. Zazwyczaj się go nie robi na tym etapie postępowania, ale stary Jakubiec wyraźnie tego zażądał. Potem oprotestowywał prawie każde pytanie, tak że niewiele z tego wyszło. Poza tym nauczyciele i jej koledzy ze szkoły zeznali, że dziewczyna od jakiegoś czasu dziwnie się zachowywała. Opuściła się w nauce, wagarowała, była opryskliwa. Nie zdała matury. Uznano więc, że po prostu nawiała. Uciekła z domu. „Gigant”, tak na to się wtedy mówiło. I na tym się skończyło.

– I co, nigdy jej nie znaleźli?

– I to jest właśnie najciekawsze. Otóż znaleźli. I to całkiem niedawno. Dwa lata temu na drodze do Ostródy był wypadek. Szosa biegnie tam tuż nad jeziorem. Samochód wypadł z drogi, dachował i stoczył się po skarpie do wody. Zginęło starsze małżeństwo. Ona utopiła się w samochodzie, on wypadł przez przednią szybę. Nurkowie, szukając jego ciała, natrafili na ludzką czaszkę. Przeszukano dno i znaleziono kompletny szkielet. Jak się okazało, była to zaginiona osiemnaście lat wcześniej Justyna Wasilewska.

Karolina i Rozłucki spojrzeli po sobie.

– Tak po prostu? Skąd było wiadomo, że to ona? – spytał Rozłucki.

– Patolog określił, że szkielet należy do młodej kobiety, podał też, ile mniej więcej mógł leżeć w wodzie. Wytypowaliśmy pasujące do tego przypadki, zrobiliśmy badania genetyczne i tyle. Teraz takie rzeczy idą dosyć sprawnie.

– Wznowiono śledztwo? – spytała Karolina.

– Wznowiono i prawie zaraz je zamknięto. Stan szkieletu wskazywał na typowe urazy będące wynikiem wypadku komunikacyjnego. Kilka złamań i tak dalej. Patolog stwierdził, że wszystkie powstały za życia ofiary. Żadnych niepokojących śladów mogących świadczyć o ewentualnym morderstwie.

– Ktoś ją potracił?

– Prawdopodobnie. Być może szła poboczem, było ciemno i ktoś na nią najechał. Potem przestraszył się i uciekł z miejsca wypadku.

– Nieudzielenie pomocy to też zdaje się przestępstwo – wtrącił Rozłucki.

– Ale po pierwsze po tylu latach dawno uległo przedawnieniu, a po drugie weź kogoś takiego teraz znajdź. Nawet samochodu pewnie dawno już nie ma. Zardzewiał i rozpadł się na jakimś podwórku albo rozebrali go na części na szrocie.

– Sprawdziliście, czy ktoś nie zgłaszał tego dnia wypadku?

– U nas takiego zgłoszenia nie było. Sprawdziliśmy też w ubezpieczalniach. Żadna z działających wtedy na terenie dawnego województwa olsztyńskiego firm ubezpieczeniowych nie dostała zgłoszenia o szkodzie powstałej w tych dniach w tamtych okolicach. A czy ktoś nie odklepał sobie zderzaka własnym sumptem w jakimś prywatnym warsztacie, tego nie wiemy. I po dwudziestu latach raczej

się nie dowiemy.

– Zginęła dziewiętnastoletnia dziewczyna. Ktoś ją potrącił i odjechał, nie udzielając pomocy. I nic nie da się zrobić? – spytał Rozłucki.

– Nie wszystkich sprawców przestępstw da się wykryć, przykro mi. W żadnym kraju wykrywalność nie jest stuprocentowa. Poza tym nie wiemy nawet, czy gość miał świadomość, że zabił człowieka.

– Jak to?

– Mógł myśleć, że potrącił dzika lub sarnę. Na tych terenach to dość częste zjawisko. Jedziesz nocą przez las i nagle, bach! Walisz błotnikiem w przelatującego przez jezdnię warchlaka. Dobrze, jeśli to jest warchlak, a nie jeleni czy łoś. Bo wtedy może się to źle skończyć nie tylko dla niego.

– Nie zatrzymał się i nie sprawdził?

– Może nawet się zatrzymał. Ale ciało w wyniku uderzenia odleciało na wiele metrów od miejsca zdarzenia i sturlało się po skarpie do jeziora. Pewnie popatrzył, popatrzył, nic nie znalazł i odjechał. Jeśli nie miał latarki, niewiele mógł zobaczyć. Pewnie uznał, że rąbnął dzika, a ten był na tyle żywotny, że podniósł się i uciekł w las.

– No dobrze – spytała Karolina. – Tylko co ona robiła w tym lesie? Miała iść na urodziny do koleżanki. Wiesz, gdzie się odbywały?

– Tak. W mieście. Kilka ulic od jej domu.

– No właśnie. A tu nagle znajdują jej szkielet przy drodze do Ostródy. To dość daleko od miejsca, gdzie miała dotrzeć.

– Kilkanaście kilometrów.

– Kilkanaście kilometrów. Jak się tam dostała? Ktoś ją zawiózł czy sama pojechała? A jeśli tak, to czym? No i przede wszystkim: po co?

– Tego pewnie nigdy się nie dowiemy.

– Może spróbujemy.

Policjant westchnął i pokręcił głową.

– Karolina, Karolina... Ty jak zawsze chcesz mieć wszystko, i do tego natychmiast. Mówiłem ci to kiedyś i powtórzę i teraz: Tak się nie da. Policja naprawdę ma na głowie ważniejsze sprawy niż zajmowanie się wypadkiem sprzed dwudziestu lat.

– Który może mieć powiązanie z całkiem współczesnym morderstwem.

– Powiązanie moim zdaniem całkiem przypadkowe.

– Tak? A czy wiesz, że zakładnik, którego zabił Jakubiec, chodził do tego samego liceum w Olsztynie co on? I do tego samego co ta dziewczyna. Wszyscy troje byli z tego samego rocznika. Nie sądzisz, że za dużo tu trochę tych przypadkowych powiązań?

Policjant podrapał się w głowę.

– No dobrze, niech ci będzie. Porozmawiam z szefostwem, przedstawię im to tak, jak ty to widzisz. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Oparł się plecami o krzesło.

– Cholera...

– Co?

– Minęło tyle lat, a ja ciągle ci we wszystkim ulegam!

Karolina uśmiechnęła się.

– Po prostu ciągle jestem od ciebie lepsza. I mam we wszystkim rację.

– Chyba tak.

– Nie przejmuj się. – Poklepała go po przedramieniu. – Wrócisz do domu, to odpoczniesz.

– Przepraszam... – przerwał im Rozłucki. – Mam jeszcze jedno pytanie. Co z rodzicami tej dziewczyny? Żyją jeszcze? Może warto by było z nimi porozmawiać?

– Ojciec żyje – odpowiedział policjant. – To znaczy żył dwa lata temu, gdy znaleźliśmy jej szkielet. – Spojrzał jeszcze raz w papiery. – Roman Wasilewski. Pobraliśmy od niego próbkę DNA.

## ROZDZIAŁ 27

– I co, cały rok tak mieszka? – spytał.

Stali przed małym, murowanym domkiem postawionym na niewielkiej działce. Wokół wznosiły się dziesiątki, jeśli nie setki podobnych, mniejszych lub większych domków, postawionych na podobnych działkach, porośniętych drzewkami jabłoni, śliwek i czereśni oraz krzakami porzeczek i malin. Ogródki działkowe – spadek po komunizmie, miejsce, gdzie strudzeni po całym tygodniu pracy robotnicy mieli odpoczywać na łonie natury, pieląc grządki i przycinając drzewka – wciąż trzymały się nieźle.

– Tak przynajmniej twierdzi jego sąsiadka z bloku – odpowiedziała Karolina. – Słyszałeś przecież, byłeś przy tej rozmowie.

– Byłem, ale nie dowierzam.

Mały domek zaopatrzony był w kraty w oknach oraz solidny, kryty blachą dach. Ścieżka prowadząca od furtki do drzwi była porządnie uprzątnięta, wymieciona wręcz do najmniejszej drobinki pyłu.

– Od dwóch lat? – spytał Rozłucki.

– Od dwóch lat.

– Dwa lata temu znaleźli jego córkę.

– Jakoś tak.

Otworzyli furtkę i podeszli do drzwi. Karolina nacisnęła elektryczny dzwonek.

– Ma tu, widzę, wszystkie udogodnienia. Zaradny człowiek.

Po chwili drzwi otworzyły się. Wyjrzała przez nie łyśa głowa ze sterczącymi po obu stronach, przetykanymi siwizną kępami włosów.

– Czego chcecie? – Małe oczy patrzyły na nich podejrzliwie. –



Niczego nie kupuję, nic mi nie potrzeba.

– My nie w tej sprawie – odpowiedziała Karolina. – Chcielibyśmy porozmawiać.

– Boga też nie szukam, jeśli o to wam chodzi. Nie jest mi do niczego potrzebny.

– Jesteśmy dziennikarzami. Piszemy reportaże. Chcielibyśmy pomówić z panem o Dariuszu Jakubcu. I o pańskiej córce. Zadzwonilibyśmy wcześniej, ale podobno nie ma pan telefonu.

– A na co mi telefon? Nikt do mnie nie dzwoni. Przynajmniej nikt, z kim chciałbym rozmawiać.

– To jak, wpuści nas pan?

– Dajecie stówę, wchodzicie.

– W porządku.

Weszli do budynku. W małym, jednoizbowym domku było nad podziw czysto.

– Ściągać buty – powiedział mężczyzna. – Tu nie dworzec. Chyba nie chcecie mi nanieść całego tego brudu do środka.

Posłusznie zdjęli buty i zostawili je w małym przedsionku. Mężczyzna wskazał im przykrytą kocem wersalkę. Obok na szafce stał stary telewizor.

– Tu siadajcie – polecił. – I niczego mi nie dotykać.

Mężczyzna był lekko przygarbiony, lecz sprawiał wrażenie zdrowego i silnego. Usiadł naprzeciwko nich na krześle.

– Niczego wam nie zaproponuję, bo niewiele mam – powiedział. – Żyję tu, jak widzicie, dosyć skromnie. Herbatę mam, ale tylko dla siebie. To nie restauracja.

Żyłaste dłonie oparł o kolana. Rozłucki miał dziwne wrażenie, że jeszcze chwila i się na nich rzuci.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pańskiej córce – zaczęła Karolina.

– Nie mam na ten temat nic do powiedzenia – przerwał jej. – To temat zamknięty. Dwadzieścia lat to wystarczająco dużo czasu, by przeboleć stratę i wystarczająco dużo czasu, by wypłakać wszystkie łzy. Jeśli chce się żyć, trzeba umieć być silnym, trzeba umieć zapomnieć. Moja żona tego nie potrafiła i gdzie jest teraz? Na cmentarzu, tam gdzie Justyna. Ja póki co nie mam zamiaru do nich dołączać. Sprawa jest, powtarzam, zamknięta.

– Byliśmy na tym cmentarzu – powiedział Rozłucki. – Widzieliśmy grób pana córki. Dba pan o niego...

– Kto, ja? Nie byłem tam od pogrzebu.

– Grób jest zamieciony, stoją na nim sztuczne kwiaty, pali się znicz...

– Może administracja cmentarza robi coś takiego, na pewno nie ja. Ja zapomniałem i nie mam zamiaru sobie przypominać. Trzeba żyć, a nie rozpaczać. Już piętnaście lat temu spakowałem jej wszystkie rzeczy w kartony i wyniosłem do piwnicy. Ile się moja żona wtedy napłakała, myślałem, że jej się w głowie pomiesza. Ale tak trzeba było zrobić.

– Są tam jeszcze te rzeczy? – spytała Karolina. – Moglibyśmy je obejrzyć?

– Możecie je sobie nawet wziąć. Powiniennem je być od razu wyrzucić na śmietnik, a nie znosić do piwnicy. Może wtedy moja żona... – Głos mu się lekko zachwiał. – Schodziła potem do tej piwnicy, wiem o tym. Zakazywałem jej tego, ale ona schodziła. Aż w końcu zeszła jeszcze głębiej.

Zamilkł, a przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny skurcz. Po chwili jednak mięśnie z powrotem ściągnęły się i powrócił na nią dawny zacięty wyraz.

– Jeszcze coś? – spytał.

– Dariusz Jakubiec – powiedziała Karolina. – Podobno spotykał się z pana córką.

– Spotykał się albo i nie spotykał. Nie za dużo już nam wtedy opowiadała. Bardzo zhardziała przez ostatni rok. Wszystko wiedziała lepiej, a my byliśmy starzy i głupi. I nic nie rozumieliśmy.

– Ale coś tam pan słyszał?

– Coś tam słyszałem. Mówiliśmy jej, że on nie dla niej. Że tatuś adwokat krzywo patrzy na takich prostych ludzi jak my. Ale co ją obchodziło nasze gadanie.

– Dobrze się między nimi układało? – spytał Rozłucki.

– A skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy? A bo mi się ona zwierzała?

– Podobno opuściła się w nauce.

– To przez niego.

– Przez niego?

– Dawał jej prezenty, perfumy jakieś. W całym domu tym śmierdziało. Zawracał w głowie. Ale jak tatuś tupnął nogą, od razu wrócił. I poszedł do tej rasowej suczki, którą mu przyprowadzili.

– Pana córka bardzo to przeżyła?

– Nie wiem. Chyba. Musicie mnie pytać o takie rzeczy?

– Wie pan, że Dariusz Jakubiec nie żyje?

– Wiem. Widziałem.

– Widział pan?

– W telewizorze. Często oglądam. Co mam tu innego do roboty? Akurat był włączony.

– I co pan pomyślał?

– Że dobrze tak skurwysynowi.

– Myśli pan, że miało to związek z tym, co się przydarzyło pana

córcę?

– Że go sumienie ruszyło? Po dwudziestu latach? Wolne żarty. Tacy jak on nie mają sumienia. Zresztą ja nie o nim.

– A o kim?

– O starym. O tym skurwysynie myślałem. Że po dwudziestu latach doświadczy tego, co ja i moja żona. Nawet do niego zadzwoniłem. Kupiłem kartę telefoniczną za dwadzieścia złotych, znalazłem numer w książce telefonicznej na poczcie i zadzwoniłem. Chciałem sprawdzić, czy usłyszę w jego głosie taką samą drewnianą rozpacz, jaka była w głosie mojej żony, zanim umarła. Ale nie. Nic takiego nie usłyszałem. Głos miał spokojny. Zawsze był bardzo opanowany.

– Dlaczego go pan tak nienawidzi?

– Bo to przez niego.

– Przez niego zginęła pana córka?

– Przez niego i tego jego synalka. Ale bardziej przez niego.

– Jak pan myśli, co się wtedy wydarzyło?

– A skąd ja mam wiedzieć? Policja nie wie, a ja mam wiedzieć? Przesłuchiwali go przecież. Ale tatuś powiedział, że przez cały wieczór był z rodzicami w domu. Słowo pana adwokata wystarczyło.

– Myśli pan, że to nieprawda? Że pana córka się z nim spotkała? Przecież miała iść do koleżanki.

– Do koleżanki. Do koleżanki by się tak nie ubierała.

– Szła na imprezę. Dziewczyny ubierają się ładnie na imprezy.

– Ale nie tak.

– Jak?

– Tak. I jeszcze te perfumy.

– Jakie perfumy?

– Dostała od niego. Mówiła, że cały miesiąc musiałbym na nie

pracować.

Mężczyzna potarł dłońmi swoje uda.

– Idźcie już – powiedział.

– Mielibyśmy jeszcze kilka pytań – powiedziała Karolina.

– Idźcie. Dla mnie to już dosyć. Dajcie tę stówę i idźcie. Przez was znów będę musiał się napić.

– Ma pan tu gdzieś obok sklep? – zainteresował się Rozłucki. – Nie widzieliśmy nic takiego po drodze.

– Kilkanaście domków w tamtą stronę – mężczyzna wskazał gdzieś brodą – mam sąsiada. Pędzi bimber w piwnicy.

– W tych domkach są piwnice? – zdziwił się Rozłucki.

– W niektórych są, w innych nie ma – odpowiedział mężczyzna.

Karolina odsunęła stopą leżący na podłodze chodnik. Pod spodem była sporych rozmiarów drewniana klapa z metalowym kółkiem do podnoszenia.

– Moja babcia miała taką piwniczkę – powiedziała. – Świetna do przechowywania przetworów. Ani za zimno, ani za gorąco.

– Mówiłem, żebyście niczego tu nie ruszali! Idźcie już, do cholery! Koniec wizyty!

Mężczyzna zerwał się na równe nogi i ruszył w ich stronę.

Wstali pośpiesznie i wyszli do przedsionka.

– A co z tymi rzeczami pana córki? Moglibyśmy je obejrzeć? – spytała Karolina.

– Nie wiem. Może. Nie teraz. Idźcie już.

– To kiedy? Jutro?

– Nie wiem. I tak są w bloku. Nie bywam tam za często.

– Zawieziemy pana i odwieziemy. I zapłacimy, jak będzie trzeba.

– Nie wiem. Przyjdźcie pojutrze. Idźcie już.

Prawie wypchnął ich ze swojego domku.

Gdy byli już na zewnątrz, Karolina spytała:

– I co o nim sądzisz?

– Biedny facet – odpowiedział Rozłucki.

– Biedny? O mało nas nie pobił.

– Ciesz się, że nie dostałaś maczeta. Stała za telewizorem.

– Po co mu maczeta?

– Nie wiem. Jak się mieszka samemu na takim odludziu, pewnie warto mieć pod ręką kawałek ostrego żelastwa.

Wyszli przez furtkę i ruszyli alejką między działkami w kierunku samochodu.

– Dziwny człowiek – powiedziała Karolina.

– Nieszczęśliwy. Tylko wydaje mu się, że sobie z tym poradził, że zapomniał. Jest cały jak zaciśnięta pięść. Musi taki być, żeby się nie rozsypać. Wygonił nas, bo nasze pytania obudziły w nim uczucia, które już dawno wyparł. Nie potrafił tego wytrzymać. Przydałaby mu się terapia. Na początek musiałby przyznać sam przed sobą, że wciąż cierpi. Może wówczas nie musiałby tyle pić.

– Jest alkoholikiem? Skąd wiesz?

– Znam kogoś w podobnej sytuacji.

## ROZDZIAŁ 28

– Jak hotel? – spytała, gdy już wszedł do samochodu.

– Jak to hotel. Pluskwy mnie nie pogryzły, pościel była czysta, niewiele więcej mi potrzeba.

Wrzuciła jedynekę i ruszyła.

– Mają tu centrum fitness, siłownię i basen. Nie skorzystałeś? – spytała.

– Popływałem trochę wieczorem. Pływanie to jedyna forma aktywności fizycznej, na którą jestem w stanie się zgodzić. A tobie jak minął wieczór?

– Tłumaczyłam mamie, dlaczego jeszcze nie mam męża i dzieci.

– A dlaczego nie masz?

Wzruszyła ramionami.

– Bo w mojej pracy spotykam albo egocentrycznych snobów, albo zaburzonych popierdoleńców.

– Do której kategorii ja należę?

– Nie wiem. Ty mi powiedz. Jesteś w końcu specjalistą.

Zastanowił się.

– Egocentryczny, zaburzony popierdoleniec. W największym skrócie.

– Przynajmniej nie jesteś snobem.

– Przynajmniej.

Skęcili w lewo, potem w prawo, przejechali rondo i wjechali na wiadukt nad torami.

– Gdzie jedziemy? – spytał.

– Na północ. Droga na Kaliningrad.

– Dzwoniłaś do niego?

– Tak. Bardzo chętnie nas przyjmie. Sprawiał wrażenie, jakby przez całe życie czekał, aż przyjadą do niego dziennikarze i zrobią z nim wywiad.

– Egocentryczny snob?

– Raczej tak. Z nieoperacyjnym przerostem poczucia własnej wartości.

Minęli jeszcze dwa światła i jedno rondo i wjechali w las.

– No, no – powiedział. – A jeszcze pięć minut temu byliśmy w centrum.

– Takie jest to miasto. W którą stronę byś nie pojechał, po paru minutach dojedziesz do lasu lub do jeziora.

– Czyżbym wyczuwał patriotyzm lokalny?

– To w tych rejonach choroba endemiczna.

Dojechali do mostu. Tuż za nim Karolina włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo. Mała dróżka doprowadziła ich do wielkiego domu stojącego na skarpie nad rzeką.

– Imponujące – powiedział. – I miejsce, i budynek.

Dom zbudowano w stylu, który dwadzieścia lat temu musiał być bardzo nowoczesny. Przykryty był dużym, spadzistym dachem, którego dwie połacie spływały po obu stronach domu pod różnymi kątami. W krótszej, bardziej stromej jego części wycięte były ogromne okna z widokiem na rzekę.

Dom jednak lata świetności miał już za sobą. Elewacja była brudna i poszarzała. Ogród wokół, choć trudno by go było nazwać zapuszczonym, sprawiał wrażenie zaniedbanego. Gdzieś widać było stosy płytek, które odpadły z podmurówki.

Zaparkowali samochód przed bramą. Droga, która tu prowadziła, była na tyle wąska, że zatarasowali w ten sposób jedyny wjazd na



posesję. Wysiedli z samochodu. Dzwonek przy furtce był zepsuty. Całe szczęście furtka nie była zamknięta. Weszli.

Gospodarz musiał widzieć przez okno, jak podjeżdżają, bo otworzył drzwi, zanim jeszcze zdążyli do nich podejść. Był to niski, szczupły mężczyzna koło siedemdziesiątki, raczej żyłasty niż chudy. Jego twarz sprawiała wrażenie nadmiernie umięśnionej. Jeśli o kimś można było powiedzieć, że dobrze się trzyma, to na pewno o nim.

– Serdecznie witam państwa dziennikarzy! – powiedział, trawestując w ten sposób, trudno powiedzieć, czy świadomie, słowa znanej piosenki. – Olgierd Jakubiec. Witam w moich skromnych progach.

Uścisnęli sobie dłonie i weszli. Przedpokój domu był ciemny, wyłożony do dwóch trzecich wysokości ścian poczerniałą ze starości boazerią. Tuż nad jej krawędzią wisiał rząd sarnich poroży przyklejonych wraz z górną częścią czaszki do małych deseczek w kształcie herbowych tarczy.

– Poluje pan? – spytał Rozłucki.

– Nie – zaśmiał się Jakubiec. – Kupiłem te trofea dawno temu. Wydawało mi się, że będą dobrze tu wyglądać. Nadają mojej willi charakter dworku myśliwskiego. W końcu jesteśmy w lesie, prawda?

Weszli dalej. Gospodarz zaprosił ich do salonu, dużego pomieszczenia z oknami wychodzącymi na rzekę. Także i tu było dość ciemno. Meble z czarnego, udającego mahoń, rzeźbionego drewna i brązowa, skórzana kanapa z dwoma ogromnymi fotelami stojące na zszarzałym, pseudoperskim dywanie tylko pogarszały sprawę.

Usiedli na wskazanej im przez Jakubca kanapie, naprzeciwko marmurowego, otwartego kominka. Na niskim stoliku przed nią leżały już ciasteczka na srebrnej tacy i owoce w paterze.

– Kawy, herbaty? – spytał Jakubiec. – Może czegoś mocniejszego?

– Poproszę kawę – powiedział Rozłucki, myśląc, że bez niej zaraz tu zaśnie. – Czarną, bez cukru. Najlepiej espresso.

– Niestety nie mamy tu takich nowoczesnych urządzeń, żona parzy kawę tradycyjnie, w dzbanku. Taka jest moim zdaniem najlepsza.

– Może być – odpowiedział Rozłucki.

– A dla pani?

– Wystarczy woda.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w pokoju zjawiała się żona Jakubca, sześćdziesięcioletnia na oko zadbana kobieta o smutnym, jakby zgaszonym spojrzeniu. Przywitała się z nimi i postawiła na stoliku dużą, metalową tacę. Stał na niej dzbanek z kawą, karafka z wodą, cukiernica, dzbaneczek ze śmietanką, filizanki i szklanki.

– Dziękuję, kochanie – powiedział Jakubiec tonem, w którym więcej było lekceważenia niż serdeczności. Kobieta wyszła.

„Ciekawe, co by było, gdybym zamówił herbatę?”, pomyślał Rozłucki.

„Czy dzbanek z nią też już stoi przygotowany w kuchni? A może nasz gospodarz był na tyle pewny, że poprosimy o kawę, że kazał zaparzyć tylko ją?”

Nalał sobie kawy i rozejrzał się po salonie. Na jego ścianach wisiały kolejne trofea: meksykańskie sombrero, kowbojski kapelusz, zestaw trzech japońskich mieczy na drewnianym, przytwierdzonym do ściany uchwycie, do tego jakieś stare bagnety i szable. I dwie nienajlepszej jakości repliki pistoletów skałkowych.

– To też pan kupił? – spytał, wskazując na afrykańską maskę.

– Nie, to akurat przywiozłem. Trochę się podróżowało w dawnych czasach. Azja, Afryka, Ameryka Południowa. Byliśmy z żoną prawdziwymi globtroterami. Pozwolicie państwo, że naleję sobie

małego drinka?

Nie czekając na zgodę, Jakubiec wstał i podszedł do dużej rzeźbionej komody, która okazała się barkiem. Otworzył drzwiczki i nalał sobie whisky. Czerwonego Johnny Walkera, jak zauważył Rozłucki. Kolejny emblemat luksusu z dawnych lat, obecnie dostępny niemal w każdym wiejskim sklepie. Rozłucki mimowolnie wzdrygnął się. Nie wypiłby tego świństwa, nawet gdyby alternatywą była dożywotnia abstynencja.

– To o co mnie chcieli państwo spytać? – z łaskawym uśmiechem zagaił Jakubiec, gdy już usiadł z powrotem w fotelu z ciężką, kryształową szklanką w ręku. Na jednym z palców dłoni obejmującej szkło błyszczał duży, złoty sygnet z herbem. Taki sam herb widniał, jak zauważył Rozłucki, na rzeźbionych drzwiczkach barku.

– O pana syna, Dariusza. O to, co zrobił. Czy było to dla pana zaskoczeniem?

Jakubiec zachnął się.

– Zawsze był nieudany – powiedział z ledwo skrywaną pogardą. – Od dziecka musiałem go ciągnąć za uszy, wybawiać z kłopotów. Czekala na niego kancelaria, najlepsza w mieście. Obsługiwaliśmy największe olsztyńskie firmy. Inni adwokaci nie dorastali nam nawet do pięt. Ale ten kretyń postanowił wszystko zepsuć. Nawet studiów nie skończył.

„Ani śladu rozpaczy”, pomyślał Rozłucki. „Tak, jak powiedział ojciec dziewczyny”.

– Jednak pana synowi w końcu się powiodło – zauważyła Karolina. – Rozkręcił firmę, zdaje się, że dobrze mu szło.

– A tam, firmę... – Jakubiec machnął ręką. – Gdyby nie ja i jego świętej pamięci teść, nie byłoby żadnej firmy. Jak pani myśli, jak zdobył pierwsze zamówienia? Z nieba mu spadły? Jak się ma kontakty,

to ma się wszystko. Ja je miałem. Wyrobite przez dziesięciolecia. Wychodzone, wysiedziane przy wódce. Znałem najważniejszych ludzi w Olsztynie – dyrektorów, sekretarzy, biskupów. I nie tylko w Olsztynie. Gdybym państwu powiedział, z kim byłem na „ty”, nie uwierzylibyście. Mógł to odziedziczyć, zarobić naprawdę duże pieniądze. Teraz możliwości są większe niż za moich czasów. Wszystko bym mu pokazał, pomógł na początek, poznał z kim trzeba. Ale nie. Zmarnował wszystko. Teraz kancelarię przejął mój zięć, ale to też debil. Wszystko wie najlepiej, a tak naprawdę nic nie wie. Zapięty pod szyję, sztywny, myśli od paragrafu do paragrafu. A z ludźmi trzeba umieć rozmawiać, skracać dystans. Pójść na rękę, jak trzeba. Nie bać się wyjść za linię.

– Wróćmy do pana syna – powiedziała Karolina. – Jak pan myśli, co mogło go popchnąć do tak desperackiego czynu?

– Skąd mam niby wiedzieć? Pewnie mu się w głowie poprzestawiało. Zawsze był słaby, chwiejny. Próbowałem nauczyć go, jak być twardym, jak nie dać się powodować emocjom. Nie udało się. Ewolucja eliminuje takie osobniki.

– Nie jest go panu żal? – spytał ze zdziwieniem Rozłucki. – Własnego syna?

– Jedyne, czego mi żal, to czasu zmarnowanego na jego wychowywanie. I energii, którą poświęciłem, żeby spróbować zrobić z niego człowieka. To były najlepsze lata mojego życia. Nikt mi ich już nie zwróci.

– Chcielibyśmy zapytać pana o jeszcze coś – powiedziała Karolina. – O Justynę Wasilewską. Zaginęła dwadzieścia lat temu. Podobno spotykała się z pana synem. Był nawet przesłuchiwany w związku z tą sprawą. Pamięta pan to wydarzenie?

Twarz Jakubca ściągnęła się. Nie był zadowolony z tego pytania.

– Tak, pamiętam. Ale nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem wtedy policji.

– Mógłby nam pan to powtórzyć?

– Minęło, moja droga, dwadzieścia lat. Pamięć ludzka jest zawodna.

Nie chciałbym niczego przekreślić. Znacznie bardziej wiarygodne jest to, co powiedziałem podczas przesłuchania.

– Zeznał pan wtedy, że pana syn był przez cały ten wieczór z państwem w domu. To prawda?

– Oczywiście. Dlaczego miałbym kłamać? – Jakubiec był coraz bardziej zirytowany.

– Na przykład, żeby coś ukryć.

– Młoda kobieto – przybrał protekcyjny, pełen wyższości ton – polskie prawo zezwala na odmowę składania zeznań w sytuacji, gdy sprawa dotyczy członków najbliższej rodziny. Gdybym miał coś do ukrycia, mógłbym skorzystać z tego prawa. Nie zrobiłem tego. Wykazałem dobrą wolę.

– Teraz też pan ją wykazuje?

– Tak. Z trudem, ale tak. Mają państwo jeszcze jakieś pytania?

– Jak pan myśli – przejął pałeczkę Rozłucki – czy tamto zaginięcie może mieć jakiś związek z tym, co ostatnio zrobił pana syn?

– A niby jakie? Mógłby mi pan to łaskawie wyjaśnić?

– Może wydarzenia, które wtedy nastąpiły, tak mocno wstrząsnęły jego psychiką, że doprowadziły w konsekwencji do samobójstwa?

– To są, proszę pana, jakieś bzdurne wymysły. Minęło ponad dwadzieścia lat! Nie widzę między tymi wydarzeniami żadnego związku.

– Wie pan, że zakładnik, którego zastrzelił w telewizji pana syn, chodził do tego samego liceum, co on, i do tego w tym samym czasie?

Andrzej Lesicki. Mówi panu coś to nazwisko? – spytała Karolina.

– Nie przypominam sobie.

– Znali się wtedy?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Nie byli przyjaciółmi?

– Mówiłem pani już, że nie wiem.

– Jednak nie zaprzecza pan kategorycznie?

– Dorastający synowie nie mówią o wszystkim swoim rodzicom.

Może kiedyś będzie pani miała okazję sama się o tym przekonać.

– Słyszeliśmy, i to co najmniej z dwóch źródeł, że był pan przeciwny związkowi pana syna i Justyny Wasilewskiej. I że to podobno pan zmusił go do zerwania. To prawda?

– Nie było żadnego związku. To była zwykła mała kurewka. Każdy mógłby ją mieć. Może mój syn ją przeleciał raz czy dwa, nie wiem. Ale o żadnym związku nie mogło być mowy.

– Skąd pan wie? Dorastający synowie nie mówią o wszystkim swoim rodzicom.

– Na ten temat akurat ześmy sobie dosyć dokładnie porozmawiali.

– I co mu pan wtedy powiedział?

– Żeby nie marnował sobie życia dla kogoś takiego. Jego przyszła żona właśnie wtedy zaszła z nim w ciążę. Poradziłem mu, żeby zachował się jak mężczyzna.

– I co, zachował się?

Jakubiec prychnął z lekceważeniem.

– Przynajmniej próbował.

– I nie widzi pan związku w tym, że wkrótce po zaginięciu tej dziewczyny pana syn opuścił się w nauce, w konsekwencji czego nie dostał się na studia prawnicze?

– Moim zdaniem, jeśli w ogóle to panią interesuje, bo widzę, że ma pani na ten temat już wyrobione zdanie, związane to było raczej z ówczesną ciążą jego żony. Sytuacja po prostu go przerosła. Jak zwykle zresztą. Mi ciąża mojej żony nie przeszkodziła jakoś w zrobieniu aplikacji adwokackiej.

– Czyli nie ma pan sobie nic do zarzucenia?

– Jestem przesłuchiwany? W jakiej sprawie? Zmarnowania życia mojemu synowi? Jeśli chce pani wiedzieć, mój syn zmarnował sobie życie sam. Był słaby, a słabi ludzie są swoimi największymi wrogami.

– A Justyna Wasilewska? Też sama wywiozła się kilkanaście kilometrów od Olsztyna i sama potrafiła się samochodem? Wie pan, że dwa lata temu znaleziono jej szczątki?

– Drodzy państwo, widzę, że ta rozmowa zaczyna zmierzać w kierunku, który nie za bardzo mi się podoba. Insynuuje mi się tu różne rzeczy, a ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Także z żalem, bo z żalem, ale będziemy się chyba powoli żegnać.

Aby podkreślić wymowę swoich słów, wstał z kanapy.

Karolina również wstała.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała pojednawczym tonem – jeśli byłam trochę zbyt ostra. Praca dziennikarza wymaga czasem zadawania niewygodnych pytań. Gdybym tego nie robiła, do niczego bym nie doszła. Pan, jako adwokat, mam nadzieję, to rozumie. Na sali sądowej też nie zawsze był pan przecież uprzejmy, prawda?

Jakubiec popatrzył na nią uważnie, jakby zastanawiał się, jak zareagować na tę zmianę. Wyrzucić ich za drzwi, jak miał na to najwyraźniej ochotę, czy udać, że przyjmuje to za dobrą monetę. W końcu jednak jego natura starego wygi, nigdy niepalącego za sobą mostów w nadziei na przyszłe, ewentualne korzyści, zwyciężyła.

– Rozumiem – odpowiedział. – Jednak inaczej wyobrażałem sobie przebieg tego wywiadu.

– Może jeszcze kiedyś będziemy mogli go powtórzyć? – powiedziała z uśmiechem Karolina. – Na wszelki wypadek zostawiam panu swoją wizytówkę. – Podała mu kartonik. – Gdyby miał pan jeszcze coś do dodania, proszę dzwonić.

– Jak tylko sobie coś przypomnę, odezwę się. – Jakubiec wrócił do swojego poprzedniego, przyjacielskiego tonu. – Zawsze chętnie współpracowałem z mediami. Zrewanżuję się państwu swoją wizytówką. Telefon komórkowy zapisany jest z tyłu.

Podał ją Karolinie. Rozłucki rzucił na nią okiem. Niezbyt wyszukana, prosta czcionka i zszarzały papier świadczyły, że i ona pochodziła ze starych, dobrych czasów. Numer komórki był zapisany długopisem, bo gdy ją drukowano, nie było zapewne jeszcze komórek.

– A czy mogłabym przed wyjściem skorzystać z toalety? – spytała Karolina. Mówiąc to, nastąpiła Rozłuckiemu butem na stopę. Popatrzył na nią zdziwiony. Karolina jednak, zamiast cofnąć nogę, nacisnęła jeszcze bardziej.

– Oczywiście – odparł Jakubiec tonem świadczącym, że rozumie kobiece słabości. – W korytarzu drugie drzwi na lewo. Zaprowadzić panią?

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się promiennie. – Poradzę sobie.

Wychodząc, rzuciła Rozłuckiemu długie, znaczące spojrzenie. Wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi. To znaczy, tak mu się przynajmniej wydawało.

– Za to ja po namyśle chętnie bym się czegoś napił – zwrócił się do Jakubca. – Widziałem, że ma pan świetnie zaopatrzone barek. Tak się składa, że też jestem miłośnikiem whisky. Woli pan Johnnego Walkera



czy Ballantinesa?

Poczuł, jak żołądek wywraca mu się na drugą stronę.

## ROZDZIAŁ 29

Toaleta rzeczywiście była tam, gdzie mówił Jakubiec. Karolina podeszła do niej, otworzyła drzwi, po czym zamknęła je z głośnym trzaskiem. Potem starając się iść jak najciszej, ruszyła korytarzem w głąb domu. Po kilkunastu metrach znalazła to, czego szukała.

Weszła do kuchni. Przy stole, wpatrując się w skarpe za oknem, siedziała żona Jakubca.

– Przepraszam – powiedziała Karolina – szukałam toalety, ale chyba się zgubiłam.

Kobieta odwróciła powoli głowę.

– Jest wcześniej... w korytarzu...

Mówiła wolno i robiła długie pauzy. Wyglądało to tak, jakby i ona, podobnie jak jej synowa, była na środkach uspokajających.

– W zasadzie to chciałam z panią przez chwilę porozmawiać – powiedziała Karolina. – Mogę? – Wskazała drugie krzesło przy stole.

Kobieta skinęła głową. Jej spojrzenie z powrotem skierowało się ku skarpie za oknem.

Karolina usiadła. Poczowała woń alkoholu. A więc to w ten sposób znieczulała się jej gospodyni.

– Jak pani myśli, dlaczego pani syn to zrobił? – spytała. Nie miała czasu na wstępne rozmowy.

Przez twarz kobiety przebiegł skurcz. Wydawało się, że zaraz się rozplacze. Gdyby tak się stało, mogłoby to ściągnąć tu jej męża. Karolina szybko położyła dłoń na jej ręce. Żona Jakubca popatrzyła w dół na swoje przedramię. Przez chwilę przypatrywała się pierścionkowi na palcu Karoliny, potem znów odwróciła wzrok w kierunku okna. To

wystarczyło, by zatrzymać odruch płaczu. Skurcz na jej twarzy jednak pozostał.

– On tego nie chciał – powiedziała powoli. – To był dobry chłopak.

– Czego nie chciał?

Cisza.

– Wszystkiego.

Kobieta znów pogрузzyła się w odrętwieniu. Karolina wiedziała, że jeśli chce się czegoś od niej dowiedzieć, musi działać szybko. W innej sytuacji pozwoliłaby na takie długie pauzy, budowała zaufanie i lekko tylko naciskając, nieśpiesznie wyciągała interesujące ją informacje. Teraz musiała posłużyć się znacznie toporniejszymi metodami.

– Pamięta pani Justynę Wasilewską? – zaatakowała.

– Justynę? – kobieta powoli odwróciła głowę.

– Tak.

– Pamiętam. – Skinęła głową.

– Co pani o niej mówił?

– Kto?

– Pani syn.

Żona Jakubca uśmiechnęła się smutno.

– Już mi niewiele wtedy mówił.

– A gdy ją znaleźli?

– Gdzie ją znaleźli? – Wzrok kobiety z powrotem powędrował za okno.

– W jeziorze. Jej szkielet.

– A tak. Szkielet.

Znów milczenie.

– Wie pani, co się z nią stało? – spróbowała jeszcze raz Karolina.

– Zaginęła. Podobno uciekła.

– Nie zaginęła, zginęła. Nie żyje. Wie pani, jak to się stało?

– Nie żyje... A tak. Zapomniałam. Przepraszam – powiedziała, jakby chodziło o coś, co miała zrobić, ale zupełnie wyleciało jej to z głowy.

– Pamięta ją pani? – przycisnęła Karolina.

– Pamiętam. – Znowu powolne kiwnięcie. – Miała takie długie, proste włosy. Zawsze chciałam mieć takie włosy – powiedziała jakby do siebie.

– Spotykała się z pani synem?

– Z Darkiem?

– Z Darkiem.

– Przecież Darek ma żonę – odpowiedziała zdziwiona.

– Ale kiedyś, w liceum. W liceum jeszcze nie miał żony.

– Miał. Pamiętam ślub. Tuż po maturze.

– Ale jeszcze wcześniej.

– Ania była jeszcze wtedy w brzuchu – powiedziała z zamyśleniem.

Karolina zamilkła. Czuła, że to nie ma sensu. Jej rozmówczyni wpatrywała się dalej w okno. Wydawała się nawet nie mrugać. Jakby zupełnie odplynęła, zapadła się w swój wewnętrzny świat.

– A, tu pani zawędrowała! – rozległ się nagle głos Jakubca. – Łazienka jest znacznie wcześniej.

Olgierd Jakubiec stał w drzwiach do kuchni i mierzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Moja żona nie jest w najlepszej formie. Proszę zostawić ją w spokoju. Ostatnie wydarzenia mocno nadszarpnęły jej zdrowie. – Podszedł do swojej żony i położył jej dłoń na ramieniu. Kobieta lekko drgnęła.

– Chyba na państwa już czas – powiedział z naciskiem.

– Tak, oczywiście. – Karolina wstała. – Bardzo pani współczuję –

zwróciła się do kobiety. – Stracić dziecko to niewyobrażalna tragedia.

Żona Jakubca kiwnęła powoli głową, nie odrywając wzroku od miejsca, na które patrzyła. Karolina podążyła za jej spojrzeniem. Nie było utkwione, tak jak sądziła wcześniej, w skarpie za oknem. Kobieta wpatrywała się w zdjęcie. W stojące na parapecie zdjęcie młodej dziewczyny.

– To pani wnuczka? – spytała. – Ania?

– Ania – powtórzyła kobieta. – Ania...

Było w jej głosie coś takiego, że Karolina mimowolnie drgnęła.

Dopiero po chwili, wracając korytarzem, zrozumiała, co to było. „Drewniana rozpacz”, pomyślała. „W jej głosie było słycać drewnianą rozpacz”.

## ROZDZIAŁ 30

– Przepraszam – powiedział. – Nie udało mi się go dłużej zatrzymać.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Karolina. – Jego żona i tak nie była zbyt rozmowna.

– W pewnym momencie wstał nagle, chyba zrozumiał, gdzie tak naprawdę poszłaś, i wybiegł niemalże z pokoju. Zanim zdążyłem zareagować, był już w kuchni.

– Zależy mu widocznie, żeby trzymała język za zębami.

– A trzymała?

– Tak. Ale nie wszystko da się ukryć.

– Co masz na myśli?

– Na parapecie stało zdjęcie jej wnuczki. Mówiła o niej w dziwny sposób.

– Jaki?

– Jakby przepelniała ją rozpacz.

New Beetle Karoliny wyjechał właśnie z lasu i minął tablicę z napisem „Olsztyn”. Rozłucki wzruszył ramionami.

– Straciła niedawno syna. Nie znam lepszego powodu do rozpacz.

– Tak, zapewne – odpowiedziała Karolina. – I mam nadzieję, że nigdy się o tym nie przekonam, ale mam wrażenie, że jej rozpacz nie miała związku z nim.

– A z kim?

– Nie słuchałeś uważnie. Z nią. Z jej wnuczką. Ma na imię Ania.

– Z wnuczką? Dlaczego miałyby rozpaczać z powodu wnuczki?

– Nie wiem. Ale mam wrażenie, że ma to jakiś związek ze sprawą.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Na podstawie bardzo niejasnego przeczucia.

Rozłucki wyjrzał przez okno. Mijali właśnie park ze stawem i fontanną. Po chodniku, tuż przy brzegu, biegał pies. Jego pani nadaremnie usiłowała przywołać go z powrotem.

– Może śmierć ojca załamała ją – powiedział. – Samobójstwo rodzica to ogromna trauma, zwłaszcza w tym wieku. Ma się wrażenie, jakby wszystko, w co się wierzyło i czego się było pewnym, nagle wyparowało. Jakby ziemia pod nogami przestała stawiać opór stopom. Zwłaszcza dla córki samobójstwo ojca musi być strasznym przeżyciem. Może próbowała pójść w jego ślady?

Nie powinien był tego mówić. Poczuł nagle, jak fotel pasażera, na którym siedział, zapada się, jak podłoga samochodu rozmięka i wybrzusza się, a blachy karoserii nie stanowią już żadnej ochrony. Kurczowo złapał się plastikowej rączki nad drzwiami, żeby nie wypaść na asfalt.

– Myślisz, że o to chodzi? – Spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Hej, co jest? – zaniepokoiła się nagle. – Dobrze się czujesz?

– To przez tę whisky. – Próbował się uśmiechnąć. – Niech piekło pochłonie czerwonego Johnny’ego Walkera. Nigdy więcej mnie nie prosź o taką przysługę.

– Nie kazałam ci jej pić. Mogłeś wymyślić inny sposób, by go czymś zająć.

„Faktycznie, mogłem”, pomyślał. „Dlaczego wobec tego tylko to od razu przyszło mi do głowy?”

– Zatrzymać się? – spytała. – Jest akurat stacja.

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – Już mi lepiej. Ale to słodkie, że się o mnie martwisz.

– Nie tyle o ciebie, co o swoją tapicerkę. Wyglądałeś, jakbyś miał za

chwilę zwymiotować.

– No, popatrz. A ja już ci się chciałem oświadczyć.

Puściła to mimo uszu, a on natychmiast pożałował, że to powiedział. To miał być żart, lecz przecież aż nazbyt dobrze wiedział, że żarty bywają często bezpiecznym sposobem na powiedzenie prawdy. Zwłaszcza takiej, do której sami nie chcemy się przyznać. Czyżby się w niej zadurzył? Nie byłoby w tym nic dziwnego, nie jest łatwo dorosłemu, wygłodniałemu mężczyźnie przebywać w towarzystwie takiej kobiety jak ona i udawać, że traktuje się ją tylko i wyłącznie jak koleżankę z pracy. Jedno jest w każdym razie pewne: nie powinno się pić przed południem, a już zwłaszcza takiego dziadostwa.

– Wiesz co? – powiedział, żeby zatrzeć trochę tamto wrażenie. – Za to chętnie bym coś przekąsił. Spałem za długo i przegapiłem śniadanie w hotelu.

– Niezły pomysł – odpowiedziała. – Ja z kolei zjadłam swoje dość wcześnie i już jestem głodna. Pokażę ci przy okazji fajne miejsce. I tak zresztą musimy wszystko przegadać.

\*

Miejsce rzeczywiście było ładne. Restauracja położona na brzegu dużego jeziora, zbudowana w ten sposób, że jej spora część wznosiła się na palach nad jego wodami. Przez okrągłe wizjery w podłodze widać było wodę.

Usiedli na tarasie przy stoliku z widokiem na jezioro. W oddali, po jej drugiej stronie widać było zieloną linię lasu. Minęła dwunasta i restauracja została dopiero co otwarta, byli więc jedynymi gośćmi. Kelner w białej koszuli i czarnym, przewiązanym w pasie fartuchu



podał im karty.

– Polecam tatar z łososia – powiedziała Karolina. – Najlepszy, jaki jadłam.

– To poproszę – zwrócił się do kelnera. – I podwójne espresso.

– Dla mnie też tatar. I dla odmiany duża latte na odtłuszczonym mleku.

Kelner odszedł przekazać zamówienie.

– Widzę, że nie zasmakowała ci kawa u Jakubca – stwierdziła z uśmiechem Karolina. – Najlepsza, jego zdaniem.

– Jak dla mnie była zbyt słaba. Lubię rzeczy mocne i intensywne w smaku. Espresso, whisky, anchois, kapary. Mam dość wysoki próg wzbudzenia. Potrzebuję mocnych bodźców, żeby coś w ogóle poczuć.

– Prawdziwy twardziel z ciebie, co?

– Albo nudziarz. Dobrze działałam w sytuacji silnego stresu, w normalnych okolicznościach jestem ospały i rozlazły.

– A co sądzisz o nim? Skoro już jesteśmy przy charakterystykach.

– O Jakubcu? Niezbyt przyjemny człowiek. Klasyczny przypadek kompleksu niższości połączonego z manią wielkości. Wszystkimi gardzi i uważa ich za gorszych od siebie, a jednocześnie ma wrażenie, że knują i wyśmiewają się z niego za jego plecami. Dlatego ich nienawidzi. Tacy ludzie są ogromnie ambitni i potrafią być bezwzględni. Osiągają wiele, lecz nigdy nie są zadowoleni. Widziałaś jego sygnet?

– Tak, zauważyłam. Dość duży.

– Jest na nim herb. Taki sam jest też na drzwiach od barku, nad kominkiem i w kilku innych miejscach. Jakubiec to nie jest szlacheckie nazwisko. To wręcz bardzo nieszlacheckie nazwisko. Spytałem go o ten herb.

– I co?

– Wynajął historyka z miejscowego uniwersytetu, żeby odnalazł jego korzenie. I ten historyk odkrył, że jakiś jego prapradziadek ze strony matki był podobno szlachcicem. Herbu Leliwa. I ten herb jest teraz wszędzie w jego domu. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał go wyhaftowanego na majtkach.

– A jego żona?

– Zdominowana i stłamszona. Jest pierwszym buforem między nim a światem, dlatego musi rekompensować mu jego wieczne poczucie krzywdy i pielęgnować poczucie wyższości. Wyżywa się na niej, gdy ktoś, jego zdaniem, nie okaże mu należytego szacunku, a jednocześnie wymaga stałego, bezwarunkowego podziwu. Wybrała sobie ciężki kawałek chleba. Nie wiem, czy ten dom i te niegdysiejsze podróże są wystarczającą zapłatą za takie życie.

– Ich syn też musiał mieć ciężkie życie.

– Niewątpliwie. Dorastanie w takim domu to, moim zdaniem, wystarczający powód do podjęcia terapii.

– Uważasz, że mogło go to doprowadzić w jakiś sposób do tego, co zrobił?

– Z tym byłbym ostrożny. Wielu ludzi dorasta w takich dysfunkcyjnych domach, w podobnych toksycznych rodzinach, jednak stosunkowo mała część z nich zostaje mordercami, że już nie wspomnę o tym, co zrobił nasz zamachowiec. To tak jak z katastrofami lotniczymi – jedna przyczyna zazwyczaj nie wystarczy, jeden błąd uchodzi zwykle na sucho, potrzebny jest nieszczęśliwy splot wielu czynników.

– A jeśli dodamy do tego tamto zaginięcie?

– To już się wydaje bardziej prawdopodobne. Coś mi tu jednak ciągle nie gra...

– Co?

– Ewentualne przyczyny dzieli od skutku ponad dwadzieścia lat. To trochę za dużo. Nawet jeśli przyjąć, że traumatyczne dzieciństwo połączone z równie traumatyczną utratą pierwszej, młodszej miłości stworzyły razem wybuchową mieszankę zdolną wysadzić w powietrze życie Dariusza Jakubca, to potrzebny jest jeszcze jakiś zapalnik, jakiś lont podpalony dwadzieścia lat później.

– Odnalezienie zwłok tej dziewczyny nie wystarczy?

– Trudno mi to wytłumaczyć, ale wydaje mi się, że nie. Jeśli prawdą jest to, co mówią o nim wszyscy, że był to normalny, zwyczajny człowiek z uregulowanym życiem rodzinnym i stabilną sytuacją zawodową, to moim zdaniem powinien już dawno przepracować tamto zaginięcie, zapomnieć o nim. Odkrycie zwłok jego dawnej miłości mogło w takiej sytuacji wywołać w nim wstrząs, ale raczej krótkotrwały, a już na pewno nie doprowadziłby on do takiego tragicznego załamania. Mogę się oczywiście mylić, każdy człowiek jest inny, ale intuicja mówi mi, że nie. Musiało być coś jeszcze.

– Ale co?

– Nie wiem. Zakładnik, którego zabił Jakubiec, chodził do tego samego liceum, jego córka też ma na imię Justyna. To oczywiście może być przypadek, ale równie dobrze jakiś trop.

Przerwał, gdyż kelner przyniósł właśnie ich kawy i dwie porcje tatara.

– Czyli co? Jemy i jedziemy – powiedziała Karolina.

– Dokąd?

– Do Warszawy. Musimy porozmawiać z żoną zakładnika. Co ty na to?

– Czemu nie? Nie mamy chyba lepszego planu.

## ROZDZIAŁ 31

Andrzej Lesicki, gdy jeszcze żył, mieszkał znacznie skromniej niż jego późniejszy morderca. Ciasny segment z lat osiemdziesiątych, ściśnięty w szeregu z innymi podobnymi budynkami stojącymi przy niemiłosiernie wąskiej uliczce, którą zapewne tylko z wielkim trudem przejeżdżała śmieciarka, położonej w jednej z mniej prestiżowych dzielnic Warszawy – jak na zwykłego pracownika telewizji, było to i tak chyba nieźle. Elewacja z przybrudzonego miejskim kurzem baranka i dach z czerwonej blachy, z której już dawno odpadła większość farby, oraz niezamieciony chodnik przed wejściem – świadectwo tego, że w tym domu nie ma już gospodarza – dopełniały przygnębiającego obrazu.

Wysiedli z samochodu. Karolina przez całą prawie drogę z Olsztyna rozmawiała przez telefon. Dzwoniła do znajomych, uruchamiała kontakty, na marginesie pogaduszek o dzieciach, wakacjach i zakupach zadawała interesujące ją pytania. Rozłucki patrzył na to oniemiały z bocznego siedzenia nie największego przecież volkswagena New Beetle pędzącego po nie najbezpieczniejszej w końcu krajowej siódemce. Przerażony wizją śmierci w wypadku, posunął się nawet do propozycji poprowadzenia samochodu, na co Karolina odpowiedziała niecierpliwym machnięciem ręki, zajęta akurat kolejną rozmową. Wreszcie, już po przejechaniu mostu na Wiśle, otrzymała SMS z adresem Lesickiego. I oto teraz stali przed jego domem.

Rozłuckiemu jeszcze trochę kręciło się w głowie.

– Nie łatwiej było sprawdzić adres w książce telefonicznej? – przyszło mu nagle do głowy.

– Nie ma go w żadnej książce telefonicznej dostępnej w internecie – odpowiedziała Karolina. – Prawdopodobnie zastrzegł swój numer. Podobnie zresztą jak numer telefonu komórkowego. To dosyć powszechne wśród pracowników telewizji. Rozumiem, jeśli robi to jakiś prezenter, ale ktoś taki? Zwykły techniczny z obsługi planu?

– Może się przed kimś ukrywał?

– Jasne. Przed włoską mafią.

Otworzyła furtkę. Schody prowadzące do wejścia pokryte były naniesionym na butach brudem i przywianymi przez wiatr śmieciami. Ze skrzynki na listy wylewały się dawno niewyjmowane gazetki reklamowe supermarketów, ulotki i rachunki.

– Depresja – powiedział Rozłucki. – To jeden z jej objawów. Człowiek przestaje dbać o siebie i swoje otoczenie.

Weszli po schodach, Karolina zadzwoniła do drzwi.

– A co, jeśli nie ma jej w domu? – spytał.

– A gdzie ma być? Nie była w pracy od pogrzebu męża. Wzięła urlop. Dzwoniłam tam. Gdybyś tak głośno nie trząś portkami, może byś usłyszał.

Nacisnęła ponownie dzwonek. Po trzecim albo czwartym razie dało się słyszeć dźwięk odsuwanej zasuwki.

Kobieta, która im otworzyła, ledwo przypominała tę, którą Rozłucki widział na pogrzebie Lesickiego. Włosy w nieładzie, podkrążone oczy, brak makijażu i wymięte, nieświeże ubranie – trudno było o bardziej przekonujący obraz żałoby.

– Tak? – spytała ochryplym, odwykłym w ciągu ostatnich paru dni od mówienia głosem.

– Dzień dobry – powiedziała Karolina. – Jesteśmy dziennikarzami. Moglibyśmy z panią przez chwilę porozmawiać?

– O czym? – spytała.

– O pani mężu. Piszemy reportaż o tym, co się stało. Próbujemy zrozumieć, dlaczego do tego doszło. Wierzmy, że mogłaby pani nam w tym pomóc.

– Zrozumieć? – Popatrzyła na Karolinę pustym wzrokiem. – Powodzenia.

Zaczęła zamykać drzwi.

– Chwileczkę! – Rozłucki dłonią przytrzymał drzwi. – Proszę chwilę poczekać. Źle nas pani oceniła. Nie szukamy sensacji. Byliśmy tam wtedy. Byliśmy w studio, gdy to się stało. Widzieliśmy, jak zginął pani mąż. Także i dla nas było to straszne przeżycie. Nie takie jak dla pani, ale proszę mi wierzyć, śni nam się to po nocach. Próbujemy poradzić sobie z tym, dlatego chcemy zrozumieć, jak do tego doszło. Może nam pani pomóc, a przy okazji sobie. Pani też potrzebuje tej rozmowy. Jestem psychologiem i terapeutą, może mi pani zaufać. Proszę mi pozwolić z sobą porozmawiać.

Kobieta powoli, dopiero pod koniec jego przemowy, przeniosła na niego wzrok. Z trudem wytrzymał to spojrzenie.

– Był pan tam wtedy? – spytała.

– Tak. Oboje byliśmy.

– Może mi pan opisać, jak zginął? Nikt nie chce mi nic powiedzieć.

Rozłucki wziął głęboki oddech. Przypomniał sobie widok eksplodującej od kuli czaszki i zachlapany krwią ekran.

– Z godnością – powiedział. – I odwagą. Jakby wiedział, że zginie, i godził się na to.

Pokiwała głową.

– To był dobry człowiek – powiedziała. – Narzekałam, że był leniwy, a dopiero teraz widzę, ile rzeczy robił w naszym domu. Dopiero teraz,

gdy sama muszę je robić.

Zamknęła mu drzwi przed nosem.

Zeszli po schodach. Stanęli na pokrytej betonową kostką ulicy.

– I co teraz? – spytała Karolina.

– Nic – odpowiedział. – Znowu to samo. Osoby, które mogą wiedzieć najwięcej, najmniej mają ochotę mówić. Może to być spowodowane szokiem i rozpaczą, a może czymś innym.

Rozejrzał się po ulicy. Po jej drugiej stronie wznosił się szereg takich samych domków jak ten, w którym mieszkała żona Lesickiego. Firanka w jednym oknie, dokładnie naprzeciwko nich, poruszyła się.

– Czyli co? Dupa – podsumowała z rezygnacją Karolina.

– Niekoniecznie – odpowiedział, wpatrując się wciąż w firankę. – Skoro nie możemy porozmawiać z tymi, którzy wiedzą najwięcej, trzeba porozmawiać z tymi, którzy wiedzą mniej, ale za to nie brak im ochoty do dzielenia się swoją wiedzą. Okno na pierwszym piętrze, naprzeciwko nas. – Wskazał jej kierunek głową.

Spojrzała w tamtą stronę.

– Sąsiadka. Przygląda nam się w tej chwili. Jest w domu o tej porze, czyli nie pracuje. Może jest na emeryturze, a może jest gospodynią domową. Jedno jest pewne – nudzi się. I założę się, że wie o wszystkim, co się dzieje na tej ulicy. Oraz że nie ma komu tych informacji przekazać. Gdy jej powiesz, że jesteś z telewizji, oszaleje z zachwytu. Idziemy?

– Idziemy.

Podeszli do furtki domku naprzeciwko. Wcisnęli przycisk domofonu.

– Tak, słucham? – rozległ się kobiecy głos. Nawet przez głośnik słyhać było, jak drży z podniecenia.

– Dzień dobry pani – powiedział Rozłucki. – Jesteśmy dziennikarzami, robimy reportaż o tych strasznych wydarzeniach, które rozegrały się ostatnio w telewizji. Chcielibyśmy porozmawiać o Andrzeju Lesickim, o tym, jaki był, jak zapamiętali go inni ludzie. Mogłaby nam pani pomóc?

– Oczywiście. – Głos w domofonie aż zadźwięczał z radości. – Już państwa wpuszczam.

Domofon zabrzączał. Rozłucki pchnął i otworzył furtkę.

– Panie przodem – powiedział.

Weszli. Ścieżka prowadząca do schodów była tu zamieciona do ostatniej drobinki pyłu.

– Nie jesteś dziennikarzem – powiedziała Karolina. – Trochę nakłamałeś.

– Wcale nie – odparł. – Piszemy wspólnie reportaż, sama tak powiedziałaś, a więc jestem dziennikarzem. W Polsce, żeby być dziennikarzem, nie trzeba kończyć żadnych studiów, nie trzeba mieć dyplomu czy certyfikatu, wystarczą dobre chęci. Ja je mam. Podobnie niestety ma się sprawa z terapeutami.

– Jak to?

– Żeby zostać terapeutą także nie trzeba mieć żadnego papieru. Również wystarczą dobre chęci. Albo złe.

Weszli po betonowych schodkach i stanęli przed drewnianymi, pomalowanymi czerwoną farbą drzwiami.

– Uważaj na nią – powiedział. – Prawdopodobnie po raz pierwszy ktoś z szerokiego świata przychodzi do niej, żeby dowiedzieć się, co sądzi o różnych sprawach. Będzie ci skłonna opowiedzieć całe swoje życie i wszystko, co wie o wszystkim.

– Myślisz, że w jej wieku też będę taką plotkarą?



– Nie, ty nie. Zresztą tu nie chodzi o plotkowanie. Chodzi o podstawową dla każdego człowieka chęć, by ktoś wysłuchał, co mamy do powiedzenia. Być może nikt przez całe jej życie się tym nie interesował. Nawet nie wiesz, ilu jest takich ludzi. I jakie to straszne uczucie wiedzieć, że twój głos jest zbędny, że nikogo nie ciekawi, co myślisz i co czujesz. Ty nie masz i nigdy nie będziesz miała takiego problemu.

## ROZDZIAŁ 32

Nacisnął kolejny dzwonek, tym razem przy drzwiach. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył cofnąć palec.

Kobieta, która za nimi stała, miała około sześćdziesięciu lat i była co najmniej o głowę niższa od Karoliny. Ubrana była w niebieską, workowatą podomkę w białe kwiaty, która nadawała jej figurze kształt z lekka wyciśniętej tubki pasty do zębów. Siwe, krótko obcięte włosy mówiły wyraźnie, że właścicielce tej fryzury chodzi wyłącznie o wygodę.

– Dzień dobry – powiedziała. – Proszę, proszę!

Weszli do środka. W małym, krótkim przedpokoju zawieszonym z jednej strony naręczem płaszczy i kurtek unosił się zapach starych ubrań. Wypłowiały i wytarty chodnik leżący na podłodze zakrywał ohydną posadzkę z lastryka.

– Proszę nie zdejmować butów – powiedziała z piskliwym śmiechem, jakby w ogóle mieli taki zamiar. Na końcu przedpokoju leżała wycieraczka owinięta mokrą ścierką. Wytarli w nią buty i weszli głębiej.

Gospodyni zaprowadziła ich do salonu z widokiem na mały, wąski ogródek zarośnięty bez umiaru nigdy chyba nieprzycinanymi krzewami i drzewkami owocowymi. Nie byłoby jednak łatwo dostać się do niego, wyjścia na zewnątrz broniły bowiem kraty pomalowane białą, gdzieś już odpryskującą farbą.

Usiedli na wskazanej im, przykrytej brązowym kocem kanapie. Ich gospodyni rzuciła się do kuchni, by zrobić herbatę, mimo iż kilkakrotnie zapewniali, że nie chcą nic do picia. Po chwili na stoliku przed nimi pojawiła się plastikowa, żółta taca z dwoma szklankami, w

których pływały okrągłe torebki taniej herbaty ekspresowej.

Gospodyni dopiero teraz usiadła na fotelu naprzeciwko nich.

– Ach, jeszcze cukier! Zapomniałam! – Zerwała się nagle i pędem pobiegła do kuchni.

Wróciła, niosąc w ręku kryształową, otwartą cukiernicę. Postawiła ją na tacy i ponownie usiadła, tym razem, jak miał nadzieję Rozłucki, na dobre.

– Co za straszna tragedia! – zaczęła niepytana. – Widziałam wszystko, co prawda tylko powtórki, bo jak na złość oglądałam wtedy serial na innej stacji, a tamci, proszę sobie wyobrazić, nawet się nie zająknęli, że dzieje się coś takiego. No, jak tak można! Ja rozumiem, że to dla nich konkurencja, ale powinni chyba coś wspomnieć? Korona by im z głowy nie spadła, gdyby jakąś krótką informację puścili na dole ekranu. Natychmiast bym przecież przełączyła! Ale nie! Leciał serial, potem drugi, a oni nic. A taka rzecz przecież nie powtórzy się prędko, może już nigdy. Można by to jakoś zgłosić? Może do tej Krajowej Rady Telewizji, czy jak to się tam nazywa? Przecież tak nie powinno być, nie mam racji? Pracujecie w telewizji, powinniście coś z tym zrobić! Taka tragedia!

Zabrzmiało to, jakby większą tragedią było to, że nie udało jej się obejrzeć śmierci na żywo, niż to, że zginął jej sąsiad.

– Jeśli to panią pocieszy – powiedziała Karolina – sam moment samobójstwa nie był pokazany. Transmisja odbywała się z kilkusekundowym opóźnieniem, więc realizatorom udało się odpowiednio wcześniej przełączyć obraz do studia.

– Naprawdę? O, to dobrze! – ucieszyła się kobieta. – Czyli nie przegapiłam za wiele?

– Nie.

– Mimo wszystko jednak powinniście to gdzieś zgłosić. Powinna być na to jakaś kara.

– Zajmiemy się tym. Póki co jednak chcielibyśmy porozmawiać o Andrzeju Lesickim. Znała go pani dobrze?

– Pewnie, przecież to mój sąsiad. Mieszkamy okna w okna. To znaczy mieszkaliśmy.

– Proszę nam w takim razie coś o nim opowiedzieć. Jaki to był człowiek?

– O, wspaniały! Cudowny! Bardzo miły, zawsze mi mówił „dzień dobry”, nie to, co jego żona, ta to zawsze zadzierała nosa, że niby mąż pracuje w telewizji, to już są lepsi, dobre sobie. A to przecież taki sam człowiek jak inni. Zresztą on – nie powiem złego słowa – nawet mi parę razy pomógł. Jak mi uszczelka strzeliła pod zlewem, a mąż wtedy był w pracy – mam taką termę elektryczną do ciepłej wody i tam coś się popsuło, mówię panu, woda w całej kuchni – a on akurat był w domu, to przyszedł, zakręcił główny zawór – ja to przecież nawet nie wiedziałam, gdzie to jest. Nie nagrywacie tego?

– Na razie nie – odpowiedziała Karolina. – Zbieramy informacje, później przyjedziemy do pani z kamerą. Jak już będziemy mieli pełny obraz sytuacji.

– Rozumiem. To nawet dobrze, bo dziś ubrana jestem zupełnie nie do telewizji. Cały dzień przy garach, wszystko na mojej głowie, człowiek nie ma czasu o sobie zadbać. A tak założyłabym coś ładnego, poszła do fryzjera. Już dawno miałam to zrobić, ale nie było kiedy.

– Właśnie. Wróćmy jednak do Andrzeja Lesickiego.

– No, to był wspaniały człowiek! Miły, uczynny. Tylko smutny jakiś. Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał. Zawsze jakiś taki przygaszony, poważny. Może to przez tę pracę w telewizji? Musiał się

tam napatrzeć różnych rzeczy. Jak jeździł na te wszystkie reportaże...

– Z tego, co wiem – wtrąciła Karolina – pan Lesicki pracował w studio i raczej nigdzie nie jeździł. Był członkiem ekipy obsługującej plan.

– Naprawdę? A ta jego żona to zachowywała się tak, jakby był jakimś redaktorem! No, ale skończyło się. Już nie będzie tak zadzierać nosa. Dobrze jej tak.

– Jej mąż zginął w tragicznych okolicznościach. Uważa pani, że to dobrze? – nie wytrzymał Rozłucki.

– Czy ja coś takiego powiedziałam? – oburzyła się. – To straszna tragedia, okropna! Oczywiście, że mi jej żal. Ciężko jej teraz będzie, zwłaszcza że pracuje w szkole, a tam, jak wiadomo, kokosów się nie zarabia. Bez pensji męża trudno im będzie utrzymać taki dom. Na samo ogrzewanie ile idzie! Jak jest ciężka zima, to z półtora tysiąca miesięcznie. Może nawet będą musieli go sprzedać? A jak się tyle lat w domu mieszkało, nawet takim ciasnym, to przenieść się potem do małego mieszkanka w bloku nie jest łatwo. Ciekawe, kto się tu po nich wprowadzi? Pewnie jacyś młodzi. Teraz młodzi mają więcej pieniędzy niż starzy, tak się porobiło. A najbardziej to mi żal tej ich Justynki. Co prawda rozpuszczona jest jak dziadowski bicz. Na wszystko jej ojciec pozwalał. Kiedyś wymyśliła sobie, że będzie tu prowadzić hotel dla psów. Że jak ktoś gdzieś wyjeżdża na parę dni i nie ma co z psem zrobić, to ona się nim zaopiekuje. Porozwieszała wszędzie ogłoszenia na słupach, pod sklepem i tam przy tych dużych blokach, no i faktycznie, zaczęli jej te psy przywozić. Co to za hałas był! Jakie ujadanie! A ich ogródek i nasza ulica cała w kupach. Ale powiedziałam mężowi, żeby zadzwonił na straż miejską, i się skończyło. I powiem panu – zwróciła się bezpośrednio do Rozłuckiego, nachylając się do niego i ściszej głoś

– że po tym wszystkim nawet nie przyszła na jego pogrzeb. No słyssał ktoś coś takiego! Pytałam się jego żony, czemu jej nie ma, a ona na to, że wyjechała na wakacje i nie zdążyła wrócić. Nie zdążyła wrócić! Ja bym i z Antarktydy wróciła na pogrzeb ojca. I wie pan, że do tej pory nie wróciła? To gdzie ona musiała wyjechać? Nawet się wczoraj spytałam tej jego żony, gdzie jest Justynka i czemu nie przyjedzie matki pocieszyć, bo w takich chwilach, proszę pana, rodzina powinna być razem, ale tylko się rozplakała i do domu uciekła. I jeszcze mi krzyknęła, żebym się zajęła swoimi sprawami i przestała wreszcie węszyć, bo boi się zapalać światło w swoim domu, bo wie, że ja stoję za firanką po drugiej stronie ulicy i zaglądam im w okna. Widzi pan, jaka to kobieta! Nawet nieszczęście niczego jej nie nauczyło. Jak zadzierała nosa, tak zadziera.

Rozłucki i Karolina wymienili się spojrzeniami.

– Długo już nie ma córki pana Lesickiego? – spytała Karolina.

– Z półtora tygodnia co najmniej. Parę dni przed śmiercią ojca wyjechała. A co?

– Zauważyła pani jakieś zmiany w zachowaniu państwa Lesickich po jej wyjeździe? – spytał Rozłucki.

– Zmiany w zachowaniu? Kłócić się zaczęli. Zwróciłam uwagę od razu, bo wcześniej tego nie robili. Pewnie nie chcieli przy córce. Raz to nawet widziałam, bo zapomnieli zasłon zaciągnąć. Sąsiad chodził po pokoju, a ta jego żona siedziała i płakała. Może rozwodzić się chcieli? Moim zdaniem dawno powinien ją pogonić, bo on porządny człowiek był, a ona jędba. Ale za bardzo siedział pod jej pantoflem. A żonę, proszę pana, powinno się trzymać krótko, bo na głowę człowiekowi wejdzie. Może wreszcie to zrozumiał? Ale nie zdążył, biedaczysko, się uwolnić... A teraz wszystko jej, dom, pieniądze. Bo przecież jak tyle lat

pracował w telewizji, to musiał trochę grosza odłożyć, prawda?

– Przychodził ktoś do nich w tym czasie? – spytała Karolina.

– Przychodził? Nie. Do nich zresztą rzadko ktoś przychodził. Sami sobie żyli. Pewnie ta jego uważała, że są za dobrzy na takich ludzi jak my, a z kolei ci, którzy naprawdę coś znaczą, mieli ich za nic. Do Justynki to przychodzili czasem koledzy – koledzy, nie koleżanki, w matkę się pewnie wrodziła – do nich nie.

– A może ktoś do nich dzwonił? – spytał Rozłucki.

– A skąd ja mam niby wiedzieć?

– Nie widziała pani przez okno?

Kobieta zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się, czy zdradzić, że nałogowo podgląda sąsiadów. W końcu jednak nie wytrzymała.

– Raz faktycznie widziałam, bo zapomnieli zasłony zasunąć. Na domowy. Oni domowy mają w przedpokoju, na ścianie, ale jest bez kabla, z taką grubą antenką. Przedpokoju ode mnie nie widać, bo tam okna nie ma, ale sąsiad wziął ten telefon i chodził z nim po salonie. Także nie wiem, czy on do kogoś dzwonił, czy do niego zadzwonili. W każdym razie bardzo zdenerwowany był. Chodził w tę i z powrotem, rękami machał, a jak skończył rozmowę, to usiadł ciężko na fotelu i siedział tak z dziesięć minut. Zresztą może nawet i dłużej, ale mój akurat wrócił i musiałam mu obiad podać, a jak potem spojrzałam, to już sobie poszedł.

– Kiedy to było? Niedawno, czy tuż po wyjeździe córki?

– Niedawno. Ale wcześniej też takie telefony były. Właśnie sobie przypominałam. Ze dwa albo trzy. Widziałam, bo zapomnieli zasłony zasunąć. W ogóle ostatnio często zapominali. Wcześniej to ta jego bardzo tego pilnowała. Jak tylko zmierzch zapadał i światło trzeba było zapalić, to ta zaraz do okien. A zasłony mają grube, ciężkie, nic przez

nie widać.

– A te wcześniejsze telefony, to kiedy były? – spytała Karolina.

– No, pierwszy to chyba niedługo po wyjeździe Justynki.

– Pamięta pani, jak to wyglądało?

– Pamiętam. Sąsiad chodził po pokoju, machał rękami i krzyczał.

Nawet słyszeć było, bo gorąc był i okno otworzyli.

– Co krzyczał?

– Aż tak dobrze słyszeć nie było. Musiałabym chyba podejść aż pod ich okno, żeby zrozumieć. Nawet myślałam o tym, ale zanim się zdecydowałam, skończyli.

– A sąsiadka?

– Siedziała na kanapie.

– Płakała?

– Nie. Ale smutna była, przybita. Głowę miała spuszczoną, plecy pochylone. Nawet sobie pomyślałam, że może coś się stało, może ktoś z jej rodziny zmarł, bo ona zawsze taka harda, a tu nagle taki widok. Ale na pogrzeb nigdzie nie pojechali. Widziałabym przecież.

– A sąsiad gdzieś potem jeździł?

– Tylko do pracy i z pracy. Jak w zegarku.

– A ten trzeci telefon?

– Taki sam. Ze dwa dni po pierwszym. Ale to sąsiad dzwonił.

Widziałam, jak wybierał numer. I znowu trzymał tę kartkę.

– Jaką kartkę?

– Nie mówiłam? Za pierwszym razem trzymał w ręku kartkę. To nią tak machał.

– Jak wyglądała?

– No kartka. Taka biała.

– Duża, mała?



– Duża. Ale zgięta na cztery, jakby w liście była. I coś na niej było.

– Co?

– Jakby zdjęcie. Takie z komputera.

– Coś jeszcze pani zauważyła?

– Nie, chyba nie.

Zamilkli. Kobieta przyglądała im się uważnie.

– Na pewno jesteście z telewizji? – spytała.

– Tak – odpowiedziała Karolina. – Nawet mam przy sobie identyfikator. Pokazać?

– Pewnie – ucieszyła się. – Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

Karolina sięgnęła do torebki i wyjęła plastikowy identyfikator na smyczy. Kobieta ujęła go w ręce z nabożną czcią.

– Ze zdjęciem... – powiedziała z podziwem. – Pani to musi mieć ciekawe życie! A ja? Siedzę tu w domu dzień i noc. Kiedyś to chociaż do pracy chodziłam. Nie powiem, żebym to lubiła, ale coś się przynajmniej działo. A teraz... – Oddała Karolinie identyfikator z wyraźnym żalem.

– No dobrze – powiedziała Karolina, chowając identyfikator do torby. – Będziemy już chyba powoli szli. Bardzo pani dziękujemy, niezwykle nam pani pomogła.

– Naprawdę? – Kobieta się rozpromieniła. – Ja? Będę mieć na nich oko! – dodała zaczepnie. – Jak przyjdziecie tu z kamerą, to wszystko opowiem.

– Nie musi pani czekać aż tak długo – odpowiedziała Karolina. – Proszę, tu jest moja wizytówka. Jak zobaczy pani coś ciekawego, proszę dzwonić.

– Ale tylko wtedy, kiedy będzie to coś naprawdę ciekawego – dodał z naciskiem Rozłucki.

## ROZDZIAŁ 33

– Teraz to już na krok nie ruszy się od okna – powiedział Rozłucki, gdy byli już na dworze. – Dzięki nam jej podglądactwo zostało usankcjonowane, a ona zyskała poczucie misji.

– I bardzo dobrze – odpowiedziała Karolina. – Może rzeczywiście wypatrzy coś interesującego?

– Może tak, może nie. Pewne jest natomiast, że będzie do ciebie dzwoniła z każdą głupotą. Po tym wszystkim będziesz musiała zmienić numer telefonu.

– Nie pierwszy raz. – Wzruszyła ramionami. – Taka jest cena tego zawodu.

Wyszli za furtkę i stanęli na wyłożonej kostką ulicy.

– I co ty o tym sądzisz? – spytała Karolina.

Rozłucki sposepniał.

– A ty? – Spojrzał na dom Lesickiego. – Dziewczyna zniknęła, nie wróciła nawet na pogrzeb ojca. Do tego jakieś telefony, listy, po których jej matka płacze, a ojciec krzyczy i wymachuje rękami. Co ci to przywoździ na myśl?

– Porwanie – odpowiedziała Karolina.

– Porwanie. – Pokiwał głową. – Szlag by to trafił!

– I jeszcze wnuczka Jakubca, na której zdjęcie jej babcia patrzy z rozpaczą. Jak myślisz, gdzie ona teraz jest? Czy też nie zdążyła na pogrzeb ojca?

– Kurwa mać! – Złapał się za głowę.

– Właśnie.

Ruszyli w milczeniu w stronę samochodu. Odpowiedzialność, która

na nich spadła wraz z tym odkryciem, przygniotła ich. Ta pełna emocji, ekscytująca przygoda, w której brali udział, zyskała nagle dodatkowy ciężar, stała się sprawą czyjegoś życia lub śmierci.

– Tylko jak to wszystko połączyć? Jak to rozgryźć? Rozumiesz coś z tego? – spytała Karolina. – Dwóch mężczyzn, chodzili do jednego liceum, dwadzieścia lat później jeden bierze drugiego jako zakładnika, a potem zabija. Potem wygłasza jakieś bezsensowne oświadczenie. Ich córki znikają, pewnie zostały porwane. O co tu, u diabła, chodzi? Rozumiesz coś z tego?! – powtórzyła.

– Przynajmniej wiemy, jak Jakubiec dostał się do telewizji – odparł Rozłucki. – Lesicki go wpuścił. Wwiózł go tam swoim samochodem.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– A potem pozwolił się zabić? To znaczy, że byli ze sobą w zмовie, zaplanowali to. Ale dlaczego? Bo ktoś porwał ich córki i im to kazał?

Rozłucki też przystanął.

– Tylko po co? – spytał.

– Żeby wygłosili oświadczenie.

– Ale ono było bezsensowne! Gdyby chociaż miało jakieś polityczne przesłanie, jakiś zrozumiały, może chory, ale zrozumiały, przekaz. Można by wtedy sobie wyobrazić, że jakaś grupa terrorystyczna, albo po prostu pojedynczy świr, posłużyli się nimi, żeby w spektakularny sposób ogłosić światu swoje credo. Ale coś takiego?! Przecież na dobrą sprawę nie wiadomo tak naprawdę, o co tam chodziło!

– Musimy jeszcze raz porozmawiać z żoną Lesickiego.

Zawrócili. W milczeniu, każde zatopione w swoich myślach, podeszli pod dom Lesickich. Rozłucki wszedł po schodach, stanął przed drzwiami i nacisnął dzwonek. Karolina została na dole.

Tym razem nikt nie otworzył.

Rozłucki zadzwonił jeszcze raz, potem jeszcze raz i jeszcze. Za drzwiami panowała głucha cisza. Obejrzał się i spojrzał na dom sąsiadki. Za firanką dostrzegł bezkształtny zarys kobiecej postaci. Popatrzył na Karolinę.

– Nie otworzy – powiedział. – Myśli, że przyszedliśmy znowu w sprawie tego głupiego reportażu. Cholera jasna!

Odwrócił się i zaczął walić pięścią w drzwi.

– Pani Lesicka! Proszę otworzyć! Wiemy wszystko! Chcemy pani pomóc!

Nic.

– Wiemy o pani córce! – krzyczał, jedną ręką przyciskając dzwonek, a drugą waląc do drzwi. – Niech pani otworzy! Możemy pani pomóc!

– Zostaw – powiedziała Karolina. – Nie otworzy.

– Musimy z nią porozmawiać! – prawie na nią krzyknął. Jakby to była jej wina. – Ona jedyna coś wie!

– Jeśli nie będzie chciała, nie rozmawiamy. Nie jesteśmy z policji, nie wejdziemy tam, jeśli nas nie wpuści. A nie wpuści.

– To co możemy zrobić?

– Możemy wrócić do samochodu i poczekać, aż wyjdzie. I wtedy spróbować.

Usiadł ciężko na schodach.

– Skąd wiesz, że wyjdzie? A jeśli nawet, to za ile dni? Jest w ciężkiej depresji. W takim stanie nie chodzi się na spacer.

– Musi w końcu wyjść. Choćby do sklepu po jedzenie. Musi przecież coś jeść.

– Jesteś pewna, że je? Założę się, że od śmierci męża nie wzięła nic do ust. A jeśli ją naprawdę przyciśnie, otworzy groszek konserwowy.

– Ty tak robiłeś? – spytała.

– Tak.

Weszła po schodach i usiadła obok niego.

– Spróbujmy pomyśleć racjonalnie. Jeśli rzeczywiście ktoś je porwał, to kto? – spytała.

– Myślisz, że ma to jakiś związek z tą dziewczyną sprzed dwudziestu lat? – Odwrócił do niej głowę.

– Zemsta?

– Tu Justyna i tam Justyna. Jedno liceum. Niedawno odkryto jej zwłoki.

– Ojciec?

– Masz innego kandydata?

Spojrzeli na siebie.

– Piwniczka... – powiedziała.

– Piwniczka – odpowiedział.

## ROZDZIAŁ 34

Znów siedział, trzymając się kurczowo rączki nad oknem, na ciasnym siedzeniu volkswagena New Beetle pędzącego z jeszcze bardziej nadmierną prędkością tą samą drogą krajową numer 7, choć tym razem w przeciwnym kierunku.

– Naprawdę uważam, że powinniśmy zawiadomić policję – powiedział, przekrzykując pracujący na najwyższych obrotach silnik.

– I co im powiemy? Że przypuszczamy, iż porwano dwie młode dziewczyny, i wydaje nam się, że zrobił to pewien starszy pan z działki? Choć żadna z rodzin nie zgłosiła zaginięcia? Sam nie jesteś do końca pewien, czy to wszystko jest prawdą.

– Ale jeśli jest, to one tam są. W tej piwniczce wykopanej w ziemi. Od ponad tygodnia. Każda godzina może mieć znaczenie.

– Jeśli jeszcze w ogóle żyją.

– Ale jeśli żyją, to każda godzina, każda minuta ma dla nich znaczenie. Chcesz tam przyjechać i znaleźć dwa jeszcze ciepłe ciała?

– Nie przesadzaj. Jeśli nie umarły do tej pory, to pożyją jeszcze te dwie godziny.

– No dobrze, ale jak tam wejdiesz? Rzucisz się na żylastego staruszka, a potem powalisz go na ziemię?

– Z twoją pomocą.

– Ostatni raz biłem się w podstawówce. Przegrałem. Poza tym przypominam ci, że on ma maczetę.

– Oj, nie przesadzaj. Jesteś mężczyzną czy nie? Masz szansę, pierwszy i zapewne jedyny raz w swoim życiu, zachować się jak prawdziwy rycerz i uratować dwie piękne dziewice z rąk złego

czarnoksiężnika, a ty jeszcze wydziwiasz!

– Nie wiadomo, czy są dziewicami. Wiek inicjacji seksualnej systematycznie się obniża. Że już nie wspomnę o tym, że nie wiadomo, czy żyją, ani czy w ogóle tam są. A co będzie, gdy on nam nie otworzy, jak Lesicka? Albo na przykład go nie będzie? Wyważysz drzwi? Z tego, co widziałem, są dosyć solidne i zaopatrzone w kilka zamków. A w oknach są kraty. Poza tym to byłoby to włamanie. Gdy się okaże, że nikogo tam nie ma, że w tej piwniczce stoją tylko słoiki z ogórkami, pójdziemy siedzieć. Rozumiem, że chcesz być na miejscu, żeby opisać to potem w swoim reportażu...

– I sfilmować. Zawsze wożę w bagażniku małą kamerę.

– ... ale, na Boga, podałem chyba wystarczająco dużo powodów! Weź ten cholerny telefon i zadzwoń do tego swojego byłego narzeczonego z policji! Niech weźmie ekipę i tam przyjedzie!

Nie podobało jej się to, co mówił. Bardzo jej się nie podobało. Musiała jednak przyznać mu rację, wiedział to.

Spojrzała na niego niemal z nienawiścią.

– W takim razie weź ten cholerny telefon i znajdź mi jego numer.

Podkomisarz Sądecki dał się w końcu przekonać. Nie za bardzo wierzył, że znajdzie w piwniczce dwie skrupowane nastolatki, ale Karolinie, z tego, co Rozłucki zauważył, nie było łatwo odmówić. Powiedział, że spróbuje załatwić nakaz przeszukania. Że podciągnie to pod jakieś inne śledztwo, bo w to, co usłyszał, nie uwierzy nawet najgłupszy prokurator, ale że potrzebuje na to co najmniej godzinę. Karolina jeszcze przyspieszyła.

Jechali niecałe dwie godziny. Dwieście dwadzieścia kilometrów, z czego co najmniej połowa wąską jednopasmówką przebijającą się przez wsie i małe miasteczka, z ograniczeniem prędkości do pięćdziesięciu na

godzinę. Wymijając TIR-y i wlokące się za nimi sznury samochodów osobowych. Rozłutkiemu kłykcie zbieleły od zaciskania dłoni na rączce nad drzwiami.

Aby nie myśleć o tym, co widzi i co się może stać, przypominał sobie butelki whisky w swoim barku. Szesnastoletnią Lagavulin z Wyspy Islay – dymną i elegancką; dziesięcioletniego Ardbega – torfowego i chropawego, idealnego, by pić go bez celebracji, z kieliszka lub ze zwykłej szklanki; mocarnego Aberlour A'bunach, zabutelkowanego bez rozcieńczania, w mocy beczki, o pięknym i aksamitnym, mimo ponad sześćdziesięciu procent zawartości alkoholu, zapachu; swój najnowszy nabytek – Whisky Prologue – pierwszą polską whisky single malt, produkowaną w małej destylarni niedaleko Nidzicy, miasta, które minęli po drodze z prędkością daleko przekraczającą te wypisane na znakach drogowych, zadziwiająco smaczną i łagodną, mimo ledwie trzyletniego wieku; i wreszcie swojego ukochanego Laphroaiga – whisky, za którą mógłby oddać wszystkie inne.

Gdy dojechali na miejsce, myślał właśnie o jej obłądnym torfowo-ogniskowo-kwiatowym zapachu, zapachu tak niezwykłym, tak niepodobnym do niczego innego, że nie trzeba było nawet jej pić, wystarczyło siedzieć w fotelu i wachać.

– Szlag by to trafił! – wyrwał go z zamyślenia głos Karoliny. Gwałtowne hamowanie rzuciło jego ciałem do przodu.

Gdy spojrział na domek, pod który zajechali, zrozumiał powód tej reakcji. Mimo złamania większości obowiązujących w tym kraju przepisów drogowych nie zdążyli. Przed domkiem ojca Justyny Wasilewskiej stały dwa radiowozy. Drzwi były otwarte i wychodził przez nie właśnie podkomisarz Rafał Sądecki. Kabura ze służbowym Waltherem P99 dyndała mu na biodrze niczym u jakiegoś szeryfa. Gdy



dojrzał wyskakującą z samochodu i podbiegającą do bagażnika Karolinę, uśmiechnął się. I był to uśmiech dość dziwny.

Rozłucki odpiął pasy i z trudem, pokonując opór ścierpłych nóg, wysiadł z samochodu.

– Są?! – Karolina biegła w stronę swojego byłego chłopaka, próbując włączyć po drodze małą kamerę.

– Są – odpowiedział spokojnie policjant.

– Obie? – Obiektyw kamery nakierowany był już na jego twarz.

Komisarz uśmiechnął się szeroko do szklanego oka i odpowiedział:

– Nawet więcej.

– Jak to więcej?! – Karolina zdziwiona opuściła rękę.

– Z tego, co zdążyłem zauważyć, cztery.

– Cztery?!

– Cztery pięciolitrowe, plastikowe baniaki pełne najczystszej rosyjskiego spirytusu. Do tego kilkadziesiąt butelek. Część pusta, a część już napełniona. Nasz dziadek dorabiał sobie, rozcieńczając, a potem sprzedając spirytus przemycony z Obwodu Kaliningradzkiego. Prawdopodobnie sam po niego jeździł, korzystając z umowy o małym ruchu granicznym. Wszystko schowane było w piwniczce.

Chwyił dłoń Karoliny i potrząsnął nią z teatralną przesadą.

– Społeczeństwo Olsztyna jest ci niezmiernie wdzięczne. Dzięki twoim informacjom wykryliśmy straszne przestępstwo. Sprawca tej okropnej zbrodni zostanie surowo ukarany. Chciałabyś jakąś nagrodę?

W jego głosie dawało się wyczuć ledwo skrywaną satysfakcję i szczerze powiedziawszy, nie było to zbyt przyjemne. Jakby pastwienie się w ten sposób nad swoją byłą dziewczyną dawało mu satysfakcję, jakby wyrównywało jakieś zadawnione rachunki. Czyżby przyjacielski sposób bycia pana podkomisarza nie był do końca szczerzy?

Karolina wyglądała teraz jak dziewczynka, której ktoś ściągnął majtki na środku klasy. Rozłuckiemu po raz pierwszy zrobiło się jej żal.

– Co zadziwiające – ciągnął z kpiącym uśmiechem komisarz – coś takiego mniej więcej powiedziałem, prosząc o nakaz przeszukania. Podejrzenie przemytu. Wszyscy pewnie teraz zachodzą w głowę, skąd wiedziałem? A ja po prostu miałem dobrego informatora. – Poklepał ją po ramieniu.

Karolina powoli dochodziła do siebie.

– Pójdzie siedzieć? – spytała.

– Zobaczymy. – Policjant wzruszył ramionami. – Może dostanie w zawiasach. Jest stary, biedny, mieszka w domku na działkach, raczej nie był dotąd karany, a to wygląda na chałupniczą robotę na małą skalę. No i wszyscy jeszcze mają w pamięci sprawę jego córki. Powinien się wywinąć. Ale na razie musimy go wziąć do aresztu.

Dwóch policjantów w mundurach wyprowadzało właśnie starego z domku. Skuty kajdankami wyglądał na jeszcze bardziej złego niż zazwyczaj. Mijając ich, rzucił im pełne nienawiści spojrzenie.

– Chyba was nie polubił – stwierdził podkomisarz. – Raczej nie licz, że będzie chciał ci kiedyś udzielić jakiegoś wywiadu. A ty wiesz, że on miał w tym swoim domku maczetę? Taką wzorowaną na rzymskim mieczu. Gdy tam weszliśmy, próbował ją wyszarpać z pokrowca, ale mu się nie udało. Nie wspomnę o tym w raporcie, bo wtedy od więzienia już raczej by się nie wywinął.

– Nic nie mów – powiedziała, gdy już z powrotem znaleźli się w przestronnym wnętrzu volkswagena New Beetle.

Nie miał takiego zamiaru.

Policyjne radiowozy z uśmiechającym się szeroko w jednym z nich podkomisarzem Sądeckim dawno odjechały. Karolina położyła obie

dłonie na kierownicy, ale nic nie wskazywało na to, by miała zamiar ruszać.

– Nie jedziemy? – spytał Rozłucki.

– Jakoś nie mam pomysłu dokąd – odpowiedziała ponuro.

Poprawił się na niewygodnym siedzeniu.

– Pamiętasz, co mówiłaś o żonie Lesickiego? – spytał.

– Co? – odpowiedziała bez zainteresowania.

– Żeby poczekać przed jej domem, aż wyjdzie i spróbować z nią porozmawiać.

– A ty powiedziałaś, że nic nie wskazuje na to, żeby miała zamiar wychodzić w najbliższej przyszłości.

– Tak, ale właśnie pomyślałem sobie, że skoro już jesteśmy w tym mieście lasów i jezior, to możemy zastosować ten sam pomysł wobec matki Jakubca. Tej, która z rozpaczą wpatrywała się w zdjęcie wnuczki. Mówiłaś, że znieczuliła się alkoholem, nie xanaxem. To znaczy, że jeśli trafimy na moment, gdy będzie w miarę trzeźwa, może uda nam się coś z niej wydobyć.

Karolina powoli odwróciła głowę.

– Myślisz więc, że to wszystko prawda? Że rzeczywiście było jakieś porwanie?

– Tak – potwierdził spokojnie. – Nasze rozumowanie było poprawne. Po prostu źle wytypowaliśmy sprawcę. Myślę, że one gdzieś są. W jakimś dole, piwnicy albo czymś takim. I czekają na naszą pomoc.

– Zaczęłam mieć co do tego wątpliwości.

– Rozmawiając z żoną starego Jakubca, rozwiejemy je lub potwierdzimy. Co dzisiaj jest?

– Sobota – odpowiedziała.

– To znaczy, że jutro jest niedziela. Założę się, że pójdzie do kościoła.

Ma się o co modlić, nie uważasz?

– A jeśli pójdzie z mężem?

– Nie sędzę. On nie wygląda na kogoś, kto chodzi do kościoła. Nawet jeśli wydaje mu się, że wierzy w Boga. Pewnie uważa raczej, że to Bóg powinien przychodzić do niego.

## ROZDZIAŁ 35

– Jesteś pewien, że to ten kościół? – spytała Karolina. – Może jeździ do Olsztyna?

– To najbliższy kościół w okolicy. Zresztą popatrz, jak tu ładnie. Nie wolałabyś przyjeżdżać tu, do małego wiejskiego kościółka, zamiast tłuc się do miasta w korkach i spalinach?

Neogotycki kościół, przed którym stali, wcale nie był taki mały. Strzelista, ceglana wieża z otynkowanymi na biało wstawkami w kształcie gotyckich okien sięgała wysoko ponad korony rosnących wokoło starych drzew. Kościół stał na niewielkim wzgórzu nad jeziorem i otoczony był pomalowanym na srebrno, kutym płotem na ceglanej podmurówce.

– Ale tak wcześnie rano? Nie sądzisz raczej, że przyjdzie na sumę o jedenastej?

– Przyjdzie na pierwszą mszę, jaka jest. Musi wrócić, zanim obudzi się jej mąż. Znam ten typ kobiet, moja matka taka była. Nauczyły się, że mogą realizować swoje potrzeby tylko wtedy, gdy nie przeszkadza to w niczym ich panu i władcy. Tylko wtedy on łaskawie się na to godzi. Musi wrócić i jeszcze zdążyć po powrocie przygotować mu śniadanie. A on, jedząc je, będzie się wyśmiewał z jej dewocji.

Siedzieli na małej, drewnianej ławeczce bez oparcia stojącej w cieniu trzech wielkich jesionów niedaleko głównego wejścia do kościoła. Mieli stąd widok na drogę do Olsztyna i oba wejścia na wzgórze. Rano było jeszcze dosyć chłodno. Karolina zatrzęsła się z zimna.

– Objąć cię swoim silnym, męskim ramieniem? – spytał. – Będzie ci ciepłej.

– Obejdzie się – odpowiedziała.

Dochodziła siódma. Do kościoła powoli zaczęli schodzić się ludzie. O tej porze frekwencja nie była zbyt duża. Kilka staruszek budzących się skoro świt; jakaś rodzina z dwójką dzieci ubrana tak, jakby tuż po mszy miała jechać na całodniową wycieczkę; mężczyzna, który zdaje się wrócił właśnie z ryb, gdyż wchodząc do kościoła, oparł o jego mur mocno już sfatygowaną wędkę, a obok niej postawił wiaderko z porannym połowem.

– Dawno już nie chodzę do kościoła – powiedział Rozłucki – ale ciągle mam do niego jakiś sentyment. Kojarzy mi się z bezpieczeństwem, z czasami, gdy świat jeszcze wydawał się mieć sens.

Nie odpowiedziała.

Z drogi biegnącej w kierunku Olsztyna zjechał stary, czerwony mercedes i zatrzymał się pod zamkniętym w niedzielę sklepem u stóp kościelnego wzgórza. Wsiadła z niego około sześćdziesięcioletnia kobieta ubrana w granatową sukienkę i z włosami spiętymi w ciasny kok.

– Jest! – powiedziała z przejęciem Karolina. – Miałeś rację!

Kobieta założyła na ramię torebkę, zamknęła samochód kluczykiem i ruszyła w górę schodów prowadzących od głównej bramy w kierunku wejścia do kościoła.

Karolina podniosła się z ławki.

– Poczekaj. – Złapał ją za rękę. – Nie teraz.

– A kiedy? – zdziwiła się.

– Po mszy. Będzie miała czas, by przemyśleć kilka spraw. Odetnie się trochę od wpływu męża. Łatwiej nam będzie do niej dotrzeć. A jeśli strzeliła rano kielicha, zdąży wytrzeźwieć.

Kobieta minęła ich, patrząc cały czas pod nogi, i weszła do kościoła.

– No to mamy jakąś godzinę – stwierdziła Karolina.

– Raczej pół. Poranne msze nie są zbyt długie.

Z otwartych drzwi do kościoła zabrzmiał dźwięk dzwonek obwieszających wejście księdza. Ptaki w koronach drzew dały się na potęgę. Rozłucki spojrzął na jezioro, którego tafla widoczna była za czerwonymi dachami stojących u stóp wzgórza domów. Unosiła się nad nim lekka mgiełka.

– Piękny poranek – stwierdził. – Powinienem podziękować Dariuszowi Jakubcowi. Gdyby nie on, w życiu bym nie wstał o tej porze.

– Możesz mnie jednak objąć – powiedziała, patrząc wciąż przed siebie. – Namysliłam się. Tylko nic sobie nie wyobrażaj. Zimno mi.

Wyciągnął rękę i otoczył ją ramieniem. „Dziwne uczucie”, pomyślał. „Czuję się niezręcznie, a jednocześnie...” Spojrzął z boku na jej głowę. Jej włosy pachniały w sposób, w jaki nigdy nie będą pachniały włosy żadnego mężczyzny, choćby używał tych samych kosmetyków i tych samych perfum.

– Tylko się nie rozczulaj – powiedziała.

– Nie mam zamiaru – odparł. – Siedzę tu i analizuję swoje uczucia.

Byłem w tym szkolony.

– I jakie to uczucia? – spytała.

– Głównie zachwyty oczywiście.

– Aha – mruknęła. – To niezbyt dobrze cię wyszkolili.

– Chyba nie – odpowiedział.

– A jak to było z twoim ojcem? – spytała nagle. – Jeszcze mi o tym nie opowiadałeś.

Zesztywniał. Musiała to poczuć, bo spojrzała na niego i powiedziała:

– Jeśli nie chcesz, nie musisz mówić.

– Nie, w porządku – odpowiedział. – To przecież nie tajemnica. Powiesił się. W garażu, na haku do podciągania silnika. Mieliśmy kiedyś starego małego fiata, który ciągle się psuł, i ojciec zamontował ten hak, by móc go samemu naprawiać. Samochód już dawno się rozsypał, ale hak został. I przydał się jak znalazł. To chyba dlatego poszedłem na psychologię. Żeby pomagać takim ludziom jak moja matka i ratować takich jak mój ojciec.

– Dlaczego to zrobił? – spytała.

– Kiedy mama umarła, stracił chęć do życia. Jakby powietrze z niego uszło. To dziwne, bo dopóki żyła, sprawiał wrażenie, jakby niezbyt go obchodziła, jakby była bardziej jego służącą niż żoną. Klasyczny typ przemocowy. Nie bił jej, ale nią pomiatał. Na każdym kroku okazywał jej, że jest gorsza, głupsza, że bez niego jest nikim. Wyśmiewał się z niej przy innych ludziach. Widocznie jednak potrzebował tej służącej bardziej, niż był w stanie przyznać. A może w końcu zrozumiał, jakim był dla niej skurwysynem, i że to przez niego w zasadzie umarła. Że ją zgasił jak świeczkę, odbierając powoli tlen.

– A siostra?

– To ona go znalazła. Nienawidzę go za to. Nie za to, jak postępował z naszą matką, i nie za to, że zmarnował moje dzieciństwo, zmuszając mnie, bym próbował jej bronić, a potem czuł się winny, że nie jestem w stanie. Właśnie za to. Nie przepracowałem tego i nie mam zamiaru. Uważam, że rodzice, którzy robią coś takiego swoim dzieciom, nie zasługują na to, by im wybaczyć i by ich zrozumieć.

Położyła mu dłoń na przedramieniu i lekko ścisnęła. Zauważył to, lecz był już zbyt pochłonięty własnymi uczuciami, by poczuć coś prócz zwykłego fizycznego bodźca.

– To był ostatni akord, ostatni cios, który zadał jej, by ją zniszczyć –



ciągnął dalej. – A już wcześniej było tych ciosów sporo. To zadziwiające, bo kochał ją. Była jedyną osobą z rodziny, której potrafił okazać ciepłe uczucia. Przytulić, pocałować, bawić się z nią i żartować. A jednak ją zabił, zatrul ją samą swoją obecnością, tym, że żyła z nim pod jednym dachem i patrzyła, co robi. Zawsze wybierała mężczyzn podobnych do niego. Nie szanowali jej, tak jak on nie szanował matki. Była jednak inna od niej, nie potrafiła pogodzić się z taką rolą. Prędzej czy później rzucała swojego testosteronowego głupka, tyle tylko, że już wkrótce wiązała się z następnym. Któregoś razu zaszła w ciążę. Z facetem, który, gdy się o tym dowiedział, powiedział jej, że jest dziwką i że nie będzie wychowywał cudzego bachora. Postanowiła urodzić to dziecko. Uczepiła się myśli o nim jak ostatniej deski ratunku. Uznała, że to będzie jej sposób na życie, że to nada wreszcie sens jej istnieniu. Już wtedy miała ciężką depresję, dopiero później to zrozumiałem. A potem poroniła. I wyskoczyła przez okno w szpitalu. Badania wykazują, że dzieci samobójców znacznie częściej odbierają sobie życie niż dzieci innych rodziców – dodał po chwili, jakby tym profesjonalnym komentarzem próbował przywrócić sobie równowagę. – Rodzice-samobójcy przekazują im pewien wzór zachowania, pokazują, że jest dostępna taka opcja. Dzieci nie muszą oczywiście jej wybrać, ale jest ona w wachlarzu dostępnych możliwości.

– Musiałeś to bardzo przeżyć. Dwa samobójstwa w rodzinie, trudno to sobie nawet wyobrazić...

– Pisałem właśnie doktorat. Wiedziałem, że coś niedobrego się z nią dzieje, ale nie miałem wtedy na nic czasu. Myślałem, że jak skończę, jak się wreszcie obronię, to się nią zajmę. Zresztą, gdy zaszła w ciążę, znacznie jej się polepszyło. Nabrała nowych sił, nowej energii. A potem zadzwonili do mnie, że nie żyje. Byłem wtedy tuż przed obroną.

Dociągnąłem to jakoś do końca, a potem zupełnie się załamalem. Nie mogłem sobie darować, że do tego dopuściłem. Jak to, ja, wielki pan psycholog, jeżdżący na sympozja, publikujący artykuły w czasopismach naukowych, nie potrafiłem nawet pomóc własnej siostrze? Ostatniej żyjącej osobie z mojej rodziny? Kompletnie się rozsypałem. Dzieci wychowujące się w takiej rodzinie jak moja, a już zwłaszcza synowie, zawsze mają poczucie winy, że nie są w stanie obronić matki przed ojcem. Dzieci rodziców, którzy popełnili samobójstwo, mają poczucie winy, że nie udało im się temu zapobiec. Moje poczucie winy po jej śmierci było tak gigantyczne, że nie dawało mi wręcz oddychać. Chyba tylko dlatego sam się wówczas nie zabiłem, że nie byłem w stanie nawet wstać z łóżka. Wtedy paradoksalnie pomógł mi mój ojciec. Tak że mi ten skurwysyn wskazał drogę, pokazał dostępną możliwość. Gdy doszedłem do siebie na tyle, że potrafiłem już zwlec się z wyra, zrobiłem to, co on by zrobił – napiłem się.

– I wtedy odeszła twoja żona? – domyśliła się.

– Tak, tego już nie wytrzymała. Dopóki byłem w depresji, pomagała mi, ale jak zacząłem pić, nie dała rady. Nie winię jej za to. Nie mieliśmy dzieci, była młoda, nie chciała marnować w ten sposób najlepszych lat swojego życia. Postąpiła racjonalnie. Gdyby była moją pacjentką, wspierałbym ją w tej decyzji. Wiele kobiet w podobnej sytuacji nie ma tyle odwagi.

– Masz z nią jakiś kontakt?

– Na początku martwiła się o mnie, dzwoniła, czasami nawet wpadała, żeby posprzątać i przynieść mi coś ciepłego do zjedzenia, potem poznała jakiegoś faceta, wyszła za niego za mąż i prawie natychmiast urodziła mu dziecko. I przestała dzwonić.

– Czyżbym słyszała w twoim głosie żal?

– Tak, chyba tak. Spieprzyłem to, nie ma co ukrywać. Gdy o tym teraz myślę, dochodzę do wniosku, że powiełałem w swoim małżeństwie wzorce, które widziałem w rodzinnym domu. Także i ja zdominowałem swoją żonę, narzucałem jej swoje zdanie, moje potrzeby zawsze były ważniejsze od jej potrzeb. Chciała mieć dzieci, ale ja bałem się, że jeśli będę je mieć, któreś z nich też znajdzie mnie kiedyś powieszzonego, jak moja siostra naszego ojca. Poza tym robiłem karierę, nie miałem czasu na przewijanie pieluch. I gdzie jest teraz ta moja kariera? Tam, gdzie i moje małżeństwo. A ja zyskałem kolejny, znakomity powód, by mieć poczucie winy.

Poczuł, że patrzy na niego. Jej dłoń znów lekko zacisnęła się na jego przedramieniu.

– Jeśli próbowałeś mnie poderwać na litość, to prawie ci się udało – spróbowała zażartować.

– Nie, przykro mi – odpowiedział. Jego głos zabrzmiał nadszpiewanie twardo. – Nawet gdybym dostrzegł cię jakiejś szansy, że coś może między nami być, raczej bym uciekł, niż próbował zrobić coś w tym kierunku. Nie jestem dobrym materiałem na partnera życiowego. Nadużywam alkoholu, boję się mieć dzieci i prawdopodobnie prędzej czy później skończę jak mój ojciec. Jednej kobiecie już omal nie zniszczyłem życia, nie chcę próbować po raz kolejny. Tym razem mogłoby mi się udać.

## ROZDZIAŁ 36

Msza skończyła się i ludzie zaczęli powoli wychodzić z kościoła. Najpierw rodzina z dwójką dzieci spiesząca się na wycieczkę, później wędkarz gnany niepokojem, czy nikt nie podebrał mu jego porannego połowu, potem kuśtykające staruszki. Na koniec, dużo później od innych, żona Olgierda Jakubca.

Karolina puściła rękę Rozłuckiego. Wstali. Kobieta szła ku nim tym samym, co przed mszą, powolnym krokiem. Jej oczy były zaczerwienione i wilgotne od płaczu.

Gdy już zrównała się z nimi, Karolina delikatnie zastąpiła jej drogę.

– Przepraszam... – powiedziała.

Kobieta spojrzała na nią, lecz nie sprawiała wrażenia, że ją poznaje.

– Dzień dobry pani. Karolina Janczewska i Zygmunt Rozłucki. Poznaliśmy się niedawno, byliśmy u pani w domu. Moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

Kobieta stała, jakby czekała na zmianę światła. Gdy znów będzie zielone, pójdzie dalej.

– Pamięta nas pani? – spytał Rozłucki.

Ta powoli przeniosła na niego wzrok.

– Tak – odpowiedziała. – Pytaliście o Darka.

– I mamy jeszcze parę pytań – wtrąciła Karolina. – Możemy przez chwilę porozmawiać? – powtórzyła.

– Tutaj? – zdziwiła się kobieta. – Jedźcie do naszego domu, mój mąż wam wszystko opowie.

– Nie chcemy rozmawiać z pani mężem, tylko z panią – powiedział z naciskiem Rozłucki. – Interesuje nas pani punkt widzenia, chcemy

wiedzieć, co pani ma na ten temat do powiedzenia.

– Nie, nie, nie! – Kobieta sprawiała wrażenie, jakby oganiała się od natrętnej muchy. – Porozmawiajcie z mężem, on wam odpowie na wszystkie pytania.

Skreśliła w lewo, jakby chciała ich ominąć.

– Jak ma pani na imię? – spytał Rozłucki.

– Słucham? – Odwróciła z powrotem głowę.

– Jak ma pani na imię? – powtórzył. – Gdy byliśmy u państwa, pani mąż nawet pani nie przedstawił. Mówił o pani „moja żona”, jakby to całkowicie panią określało.

Kobieta zamrugła oczami.

– Janina – odpowiedziała.

– Pani Janino. – Rozłucki położył jej dłoń na ramieniu. – Bardzo chcielibyśmy z panią porozmawiać, usłyszeć, co ma pani do powiedzenia. Nie pani mąż, pani.

– Muszę wracać do domu, zrobić śniadanie...

– Zajmiemy pani najwyżej dziesięć minut. Msza mogła się przecież trochę przedłużyć, prawda? To co, zgodzi się pani? Bardzo panią proszę.

Kobieta odwróciła się powoli w jego kierunku. Na jej twarzy dało się dostrzec wahanie. Widać było, że nie nawykła do odmawiania. Rozłucki spojrzał jej w oczy i powtórzył raz jeszcze.

– Tylko parę minut. Bardzo panią proszę.

– No dobrze – odpowiedziała wreszcie.

Podeszli razem do ławki pod jesionami. Usiedli. Z kościelnej zakrystii wyszedł ksiądz i szybkim krokiem zaczął iść w kierunku budynku parafii. Był stary, niski i szczupły. Łysina na jego głowie i długi, spiczasty nos przypomniały nagle Rozłuckiemu dawne wakacje we Francji.

– Pani Janino – zaczął łagodnie. Położył swoją dłoń na jej zaciśniętych razem dłoniach. – Wydaje nam się, że wiemy, co się stało.

Kobieta spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

– Wiecie?

– Nie wszystko, dlatego chcemy, by nam pani pomogła. Pani wnuczka została porwana, prawda?

Kobieta zaczerpnęła gwałtownie powietrze, jakby nagle straciła dech. Zamrugowała szybko powiekami.

– Pani Janino?

Kobieta wydała przeciągły, stłumiony jęk. Rozłucki objął ją ramieniem.

– Czemu nie zgłosili tego państwo na policję? – spytała Karolina.

Kobieta zaczęła płakać. Cicho, prawie bezgłośnie.

– Mąż nie chciał – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Mówił, że to nic nie da. Nie było... nie było żadnego listu ani telefonu. Nikt się nie skontaktował, nie żądał okupu. Po prostu zniknęła. Tylko to zdjęcie...

– Jakie zdjęcie?

– Przyszło pocztą, w kopercie. Na drugi dzień po tym, jak nie wróciła do domu. Darek myślał, że została na noc u koleżanki. Dopiero rano zaczął się niepokoić. Zaczął właśnie dzwonić po jej znajomych, kiedy przyszedł listonosz. Od razu zadzwonił do męża. A kiedy on zobaczył to zdjęcie, powiedział, żeby nikogo nie zawiadamiać. Że ten, kto to zrobił, na pewno się odezwie. Że czegoś chce, a my mu to damy, i wtedy Ania wróci. Ale nikt się nie odezwał.

– Jakie to było zdjęcie?

– Zwykle, czarno-białe. Nic tam nie było napisane, żadnej

wiadomości, nic. Tylko to zdjęcie.

– Co na nim było?

– Ona.

– Pani wnuczka?

– Nie. Justyna.

Zaczęła płakać głośniej. Skuliła się, spuściła głowę i oparła bezwładnie o Rozłuckiego. Starszy mężczyzna przechodzący z siatką pełną zakupów przez teren kościoła przyjrzał im się uważnie. Rozłucki i Karolina wymienili spojrzenia.

– Pani Janino – przejął pałeczkę Rozłucki – wiemy, jak bardzo pani cierpi. Jest pani zagubiona i przerażona. Pewnie czuje się też pani winna. Ale musi nam pani powiedzieć, co się wtedy stało. Chcemy pani pomóc, ale musimy to wiedzieć. To jest klucz do wszystkiego.

– On mi zabronił – powiedziała, tłumiąc szloch. – Powiedział, żebym nigdy nikomu pod żadnym pozorem tego nie mówiła.

– Chodzi o pani wnuczkę – powiedziała Karolina. – Być może jeszcze żyje, ale nie wiemy, ile czasu jej zostało. Jaka tajemnica jest od tego ważniejsza? Straciła pani syna, chce pani stracić także ją?

Kobieta spojrzała na nią przerażona.

– Pani Janino. – Rozłucki ścisnął lewą ręką jej dłoń. – Musi nam pani to powiedzieć. Już wystarczająco długo dusiła pani w sobie tę tajemnicę. To zatruwało pani życie, prawda? Proszę to wreszcie powiedzieć, uwolnić się od tego ciężaru.

## ROZDZIAŁ 37

Kobieta pokiwała powoli głową. Potem otarła wierzchem dłoni łzy.

– To z nim się wtedy spotkała, z Darkiem – powiedziała.

– Justyna?

Znów pokiwała głową.

– Pojechali za miasto?

– Tak. Darek wziął samochód ojca. Często go brał. Mieliśmy wtedy takiego starego cadillaca. Olgierd kupił go za jakieś grosze w Niemczech. Darek lubił nim jeździć. Mówił, że wszystkim opadają szczęki, jak podjeżdża takim samochodem. To w zasadzie był jego samochód, bo Olgierd miał jeszcze jeden – mercedesa. Zawsze lubił mercedesy.

– I co się stało?

– Darek mówił, że się pokłócili. Justyna chciała wysiąść, Darek nie chciał jej wysadzać w nocy w lesie. Chwyliła za kierownicę. Darek stracił panowanie nad samochodem i wjechał do rowu. Justyna nie miała zapiętych pasów, wypadła z samochodu i uderzyła o coś głową. Darek wpadł w panikę, zostawił ją tam i pojechał po ojca.

– A pani mąż stwierdził, że trzeba ukryć zwłoki?

– Olgierd przyjechał tam dopiero po około godzinie. Tyle czasu zajęło, zanim Darek wrócił do domu, opowiedział, co się stało, a on wsiadł w swój samochód i dojechał na miejsce wypadku. Znalazł ją i wtedy zrozumiał, że Justyna nie zginęła od razu. Umarła dopiero potem, z wykrwawienia. Widać było ślady czołgania się, wszędzie było pełno krwi. Olgierd jest adwokatem, niejedną sprawę widział i wiedział, że każdy policjant, który to zobaczy, i każdy patolog, który



będzie robił sekcję zwłok, też to zrozumie. Darek miał zdawać za parę dni na prawo. Miał już zaklepane miejsce w Gdańsku, bo Olgierd miał tam znajomości. Po studiach i aplikacji miał przyjść do naszej kancelarii, a potem ją przejąć. Ucieczka z miejsca wypadku i nieudzielenie pomocy – za to się idzie do więzienia. Po czymś takim Darek nie mógłby już być adwokatem. Mój mąż uznał, że tak będzie najlepiej. Justyna przecież już i tak nie żyła.

– A nie pomyślał o jej rodzicach? Przez kilkanaście lat żyli w rozpacz i niepewności, nie wiedząc, co stało się z ich córką.

– Myślał przede wszystkim o Darku.

– A teraz ktoś chce, żebyście wy też poczuli tę rozpacz i niepewność – wtrąciła Karolina.

Kobieta znowu zaczęła łkać. Rozłucki skarcił Karolinę wzrokiem.

– Pani Janino, pani Janino! Proszę się uspokoić! Musimy myśleć logicznie. Czy domyśla się pani, kto to mógł zrobić?

Kobieta spróbowała wziąć się w garść.

– Olgierd myślał, że to jej ojciec – powiedziała, z trudem powstrzymując się od płaczu. – Zawsze był chamem, to byłoby do niego podobne – tak mówił. Pojechał nawet do niego, ale jak wrócił, powiedział, że to nie on.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu powiedział, że to nie on.

– Ktoś jeszcze przychodził wam do głowy? Ktoś, kto mógłby się mścić za jej śmierć?

Kobieta przecząco pokręciła głową.

– Brat? Siostra? Wujek, który ją bardzo kochał? Ktoś, kto był z nią bardzo mocno związany? Miała kogoś takiego?

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na Rozłuckiego.

– Miała brata, ale to było jeszcze zupełne dziecko. Miał dwanaście, może trzynaście lat.

– Ale teraz ma już znacznie więcej – zauważyła Karolina.

Kobieta odwróciła głowę w jej kierunku.

– Ale on potem wyjechał – powiedziała. – Jak tylko skończył osiemnaście lat. Nie mieszka w Olsztynie. Nie był nawet na pogrzebie Justyny.

– Skąd pani wie?

Zwiesiła głowę.

– Ja byłam.

– Pani mąż nie pomyślał o nim? Nie próbował się z nim spotkać?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie mówi mi wszystkiego. A jak próbuję pytać, jest rozdrażniony. Nauczyłam się więc nie pytać. Gdzieś jeździł. Ale czy z kimś się spotykał? Nie wiem.

– Pamięta pani, jak miał na imię?

– Nie, przykro mi.

Poprawiła sobie spódnicę na kolanach.

– Naprawdę muszę już jechać – powiedziała, jakby wzmianka o mężu przypomniała jej o obowiązkach. – Muszę mu zrobić śniadanie. Zresztą wszystko wam już chyba powiedziałam.

Wstała.

Wstali wraz z nią. Ruszyła w dół, w kierunku głównego wejścia prowadzącego na wzgórze, nie zegnając się z nimi ani nie patrząc na nich, ze wzrokiem tak samo jak zawsze utkwionym w ziemię.

– Chwileczkę! – Karolina nagle sobie o czymś przypomniała. – A Lesicki? Córka Andrzeja Lesickiego też została najprawdopodobniej porwana. Co on ma z tym wspólnego?

Kobieta odwróciła się.

– On też tam wtedy był – powiedziała. – Pojechali we trójkę.

– Ale po co? – zdziwiła się Karolina.

– Nie wiem.

– Nic mu się nie stało w czasie wypadku? – spytał Rozłucki.

– Nie, siedział z tyłu i nic mu się nie stało.

– A pani syn?

– Był poraniony na twarzy. Jakby go kot podrapał.

– Jeszcze jedno: nie wie pani, gdzie mieszka brat Justyny?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek go  
poznałam.

– To skąd pani wie, że nie było go na pogrzebie?

Uśmiechnęła się smutno.

– Oprócz mnie, jej ojca, księdza i jeszcze jakiejś kobiety nie było  
nikogo innego.

## ROZDZIAŁ 38

Poszli w dół, w kierunku jeziora, by trochę zebrać myśli. Dochodziła ósma i powoli robiło się ciepło.

– I co o tym myślisz? – spytała Karolina.

– Straszna historia – odpowiedział. – I zdarzyła się praktycznie przypadkiem. Głupi wypadek, który zniszczył życie tylu ludzi.

– Najgorsze jest to, że w zasadzie nikt tu nie jest winny. Nikt świadomie nie popełnił złego uczynku. Ona chwyciła za kierownicę, on wjechał do rowu, potem myślał, że ona nie żyje i pojechał po ojca, zostawiając ją w lesie bez pomocy. Nawet starego można w pewnym sensie zrozumieć. Wiedział, co grozi jego synowi. Nie chciał, by zmarnował sobie życie, odpowiadając za coś, co uczynił w zasadzie niechcący.

– Jego syn i tak zmarnował sobie życie – zauważył Rozłucki. – Nie zdał na prawo, stoczył się, nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Nie potrafił zapomnieć tego, co się stało. Myślał pewnie ciągle o niej, leżącej gdzieś w mule na dnie jeziora. Jeśli ją wcześniej kochał, musiało to być dla niego koszmarem. Gdyby odsiedział ten rok czy dwa w więzieniu, a ona spoczęłaby jak należy w grobie, pewnie byłoby mu łatwiej.

– W końcu jednak ułożył sobie życie, zapomniał.

– On tak, ktoś inny najwyraźniej nie.

Doszli do jeziora. Wokół jego brzegu biegła ścieżka wysypana ubitym zwirem. Stały przy niej ławki, kosze na śmieci i latarnie. Weszli na nią. Żerująca przy trzcinach rodzina łabędzi – dwa majestatyczne białe ptaki i szóstka szarych piskląt – podpłynęła do nich, licząc na

dokarmienie.

– W każdym razie można teraz zrozumieć, dlaczego nie zawiadomili policji – powiedział Rozłucki.

– Dlaczego?

– Stary ich przekonał. Wyobrażasz sobie, co by to dla niego znaczyło, gdyby prawda wyszła na jaw? Nie dla jego syna, dla niego. On, gwiazda miejscowej palestry, tuszuje przestępstwo i ukrywa zwłoki? Dla kogoś takiego jak on byłaby to katastrofa, gorsza od śmierci syna i wnuczki. To człowiek z kompleksami, który przez całe życie budował swoją pozycję, próbując udowodnić sobie i innym, że jednak jest coś wart. Całe poczucie jego wartości, cała konstrukcja jego ego opiera się na tym jednym – że jest szacownym panem adwokatem prowadzącym najlepszą kancelarię w mieście. Gdyby prawda wyszła na jaw, straciłby to wszystko. Znowu by się z niego śmiali, jak w podstawówce.

– No dobrze – powiedziała Karolina. – Rozumiem, że przekonał swoją żonę, która jest przez niego całkowicie zdominowana. Ale resztę? Dlaczego nie poszli na policję? Nie potrafię tego pojąć! Były tam matki, ojcowie tych dziewczyn, jak mógł ich przekonać jeden stary, bojący się utraty reputacji zgrede?! Nie powiesz mi chyba, że oni wszyscy byli pod jego przemożnym wpływem, bo w to nie uwierzę. Andrzej Lesicki i jego żona – dlaczego oni nie zareagowali?! Co ich obchodziła pozycja starego?

Szli przez chwilę w milczeniu. Rodzina łabędzi towarzyszyła im przez jakiś czas, płynąc wzdłuż brzegu, w końcu jednak zrezygnowała.

– Może coś było na zdjęciu? – odezwał się w końcu Rozłucki.

– Tylko co? Żona starego mówiła, że była na nim Justyna. Powiedziałyby chyba, gdyby było coś jeszcze.

– Może go nie widziała? Nie pokazali go jej. Jeśli było tam coś

kompromitującego, mogli go jej nie pokazać, tylko powiedzieć, że była tam Justyna, bez wdawania się w szczegóły. Nie spytaliśmy jej o to.

– Nie spytaliśmy.

Nagle Rozłucki przystanął.

– Zapominamy cały czas o najważniejszym – powiedział. – Dlaczego oni w zasadzie poszli do telewizji i się wzajemnie pozabijali? Ktoś porywa ich córki, potem przysyła zdjęcie, samo zdjęcie, bez żadnej wiadomości, a oni nie zawiadamiają policji, tylko idą i dokonują spektakularnego samobójstwa na oczach całej Polski. Dlaczego?

– Ciekawe, czy jest tu zasięg? – mruknęła Karolina, sięgając do kieszeni.

– Po co ci zasięg? Do kogo chcesz dzwonić?

– Do nikogo. Chodzi mi o internet. Powinniśmy jeszcze raz zobaczyć to nagranie. To, na którym Jakubiec wygłasza oświadczenie, a potem strzela sobie w głowę. Może tam jest coś, czego wcześniej nie dostrzegliśmy?

Usiedli na jednej z ławek. Poranny wietrzyk szumiał w liściach drzew nad ich głowami.

– I co? – spytał Rozłucki.

– Jest – odpowiedziała. – Nie ma szafu, ale powinno się udać.

Pochylili się wspólnie nad małym ekranem. Ich głowy prawie się zetknęły. Rozłucki poczuł zapach jej ciała i perfum zmieszany z wilgotną wonią jeziora. Zachciało mu się seksu. Tak zwyczajnie, po prostu. Zagryzł język zębami i skupił się na ekranie.

Filmików przedstawiających moment odczytania oświadczenia przez Jakubca było w internecie całe mnóstwo. Lepszej lub gorszej jakości, dłuższe lub krótsze, niektóre z zabawnymi, zdaniem ich autorów, komentarzami, inne z podłożoną wesołą muzyką – inwencja

internautów była jak zwykle niewyczerpana. Furorę zrobił zwłaszcza, sądząc po liczbie polubień, filmik, w którym na twarz Jakubca nałożono animację przedstawiającą twarz znanego polityka. Zabawnie było patrzeć, jak wygłasza oświadczenie, przepraszając za wszystkie swoje zbrodnie, a potem strzela sobie w głowę.

Karolina znalazła wreszcie taki, który skupiał się na samym momencie odczytania oświadczenia, nie był skręcany i nie zawierał komentarza w tle. Poczekwała, aż jej telefon ściągnie odpowiednią ilość danych, co przy nienajlepszym zasięgu trochę trwało, potem nacisnęła palcem na ekranie trójkąt rozpoczynający odtwarzanie.

Na małym, kilkucalowym prostokącie wyświetlacza pojawiła się postać Dariusza Jakubca.

„Nazywam się Dariusz Jakubiec, chciałbym przeprosić wszystkich za to, co zrobiłem. Biorę na siebie całą winę i wszystkie związane z nią konsekwencje. Przed chwilą zabiłem człowieka, nazywał się Andrzej Lesicki. Śmierć człowieka jest zawsze wielką tragedią, zwłaszcza dla jego bliskich. Dlatego proszę jeszcze raz o wybaczenie. Jednak wina, zwłaszcza jeśli została uznana i przyjęta, jeśli szczerze za nią żałujemy, nie wyklucza przebaczenia. Powinniśmy odpuścić sobie nasze zbrodnie i wyrzec się zemsty. Dlatego ja, Dariusz Jakubiec, stojąc nad zwłokami człowieka, którego zabiłem, Andrzeja Lesickiego, proszę, błagam o wybaczenie. Wybaczenie jednak nie wyklucza i nie może wykluczać kary. Tę karę wymierzę sobie sam”.

Widać było jeszcze, jak Jakubiec podnosi pistolet i wkłada go sobie do ust, potem przytomny realizator przeniósł obraz do studia. Nieszczęsny prezenter, który w nim siedział, zobaczył jednak najwyraźniej, co stało się dalej, bo na jego twarzy pojawiła się groza, a z ust wydobył się pełen przerażenia jęk. Chwilę potem zerwał mikrofon

z ucha i wybiegł ze studia.

Nagranie skończyło się. Karolina i Rozłucki siedzieli w milczeniu, wpatrując się wciąż w zastygły obraz.

– Nie oglądałam tego jeszcze od... od wtedy – powiedziała.

– Ja też.

Zaczęła drżeć. Objął ją ramieniem.

– Kurwa – powiedziała.

Zerwała się i poszła z stronę jeziora. Stała na brzegu, w małym prześwicie wolnym od trzciny.

– Kurwa! – usłyszał.

Schyliła się i zaczęła wymiotować. Zgięta w pół oddawała jezioru całe zjedzone dziś rano w pośpiechu śniadanie. Skończyła, postąpiła jeszcze chwilę w tej pozycji, potem oplukała usta wodą i wróciła do Rozłuckiego.

– W porządku? – spytał.

– Tak – odpowiedziała tonem zamykającym jednoznacznie ten temat. Usiadła obok niego.

– Jeszcze raz – powiedziała.

Nacisnął ekran. Po niecałej minucie obraz ponownie się zatrzymał.

– I co? – spytała.

Tym razem to on wstał. Spojrzał na widoczną między trzcynami tafle wody. „Tę karę wymierzę sobie sam...” – brzmiały mu w uszach ostatnie słowa Jakubca. Ostatnie, jakie wypowiedział na tym świecie.

– On nie mówił do nas – powiedział. Odwrócił się. – Nie mówił do widzów. To oświadczenie nie było przeznaczone dla świata. Było przeznaczone dla porywacza.



## ROZDZIAŁ 39

Zobaczył wpatrzone w siebie oczy Karoliny. Ich wyraz świadczył, że i ona powoli zaczynała to rozumieć.

– Dwa razy wymienił nazwisko swoje i Lesickiego – powiedział. – Dwa razy! Chciał, by porywacz dobrze je usłyszał i zrozumiał przekaz. Prosił o wybaczenie i o wyrzeczenie się zemsty. Nie błagał o wybaczenie zabójstwa, które właśnie popełnił, zabójstwa Andrzeja Lesickiego, tak jak wszyscy myśleli, biorąc go za wariata. Nie był wariatem. Błagał o wybaczenie tego, co zrobił przed laty.

Rozłucki chodził po ścieżce tam i z powrotem. Karolina wodziła za nim wzrokiem.

– Teraz jest jasne, dlaczego również oni nie zawiadomili policji. Zrozumieli, że nic by to nie dało. Ktoś, kto porwał ich córki, nie chciał okupu, nie chodziło mu o nic, co mogliby mu dać. Chodziło mu o zemstę, chciał dla nich sprawiedliwej kary. Sprawiedliwej, a więc równoważnej zbrodni. Chciał, by poczuli się tak samo jak on. By stracili kogoś, kogo kochają, i nie wiedzieli, co się z nim stało. Czy żyje, czy nie. Chciał, by żyli w strachu, rozpacz i niepewności, tak jak kiedyś on. Kiedy to zrozumieli, zrozumieli też, że policja nic tu nie da, nic tu nie pomoże.

Staął i spojrział na Karolinę.

– I wtedy wpadli na ten pomysł. Że jedyne, co może uratować ich córki, jeśli jeszcze żyją, to ubiegnięcie zemsty. Dobrowolne poddanie się karze. Odwrócona ofiara Abrahama. Weszli na górę, wyciągnęli nóż i przeciągnęli nim po swoich gardłach, licząc, że on wtedy oszczędzi ich dzieci. Żeby ich ofiara jednak osiągnęła swój cel, porywacz musiał się o

niej dowiedzieć. Musieli go o niej jakoś powiadomić. Jak to zrobić, skoro nie wiadomo, kim on jest? Jedyne wyjście, to rozgłosić ją na cały świat. Sprawić, by dowiedzieli się o niej wszyscy. Licząc, że siłą rzeczy dowie się o niej wtedy również porywacz.

Usiadł ciężko na ławce.

– Boże! – powiedział. – Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, co musieli wtedy czuć? Oddajesz swoje życie za życie dziecka, nie wiedząc nawet, czy odniesie to jakikolwiek skutek! I wiedząc, że nigdy się tego nie dowiesz.

Oparł głowę na dłoniach, wsuwając rozczapierzone palce we włosy.

– I tak się chyba właśnie stało – odezwała się Karolina. – Ich ofiara poszła na marne.

– Nie wiesz tego. – Podniósł głowę. – Może dzięki nim ich córki jeszcze żyją.

– Nie dowiemy się tego, póki nie ustalimy, kto to jest.

Zapatrzyli się na jezioro. Na jego środku perkoz dwuczuby nurkował raz po raz w poszukiwaniu pożywienia. Któraś z kolejnych prób zakończyła się sukcesem, gdyż ptak wynurzył się z rybą w dziobie, po czym rozpoczął spektakularną i nieco groteskową procedurę połknięcia swojej zdobyczy. Wyciągnął szyję wraz z rozwartym dziobem ku niebu i ruchem przypominającym podrzucanie zaczął wtłaczać przydużą rybę do swojej wydawałoby się za małej gardzieli. Jego szyja rozszerzyła się, a lśniący jeszcze od wody rybi ogon zaczął powoli osuwać się w czeluście swojego pierzastego grobu. W końcu ryba zniknęła na zawsze w żołądku ptaka, który opłukał jeszcze dziób, poprawił tu i tam kilka piórek i jak gdyby nigdy nic popłynął dalej.

– Jedno mnie jeszcze zastanawia – powiedziała Karolina. – Dlaczego teraz nie zawiadomią policji? Teraz, gdy już wiadomo, że ich mężowie i

synowie zginęli, a dziewczyny nie wróciły do domów.

Rozłucki uśmiechnął się smutno.

– Jest taka psychologiczna prawidłowość – odpowiedział – że im więcej w coś zainwestujemy, tym trudniej nam się pogodzić ze stratą. Oni zainwestowali najwięcej jak się da – życie swoich bliskich. Myślisz, że tak łatwo przyznać, że nic to nie dało? Moim zdaniem ciągle czekają. Ciągle mają nadzieję. Może z każdym dniem mniejszą, ale nawet tych resztek czepiają się kurczowo i z rozpaczą. Zgłoszenie się teraz na policję oznaczałoby przyznanie, że Jakubiec i Lesicki oddali swoje życie na darmo, a ich córki być może nigdy nie wrócą.

– A ty jak myślisz? Wrócą? Żyją jeszcze?

– Nie wiem. Coś mi jednak mówi, że jest taka możliwość. Człowiek, który tego dokonał, przez wiele lat bardzo cierpiał, a gdy dwa lata temu poznał prawdę, dowiedział się, że Justyna zginęła, połączył ze sobą kilka elementów układanki i zrozumiał, co tak naprawdę się stało. Być może wiedział więcej niż my i było mu łatwiej, a może po prostu się domyślił. I postanowił wymierzyć karę. Zamienił cały swój ból i rozpacz w nienawiść i chęć zemsty. Ale nie jest tak łatwo zabić dwie młode, niewinne dziewczyny, gdy się nie jest bandytą lub psychopatą. A on nie jest ani jednym, ani drugim. Dlatego jest szansa, że one wciąż jeszcze żyją, że trzyma je gdzieś i nie wie, co z nimi zrobić. Ich ojcowie chyba rzeczywiście pokrzyżowali mu plany. Karą miała być przecież ich rozpacz i niepewność. Teraz, gdy nie żyją, nie mogą ich odczuwać. Dlatego ich żony mogą mieć trochę racji. On rzeczywiście może je w pewnym momencie wypuścić.

– Ale może je równie dobrze trzymać dalej albo w końcu zabić.

– Wszystko zależy od tego, co dzieje się teraz w jego głowie i co działo się w niej przez tych kilkanaście minionych lat. A tego nie

wiemy. Może...

– Co?

– Może na przykład uznać, że któraś z nich jest nią, jest Justyną. Albo kimś w rodzaju jej zastępczyni. Może przelać na nią wszystkie swoje dawne uczucia. A wtedy ich nie wypuści. Ani jednej, ani drugiej. Nie może przecież wypuścić tylko jednej, bo to by groziło ujawnieniem jego tożsamości. A wtedy przyjdzie policja i zniszczy jego dopiero co odzyskane szczęście.

– Kurwa mać...

Ścieżką wzdłuż jeziora szedł młody, czternastoletni może chłopiec. Szczupły, już dość wysoki i w okularach. W prawej ręce trzymał wędkę, a w lewej siatkę z kilkoma złowionymi rybami. Spojrzał na nich wzrokiem pełnym zazdrości i tęsknoty i wtedy Rozłucki uświadomił sobie, że wyglądają jak para zakochanych, która wybrała się na romantyczny spacer. Brakowało tylko jeszcze, żeby trzymali się za ręce.

– A my? – spytała Karolina, wytracając go z kilku dość przyjemnych marzeń. – Co my powinniśmy teraz zrobić?

– Powinniśmy pójść na policję. Najwyższa pora, by ktoś to zgłosił, nie uważasz?

– Nie uwierzą nam. A już zwłaszcza nie po tym, co stało się ostatnio. Nie zapominaj, że żadna z rodzin nie zgłosiła zaginięcia.

– Z tego, co wiem, porwanie jest przestępstwem ściganym z urzędu i policja nie potrzebuje zawiadomienia rodziny, by rozpocząć śledztwo. Jeśli zgłosimy to oficjalnie, będą musieli się tym zająć. Przesłuchają matki dziewczyn, a wtedy może któraś pięknie i powie, co się stało.

– I co to da? – spytała. – Nawet zakładając, że nam uwierzą i że któraś z matek rzeczywiście przyzna, że jej córka została porwana. Po kilku dniach przesłuchań znajdą się dokładnie w tym samym punkcie,

co my teraz. Będą wiedzieli, co się stało, ale nie będą wiedzieli, kto to zrobił.

– Policja ma jednak trochę większe możliwości znajdowania odpowiedzi na tego typu pytania.

– Ale my mamy przewagę czasową! Wiemy to wszystko już teraz! I mamy potencjalnego podejrzanego – brata Justyny. Wykorzystajmy to!

Popatrzył na nią uważnie.

– Chcesz, żebyśmy zrobili to sami?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak. Jedźmy do niego, porozmawiajmy z nim. Na zawiadomienie policji zawsze będzie czas. Tym bardziej, że już raz powiedzieliśmy im, co wiemy, a oni to zlekceważyli. Nie możemy więc mieć do siebie pretensji.

Pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Uważam, że powinniśmy to zgłosić już teraz. Pomyślałaś o nich, o tych dziewczynach? Chcesz się bawić w detektywów, narażając ich życie?

– Te dziewczyny albo już i tak nie żyją, więc ani im nie pomożemy, ani nie zaszkodzimy, albo, jak sam mówiłeś, siedzą gdzieś z porywaczem, który nie wie, co z nimi zrobić. Nie sądzę, żeby dzień lub dwa zmieniły coś w ich sytuacji. A my mamy większe szanse, by odkryć, kim on jest, niż policja. To my wpadliśmy na trop tej sprawy, nie oni, nie zapominaj o tym.

– Nie wiem... – Pokręcił jeszcze raz głową.

– Daj nam jeszcze ten dzień lub dwa. – Położyła dłoń na jego dłoni. – Proszę cię.

Spojrzał w dół na jej długie, szczupłe palce oplatające jego niezgrabną łapę. „Nieczyste zagranie” – pomyślał. Czyżby próbowała go

przekonać, wykorzystując do tego swój kobiecy urok? Pewnie od dawna ma świadomość, jak działa on na mężczyzn.

Popatrzył jej w oczy. To był błąd. Znajomość mechanizmu nie oznacza jeszcze, że przestaje on działać, powinien to wiedzieć.

– Aż tak bardzo ci na tym zależy? – spytał.

– Tak – odpowiedziała. – To najważniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w całym życiu. Nie chcę wracać do bzdurnych reportaży o nieistotnych sprawach.

– Bierzemy na swoje barki wielką odpowiedzialność – powiedział. – Chodzi o życie dwóch kilkunastoletnich dziewczyn. Jedna z nich to właściwie jeszcze dziecko.

– To nasze śledztwo. I my je uratujemy. Wierzę, że mamy do tego lepsze predyspozycje niż policja.

– Dobrze – odparł. – Dwa dni.

– Dziękuję – powiedziała i ścisnęła jego dłoń. Ośrodek nagrody w jego mózgu rozhulał się na dobre.

– Pozostaje jednak jeszcze jedna kwestia – powiedział.

– Jaka?

– Musimy odszukać brata Justyny. Nie wiemy, gdzie mieszka. Nie wiemy nawet, jak ma na imię. Pod tym względem policja miałaby znacznie łatwiej.

– Cholera, faktycznie... – zasepiła się.

– Jest na to tylko jeden sposób. Dzwon do swojego byłego – powiedział nie bez pewnej satysfakcji. – Dla niego to nie powinien być specjalny problem.

– O, nie! – Uniosła dłonie w powietrze. – Nie ma mowy. Już nigdy go o nic nie poproszę! Nie po tym, co stało się ostatnio! Widziałeś, jak się nade mną znęcał?

– Źle o tym myślisz – powiedział. – Jest ci wstyd, że zrobiłaś z siebie przed nim idiotkę. Nie chcesz z nim rozmawiać, by nie przypominać sobie tamtego upokorzenia i znowu nie poczuć się w ten sposób. To błędne podejście. Wystarczy, że odwrócisz sytuację i znowu poczujesz się pewnie.

– Jak mam niby odwrócić tę sytuację?

– Zaczynaj tak: „Jesteś mi winien pewną przysługę...”.

## ROZDZIAŁ 40

– Jesteś mi w końcu winny przysługę...

– Niby jaką? – Podkomisarz popatrzył na nią szczerze zdumiony.

– Po pierwsze rzuciłam cię, dzięki czemu masz dzisiaj wspaniałą żonę i dwójkę cudownych dzieci i nie musisz się użerać z rozhisteryzowaną i nadpobudliwą dziennikarką z Warszawy. A po drugie...

– No, ciekaw jestem bardzo, bo pierwsze już było niezłe...

– A po drugie wystawiłam ci nielegalną rozlewnię przemycanego alkoholu. Mam nadzieję, że pamiętasz?

Policjant pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego łysa czaszka pokryta była drobnymi kropelkami potu. Pomimo gorąca wciąż miał na sobie skórzaną kurtkę. Widocznie traktował ją jako coś w rodzaju munduru.

– Zawsze miałaś tupet i to się akurat nie zmieniło.

– Coś się nie zgadza? Czy w którymkolwiek punkcie minęłam się z prawdą?

– Nie, wszystko się zgadza. Faktycznie wszystko, co w moim życiu najlepsze, zawdzięczam tobie.

Siedzieli we troje w ciasnym wnętrzu volkswagena New Beetle zaparkowanego na chodniku po drugiej stronie ulicy Partyzantów, przy której wznosiła się solidna bryła Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie. Rozłucki usiadł z tyłu, by zrobić miejsce podkomisarzowi Sądeckiemu, który tylko na chwilę wyrwał się z pracy. Patrzył teraz na jego mięsisty kark, w którego fałdach błyszczała wilgoć.

– No dobrze, to czego chcesz? – spytał na poły z irytacją, na poły z



rozbawieniem policjant.

Karolina posłała mu swój promienny, roztopiający serca mężczyzn uśmiech.

– Chcielibyśmy porozmawiać z bratem Justyny Wasilewskiej. Tylko niestety nie wiemy, gdzie mieszka. Podobno wyjechał niedługo po jej zaginięciu. Mógłbyś nam to, złociutki, sprawdzić?

Podkomisarz popatrzył na nią uważnie.

– A wy ciągle o tym? Nie znudziło wam się po ostatniej wpadce?

– Kręcę reportaż, nie pamiętasz?

– Jakoś na działkach nie widziałem przy was ekipy.

– Na razie zbieramy materiały. Nie mogą ciągle z nami jeździć. Wiesz, ile kosztuje jeden dzień zdjęciowy? Więcej niż wszystkie łąpówki, jakie dostałeś w życiu.

– No, no! Uważaj! Takich żartów nie lubię. – Pogroził jej palcem. – Ciągle uważasz, że było jakieś porwanie? – spytał poważnie.

– Tak. I coraz bardziej jestem tego pewna. Gdybyś trochę przy tym pogrzebał, doszedłbyś do tego samego wniosku.

– No nie wiem. Wasza ostatnia hipoteza śledcza w spektakularny sposób legła w gruzach.

– A twoje wszystkie hipotezy śledcze się sprawdzają? Myliliśmy się w tej jednej kwestii, ale to nie znaczy, że mylimy się we wszystkich. Prawda?

– Prawda. Ale to wciąż nie znaczy, że macie rację.

– Dlatego pozwól nam to sprawdzić. Znajdź nam ten adres. Porozmawiamy z bratem Justyny i może dowiemy się czegoś, co całkowicie obali naszą teorię. Albo ją potwierdzi.

– A wtedy zadzwonisz do mnie?

– Zadzwonię.

- Obiecujesz?
- Obiecuje. Fajnie byłoby dostać awans na komisarza, co?
- Może wtedy nie musiałbym siedzieć w niedzielę w robocie.

Nie czekali długo. Już po mniej więcej pół godzinie Karolina otrzymała SMS z adresem, o który prosiła. Paweł Wasilewski, brat Justyny, mieszkał w miejscowości Ryn, osiemdziesiąt dwa kilometry od Olsztyna, w samym sercu Pojezierza Mazurskiego. Prowadził tam warsztat samochodowy.

Ruszyli od razu. Pojechali na wschód, najpierw nową i dość dobrą drogą na Biskupiec i Mrągowo, potem starą i krętą, ale bardzo malowniczą trasą przez lasy i małe mazurskie wsie w kierunku Rynu. Droga wiła się ocieniana szpalerami rosnących na poboczach wiekowych drzew, opadała i wznosiła się wraz z rytmem surowego, polodowcowego krajobrazu tak, że nawet Karolina zmuszona była zwolnić i jechać zgodnie z ustawionymi na poboczach znakami ograniczenia prędkości.

– Nie bój się – powiedziała już na samym początku. – Nie będę szaleć. Znam te drogi. Tu jak jest ograniczenie do czterdziestu na godzinę, trzeba jechać czterdzieści na godzinę. Niektóre zakręty są pod kątem prostym.

Gdy dojechali na miejsce, dochodziła druga po południu. GPS wskazał im, gdzie znajdował się warsztat brata Justyny. Brzydkie osiedle czteropiętrowych, peerelowskich bloków położone było w cieniu dawnego krzyżackiego zamku, obecnie przerobionego na luksusowy hotel. Odnowione niedawno, choć wciąż koszmarne budynki stały na wzgórzu, skąd roztaczał się cudowny widok na Jezioro Ryńskie. Warsztat Pawła Wasilewskiego znajdował się w jednym z kilku

jednorodzinnych domków stojących na obrzeżach osiedla.

Podjechali pod bramę. Warsztat był oczywiście zamknięty, lecz wszystko wskazywało, że jego właściciel mieszka tuż nad nim, na parterze i piętrze budynku.

– Myślisz, że jest w domu? – spytała Karolina.

– A gdzie ma być? Jest niedziela. Wrócił z rodziną z kościoła, zjedli obiad i oglądają telewizję. Tak jak dziewięćdziesiąt procent Polaków o tej porze.

– Masz nieaktualne dane. Już znacznie mniej ludzi chodzi w Polsce do kościoła.

– Ale ciągle oglądają po obiedzie telewizję. Ta religia wciąż ma się świetnie.

Wysiedli z samochodu i podeszli do furtki. Warsztat umiejscowiony był w wysokiej piwnicy leżącej na poziomie gruntu. Na dużych, metalowych, pomalowanych na brązowo podwójnych drzwiach wymalowany był za pomocą szablonu biały napis: „Auto-naprawa”.

– Jak myślisz, są gdzieś tam? Te porwane dziewczyny? – spytała Karolina, próbując dojrzeć coś przez duże, zabudowane luksferami okna.

– Nie sędzę – odpowiedział. – To warsztat. Przychodzi tu dużo ludzi. Pewnie zatrudnia też co najmniej jednego pracownika. Trudno byłoby mu tu coś ukryć.

– Może ma jakiś domek za miastem?

– Albo tajną bazę na księżycu.

– Sądziś, że to nie on? Dlaczego?

– Nie wiem. Intuicja. Ale jej podpowiedzi nie zawsze są wiarygodne. Gdyby było inaczej, nie potrzebowalibyśmy rozumu.

– A mi intuicja mówi coś zupełnie przeciwnego.

– No to zobaczymy, kto ma lepszą.

Nacisnął przycisk domofonu. Po chwili z małej, brązowej skrzynki rozległ się głos.

– Słucham?

Rozłucki zadarł głowę do góry. Za firanką w oknie tuż nad nimi widać było postać mężczyzny z białą słuchawką przy uchu.

– Dzień dobry – powiedziała Karolina. – Szukamy pana Pawła Wasilewskiego.

– Warsztat jest dziś zamknięty – odpowiedział głos. – Chyba że to coś pilnego. Ale wtedy stawka, uprzedzam, rośnie.

– Nie, nie o to nam chodzi. Chcielibyśmy porozmawiać.

– Jesteśmy katolikami i nie zamierzamy tego zmieniać. Tak że bardzo dziękuję.

– Nie, nie, o to też nie. Jesteśmy dziennikarzami. Z Warszawy. Zbieramy materiały do reportażu.

– Jakiego reportażu? I co ja mogę mieć z tym wspólnego?

– Jeden z wątków dotyczy zaginięcia pańskiej siostry. Moglibyśmy zadać panu kilka pytań?

W domofonie zapadła cisza. Słuchać było tylko jednostajny, cichy szum generowany przez zbyt długi i nienajlepszej jakości kabel.

– Panie Pawle, jest pan tam?

Nic, cisza. Rozłucki ponownie zadarł głowę. Mężczyzna ciągle tam stał i ciągle miał słuchawkę domofonu przy uchu.

– Panie Pawle?

– Tak, przepraszam – odezwał się ponownie głos. – Bardzo dawno nikt o niej przy mnie nie wspominał.

– To co, porozmawia pan z nami?

– Nie wiem, czy mam ochotę sobie to wszystko przypominać, przykro

mi.

– Przyjechaliśmy z bardzo daleka, bardzo pana prosimy. Tylko kilka słów. Rozmawialiśmy już z pana ojcem.

– Z nim? Co u niego?

– Jest teraz w areszcie. Miał jakiś związek z przemysłem alkoholu.

– Hm – mruknął głos w domofonie. – To akurat do niego podobne.

– Panie Pawle – wtrącił się Rozłucki. – Rozmawiamy już dość długo.

Trochę głupio tak konwersować przez domofon. Niech pan nas wpuści. Jeśli nie będzie chciał pan odpowiadać na jakieś pytanie, nie musi pan. I w każdej chwili może pan przerwać.

Znowu cisza. Tym razem jednak znacznie krótsza.

– No dobrze, wchodźcie – dzwonek przy furtce zabrzączał, sygnalizując, że może zostać otworzona. Karolina skwapliwie pchnęła ją do przodu. – Poczekajcie, zejdę na dół.

## ROZDZIAŁ 41

Weszli na teren posesji. Po chwili metalowe drzwi zgrzytnęły i jedno ich skrzydło uchyliło się.

– Tu proszę. – Paweł Wasilewski machnął w ich stronę.

Weszli do warsztatu. W ich nozdrza uderzył zapach smaru, oleju, gumy z opon i benzyny.

– Ostrożnie – powiedział mężczyzna, wskazując na otwartą otchłań kanału służącego do napraw podwozia.

Poprowadził ich w głąb pomieszczenia do drzwi, za którymi było małe biuro. Wasilewski wszedł pierwszy i usiadł na fotelu za biurkiem. Im wskazał dwa wytarte obrotowe krzesła stojące przed nim.

Dopiero teraz Rozłucki miał szansę przyjrzeć mu się dokładniej. Był to postawny mężczyzna pod czterdziestkę z niewielką nadwagą i małymi, schowanymi jakby w głębi czaszki oczami. Ostrzyżony był krótko, wręcz bardzo krótko, co miało zapewne maskować rozszerzającą się już na czubku jego głowy łysinę. Na domowy dres i niebieską, spraną podkoszulkę nałożył marynarkę z podłej jakości tweedu, by choć w ten sposób uhonorować niespodziewanych gości. Małe, niebieskie oczy patrzyły na nich poważnie.

– Myślałem, że jesteście świadkami Jehowy – powiedział. – Czasem tu chodzą po domach. Próbują nawracać na swoją wiarę.

– I jak im idzie? – spytał Rozłucki.

– Chyba średnio. Nie znam nikogo, kogo by w ten sposób przekonali. Ale mają to zdaje się przykazane przez tę swoją religię, więc nie mają wyjścia, muszą chodzić. W sumie nawet mi ich żal.

Rozłucki rozejrzał się po tym mini-biurze. Segregatory, tani

elektryczny czajnik, kilka kubków i kasa fiskalna stojąca na biurku – to było całe jego wyposażenie. Na ścianie, nad głową właściciela, wisiał obowiązkowy w takich miejscach kalendarz z rozebranymi kobietami. Miss Czerwca, z tego, co zauważył, była już gotowa do żniw.

– Zawsze im wtedy mówię – ciągnął Wasilewski – że nie będę się wygłupiał i zmieniał teraz wyznania, skoro i tak zaraz przyjdą tu muzułmanie i będę musiał je zmieniać jeszcze raz. To już poczekam na tamtych.

Rozłucki uśmiechnął się uprzejmie, ale Wasilewski nawet tego chyba nie zauważył. Zapatrzony gdzieś w bok przywoływał właśnie z pamięci dawno niewyciągane stamtąd obrazy.

Zapadła cisza. Rozłucki spojrzał na Karolinę. Patrzyła na Wasilewskiego, jakby zastanawiała się, od jakiego pytania zacząć.

– Czemu pan wyjechał? – wyręczył ją Rozłucki.

– Słucham? – Mężczyzna ocknął się z zamyślenia.

– Czemu pan wyjechał? Wtedy, po zaginięciu pana siostry.

Wasilewski przesunął jakieś papiery na biurku.

– Nie od razu – odpowiedział. – Nie od razu wyjechałem. Skończyłem najpierw szkołę, zdałem maturę. W sumie jeszcze jakieś trzy lata mieszkałem w Olsztynie.

– Ale potem pan zaraz wyjechał. Od razu, jak tylko pan mógł.

– Nie dawałem rady. Wie pan, co dzieje się w domu, w którym zaginęło dziecko?

– Wyobrażam sobie.

– Wyobrażać sobie to jedno, a żyć w tym to drugie. Dzień w dzień, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu... Wydawałoby się, że gdy rodzice tracą jedno dziecko, powinni tym bardziej zacząć okazywać miłość drugiemu. Nie wiem, może zazwyczaj tak jest, u mnie tak nie

było. – W jego głosie słychać było zadawnioną urazę.

– To częsty przypadek – zauważył Rozłucki. – Gdy jedno dziecko ginie, drugie czuje się odrzucone przez rodziców, którzy więcej uwagi poświęcają swojej żałobie niż jemu.

– Częsty przypadek, pan mówi? – Uśmiechnął się gorzko. – Nie wiem, być może. Nikt mi tego wówczas nie powiedział. Czuję się w naszym domu jak zbędny mebel. Już jak Justyna mieszkała z nami, trudno mi było z nią konkurować, a co dopiero, jak zniknęła. Zawsze była tą ładniejszą, mądrzejszą, tą, w której pokłada się większe nadzieje. A ja? Ja byłem krnąbrnym bachorem, który za wszystko obrywał pasem. Kiedy zaginęła, rodzice już w ogóle przestali zwracać na mnie uwagę. A ojciec... ojciec wręcz się na mnie wyżywał. Wie pan, ja rozumiem, że strata dziecka to najgorsze, co może się rodzicom przydarzyć, sam mam teraz dzieci i aż mi dech zapiera, kiedy sobie o tym pomyślę, ale ja miałem tylko jedno życie i nie chciałem go spędzić w ten sposób.

W tym, co mówił, dawało się wyczuć latami tłumioną złość, poczucie niesprawiedliwości i żal niekochanego dziecka do swoich rodziców, które dopiero teraz, po prawie ćwierć wieku, miały szansę zostać uzewnętrznione. Rozłucki miał wrażenie, jakby stuknął w tamę, a ta, pod wpływem tego niezbyt silnego przecież uderzenia, nagle pękła. Słyszał o takich przypadkach, profesor Konarzewski opowiadał o tym na swoich wykładach, sam jednak nigdy nie doświadczył takiego nagłego otwarcia. Być może to, że byli dla Wasilewskiego obcymi ludźmi, których widział pierwszy raz i których prawdopodobnie nigdy więcej nie ujrzy, paradoksalnie bardzo w tym pomogło.

– Uciekł pan? – spytał.

– Tak, można tak powiedzieć. Zrozumiałem w pewnym momencie, że



moim rodzicom nic już nie pomoże, ale ja, ja jeszcze mogę się uratować. Miałem po maturze zdawać na Akademię Rolniczą w Olsztynie, nie dlatego, żeby mnie to jakoś interesowało, ale studia chroniły wtedy przed poborem do wojska. Egzamin były proste, w zasadzie przyjmowali każdego, kto chciał, a ja też w sumie nie byłem najgłupszy, uczyłem się całkiem nieźle. Nie poszedłem na te egzaminy. Zamiast tego udałem się do Wojskowej Komendy Uzupełnień i poprosiłem o natychmiastowy przydział. Patrzyli na mnie jak na wariata, byłem chyba jedynym takim przypadkiem. – Wasilewski uśmiechnął się po nosem. – Wtedy robiło się wszystko, żeby nie pójść do wojska, rodzice załatwiali synom lewe papiery mówiące o niestworzonych chorobach, a ja zgłosiłem się sam. Nawet zbadał mnie psycholog, żeby stwierdzić, czy przypadkiem nie jestem stuknięty. Ale nie byłem. Chciałem po prostu zwiać. Nie stać mnie było na wyjazd na studia do innego miasta, więc wojsko wydawało się jedynym rozwiązaniem. Dostałem skierowanie do jednostki w Orzyszu. To tu, niedaleko, czterdzieści kilometrów stąd. Tam wyuczyłem się fachu mechanika samochodowego. Po wojsku nie wróciłem do Olsztyna. Ojciec kolegi z pryczy obok miał warsztat w Rynie. Szukał mechanika, bo jego syn z kolei nie za bardzo się do tego palił. Zatrudniłem się u niego. Miał też córkę. Teść bardzo się ucieszył, gdy poprosiłem o jej rękę. Powiedział, że syn mu się nie udał, ale takiego zięcia to chyba sam Pan Bóg mu zesłał. Po paru latach przekazał mi warsztat, a sam zajął się głównie łowieniem ryb. Umarł w zeszłym roku. Ot i cała historia.

Wasilewski westchnął. Dopiero teraz na nich spojrział.

– Mam wrażenie, że całe życie czekałem, żeby komuś o tym opowiedzieć. – Uśmiechnął się blado. – W sumie to dobrze, żeście

przyjechali.

– Żonie pan nic nie mówił? – zdziwiła się Karolina.

– Nie. Nie wszystko. I nie o Justynie. Powiedziałem tylko, że moja matka nie żyje, a ojciec jest alkoholikiem i nie chcę go znać. Sama prawda, choć nie cała prawda.

– Pana ojciec jest alkoholikiem? – spytał Rozłucki.

– Teraz to nie wiem. Może się cudownie wyleczył. Ale wtedy był. Nie jakimś tam strasznym, nie wpadał w cug, nie przepijał całej wypłaty i nie paradował w zaszczanych spodniach, ale regularnie w każdy piątek po robocie się upijał. A wtedy bywał dość nieprzyjemny. To w ogóle nie był zbyt normalny dom, nawet jeszcze przed zaginięciem Justyny.

– Dlaczego?

– Ojciec chyba nie za bardzo radził sobie z jej dorastaniem. Zawsze była jego ukochaną córeczką. Jak wracał pijany, mnie bił, a ją brał na kolana. Matka wysyłała ją często do niego, żeby go ugłaskała, żeby przestał się awanturować po pijaku. I zawsze jej się udawało. Ale kiedy zaczęła dojrzewać, a u niej to poszło jakoś bardzo szybko i bardzo spektakularnie, ta relacja się zmieniła, stała się jakby dwuznaczna.

– Molestował ją?

– Nie, nie sędzę, żeby do czegoś takiego kiedykolwiek doszło. Aż tak zdegenerowany nie był. Chodziło o coś innego. Ojciec w dalszym ciągu po pijaku brał ją na kolana, w dalszym ciągu ją całował, przytulał, głaskał po włosach, ale stało się to jakieś... śliskie. Zabarwione seksualnie. Widać było, że ona też to czuła, nie podobało jej się to, ale przychodziła do niego, bo to był taki... rodzinny rytuał. Tak było przecież zawsze.

– Pana matka to widziała?

– Widzieć widziała, ale czy rozumiała? Nie wiem. A może po prostu

uznała, że lepsze to niż awanturujący się po pijaku mąż? Przecież na dobrą sprawę nic złego się nie działo. Wie pan – Wasilewski mówił teraz wyłącznie do Rozłuckiego, jakby zapomniał o istnieniu Karoliny – w jakiś sposób mogę go nawet zrozumieć. Justyna to była naprawdę piękna dziewczyna. Piękna i zmysłowa. Nie jest łatwo utrzymać swoje myśli na wodzy, gdy ktoś taki chodzi po twoim domu. Samemu mi się zdarzało onanizować, myśląc o niej.

Wasilewski dopiero teraz przypomniał sobie o obecności Karoliny. Rzucił krótkie spojrzenie w jej kierunku i zaczerwienił się.

– A wy, pan i ona, mieliście dobre relacje? – spytał Rozłucki.

– My? – Wzruszył ramionami. – Nie mieliśmy żadnych. Ona miała osiemnaście lat, a ja piętnaście. Byłem dla niej nikim, pętającą się pod nogami zawalidrogą, głupim debilem, jak na mnie mówiła. Jedno dobre, że nie musiała się mną już opiekować, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. Wie pan, starsze siostry mają pod tym względem przerąbane. Dlatego gdy wyrosłem na tyle, że nie musiała mnie już niańczyć, z ulgą zapomniała o moim istnieniu.

– A pan, jaki pan miał stosunek do niej?

– A jaki może mieć stosunek dojrzewający, piętnastoletni chłopak, który miałby ochotę przelecieć nawet dziurę w płocie, do pięknej, prawie już dorosłej, traktującej go z pogardliwą wyższością siostry? Którą co i rusz widuje wychodzącą z łazienki w luźnej piżamie i z mokrymi włosami albo owiniętą tylko ręcznikiem, która czasem nie domyka nawet drzwi, bo nie ma zamiaru wstydzić się takiego nikogo jak on? Byłem na nią zły, czasami wściekły, a jednocześnie imponowała mi i byłem nią zafascynowany. Myślę nawet, że skrycie się w niej w jakiś sposób kochałem.

– Jak pan zareagował na to, że zniknęła?

– Byłem pewien, że uciekła. Od obleśnego ojca, głupiej matki, od całego tego syfu. I zazdrościłem jej tego. Pomyślałem, że znowu okazała się ode mnie lepsza. I ucieszyłem się, bo byłem pewien, że teraz dostanę jej pokój. Bo ona miała swój pokój, ja nie. Ja spałem w drugim pokoju z rodzicami. Ale nie dali mi tego pokoju. Matka zostawiła w nim wszystko tak, jak było.

– Dlaczego pan sądził, że uciekła? – spytała Karolina.

– Zawsze chciała wyjechać. Mówiła o tym. Sprawiała wrażenie, jakby jej życie ją irytowało i nudziło. Jakby nie mogła się doczekać tego, co stanie się potem. Jak widać, nie było się do czego spieszyć.

– Jak pan zareagował na wiadomość, że ją znaleźli?

– Jak? Nijak. Przez parę dni chodziłem jak struty. Ale potem mi przeszło. Życie ma swoje prawa, a to przecież było tak dawno.

– Skąd się pan dowiedział?

– Policja do mnie zadzwoniła.

– Znał pan Dariusza Jakubca?

– Nie. Nie dostąpiłem zaszczytu. Chodziłem do innej szkoły niż Justyna, a on nigdy nie był u nas w domu. Raz widziałem go tylko przez okno. Podjechał po nią tym swoim samochodem. Chciałem być wtedy taki jak on.

– Co pana rodzice o nim sądzili?

– Matka była wniebowzięta. Marzyła, że Justyna za niego wyjdzie, a ona będzie się obracała w towarzystwie sędziów i adwokatów.

– A ojciec? – spytał Rozłucki.

– Ojciec był zazdrosny. To było widać. Najchętniej przecież sam by się z nią ożenił. Zresztą był mądrzejszy niż matka. Wiedział, że tamci patrzą na nas z pogardą.

– Słyszał pan, co zrobił?

– Jakubiec?

– Tak.

– Trudno było nie słyszeć. Trąbili o tym wszędzie przez parę dni. Tu w warsztacie radio jest cały czas włączone. A na górze, w domu, telewizor. Trochę się zmienił przez te lata. Chyba bym go nie poznał. Wtedy, jak podjechał pod nasz blok, wyglądał jak jakaś młodzieżowa gwiazda z amerykańskiego filmu.

– Co pan wtedy poczuł?

– Co? Nic.

– Satysfakcję? Pomyślał pan, że sprawiedliwości stało się zadość?

– A stało się?

– Pana ojciec twierdzi, że Justyna zginęła przez niego. Że z nim szła się wtedy spotkać.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie było mnie w domu, kiedy wychodziła.

– A gdzie pan był?

– U kolegi. W tym samym bloku. Miał komputer. Myśmy nie mieli. Graliśmy razem w jakąś grę.

– Myśli pan, że mogło tak być? Że rzeczywiście zginęła przez niego?

– Nie mam pojęcia. I wiecie co? Nie każcie mi o tym myśleć. Ja od tej sprawy uciekłem. Dwadzieścia lat temu. I nie mam ochoty wracać. To dla mnie zamknięty temat. Zresztą, nawet jeśli to prawda, to co z tego? On przecież i tak już nie żyje. Tak samo jak ona. Niech tam się w niebie ze sobą policzą.

Karolina spojrzała pytająco na Rozłuckiego. Zrozumiał, o co jej chodziło. Kiwnął powoli głową.

– Mamy informację – zaczęła – że Dariusz Jakubiec faktycznie odpowiada za śmierć pana siostry. Spowodował wypadek, w którym

zginęła, a później przestraszył się konsekwencji i ukrył zwłoki. Mamy też podejrzenia, że jego śmierć jest z tym w jakiś sposób związana.

Przez cały czas, gdy Karolina mówiła, Rozłucki obserwował Wasilewskiego. Był zaskoczony, nie ulegało to wątpliwości.

– Jak?... Skąd o tym wiecie?

– Nie możemy ujawnić źródła tej informacji – odpowiedziała spokojnie Karolina.

Wasilewski przenosił spojrzenie z Karoliny na Rozłuckiego i z powrotem. Najwyraźniej niewiele z tego rozumiał.

– Ale w jaki sposób może to być związane?

– Ktoś porwał jego córkę i zmusił go w ten sposób do zrobienia tego, co zrobił.

– Córkę? – Wasilewski zamrugał oczami.

– Annę Jakubiec. Jest teraz mniej więcej w tym samym wieku, co Justyna, gdy zginęła. Nie wie pan, kto to mógł zrobić? – spytała Karolina.

„I czy przypadkiem nie pan?”, dokończył w myślach Rozłucki.

Wasilewski wydawał się być szczerze wstrząśnięty. Patrzył to na Rozłuckiego, to na Karolinę, jakby chciał w ich twarzach znaleźć odpowiedź na kłębiące mu się teraz w głowie pytania.

– Nie, nie mam pojęcia – odpowiedział w końcu.

Rozłucki postanowił wziąć byka za rogi. Nagły, niespodziewany, bezczelny atak potrafi czasem przełamać najskuteczniejszą obronę. A przynajmniej ujawnić jej słabe punkty.

– Szczerze powiedziawszy, jest pan na samym początku listy podejrzanych – powiedział.

Brwi Wasilewskiego powędrowały w górę.

– Ja?

Jego zdumienie wydawało się szczere. Szczere i bezbrzeżne. Nic nie wskazywało na to, że kłamie.

– Nie myślał pan nigdy o zemście? – Rozłucki parł dalej. Raz rozpoczętej szarży nie powinno się przerywać w połowie. – Gdy dowiedział się pan, że pana siostra nie uciekła, że nie żyje? Gdy zrozumiał pan, że tylko Jakubiec mógł stać za jej śmiercią? Że on jest winny wszystkiemu, śmierci Justyny, rozpadowi pana rodziny, cierpieniu, a być może i śmierci pana matki, temu, że musiał pan uciekać z własnego domu? Nie zapragnął pan, by sprawca tego wszystkiego poczuł to samo, co czuł pan i pana rodzice – ból, cierpienie, niepewność i przerażenie?

Wasilewski kręcił powoli głową z lewa na prawo. Jego twarz stężała. Zdumienie ustępowało miejsca gniewowi.

– Nie wiem, kto wam co naopowiadał – powiedział stłumionym głosem – ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Ja miałbym się mścić? Człowieku! – zwrócił się do Rozłuckiego. – Po co? Mam rodzinę, trójkę dzieci, pracę, którą lubię, dorobiłem się, żyję na przyzwoitym poziomie i miałbym to wszystko narażać dla jakiejś zemsty?! Przecież ja chyba nawet nie mógłbym powiedzieć, że ją kochałem! Raczej nie. Wkurzała mnie, upokarzała, traktowała jak śmiecia i ja miałbym teraz poświęcać wszystko, co kocham, dla zemsty za coś, co ktoś jej zrobił prawie dwadzieścia lat temu? Wolne żarty! Przykro mi, kochani, ale to nie ten adres. Musicie znaleźć kogoś, kto ma mniej do stracenia.

Jakby dla potwierdzenia jego słów na schodach prowadzących z części mieszkalnej rozległy się kroki. Po chwili drzwi do kantorka otworzyły się i wyjrzała przez nie głowa dwunastoletniej może dziewczynki. Jej jasne włosy spięte były po domowemu w nonszalancki koński ogon. Niebieskie oczy patrzyły na nich z ciekawością. Na jej

widok twarz Wasilewskiego złagodniała, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Dzień dobry – powiedziała w ich kierunku. – Mama pyta – przeniosła wzrok na Wasilewskiego – czy długo ci jeszcze zejdzie. Bo zrobiła deser i nie wie, czy mamy na ciebie czekać.

– Już idę – odpowiedział jej ojciec. – Państwo właśnie wychodzą. Przyjechali z daleka, ale niestety na próżno. My nie świadczymy takich usług.

– Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie – powiedział Rozłucki. – Byliśmy ostatnio na jej grobie. Są na nim świeże kwiaty i znicze. To pan je postawił?

– Nie – odpowiedział Wasilewski. – Nigdy tam nie byłem. I nie zamierzam. Nawet nie wiem, gdzie to jest.



## ROZDZIAŁ 42

– To nie on, prawda? – spytała.

– Raczej nie – odpowiedział.

Stali na ulicy przed domem Wasilewskiego i patrzyli na widoczne w dole jezioro. Po jego tafli powoli, bardzo powoli, popędzane wiatrem na granicy flauty, sunęły jachty z rozpiętymi na masztach białymi, trójkątnymi żaglami. „Przydałby się jakiś większy podmuch”, pomyślał. „Tak samo jak i nam”.

– Brzmiał dość wiarygodnie – ciągnęła. – Myślisz, że mógł kłamać?

Przesunął stopą leżący na ulicy kamyk.

– Tego nigdy nie da się wykluczyć – odpowiedział. – Wypowiadał się dość elokwentnie jak na mechanika samochodowego, a to świadczy o inteligencji. Ale moim zdaniem jest to mało prawdopodobne. Są co prawda ludzie, którzy potrafią oszukać nawet wykrywacz kłamstw, zwłaszcza psychopaci są świetnymi aktorami, ale on nie wygląda mi na kogoś takiego. Poza tym tych dziewczyn nie porwał raczej psychopata. Psychopaci nie potrzebują powodu takiego jak zemsta. Ten, kto to zrobił, był kiedyś normalnym, zwyczajnym człowiekiem.

– Czyli kolejne pudło. A my nie mamy żadnego następnego tropu. Wypadałoby teraz wrócić do Olsztyna i opowiedzieć wszystko policji.

– Tak. Tak by wypadało zrobić.

Żadne z nich się jednak nie ruszyło.

– Wiesz, że gdybyśmy popłynęli tym jeziorem na południe – powiedziała, patrząc na mijające się w ślimaczym balecie łódki – dopłynęlibyśmy do drugiego jeziora, które nazywa się Tałty, a gdybyśmy popłynęli jeszcze dalej, wpłynęlibyśmy na Śniardwy, a to już

prawie morze.

– Pływałaś tu kiedyś?

– Tak. W wakacje po maturze. Gdy już wiedziałam, że dostałam się na dziennikarstwo do Warszawy. To była moja nagroda. Byłam w tym samym wieku, co Justyna.

Zamilkli. Lekki wiaterek poruszył ich włosy. Czerwcowe słońce świeciło na nich z bezchmurnego nieba.

– Dziś już raczej mocniej nie powieje – powiedziała Karolina. – Za ładna pogoda. Za to można się opalać.

– Jedziemy? – spytał.

Spojrzała na niego.

– Wiesz co? Nie mam jeszcze ochoty wracać. Chodźmy na jakiś obiad, czy coś. Jesteśmy od szóstej na nogach.

Kiwnął głową.

– Masz rację, przyda nam się odpoczynek. I posiłek. Czekają nas z powrotem co najmniej dwie godziny drogi, a my nie mieliśmy nic w ustach od świtu. Na dole, przy jeziorze, jest restauracja. Widziałem napis, kiedy przejeżdżaliśmy koło zamku. Zdaje się, że jakaś kuchnia regionalna. Dużo ryb i tak dalej.

– Może być.

Restauracja mieściła się – jak głosił dumnie napis – w starym krzyżackim młynie, choć wyglądała, jakby dopiero co ją zbudowano. Czerwone cegły lśniły nowością, pokryte błyszczącym szkliwem dachówki odbijały słońce, wielkie, drewniane młyńskie koło nie zdążyło jeszcze nawet porządnie ściemnieć. Usiedli na tarasie wychodzącym na jezioro z widokiem na równie nowiutką marinę.

Kelner podszedł do nich po dłuższej chwili. Twarz miał ponurą, pełną posępanej godności. Podał im dwa zwinięte, przewiązane

wstążkami rulony, na których wypisane było menu, i odszedł, nie mówiąc ani słowa.

– Pierogi z rybą – powiedział, czytając spis potraw. – Wezmę chyba to. Zawsze zamawiam potrawy, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. A ty, co bierzesz?

– Nie wiem, może sandacza...

Była przybita, łatwo to było dostrzec. Wyglądała, jakby uszło z niej powietrze.

– Mam ochotę się napić – powiedziała, patrząc w stół. – Najchętniej białego wina. Poprowadzisz z powrotem?

– Nie mam przy sobie prawa jazdy – odparł. – I dawno nie prowadziłem...

– Poradzisz sobie.

Kelner wrócił jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Jego zboląła, choć dumna mina pozwalała domyślać się, jak dzielnie znosi konieczność pracy w tak upokarzającym zawodzie. Przyjął od nich zamówienie, po czym odszedł, powłócząc nogami.

Na ścianie restauracji widniało logo ruchu slow food i jak się okazało, wisiało tam nie bez powodu. Czekali długo, bardzo długo. Karolina zamówiła kolejne wino. Wszelkie próby, jakie podejmował Rozłucki, by wciągnąć ją w jakąś rozmowę, spełzały na niczym. Odpowiadała pojedynczymi słowami, po czym znowu pogrążała się w milczeniu.

– Czy tylko ja miałam normalną rodzinę? – odezwała się wreszcie.

– Słucham? – Rozłucki, zmęczony poprzednimi próbami nawiązania z nią kontaktu, zatopiony był we własnych myślach.

– Ty, Dariusz Jakubiec, Justyna Wasilewska – wszyscy mieliście popierdolonych rodziców. Jak można robić takie rzeczy własnym

dzieciom?

Rozłucki wzruszył ramionami.

– Nie robili tego specjalnie. Sami nie radzili sobie z życiem albo radzili sobie z nim w nie do końca normalny sposób. Dzieci były tylko tego świadkami i przypadkowymi poniekąd ofiarami. Życie to w ogóle nie jest łatwa impreza. Większość ludzi jest znacznie bardziej nieszczęśliwa, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka, i znacznie mniej dojrzała. Spora część żyje na granicy rozpacz. Uczą swoje dzieci pływać, a sami z trudnością utrzymują się na powierzchni. Tak jak mój ojciec.

– Jak się słucha takich historii, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy rodzenie dzieci to w ogóle jest dobry pomysł. Czy samemu nie krzywdziłoby się ich w ten czy inny sposób.

– Nie zapominaj, że te trzy opowieści to mimo wszystko nie jest do końca reprezentatywna próbka. Większość rodzin jest jednak mniej lub bardziej normalna. Ty natknęłaś się na te zwichnięte, bo rozpoczęłaś szukanie od wydarzenia bardzo, ale to bardzo niecodziennego – tego, co zrobił Jakubiec w telewizji. Gdy badasz przewrócone drzewo, nie dziw się, że było spróchniałe.

– A ty? Twoja rodzina też nie była zbyt normalna.

– Jestem psychologiem. Nie tak trudno znaleźć wśród przedstawicieli naszego zawodu ludzi ze skomplikowaną historią rodzinną. Psychologią zaczynają się interesować najczęściej ci, którzy mają już jakieś problemy. Tak było i w moim przypadku.

Kelner wreszcie przyniósł zamówione przez nich potrawy. Karolina swoją ledwo co skubnęła. Za to zamówiła kolejny kieliszek wina. Rozłucki zjadł pierogi, choć bez specjalnej przyjemności. Wypełnione były czymś przypominającym pulpety rybne.

– Idziemy? – spytał, widząc, że nie zamierza kończyć rozgrzebanego sandacza. – Czeka nas długa droga, a musimy jeszcze pójść na komisariat.

Spojrzenie miała utkwione w jeziorze.

– Nie chce mi się wracać – powiedziała. – Zostańmy tu na noc. Dziś jest niedziela, i tak na policji niewiele wskóramy. Rafał już pewnie wrócił do swojej ciepłej żonki, nasze zeznania przyjmie jakiś tępy oficer dyżurny, który nie będzie nawet rozumiał, o co chodzi. I tak dziś nie ruszą już tej sprawy. Pójdziemy do nich jutro, tuż po powrocie.

Rozumiał, o co jej chodziło. Chciała jeszcze o jeden wieczór przedłużyć swoją przygodę. Żal jej było wracać do swojego nieistotnego życia. Chyba czuł to samo.

– Jest początek sezonu – próbował oponować, patrząc na przechadzających się po przyjeziornym bulwarze turystów. – Wątpię, czy znajdziemy tu jakieś wolne miejsca.

– Tam – wskazała na wznoszący się na wzgórzu zamek – jest z dwieście pokoi. Nie sądzę, żeby wszystkie były zajęte.

## ROZDZIAŁ 43

Miała rację. Recepcjonistka w ciemnej, obwieszanej replikami białej broni recepcji z uśmiechem oznajmiła, że znajdują się dla nich dwa pokoje, i to nawet położone obok siebie. Poleciała im też basen znajdujący się w dawnych zamkowych piwnicach, wyposażony w kominek, w którym obsługa rozpala wieczorem ogień. Jedyne hotelowe basen w Polsce, w którym pływając, ma się nad sobą prawdziwe gotyckie żebrowe sklepienia. Rozłucki poprosił o jednorazowe zestawy do mycia zębów, a Karolina spytała, czy jest możliwość kupienia butelki białego wina.

– Tak, oczywiście. – Recepcjonistka ponownie uraczyła ich promiennym uśmiechem. – Polecam pinot grigio za 110 złotych.

– Może być – powiedziała Karolina. – Proszę przynieść do mojego pokoju.

Pokoje mieściły się na drugim piętrze, w tak zwanym skrzydle więziennym. Można było się do nich dostać windą lub schodami. Nie mieli bagażu, wybrali więc schody.

– Nie za dużo już wypiałś? – spytał, gdy wchodzili po wąskich, obitych wykładziną stopniach.

– Studiowałam dziennikarstwo – odpowiedziała. – Potrafię wypić więcej niż jedną butelkę wina. Zresztą mam nadzieję, że mi pomożesz.

Doszli na miejsce. Korytarz, na który wychodziły drzwi ich pokoi, wyglądał zupełnie zwyczajnie i całkiem niekrzyżacko. Być może ta część zamku zbudowana była lub przebudowana w czasach trochę późniejszych niż średniowiecze. Atmosferę grozy starały się tu wzbudzać repliki narzędzi tortur porozwieszane na ścianach. Na końcu

korytarza pod oknem stało duże, drewniane, zaopatrzone w obejmę do przytrzymywania rąk i nóg krzesło. Jego siedzenie, oparcie oraz podłokietniki wybite były żelaznymi gwoździami.

– Przyjdź za dwadzieścia minut – powiedziała Karolina, otwierając drzwi do swojego pokoju. – Trochę się tylko odświeżę.

Jego pokój był rzeczywiście tuż obok. Stały w nim dwa łóżka, biurko z lustrem i szafka z telewizorem. Wszystko – z wyjątkiem telewizora oczywiście – starało się imitować średniowiecze. Meble zbite były z grubych, ciemnych desek łączonych dużymi żelaznymi nitami. Na ścianie, oprawiony w sztucznie podniszczoną ramę, wisiał obraz przedstawiający jeźdźca na koniu – luźna wariacja na temat „Lisowczyka” Rembrandta.

Wszedł do łazienki, wysikał się i umył ręce. Wrócił do pokoju i usiadł na niewygodnym, drewnianym krześle. „Przynajmniej nie jest wybite gwoździami”, pomyślał. Niewiele więcej miał tu do roboty, nie miał ani bagażu, który mógłby rozpakować, ani książki, którą mógłby poczytać. Odczekał dwadzieścia minut i wyszedł na korytarz.

Zapukał do jej pokoju. Otworzyła mu w białym, hotelowym szlafroku i z mokrymi włosami. Bez butów wydawała się o wiele niższa.

– Wejdz – powiedziała. – Wszystko już jest.

Jej pokój bliźniaczo przypominał jego. Tylko obraz był inny – przedstawiał jakąś kobietę w ciemnej sukni. Na biurku przed lustrem stało już wiaderko wypełnione lodem, z którego wystawała szyjka otwartej butelki.

Usiadł na takim samym niewygodnym krześle, stojącym tak samo pod oknem.

– Poczekaj, wysuszę tylko włosy – powiedziała.

Nie domknęła drzwi do łazienki. Przez szparę widział, jak trzymając

w ręku suszarkę, przekrzywia głowę, by strumień gorącego powietrza dotarł do rosnących z tyłu włosów. Przypomnił mu się Wasilewski i jego siostra. Czyżby też tak dalece nie liczył się dla niej jako mężczyzna, że nie zwracała uwagi, czy na nią patrzy, czy nie? Dopiero teraz, pod wpływem tej niewesołej konstatacji, zrozumiał, jak bardzo nie chce, by się jutro rozstawali. Także dla niego to coś, w czym brali udział, ta nie wiadomo jaka relacja, która się między nimi zawiązała, stały się nagle bardzo ważne i bardzo potrzebne. Poczul – dopiero teraz, w przededniu nieuchronnego końca – że zaczął wreszcie z powrotem żyć, że znowu ma cel i chęć, że od kilku dni nie budzi się już co rano z pytaniem, co jeszcze, u diabła, robi na tym świecie? A teraz trzeba będzie wrócić do tego poprzedniego. Pójdą na policję, przekażą im wszystko, czego się dowiedzieli, zdadzą swoje wycięte z papieru odznaki i wrócą każde do swojego nieważnego życia. Resztą zajmie się były chłopak Karoliny. Wdroży odpowiednie procedury, podejmie czynności i prędzej czy później dojdzie do tych samych wniosków, co oni. Ale on, Zygmunt Rozłucki, będzie już wtedy w tej samej dupie, co przedtem. A może nawet w jeszcze gorszej.

Wyszła z łazienki ciasno owinięta szlafrokiem związanym paskiem na brzuchu. Usiadła na drugim, niewygodnym krześle. Jej świeżo wysuszone włosy zwiększyły o połowę swoją objętość. Popatrzyła na niego wzrokiem, w którym dostrzegł, lub chciał dostrzec, ten sam smutek.

– Nalej – powiedziała.

Na biurku pod lustrem stał zestaw kubków i filiżanek. Były wśród nich też dwa odwrócone do góry dnem kieliszki do wina. Wziął je i nalał do nich schłodzone pinot grigio. Jeden podał Karolinie.

– Za doktora Watsona i Sherlocka Holmesa. – Uniosła do góry



kieliszek w szyderczym toaście. – I za koniec zabawy w detektywów.

Wypiła wino prawie jednym haustem i wyciągnęła do niego pusty kieliszek.

– Jeszcze raz to samo – powiedziała.

Ten kieliszek wypiła prawie równie szybko. Rozłucki nie zdążył swojego opróżnić nawet do połowy. Zresztą wino to nie była do końca jego bajka. Smakowało mu czasami, oczywiście, że tak, zwłaszcza ten szczep – pinot grigio – wydawał się dość przyjemny, ale pozostawiało zawsze pewien niedosyt. W porównaniu z dobrą, słodową whisky oferowało znacznie mniej znacznie słabszych doznań. Tak, jakby próbował się najeść samym rosołem.

Wyciągnęła znowu w jego stronę rękę z kieliszkiem. Była już pijana, widział to.

– Nie masz już dosyć? – spytał.

– Lej, nie pierdol – odpowiedziała wulgarnie. – Tatku – dodała z czymś, co miało być chyba sarkazmem.

Oczy jej ściemniały, wyglądały teraz jak dwie pełne rozpaczy studnie. Przycisnęła trzymane obiema rękami kieliszek do warg i wypiła go mechanicznie, jakby wykonywała jakieś zadanie.

Zrozumiał nagle, co się dzieje. Trauma, której doświadczyła w telewizji, a o której pozornie tak umiejętnie i szybko udało jej się zapomnieć, właśnie wydostawała się ze swojego więzienia w podświadomości. Dopóki Karolina miała przed sobą cel, dopóki realizowała zadanie, które uważała za swoją życiową szansę, dopóty udawało jej się odciąć od swoich emocji i przeć do przodu. Teraz, gdy tego celu zabrakło, gdy zadanie, którego się podjęła, okazało się niemożliwe do wykonania, wszystko wróciło, wypełzło z powrotem na powierzchnię jak wciągnięty do odkurzacza pająk.

– Kończymy już – powiedział. – Idziemy spać. Ja w każdym razie mam już dość. – Wstał. – Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Uśmiechnęła się do niego wyzywająco. Pasek od jej szlafroka rozluźnił się nieco, jego poły rozchyliły się i ukazał się fragment piersi. Poczuł znajome mrowienie w kroku.

Wstała i podeszła do niego. Przycisnęła się do niego, naparła na niego całym swym pijacko bezwładnym ciężarem.

– Chcesz pójść ze mną do łóżka? – spytała patrząc mu głęboko w oczy. – Wszyscy chcą, ale większość się boi.

Położyła mu rękę na karku i ściągnęła jego głowę w dół. Poczuł na swoich ustach jej wargi, wilgotne, gorące i smakujące winem.

– Nie... – Udało mu się od niej oderwać. – Jesteś pijana...

– I to jest twoja jedyna szansa – odpowiedziała. Było w jej wzroku coś diabelskiego; wyglądała teraz jak kusicielka ze starego filmu, w którym szatan przychodzi do pustelnika pod postacią kobiety. Nie była teraz sobą; wiedział, co to oznacza, znał ten mechanizm. Drastyczna zmiana cech osobowości jest sprytną próbą schowania się przed uczuciami i myślami zbyt przerażającymi, by można ich było doświadczyć, zachowując własną tożsamość. Alkohol zadziałał tu jak katalizator. Jutro znów wróci do swojego zwykłego „ja” i nie będzie nic pamiętać. I to nie dlatego, że wypila za dużo wina. Jej szlafrok rozchylił się jeszcze bardziej. Nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć w dół. Dostrzegł jej sutek i poczuł, jak jego penis nabiega krwią i rozpycha spodnie.

– Chodź... – powiedziała. Chwyciła jego dłoń i położyła ją sobie na piersi. Drugą ręką znowu przyciągnęła jego głowę do siebie. Poczuł pod palcami ciepłe, miękkie ciało. Ich wargi znowu się spotkały. Wpiła się w niego, potem lekko ugryzła. Wiedział, że musi to przerwać, teraz,

natychmiast, ale nie potrafił. „Jeszcze tylko trochę”, pomyślał. „Jeszcze tylko trochę...”

## ROZDZIAŁ 44

– Nic nie pamiętam – powiedziała. – Cholera, ale boli mnie łeb!

On za to pamiętał wszystko. Aż za dobrze. To, jak w końcu z głuchym jękiem oderwał ją od siebie; to, jak wlał w nią resztę wina, by zasnęła; i to, jak położył ją potem do łóżka. Oraz to, jak stał tam nad nią, leżącą nago i pijaną, w szlafroku, który całkiem już się rozwiązał, i próbował ze wszystkich sił powstrzymać się przed zrobieniem tego, na co miał największą chyba w swoim dotychczasowym życiu ochotę.

Niestety, udało mu się.

– Mam nadzieję, że... – popatrzyła na niego z ukosa.

– ...do niczego nie doszło – dokończył za nią. – Upiłaś się, urwał ci się film, a potem położyłem cię do łóżka. Zachowywałaś się przyzwoicie, a ja okazałem się dżentelmenem – kłamał jak z nut. – Trochę w sumie szkoda.

Trochę?! Wiedział, że nigdy sobie tego nie daruje. Choć wiedział też, że tak było trzeba i że drugi raz postąpiłby tak samo. I że tak samo by potem żałował.

– Słuchaj... – powiedziała. – Jak się obudziłam, byłam...

– ...goła – znowu za nią dokończył. – Szlafrok ci się rozwiązał. Nie było w tym żadnego mojego udziału. Trochę sobie tylko popatrzyłem na piękną, nagą dziewczynę. Zanim cię przykryłem kołdrą. To była cała moja zapłata za dobre serce.

Zaczerwieniła się. Mocno, aż po końcówki uszu.

– Bardzo cię przepraszam... – zaczęła.

– Nic nie szkodzi – przerwał jej. – Gdybyś jeszcze kiedyś miała zamiar się upić i rozebrać, to też chętnie przy tym będę.

To było niepotrzebne. Zabrzmiało złośliwie i takie właśnie chyba miało być. Czyżby wyżywał się na niej za to, czego wczoraj nie zrobił, i za to, co zrobił?

Zamilkła. Wyglądała żałośnie. Była przybita i zmarnowana. Nic dziwnego, że niczego nie zauważyła.

Ogolił się. Po raz pierwszy od dwóch lat. W odróżnieniu od niej wstał wcześniej – w ogóle kiepsko dziś spał – umył się i zadzwonił na recepcję z pytaniem, czy jest w pobliżu gdzieś jakiś fryzjer. Był. Czynny od dziesiątej. Zjadł śniadanie, poszedł tam, kazał skrócić swoje włosy i zgolić brodę. Wyglądał teraz młodziej o dziesięć lat.

Gdy wrócił, zapukał do jej drzwi. Już nie spała. Otworzyła mu ubrana i z włosami spiętymi w koński ogon. Oczy miała przekrwione, lecz wciąż niestety była piękna.

– Musimy już chyba iść – powiedział z gardłem ściśniętym na myśl o tym, co go wczoraj ominęło. Oraz na myśl, że to już nigdy nie wróci. – Doba hotelowa i tak jest do dwunastej, a poza tym powinniśmy już jechać. Jesteś głodna? Twoje śniadanie zdaje się przepadło.

Pokręciła przecząco głową. Wyszli. Zjechali w milczeniu windą, potem w recepcji zapłacili za swoje pokoje. Zaproponował, że dorzuci się do wina, ale ona tylko machnęła ręką. Doszedł do wniosku, że w obecnej sytuacji lepiej będzie nie wyklócać się o takie drobiazgi.

Podeszli do samochodu.

– Chyba musisz prowadzić – powiedziała. – Ja raczej jeszcze nie powinnam.

Dopiero teraz zauważyła jego zmieniony wygląd.

– Dobrze ci. – Uśmiechnęła się smutno. – Naprawdę. Przynajmniej nie wyglądasz jak zarośnięty woźnica.

Właśnie w tym momencie zrozumiał, że ją kocha.

Jechali powoli, krętymi drogami. On z kłykciami zbielełymi od kurczowego zaciskania dłoni na kierownicy, spocony ze strachu i napięcia, ona z głową opartą o szybę w drzwiach, zatopiona w myślach, walcząca z mdłościami i bólem głowy. Dobrze, że prowadził. Wyteżona do granic możliwości uwaga nie pozwalała mu przynajmniej myśleć o tym, co się właśnie kończy.

Co jakiś czas wskazywała mu drogę. Mówiła: „tu skręć” albo: „teraz w lewo”. Mijali co prawda drogowskazy, ale był zbyt skupiony na samej czynności prowadzenia auta, by je w ogóle zauważać.

Miał kiedyś samochód i był chyba nawet dobrym kierowcą. Lubił to robić, lubił szybką jazdę. Potem, w czasie rozvodu, oddał go żonie. Od tamtego dnia nie siedział za kierownicą. Aż do teraz.

Czuł się jak wtedy, gdy po raz pierwszy, po zdanym z trudem egzaminie na prawo jazdy, samodzielnie wyjechał na miasto. Wydawało mu się wówczas, że wszystko dzieje się naraz i do tego na tyle szybko, że niemożliwością jest, by analizować i przetwarzać aż tyle informacji: ruch własnego samochodu, konieczność zmiany biegów i włączania kierunkowskazów, światła na skrzyżowaniach, znaki drogowe, zbliżające się i oddalające inne samochody, zasady ruchu drogowego. Pomimo to zauważył – nie wtedy, teraz – że w pewnym momencie, kierowani wskazówkami Karoliny, zjechali z głównej, w tym momencie już szerokiej i dwupasmowej, trasy wiodącej w kierunku Olsztyna.

– Na pewno dobrze skręciliśmy? – spytał. – Nie jedziemy do Olsztyna?

– Jedziemy – odpowiedziała. – Tylko inną drogą. Chcę jeszcze raz przejechać obok domu starego Jakubca. To będzie takie nasze pożegnanie.

Kiwnął w milczeniu głową. Znowu jechali krętymi, tym razem już warmińskimi drogami. Mijali wsie i małe miasteczka przycupnięte na brzegach jezior. Wokoło musiały być piękne krajobrazy. Domyślał się tego, choć bał się odwrócić wzrok od czarnej nawierzchni.

Wreszcie, po dwudziestu mniej więcej minutach, dojechali znowu do większej drogi.

– Teraz skręć w lewo – powiedziała.

Minęli kościół na wzgórzu, ten sam, do którego chodziła żona Jakubca, potem kolejne jezioro, tym razem znacznie mniejsze i po chwili przejeżdżali już pod jego domem.

– Zwolnij – powiedziała Karolina. Jakby już nie jechał wolno.

Minęli dom i wjechali na most.

– Za rzeką po lewej stronie jest mały, leśny parking – powiedziała. – Zjedź tam.

Włączył kierunkowskaz, przepuścił samochody jadące z naprzeciwka i powoli skręcił w lewo.

Parking był rzeczywiście malutki, położony tuż przy moście, na wysokiej skarpie nad rzeką. Otoczony był lasem; również dom Jakubca zasłaniały drzewa rosnące na opadającym w stronę wody stoku. Zaparkował samochód przed drewnianą, zbitą z surowych desek altaną.

– Po co się tu zatrzymaliśmy? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Chcę jeszcze raz spojrzeć na ten dom. To tam było centrum tych wszystkich wydarzeń. Tu przyjechał po wypadku młody Jakubiec i to stąd wyjechał stary, by posprzątać po swoim synu. Ten dom widział, jak było naprawdę, słyszał te wszystkie rozmowy.

Wysiadła. Po chwili do niej dołączył.

Podeszli do skraju skarpy. Znaleźli miejsce, gdzie przerwa w zielonej zasłonie liści umożliwiała zobaczenie budynku. Stał tam, po drugiej stronie rzeki. Ponury i ciemny, mimo iż długi czerwcowy dzień nie miał zamiaru chylić się jeszcze ku końcowi. Ocieniony rosnącymi za nim zbyt dużymi drzewami. Z czarnymi oczodołami okien, za którymi nie paliło się żadne światło.

– Gdyby ten dom mógł mówić... – westchnęła Karolina.

Nagle od budynku oderwał się jakiś kształt. Ludzka postać wyszła z niego i ruszyła w stronę schowanego nieco z tyłu garażu. Po chwili jego drzwi otworzyły się na oścież i wyjechał z niego czerwony mercedes, ten sam, którym żona Jakubca przyjechała wczoraj rano do kościoła.

Samochód zatrzymał się przed bramą. Ludzka postać wysiadła z niego, podeszła do drzwi garażu i zamknęła je. Potem wróciła do bramy, otworzyła ją i wsiadła z powrotem do mercedesa, który wyjechał na podjazd. Postać znowu wysiadła i zamknęła bramę. Szczupła, niska, prawie chłopięca sylwetka nie pozostawiała wątpliwości, kto to był.

– Jakubiec – wyszeptała Karolina. – Jedzie gdzieś.

Stary wsiadł z powrotem do samochodu. Czerwony mercedes wytoczył się powoli na drogę. Skręcił w lewo. Schowali się odruchowo za krzaki.

– Jedzie do Olsztyna – powiedziała.

Samochód przejechał dostojnie obok nich i zniknął w lesie oddzielającym ich od miasta.

– Chodź! – powiedziała. Chwyciła go za rękę.

– Gdzie? – spytał zaskoczony.

– Nie rozumiesz? – Ciągnęła go już w stronę mostu. – Jego żona została sama. A jego nie będzie co najmniej pół godziny.



Puściła jego rękę i zaczęła biec. Ruszył za nią. Przebiegli przez most i wbiegli na podjazd. Po chwili byli już przy drzwiach. Karolina nacisnęła dzwonek.

– Moja głowa... – jęknęła. – Zaraz eksploduje.

Po trzecim czy czwartym naciśnięciu drzwi wreszcie otworzyły się. Stała za nimi żona Jakubca. Jej mętny wzrok wskazywał, że skorzystała już z nieobecności męża, by wlać w siebie porcję alkoholu.

– Pani Janino – powiedziała Karolina. – To znowu my. Możemy na chwilę wejść?

– Męża nie ma – odpowiedziała kobieta. – Nie wiem, kiedy wróci.

– Gdzie pojechał? – spytał Rozłucki.

– Do Olsztyna... po coś.

– Przyszliśmy do pani, nie do niego. Proszę nas wpuścić – powiedziała Karolina i nie czekając na zaproszenie, przepchnęła się obok kobiety.

Rozłucki wszedł za nią. Żona Jakubca zamknęła drzwi i podreptała za nimi. Weszli do salonu.

– Pani Janino – oczy Karoliny znowu były skupione i błyszczące – mogłaby nam pani pokazać rzeczy swojego syna?

– Darka?

– Tak, Darka.

– Ale on już tu nie mieszka. Mają dom w Redykajnach.

– Chodzi nam o rzeczy z czasów, gdy chodził do szkoły. Jego książki, ubrania, przedmioty, którymi się wówczas otaczał... Na pewno gdzieś je pani trzyma. Żadna matka tego nie wyrzuca.

– Są w piwnicy – odpowiedziała kobieta. – Olgierd je tam zniósł, mimo iż pokój Darka przecież i tak stoi pusty – dodała z wyrzutem.

– Możemy je zobaczyć?

– Chyba tak...

## ROZDZIAŁ 45

Piwnica wyglądała tak, jak można się było spodziewać. Pomieszczenia były niższe niż te na górze, ale w zasadzie dokładnie odwzorowywały ich układ. Tylko okna były mniejsze, jakby ucięte w połowie, i znacznie bardziej brudne. Biała farba popękała na ramach i gdzieś tam już nawet odłaziła.

Z wyjątkiem kotłowni, która była tam, gdzie na górze łazienka, reszta pomieszczeń miała bliżej niesprecyzowaną funkcję. Stały w nich różne stare meble, niektóre w całości, inne porozkładane na części. W jednym z podziemnych pokoi widać było jeszcze na ścianach czarne ślady, sięgające niczym lamperia do połowy ich wysokości, pochodzące zapewne z czasów, gdy w piecu palono nie gazem, jak teraz, lecz węglem.

Janina Jakubiec zaprowadziła ich do najmniejszego z pomieszczeń, niewielkiego pokoju bez okien położonego w tej części domu, która znajdowała się dalej od rzeki i oparta była o zbocze.

– Tu – powiedziała. – Tu jest wszystko.

W pomieszczeniu stał stary młodzieżowy segment z płyty wiórowej i mnóstwo kartonów, z których niektóre miały z boku napisy, inne nie. Unosił się tu zapach wilgoci i pleśni. To pomieszczenie, w odróżnieniu od pozostałych, zaopatrzone było w drzwi.

Karolina podeszła do segmentu i zaczęła po kolei otwierać jego drzwiczki. Na półkach za nimi stały najrozmaitsze szpargały: kubki z nazwami miast, w których Dariusz był z rodzicami, dwie rakietki tenisowe z porwanymi siatkami, zbiór czarnych, winylowych płyt w sfatygowanych okładkach. Ogólnie nic ciekawego.

– Czego szukamy? – spytał Rozłucki.

– Nie wiem – odparła Karolina. – Czegoś.

Podeszła do stojących pod ścianą kartonów. Przekrzywiła głowę, by móc odczytać widniejące na nich napisy.

– Książki – zaczęła czytać. – Zeszyty – szkoła, kurtki – zima, żołnierzyki...

Uklękła, by móc dojrzeć litery na tych pudłach, które stały najniżej, na poziomie ziemi.

– Stare zabawki – czytała dalej – znowu książki, Atari 800XL... – spojrzała pytająco na Rozłuckiego.

– Komputer – wyjaśnił. – Jeden z pierwszych, jakie można było kupić w Polsce.

– Myślisz, że może coś na nim być?

– Raczej nie. To nie jest taki komputer, jak te dzisiejsze. Nie dało się na nim trzymać zdjęć ani dokumentów. Służył głównie do grania w proste gry i do pisania nieskomplikowanych programów.

– Szkoda – odpowiedziała i ponownie nachyliła się nad kartonami.

Większość z nich, jak zauważył Rozłucki, była porządnie zaklejona taśmą i równie porządnie zakurzona. Nie otwierano ich zapewne od wielu lat. Tylko jeden, stojący na samej górze, był otwarty. Nie było na nim żadnego napisu.

Karolina też go zauważyła.

– Pani Janino. – Odwróciła się do stojącej w drzwiach kobiety. – Mam do pani jeszcze jedną, wielką prośbę. Strasznie boli mnie głowa. Nie ma pani jakichś proszków? Mogłaby mi pani jeden przynieść? – W jej głosie zabrzmiały błagalne tony.

– Tak, oczywiście. – Kobieta odwróciła się i podreptała w kierunku schodów.

– Świetny wybieg – powiedział. – Nie wpadłbym na to.

– Naprawdę mnie boli – odpowiedziała. – Mógłbyś mi pomóc?

Sięgnęli razem po wielkie, stojące na górze pudło. Mimo okazałych rozmiarów okazało się zaskakująco lekkie. Postawili je na ziemi.

– No to zobaczymy, co my tu mamy – powiedziała Karolina.

Rozchyliła skrzydła kartonu. W środku były stare kasety wideo. Całe dziesiątki. Upakowane ciasno jedna obok drugiej. Niektóre w tekturowych opakowaniach, inne bez. Wszystkie miały na grzbietach białe, choć mocno już zszarzałe nalepki z wypisanymi na nich długopisem tytułami.

Karolina wyciągnęła jedną z nich.

– Comando – przeczytała.

– Film ze Schwarzeneggerem – wyjaśnił Rozłucki. – Byłem na tym w kinie. Straszna bzdura.

– Terminator. – Wyciągała kolejne kasety. – Rocky, Rambo, Rambo II, Powrót do przyszłości...

– Kiedyś nie było wypożyczalni VOD – powiedział Rozłucki. – Ani tym bardziej internetu, z którego można by ściągnąć piracką kopię. Filmy przegrywało się od kolegów albo kupowało już przegrane na czarnym rynku. Niektóre kopie były tak często przegrywane, że mało co było na nich widać.

– Wiem, dziadku. Nie musisz mi takich rzeczy tłumaczyć – odpowiedziała kpiąco.

Wyjmowała dalej.

– O, tu się robi ciekawiej – powiedziała. – Zobacz, co znalazłam na dnie!

Pokazała mu kasetę w kolorowej okładce. Widniał na niej napis po niemiecku i mocno rozneglizowana kobieta o dość nachalnej urodzie.

– Rozgrzany ogrodnik – przetłumaczyła. – Przynajmniej do czegoś się przydało moje konwersatorium z języka niemieckiego na studiach. Patrz, tu jest tego więcej!

– Tatuś wyjeżdżał na zachód i przywoził stamtąd takie perełki – powiedział Rozłucki. – Ile ja bym wtedy dał za taki film! – westchnął z przesadą.

– Koniec – powiedziała. – Nic tu więcej nie ma.

– Poczekaj – powiedział Rozłucki. Podeszedł do pustego już kartonu i podniósł go do góry. Jego kartonowe skrzydła założone były u dołu na zakładkę i solidnie podklejone taśmą, tymczasem w środku pudła dno było jednolite, wykonane z jednego prostokątnego kawałka kartonu.

Rozłucki włożył palec między dno a ściany, podważył je, a potem wyjął.

Pudło miało podwójne dno, które skrywało niespodziankę. Były nim dwa podłużne kawałki postrzępionego styropianu, między którymi leżała kasetka w biało-niebieskiej okładce. Na jej grzbiecie widniał wypisany czarnym długopisem tytuł.

– „Niedole cnoty” – przeczytała Karolina. – Co to może być? Jakiś film?

Wyjął jej kasetę z ręki. Przyjrzał się uważnie tytułowi. Gdzieś już go słyszał, tylko gdzie?

Po chwili już wiedział. Oddał kasetę Karolinie.

– „Niedole cnoty” – powiedział. – Powieść Markiza de Sade. Jej główna bohaterka nosi imię Justyna.

Nagle drzwi na górze otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

– Idźcie już! – dało się słyszeć zdyszany głos pani Jakubiec. – Mój mąż wraca...

## ROZDZIAŁ 46

Jak się okazało, nie było drugiego wyjścia. Jedyne, oprócz tego przez dom, prowadziło przez garaż, a tam stary Jakubiec zaraz mógł się zjawić. Musieli uciekać przez okno. Rozłucki z trudem odciągnął aluminiowe, nigdy chyba wcześniej nieużywane zamknięcie, odgiął metalowy ogranicznik uniemożliwiający pełne otwarcie okna i już po chwili pokryci wytartym z parapetu kurzem i pajęczynami znaleźli się na skarpie.

Od strony rzeki posesja nie była odgradzona płotem. Nie było takiej potrzeby. Skarpa, na której stał dom, dość stromo opadała w kierunku wody. Rozłucki spróbował zamknąć okno od zewnątrz, by zatrzeć ślady ich bytności, ale nie dał rady. Pozostawało mieć nadzieję, że pani Janina okaże się na tyle przytomna, by wrócić do piwnicy i posprzątać trochę ten bałagan, który po sobie zostawili.

– Masz tę kasetę? – spytał szeptem Karolinę.

– Mam – odpowiedziała mu również szeptem, tryumfalnie potrząsając trzymaną w ręku zdobyczą.

Nie mogli wrócić do bramy. Ryzykowaliby wtedy, że Jakubiec ich zobaczy. Jedynym sposobem, by dostać się z powrotem do samochodu, było zejść w dół i idąc wzdłuż rzeki, przejść pod mostem, by potem, będąc zasłoniętym masywnym, kamiennym łukiem jego przęsła, wejść na niego i przejść na drugą stronę. Alternatywą było przejście rzeki w bród i próba wspięcia się po zarośniętym krzakami stoku na jej przeciwległym brzegu.

Rozłucki spojrzał w górę na dom. Skarpa, na której stał, była dość stroma i prawdopodobieństwo, że ktoś patrząc przez jedno z wielkich

okien, dostrzeże ich, jak schodzą, nie było zbyt duże, ale jednak nie było to niemożliwe. Musieli pójść jeszcze trochę bardziej w lewo, do płotu oddzielającego działkę Jakubca od lasu. Z tamtej strony domu okien nie było wiele i ktoś musiałby naprawdę mocno przykleić twarz do szyby, by ich zobaczyć.

Gestem pokazał Karolinie, by szła za nim. Okna w domu były otwarte, więc lepiej było ograniczyć ilość wypowiedzianych słów. Ruszyli.

Szli przygięci, odruchowo schylając głowy i pochylając ramiona, niczym partyzanci w lesie. Uśmiechnął się pod nosem. Nie bawił się tak od szkoły podstawowej. Nagle zmartwiało. A co, jeśli Jakubiec ma broń? Nie zdziwiłby się, gdyby tak było. To by do niego pasowało. Człowiek z takimi kompleksami na pewno nie odmówiłby sobie przyjemności trzymania w domu pistoletu czy rewolweru. Tym bardziej, że z jego dawną pozycją nie miałby zapewne trudności z otrzymaniem pozwolenia. Ich zabawa mogła być znacznie bardziej niebezpieczna, niż się wydaje.

Obejrzał się na wielką, ciemną bryłę. Ten dom sprawiał naprawdę przygnębiające wrażenie. Zdawał się być powoli pochłaniany przez las, który wdzierał się na teren posesji Jakubca, zarastając ziemię samosiejkami, oblepiając mchem zacienione wieczne mury, zrzucając szyszki i igły na betonowe chodniki i tarasy. Kontrast między tą ojczyzną skorków i pajaków a oświetloną wesołym, czerwcowym słońcem rzeką był doprawdy porażający. Zimą musiało tu być jeszcze bardziej ponuro.

Zastanawiał się, czy kiedy mieszkał tu młody Dariusz Jakubiec, wyglądało to już wszystko tak przygnębiająco, czy stało się takie dopiero w ostatnich dwudziestu latach? Kusząca była myśl, że miejsce to mogło tak wpłynąć na zamieszkujących je ludzi, że doprowadziło ich



do tego, czym się stali. Choć przecież równie dobrze to ludzie mogli odcisnąć na nim swoje piętno, zamieniając zwykły, najnormalniejszy w świecie kawałek lasu nad rzeką w miejscową wersję zamku na wrzosowiskach.

Doszli do płotu. Zbudowany on był z metalowych rur zatopionych dolnym końcem w popękanej, betonowej, porośniętej mchem podmurówce, na których rozciągnięta była druciana siatka. Jej duże oczka bardzo im się przydały; chwytali się ich, schodząc w dół, gdy wysuszona przez bezdeszczowe lato ziemia osuwała im się spod nóg.

Dotarli wreszcie do rzeki i ruszyli wzdłuż jej brzegu. Nie była to duża rzeka, ale za to dość bystra. Jej szybki nurt przelewał się z głośnym szumem przez zwalone, leżące w jej korycie pnie drzew. Niektóre z nich korzeniami czepiały się jeszcze brzegu, wyglądając, jakby piły wodę. Rozłucki spojrzał w górę. Dopiero stąd widział, jak głęboki wąwóz wyłobiła w tym miejscu rzeka. Czuł się, jakby szedł jedną z tatrzańskich dolin, której dnem płynie rwący, górski potok.

Doszli wreszcie do mostu. Przeszli pod jego wysokim, półkolistym, kamiennym przęsłem i dostali się na drugą stronę. Były tu wąskie, strome schodki prowadzące na górę. Wyglądały, jakby nikt nimi jeszcze nigdy nie szedł.

– No to zobaczymy, kto ma lepszą kondycję – powiedział.

– Wiadomo, że ja – odpowiedziała Karolina.

Rozpoczęli wspinaczkę. Karolina przodem, on za nią. Po chwili pot zalał mu oczy. Gdy stanęli wreszcie na górze, ledwo łapał oddech.

– A nie mówiłam? – powiedziała.

Przeszli przez most chodnikiem biegnącym wzdłuż jezdni. Tu już nie musieli się ukrywać. Nawet gdyby Jakubiec ich teraz zobaczył, z tej odległości nie poznałby, kim są. Nie miały też najmniejszych powodów

przypuszczać, że przed chwilą byli w jego piwnicy. Ot, po prostu dwójka spacerowiczów korzysta z pięknej, letniej pogody, by przejść się nad rzeką.

Dotarli wreszcie do samochodu. Rozłucki z ulgą usiadł w jego ciasnym fotelu. Spojrzał na Karolinę. Na jej czole nie było ani kropli potu. Wyglądała, jakby rzeczywiście wróciła ze spaceru.

– Jak tam twoja głowa? – spytał. – Boli jeszcze?

– Nie – odpowiedziała. – Już mi przeszło. Ruch i świeże powietrze dobrze mi zrobiły.

Wpatrywała się w trzymaną w dłoniach kasetę.

– Jak myślisz, co tam jest? – spytała.

– Pokaż. – Wyciągnął rękę. Podała mu ją.

Obejrzał ją dokładnie ze wszystkich stron. Wyglądała zwyczajnie. Czarna, plastikowa kasetka wideo marki Panasonic z wyłamanyimi ząbkami, by nikt nie skasował przypadkiem jej zawartości, z białą, wąską naklejką na grzbiecie i drugą, większą, na boku. Schowana w białą, tekturową okładkę w niebieskie paski. Z boku kasety było coś napisane. Żadnych słów, tylko cyfry – 1903.

– Tysiąc dziewięćset trzy – przeczytał na głos. – Co to może znaczyć? Rok? Rok tysiąc dziewięćset trzeci?

– A bo ja wiem? – odparła. – U góry nic nie ma?

– Nic. A nie, czekaj. Jest coś. Kropka.

Na grzbiecie kasety, na zszarzałej i częściowo już odchodzącej naklejce widniała mała, czerwona kropka.

Wyjęła kasetę z jego rąk i dokładnie jej się przyjrzała.

– Długopis – powiedziała. – Widać jeszcze wgłębienie powstałe, gdy ktoś przyciskał go do papieru.

– Co nam to mówi? – spytał.

– Nic. I nic nie powie, dopóki nie zobaczymy, co jest tam nagrane.

– Mam nadzieję, że coś istotnego. To, co zrobiliśmy przed chwilą, to nic innego jak kradzież.

– Pani Janina pozwoliła nam grzebać w rzeczach jej syna – zaoponowała.

– Ale nic nie mówiła, że możemy sobie jedną z tych rzeczy wziąć. Jej szacowny małżonek na pewno chętnie zakwalifikowałby nasz czyn jako zuchwały rozbój z włamaniem.

– Oj, czepiasz się! – odparła. Oczy jej błyszczały. Trzymała kasetę w dłoniach z namaszczeniem, jakby dzierżyła w nich klucz do pokoju tajemnic.

– W każdym razie potrzebny nam magnetowid – podsumował. – Nie jest o niego łatwo w dzisiejszych czasach. Większość już dawno zasilła hałdy elektrośmieci.

– Chyba wiem, gdzie może być jeden. To całkiem niedaleko stąd.

## ROZDZIAŁ 47

Rzeczywiście, wystarczyło przejechać przez las. Regionalny Ośrodek Telewizji znajdował się dokładnie po jego drugiej stronie. Podjechali pod brzydki, beczkowaty budynek ze szkła i stali, wyglądający jak dziesiątki gmachów udających nowoczesne w dziesiątkach miast w Polsce.

– Znam tu kogoś – powiedziała Karolina.

– Twój były chłopak?

– Nie – odpowiedziała zdziwiona. – Poznałam go niedawno, gdy montowaliśmy ten materiał z żoną Jakubca.

Wybrała numer w telefonie i zadzwoniła. Po chwili z budynku wyszedł mężczyzna. Był to niewysoki, pięćdziesięcioletni mniej więcej człowiek o przesympatycznej, szeroko uśmiechniętej twarzy. Czarny wąsik i równie czarne, zaczesane do tyłu włosy nadawały mu wygląd podtuczonego i podstarzałego przedwojennego amanta.

– Karolina! – Otworzył szeroko ramiona na jej widok. – Jak miło cię znowu widzieć!

Uściskali się jak starzy dobrzy znajomi.

– Zygmunt Rozłucki – przedstawił się Rozłucki. Gdy byli tu poprzednio, nie wchodził do budynku. Poszedł pospacerować po pobliskim parku.

– Bernard. Po prostu Bernard. – Mężczyzna uściśnął mu dłoń i mrugnął porozumiewawczo.

– Co taka niespotykana piękność może chcieć od takiego starego dziada jak ja? – zwrócił się do Karoliny. Zarówno ton jego głosu, jak i uśmiech wskazywały na doświadczonego w bojach podrywacza, który

zdaje sobie jednak sprawę, że w tym konkretnym przypadku niewiele może zdziałać, więc tylko bawi się swoją bronią, zamiast próbować użyć jej na serio.

– Mam tu coś równie starego jak ty i równie wyszłego z użytku. – Pokazała mu kasetę wideo. – Chciałabym ją obejrzeć. Macie tam może jakiś magnetowid? – Karolina wskazała głową wznoszącą się za nimi blaszano-szklaną puszkę.

Mężczyzna z wąsikami zaśmiał się zadowolony z tej dobrodusznej uszczypliwości.

– Mamy tam każdy rodzaj sprzętu, o jakim tylko możesz zamarzyć. Podatnik nie oszczędzał na naszym wyposażeniu. Nie rozumiem tylko, dlaczego teraz nie chce oglądać naszych programów?

– Bo są nudne?

– A jakie mają być? – Wzruszył ramionami. – W tym mieście nic się nie dzieje. Miło się tu mieszka, ale w takiej pracy jak ta można się zabić własną pięścią. Olsztyn ma tylko dwieście tysięcy mieszkańców. To za mało. Podobno dopiero od pięciuset tysięcy pojawia się odpowiednia masa krytyczna. Tak przynajmniej twierdzą amerykańscy naukowcy. – Znowu mrugnął w ich stronę.

– A Ateny? – spytał Rozłucki. – W starożytnych Atenach mieszkało najwyżej sto tysięcy ludzi.

– W starożytnych Atenach amerykańscy naukowcy najwyraźniej nie byli – mężczyzna stwierdził z uśmiechem. – No dobra, chodźcie. Muszę wracać i poudawać, że coś robię.

Zaprowadził ich do małego pomieszczenia wypełnionego aż po sufit najprzeróżniejszym sprzętem.

– Tu macie magnetowid. – Wskazał. – Jest podłączony do komputera, tak że możecie od razu zamienić to, co tam jest, na wersję

cyfrową, a potem wypalić płytkę. A właśnie, co tam jest?

– Nie wiemy – odpowiedziała Karolina.

– O, robi się ciekawie. A skąd to macie?

– Prezent od Świętego Mikołaja – odpowiedziała zadziornie Karolina. – W tym roku przyszedł wyjątkowo wcześnie.

– Raczej wyjątkowo późno. W tym mieście zawsze wszystko jest później niż gdzie indziej. Tylko jesień przychodzi, kuźwa, na czas.

– Słuchaj, bardzo ci dziękujemy za pomoc... – zaczęła.

– Mam sobie już pójść? Jasne, rozumiem. Zresztą i tak nie ma tu trzeciego krzesła. Tylko bądźcie grzeczni. – Pogroził im palcem z poważną miną. – Tu wszędzie jest monitoring, a portier to straszny zboreźnik.

Wyszedł. Karolina włączyła komputer i włożyła kasetę do magnetowidu. Na ekranie monitora pojawiło się okienko programu do odtwarzania filmów.

– Przydałby się popcorn – zażartowała.

– Wolę nachos – odpowiedział Rozłucki. – Z sosem serowym. Takie, jakie dają w multipleksach.

Tymi luźnymi, swobodnymi uwagami próbowali przykryć napięcie, które teraz odczuwali. Rozłuckiego aż ścisnęło w dołku. Co tam było? Co zobaczą? Coś, co pozwoli im ruszyć wreszcie do przodu, odnaleźć drogę w tym labiryncie i w konsekwencji uwolnić dwie młode, trzymane gdzieś w jakimś lochu dziewczyny? Czy też może po raz kolejny zobaczą ścianę na końcu korytarza?

Karolina najechała kursorem na jasny trójkąt symbolu „play” i kliknęła myszką. Rozłucki poczuł, jak robi mu się sucho w ustach.

– Cholera – powiedziała. – Denerwuję się.

– Ja też – przyznał.

Wbili spojrzenia w monitor. Karolina rozszerzyła okno na cały ekran.

Po chwili pojawił się na nim obraz. Nie był zbyt wyraźny – kamerze, która go nagrała, daleko było do standardu HD – lecz wystarczający, by można było dostrzec, co przedstawia. Był to pokój. Jego jedną całą ścianę zajmował segment. Ten sam, który widzieli w piwnicy domu Jakubca.

Na drugiej ścianie, prostopadle do segmentu, pod zasłoniętym zasłoną oknem stała rozłożona wersalka. To na nią nakierowany był obiektyw kamery. Łóżko przykryte było prześcieradłem, lecz kołdra, zwinięta w nieforemny tłumok, leżała na podłodze obok. Na prześcieradle, z głową na poduszce, spoczywała naga kobieta. Nie ruszała się. Wyglądała, jakby spała.

– Czy to Justyna? – spytała Karolina.

– Nie wiem, nie widzę – odpowiedział. – Ujęcie jest zbyt dalekie.

Kamera, jakby słysząc jego słowa, przybliżyła obraz. Jej obiektyw skupił się teraz na brzuchu kobiety, po czym drgając i podskakując, zaczął zjeżdżać w dół, w kierunku jej porośniętego włosami krocza.

Tu zatrzymał się przez dłuższą chwilę. Potem powoli, ruchem, któremu daleko było do płynności, zaczął przesuwać się górę. Następny przystanek zrobił na piersiach, by wreszcie dotrzeć do twarzy. Karolina krzyknęła cicho. Tak, nie ulegało wątpliwości. To była Justyna.

Kamera rozszerzyła znowu obraz. Obejmowała teraz z powrotem całą leżącą dziewczynę. Nagle zza kadru wyszedł cień i przesłonił na moment obiektyw. Po chwili obraz znów się rozjaśnił i ukazał plecy mężczyzny idącego w kierunku wersalki.

Także i on był nagi. Podeszedł do łóżka i wszedł na nie ugiętymi kolanami. Jedno z nich ześlizgnęło się z prześcieradła, tak że o mało

nie spadł. Potem położył się na dziewczynie.

Justyna jęknęła cicho i poruszyła głową. Jej ramię objęło plecy mężczyzny nieprzytomnym gestem. Otworzyła oczy.

– Jest pijana – powiedziała Karolina. – Albo naćpana. Spójrz na jej źrenice.

– On chyba też. Widocznie dostęp do narkotyków nie stanowił wówczas aż takiego problemu, jak nam to wszyscy usiłowali wmówić.

Mężczyzna włożył rękę pomiędzy nogi leżącej dziewczyny i odciągnął jedną z nich na bok. Nieporadnie, pomagając sobie dłonią, rozpoczął stosunek. Ciało dziewczyny zaczęło przesuwać się tam i z powrotem po prześcieradle, uderzając raz za razem głową w twarde, lakierowany zagłówek wersalki. Po chwili oba ciała zastygły. Mężczyzna odkleił się od dziewczyny, uniósł na ramionach i wstał z łóżka. Odwrócił twarz w kierunku kamery. Był to Dariusz Jakubiec. Młodszy i szczuplejszy, ale to był on.

– Teraz ty – powiedział.



## ROZDZIAŁ 48

– No dalej! Chodź!

Zza kadru wyłoniła się kolejna postać. Chłopak niższy i szczuplejszy niż Jakubiec, z kędzierzawymi blond włosami i pryszczami na plecach. Złożone dłonie trzymał na przyrodzeniu. Jakubiec wstał i ze śmiechem pchnął go na wersalkę.

– No dalej – powtórzył. – Zawsze tego chciałeś. Nie mów, że nie.

Chłopak niezdarnie położył się na Justynie. Dziewczyna otworzyła znowu oczy i wymamrotała coś w proteście. Jej dłonie wsparły się na barkach chłopaka, próbując go zepchnąć. Ten jakby zawahał się, próbował wstać, Jakubiec jednak podszedł do niego od tyłu i docisnął plecy chłopaka od góry.

– Dalej – powiedział. – Włóż jej!

Chwycił nogę dziewczyny za kostkę i podciągnął ją do góry, by ułatwić mu w ten sposób zadanie.

– Mam ci pomóc, czy co? Przecież nie zrobię tego za ciebie.

Dziewczyna ponownie zaczęła protestować. Chwyciła kędzierzawe włosy chłopaka i znowu próbowała go z siebie zepchnąć. Jakubiec złapał jej ręce w nadgarstkach i odciągnął do tyłu.

– Dalej! – krzyknął.

Wreszcie pryszczaty tyłek chłopaka zaczął poruszać się w górę i w dół. Po chwili było już po wszystkim. Chłopak zwłókł się z łóżka i z miną raczej smutną niż zadowoloną usiadł na jego skraju.

– Spuściłeś się obok! – stwierdził Jakubiec zanosząc się śmiechem. – Jak pies!

Chłopak zaczerwienił się i zasłaniając rękami podbrzusze, uciekł z

kadru. Jakubiec, którego penis znowu nabrzemiał i wyprostował się, podszedł do dziewczyny. Tym razem ukląkł przy jej głowie. Karolina chwyciła za myszkę.

– Nie chcę tego dalej oglądać – powiedziała. – Nie jestem w stanie.

Obraz zatrzymał się.

– Ja też – odparł Rozłucki. Pulsujące miejsce między jego nogami mówiło jednak coś zupełnie innego.

– Co to było?! – spytała. – Wyglądało to jak gwałt.

Rozłucki poprawił się na krześle, starając się zmniejszyć nacisk w newralgicznym miejscu.

– I tym zdaje się było. Chyba nie spodziewała się, że pojawi się ten drugi, i nie była z tego powodu zadowolona.

– Kto to był, Lesicki?

– Raczej tak. Zmienił się bardziej niż Jakubiec.

Zapadła cisza. Oboje próbowali przetrwać to, co przed chwilą widzieli.

– Musimy to obejrzeć do końca – powiedział wreszcie. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Ty to zrób – odpowiedziała. – Ja nie mogę.

Wstała z krzesła.

– Poczekam na dworze.

Został sam. Chwycił prawą ręką myszkę i nakierował kursor z powrotem na jasny trójkąt „play”. Zawahał się przez chwilę. Znowu będzie odczuwał podniecenie. Wiedział, że nie powinien czuć się z tego powodu winny – mechanizm, który za to odpowiada, jest starszy niż ludzkość, jego działanie nie zależy od takich ewolucyjnie nowych wynalazków jak wolna wola, sumienie czy przyzwoitość. Włącza się automatycznie, gdy oczy mężczyzny widzą nagie kobiece ciało lub scenę

uprawiania seksu. Mimo wszystko jednak było w tym coś podłego. Patrząc na gwałt, który odbył się dwadzieścia lat temu na dziewczynie, która już dawno nie żyje, i czuć mrowienie w kroku... Wzdrygnął się. „Jesteśmy tylko zwierzętami”, pomyślał. „W takich momentach widać to szczególnie wyraźnie”.

Stała na dworze koło swojego samochodu i paliła papierosa. Musiała go od kogoś pożyczyć, bo nigdy dotąd nie widział jej w takiej sytuacji. Podszedł do niej. On z kolei miałby ochotę się napić.

– I co? – spytała. – Co tam jeszcze było?

Odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Jakubiec znowu przywołał Lesickiego. Chciał, żeby zrobili to we dwóch, jeden z przodu, drugi z tyłu. Lesicki jednak nie dał rady. Popłakał się. Jakubiec wyzwał go od pedałów i dokończył sam.

– A ona?

Oboje nie używali jej imienia. Byłoby to w tym momencie za trudne.

– Była już wtedy chyba całkiem nieprzytomna – odpowiedział. – W każdym razie nie reagowała.

– Matko jedyna...

– Chodź – powiedział. – Przejdziemy się. Musimy ochłonąć po tym wszystkim.

Ruszyli w stronę parku.

– Nie mogę dojść do siebie – powiedziała cicho, gdy byli już między drzewami. – Nigdy dotąd nie widziałam takiego zła na własne oczy. Ja... Do tej pory życie mnie oszczędzało. Miałam szczęśliwe dzieciństwo, potem także wszystko układało się raczej dobrze. Wiedziałam oczywiście, że dzieją się takie rzeczy, ale po raz pierwszy coś takiego zobaczyłam. Nie wiem, wydaje mi się, że wstrząsnęło to

mną bardziej niż tamto w telewizji.

Nie odpowiedział. Co w zasadzie mógłby powiedzieć? Że najbardziej dotyczą nas rzeczy, które mogłyby nas bezpośrednio dotyczyć? Scena gwałtu zrobiła na niej większe wrażenie niż samobójstwo, które widziała przed kilkoma dniami, bo gwałt to jest coś, co mogłoby jej się przydarzyć, a samobójstwo pozostawało poza zasięgiem jej wyobraźni. Z nim było dokładnie odwrotnie.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Dlaczego oni to zrobili? – spytała. – Dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

Wzruszył ramionami.

– Bo mogą. I nie boją się, że spotka ich za to kara.

– A ty, gdybyś ty miał taką możliwość i nie bał się, że pójdziesz za to więzienia, zrobiłbyś coś takiego?

Przypomniał sobie wczorajszy wieczór na zamku w Rynie. Gdyby jej wtedy uległ, to też w zasadzie byłby gwałt. Mimo iż to ona parła do zbliżenia, nie odpowiadała przecież w pełni za swoje czyny.

– Są różne rodzaje kary – odpowiedział. – Nie musi od razu chodzić o pójście do więzienia. Jedni boją się tego, inni wiecznego potępienia, a dla innych najgorszą karą jest zburzenie wyidealizowanego obrazu własnej osoby. I to jest chyba właśnie mój przypadek. Młody Jakubiec, jak sądzę, nie bał się żadnej z tych trzech rzeczy.

– Bo wszystko dotąd uchodziło mu na sucho?

– To też. Słyszałaś, co mówił o nim ten gość z Anglii. Złoty chłopak. Dostawał wszystko, na co miał ochotę. Rozpuszczony i rozpieszczony. Zdemoralizowany przez świadomość, że ma więcej niż inni, a jego ojciec może wszystko. Rodzice wychowali go w poczuciu bycia lepszym od innych i nie zaopatrzyli w żadne hamulce. Pozwalali przekraczać

granice. Pewnie nie przypuszczali, że ich mały, słodki synalek może w końcu wpaść na coś takiego. Spróbować odegrać na żywo scenę, którą znał z filmów przywiezionych przez ojca z Niemiec.

– Myślisz, że o to chodziło?

– Na pewno. Chciał, żeby było jak w pornosie. Ich dwóch i ona jedna. Któregoś dnia zrozumiał, że ma do dyspozycji wszystkie potrzebne do tego elementy – kamerę wideo, dziewczynę, środki, którymi można ją odurzyć, by nie protestowała za mocno, i kolegę, na tyle zdominowanego, by zgodził się na wszystko. Tyle, że nie do końca to się udało. Życie to jednak nie jest pornos.

– Myślisz, że przez to zginęła? Przez tę kasetę?

– Matka Jakubca twierdzi, że to był wypadek.

– Mówi to, co usłyszała od syna. A on przecież wcale nie musiał jej powiedzieć prawdy. Może szantażował Justynę tą kasetą, a ona chciała ją odzyskać? Może chciała zgłosić to na policję?

– A on ją wtedy zabił? Twój były chłopak utrzymuje, że obrażenia jej kości jednoznacznie wskazywały na wypadek komunikacyjny.

– Wypadek też można przecież upozorować. A jeśli ją znowu odurzył, a potem przejechał? I wrzucił zwłoki do jeziora?

– Takie teorie możemy snuć w nieskończoność. Nie mamy na to nawet śladu dowodu. Myślę, że bardziej prawdopodobny jest jednak inny scenariusz.

– Jaki?

– Że się po prostu o to pokłócili. Pewnie bawili się w ten sposób od dawna, ale tym razem zabawa posunęła się za daleko i przestało być przyjemnie. Nauczyciele twierdzili, że od jakiegoś już czasu zachowywała się dziwnie. Pewnie jej to doskwierało. Zmuszał ją do takich rzeczy, a jej coraz bardziej się to nie podobało. Zgadzała się, bo

go kochała i była pod jego wpływem. Musiał jej bardzo imponować – złoty chłopak z dobrej rodziny, bogaty, mający dostęp do świata, o którym inni jej koledzy nie mieli nawet pojęcia. Dobry alkohol, narkotyki, zakazane rozrywki – do pewnego momentu musiało to być bardzo ekscytujące. Aż w końcu postanowił zaprosić do zabawy kolegę. Żeby było jak na tych filmach, które oglądał. I to był ten jeden krok za daleko, to otworzyło jej oczy, przelało czarę. W końcu więc postanowiła to zakończyć, może nawet chciała z nim zerwać. On jednak nie chciał wypuścić swojej zdobyczy z rąk. Może nawet w jakimś sensie też ją kochał. Pojechali za miasto, a dalej było tak, jak opowiadała jego matka.

– Skąd zatem wziął się tam Lesicki?

– Nie wiem, może Jakubiec zabrał go, bo chciał ją nastraszyć, a może przeprosić? Może groził jej, że pokażą wszystkim filmy z jej udziałem? A może chciał ją ukarać za zerwanie i ostatni raz się z nią zabawić? Nie wiem. Nigdy się tego nie dowiemy. Wszyscy uczestnicy tej przejażdżki już nie żyją.

– Ktoś jednak żyje. I trzyma gdzieś w piwnicy dwie młode dziewczyny. Kto to jest? Skoro nie ojciec i nie brat, to kto?

– Nie mam pojęcia. Może był ktoś jeszcze?

– Kto?

– Jakiś drugi chłopak. Ktoś, kto też ją kochał. Może spotykała się nie tylko z Jakubcem?

Karolina zamilkła. Szła ze spuszczoną głową, wpatrując się w ścieżkę pod swoimi stopami. Nagle stanęła.

– Myślisz, że ten, który porwał córki Jakubca i Lesickiego, robi im teraz to samo, co oni jej na tym nagraniu? Myślisz, że mści się także i w ten sposób?

– To zależy między innymi od tego, czy wie o jego istnieniu.

## ROZDZIAŁ 49

Podkomisarz Rafał Sądecki z Wojewódzkiej Komendy Policji w Olsztynie wysłuchał ich uważnie i z powagą. Przekazali mu wszystkie informacje, które zdobyli, opowiedzieli mu też o nagraniu, choć nie wyjaśnili, skąd o nim wiedzą, ani nie przekazali kopii, gdyż wówczas musieliby wyznać, że zdobyli je nie całkiem legalnie.

Uznali, że muszą to zrobić. Że trzeba wykorzystać wszystkie dostępne środki. Nawet jeśli będzie to oznaczało koniec ich fascynującej przygody. W grę wchodziło przecież życie dwóch nastoletnich dziewczyn. Nie mogli ich narażać tylko dlatego, że poczuli się przez chwilę jak dwójka detektywów i że była to prawdopodobnie najciekawsza rzecz, jaka przydarzyła im się w ich dotychczasowym życiu.

Siedzieli więc teraz na dwóch drewnianych krzesłach przed biurkiem, za którym siedział były chłopak Karoliny i wpatrywali się w jego twarz, próbując wyczytać z niej, co on o tym wszystkim sądzi. Za jego plecami było okno, przez które widać było tory. Przed chwilą przejechał po nich pociąg.

– I co, wierzysz nam? – spytała Karolina.

Podkomisarz stukał w zamyśleniu końcówką długopisu o blat. Czarna podkoszulka, w którą był ubrany, wyglądała na noszoną drugi lub nawet trzeci dzień z rzędu.

– Tak, chyba tak – powiedział wreszcie. – Brzmi to dość prawdopodobnie. Choć nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką sprawą.

– Zrobisz coś z tym?



– Oczywiście. Porwanie jest przestępstwem ściganym z urzędu. Mam obowiązek wszcząć w tym momencie postępowanie. Przesłucham żonę Dariusza Jakubca, jego ojca i matkę, poproszę kolegów z Warszawy, by zajęli się żoną Lesickiego. Ale musicie mieć świadomość, że jeśli oni wszyscy konsekwentnie będą wszystkiemu zaprzeczać, jeśli będą w dalszym ciągu utrzymywać, że ich córki gdzieś wyjechały i po prostu jeszcze nie wróciły, to niewiele więcej będę mógł zrobić.

– Któreś z nich musi w końcu pęknąć – powiedział Rozłucki. – Stawiałbym przede wszystkim na matkę Dariusza Jakubca. Jeśli przesłuchacie ją samą, bez obecności męża, to jestem pewien, że nie będzie w stanie konsekwentnie kłamać. Zresztą to samo dotyczy też jego żony i żony Lesickiego. Obie są, oględnie mówiąc, w nie najlepszym stanie psychicznym. Sądzę, że niewiele trzeba, by powiedziały, jak było naprawdę.

– Pewnie tak – zgodził się policjant. – Oczywiście, jeśli to wszystko prawda. – Rzucił im groźne spojrzenie.

– Myślę, że niestety prawda – odezwała się Karolina.

– Proszę, tu jest spis wszystkich osób, z którymi rozmawialiśmy. – Rozłucki przesunął po biurku kartkę w stronę podkomisarza. – Jeśli porozmawiacie z nimi jeszcze raz, być może powiedzą wam więcej niż nam. Inaczej odpowiada się na pytania dziennikarza, a inaczej policji.

Podkomisarz Sądecki wziął kartkę, spojrzał na nią i pokiwał głową.

– Pan dyrektor nie za bardzo chciał nam udostępnić dane kolegów z klasy Dariusza Jakubca – dodał Rozłucki. – Myślę, że wam nie będzie robił takich trudności.

– To tyle – powiedziała Karolina. – Nasza rola właśnie się chyba kończy. Wracamy do Warszawy.

Podkomisarz Sądecki nie odpowiedział. Ciągle w zamyśleniu

wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę. Palce jego lewej dłoni rytmicznie wybijały na biurku jakąś monotonną melodię.

– Dlaczego? – powiedział nagle. – Całkiem nieźle wam do tej pory szło. Oczywiście, jeśli to wszystko prawda – zastrzegł.

Podniósł na nich wzrok.

Zapadła cisza. Po torach za plecami policjanta przejechał kolejny pociąg. Przez otwarte okno wdarł się rytmiczny stukot kół. Osobowy skład nie był długi, raptem pięć, sześć wagonów.

– Sugerujesz – powiedziała ostrożnie Karolina – że moglibyśmy zostać i kontynuować nasze małe dochodzenie?

– Nic takiego oczywiście nie sugeruję – odpowiedział z kamienną twarzą policjant. – Jako oficer policji nie mógłbym nawet czegoś podobnego sugerować. Od prowadzenia śledztwa jest policja, to chyba jasne.

– Ale nie miałby pan nic przeciwko, żebyśmy jeszcze trochę poszperali? – domyślił się Rozłucki. – Równolegle, że tak powiem, z wami?

Podkomisarz rozłożył ręce.

– Tego nie mogę wam zabronić. Żyjemy w państwie prawa. Możecie robić, co chcecie, o ile nie złamiecie przepisów.

– Czy to znaczy – spytała Karolina – że moglibyśmy liczyć na jakąś, jak by to powiedzieć, wymianę danych?

– Jeśli się czegoś dowiecie, waszym obowiązkiem jest przekazać to policji.

– A co z przepływem w drugą stronę? – spytał Rozłucki.

– Zazwyczaj, ze względu na dobro śledztwa, nie udziela się zbyt wielu informacji. Choć oczywiście Karolina jako dziennikarka ma prawo pytać o jego postępy.

– Czyli chyba wszystko już sobie ustaliliśmy – podsumował Rozłucki. – Miło się z panem współpracuje, panie podkomisarzu.

– Współpraca to chyba za duże słowo. – Podkomisarz Rafał Sądecki uśmiechnął się z wyższością. – Powiedzmy, że z życzliwym pobłażaniem będę tolerował wasze nieudolne próby pomocy.

Wyszli. Czerwcowe niebo nad ich głowami zasnuwane było chmurami. Upał zelżał. Zanosilo się na deszcz. Przeszli przez ulicę do zaparkowanego po drugiej stronie volkswagena New Beetle. W tym miejscu nie było pasów, a za plecami mieli budynek, w którym aż roiło się od policjantów, widocznie jednak wszyscy byli bardzo zajęci, bo ich przestępstwo pozostało niezauważone. Wsiedli do samochodu.

– I co ty na to? – odezwał się Rozłucki. – Zdaje się, że otrzymaliśmy właśnie korsarski patent.

– Niekoniecznie – odparła Karolina. – To zaledwie ustne przyzwolenie. Obawiam się, że w razie jakiegokolwiek wpadki z naszej strony mój drogi, kochany Rafał wyprze się wszystkiego. Przemyślał to sobie dokładnie i wyszło mu, że gdyby ta sprawa zakończyła się sukcesem, wydatnie zwiększyłoby to jego szanse na awans. Ale na pewno nie będzie dla nas niczego ryzykował. Zawsze umiał dbać o własny interes. I niekoniecznie zważać na cudzy. Od tej strony akurat dość dobrze go znam.

– Wystawił cię kiedyś do wiatru?

– Tak. Można tak powiedzieć. To dlatego między innymi nie jesteśmy dziś razem. Szczerze powiedziawszy, nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle kiedykolwiek byliśmy.

Zamilkła, a on nie wypytywał więcej. Gdyby chciała, powiedziałaaby mu, o co chodzi. Nie musiało to być nic szalenie ważnego, bo inaczej nie

byliby dziś w tak dobrych stosunkach. Widocznie jednak było to na tyle dla niej istotne, że przekreśliło raz na zawsze jego szanse. Co to mogło być? Dotarło do niego, że zastanawia się nad tym, by sam nie popełnić podobnego błędu.

– No dobrze – powiedziała, wkładając kluczyk do stacyjki – skoro więc mamy bawić się dalej w detektywów, musimy opracować jakiś plan. Od czego zaczynamy?

Spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem. Widać było, że znów jest w swoim żywiole.

– Masz numer do tego gościa z Londynu? – odpowiedział. – Miejmy nadzieję, że nie wyjechał.

## ROZDZIAŁ 50

– Macie szczęście, że mnie jeszcze złapaliście – powiedział Arkadiusz Chmielewski. – Za dwa dni wracam do Anglii.

– Koniec urlopu? – spytała Karolina.

– Dopiero połowa. W lipcu jadę z żoną do Hiszpanii. Jej siostra wyszła za Katalończyka z Barcelony i teraz tam mieszka. Fajnie mieć rodzinę w takim kraju. Sporo się oszczędza na wakacjach.

Spotkali się w irlandzkim pubie na starym mieście w Olsztynie. To on zaproponował to miejsce.

– Wiecie, że ta knajpa była tu już przed moim wyjazdem? – powiedział, siadając przy stole z kupionym właśnie piwem. – To w niej podjąłem decyzję o tym, żeby polecieć do Londynu. Przyjechałem kiedyś na weekend z Poznania, umówiłem się ze znajomymi i przyszliśmy właśnie tu. Siedziałem, piłem piwo i myślałem, że chętnie bym zobaczył, jak wygląda prawdziwy pub i czy różni się czymś od tego. A potem pomyślałem, że w zasadzie nic mnie tu nie trzyma – studia mnie niezbyt ciekawią, szans na porządną pracę też raczej nie mam – więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebym pojechał i sam to sprawdził.

– I co, różni się czymś? – spytał Rozłucki.

Chmielewski upił łyk piwa.

– Przede wszystkim zapachem – odpowiedział. – W pubie na Wyspach pachnie piwem. I to nie tym świeżym, prosto z beczki, ale starym, zwiertzałym, takim które przez dziesięciolecia wsiąkało w blaty stołów, drewno baru i w wykładzinę. Nie da się tego zapachu podrobić. Można kupić takie same meble i wystrój, ale ten zapach – słodkawy i lepki – musi narodzić się sam.

Podniósł do oczu szklanę i przyjrzał się wypełniającemu ją piwu.

– I Guinness też tam jest lepszy – zaśmiał się. – Nie wiem, na czym to polega, ale jest lepszy.

Rozłucki zamoczył wargi w kremowej pianie. Czarny, kawowy płyn przyjemnie spłynął mu po gardle. „Wszystko, co najlepsze, robi się z jęczmienia”, pomyślał. Whisky to w zasadzie przedestylowane piwo. Może nie do końca, ale początek procesu technologicznego jest taki sam. Trzeba zesłodować jęczmień, zmieszać go z wodą, doprowadzić do fermentacji. Dopiero później drogi się rozchodzą.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem jeszcze raz o Justynie – przeszła do rzeczy Karolina. Ona z kolei zamówiła butelkowane IPA z miejscowego, olsztyńskiego browaru, lecz nawet go nie tknęła. Po ostatniej przygodzie w Rynie miała najwyraźniej dość alkoholu.

Chmielewski pokiwał głową.

– Jasne – powiedział. – Myślałem o niej sporo od naszego ostatniego spotkania. Przypomnieliście mi o niej, a teraz nie chce się dać z powrotem zapomnieć. Szkoda dziewczyny. Słyszałem, że ją znaleźli?

– Tak – odpowiedział Rozłucki. – Dwa lata temu.

– Myślicie, że może mieć to jakiś związek z tym, co zrobił Darek?

– Sądzymy, że może. Próbujemy to właśnie ustalić.

– A nie powinna tego robić raczej policja?

– Policja prowadzi swoje śledztwo, my swoje. Można powiedzieć, że współpracujemy. Zresztą policja się do pana nie zgłosiła, my tak.

Chmielewski uśmiechnął się.

– Trochę szkoda. Nigdy jeszcze nie byłem przesłuchiwany przez policję. Ale prywatni detektywi też mogą być. Zwłaszcza, jeśli jeden jest tak ładny, jak pani. – Spojrzał na Karolinę. – Jest pani równie piękna jak ona. I nawet trochę do niej podobna.

Przechwyciła jego spojrzenie.

– Interesuje nas zwłaszcza jedna rzecz – powiedziała. – Czy nie kręcił się wokół Justyny jeszcze ktoś oprócz Dariusza Jakubca? Jakiś inny mężczyzna, chłopak, ktokolwiek. Nie zauważył pan czegoś takiego?

Chmielewski zamyślił się.

– Może ktoś za nią chodził, wystawał pod domem, może spotykała się jeszcze z kimś? – dodał Rozłucki. – Nie musi chodzić o coś, co sam pan widział, może słyszał pan tylko takie plotki, może ktoś się z kogoś śmiał, ktoś kogoś obgadywał?

– A wie pan, że było coś takiego... – odpowiedział Chmielewski. – Teraz, jak pan o tym wspomniał, przypomniałem sobie, że faktycznie był ktoś taki. Nawet go kiedyś widziałem.

Karolina i Rozłucki spojrzeli po sobie.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

Chmielewski wypił jeszcze łyk piwa, potem zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, od czego zacząć.

– Justyna mieszkała niedaleko szkoły nauki jazdy – zaczął. – Gdy chodziłem tam na zajęcia, zawsze przechodziłem pod jej blokiem. Nie była to najkrótsza droga, ale szedłem tamtędy, bo miałem nadzieję, że ją zobaczę. – Uśmiechnął się pod nosem. – No i kiedyś miałem szczęście: akurat gdy zbliżałem się do jej domu, ona wyszła z klatki. Serce podeszło mi do gardła, myślałem, szczerze mówiąc, że się przewrócę. Właśnie zastanawiałem się, co mógłbym jej powiedzieć, jak do niej zagadać, jakim dowcipnym i błyskotliwym zdaniem zwrócić na siebie jej uwagę, gdy zobaczyłem, że z ławki pod jej blokiem wstaje jakiś chłopak. Czekał tam na nią.

– I co? – spytał Rozłucki.

– I nic. Zobaczyła go i odwróciła się. Poszła w drugą stronę. A on został tam, stojąc jak słup soli. Gdy go mijałem, zobaczyłem, że ma w ręku kwiat. Nie jakąś różę, czy coś w tym stylu, ale taki mały kwiatek. Musiał go zerwać gdzieś po drodze.

– Znał go pan? – spytała Karolina.

– Tak, chyba chodził do jej klasy. Ale imienia ani nazwiska nie pamiętam. Taki wysoki, chudy chłopak. Nosił taki młodzieńczy wąsik ledwo pokrywający górną wargę. Wielu chłopaków go wtedy nosiło, żeby wyglądać doroślej.

– Widział go pan jeszcze kiedyś w podobnej sytuacji?

– Nie, chyba nie. To był jedyny raz.

– Na pewno chodził do jej klasy?

Zastanowił się.

– Na pewno. Trochę mu tego zazdrościłem. – Ponownie uśmiechnął się pod nosem.

– Co pan czuł, gdy patrzył pan na tę scenę? – spytał Rozłucki.

Chmielewski spojrzał na niego zdziwiony.

– Co czułem?

– Tak. Jakie pan odniósł wrażenie, patrząc na ich spotkanie, jaka była między nimi relacja, jakie emocje pan wyczuł?

– Nie wiem, to było tak dawno...

– Uczucia pamięta się długo. Zwłaszcza gdy doświadczyło się ich w okresie dojrzewania, gdy wszystko dzieje się po raz pierwszy w życiu. Proszę się zastanowić.

Chmielewski zamilkł. Jego wzrok powędrował gdzieś na ścianę.

– Miałem wrażenie, że jest zirytowana – powiedział po chwili. – Tak, zirytowana. Jakby to nie było pierwszy raz, jakby już wcześniej jej się narzucał. Gdy go zobaczyła, skrzyła od razu, jakby wiedziała



dokładnie, o co mu chodzi. Nie czekała, aż podejdzie do niej i wyjaśni, po co przyszedł. Uciekła od niego.

– A on?

– On?

– Jaki był? Natarczywy, agresywny?

– Nie. Na pewno nie.

– To jaki?

Chmielewski spojrzał na niego, jakby szukał właściwego słowa.

– Smutny – odpowiedział.

## ROZDZIAŁ 51

– Myślisz, że to on, ten chłopak? – spytała, gdy pożegnali się już z Chmielewskim.

– Nie wiem, ale póki co nie mamy innego kandydata.

Wyszli na zewnątrz. Niebo pociemniało. Z niskich chmur zaczęły się odrywać pierwsze krople deszczu. Granitowy bruk na niewielkim placu, przy którym znajdował się pub, pokrył się małymi, mokrymi plamkami.

– Może po prostu był w niej nieszczęśliwie zakochany? – powiedziała. – To chyba normalne w tym wieku. Chodził za nią, a ona go nie chciała. Też miałam takiego absztyfikanta. Całe liceum wodził za mną wzrokiem. Raz czy dwa próbował się ze mną umówić. Ale to wszystko. Dziś już pewnie nawet mnie nie pamięta.

– Ty nie zaginęłaś w dziwnych okolicznościach.

– I co, pamiętałby o tym przez dwadzieścia lat? A teraz się mścił? Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Ruszyli przez plac w kierunku parkingu, gdzie zostawili samochód. Deszcz padał coraz mocniej. Mniej więcej w połowie drogi zmuszeni byli schronić się pod jednym z parasoli ustawionych w ogródku mieszczącej się tu restauracji.

– Pamiętaj, że mówimy o bardzo specyficznym okresie w życiu człowieka – powiedział. – Uczucia są wtedy wyjątkowo silne, bo przeżywane po raz pierwszy. Nie potrafimy też jeszcze odpowiednio nad nimi panować. Jeśli ten chłopak zakochał się w Justynie, a ona go nie chciała, to była to dla niego tragedia w sensie niemalże eschatologicznym. W tym wieku popełnia się samobójstwa z tego typu

powodów. A potem ona zaginęła, zniknęła w tajemniczy sposób. W normalnych warunkach zapomnieliby pewnie o niej, poznał kogoś innego, zakochał się ponownie i gdyby po jakimś czasie spotkał ją przypadkiem na ulicy lub na jakimś klasowym spotkaniu, stwierdziłby zapewne, że nie jest wcale taka ładna. Ale ona zniknęła, rozplynęła się w powietrzu. Nie pozwoliła mu na to. Jej wyidealizowany obraz uległ zakonserwowaniu w jego pamięci, bez szansy na konfrontację z rzeczywistością. I jeśli potem, dajmy na to, nie udało mu się ułożyć życia, jeśli nie spotkał nikogo, z kim potrafiłby nawiązać satysfakcjonującą, dojrzałą relację, jeśli pozostał sam, to wspomnienie tamtej pierwszej miłości, zamiast blaknąć, tym bardziej nabierało kolorów. Ulegało mitologizacji, jakby Justyna żywcem została wzięta do jego prywatnego nieba. Wyobraź to sobie! A potem on dowiaduje się, że ona nie żyje. Że zginęła dwadzieścia lat temu. Że jej zwłoki leżały przez ten cały czas gdzieś w mule. Co mógł sobie wtedy pomyśleć, zastanów się? Że gdyby nie zginęła, byłaby teraz z nim. Byliby szczęśliwi, on byłby szczęśliwy. Ktoś, kto ją zabił, nawet, jeśli to był wypadek, odebrał mu to wszystko, zniszczył mu życie. To oczywiście nieprawda, ale on tak mógł pomyśleć. A to jest już wystarczający motyw do zemsty.

Rozpadało się na dobre. Strumienie wody z impetem spadały z góry na dachy parasoli, na bruk, na metalowe krzesła i stoły, odbijając się od nich i rozpryskując wokoło. Cofnęli się w głąb parasola aż do samego masztu, ale i tam dosięgały ich krople wody. Uciekając przed nimi, przysunęli się do siebie. Poczul zapach jej wilgotnych włosów.

– Więc uważasz, że to on? – spytała ponownie.

– Nie uważam. Nie wiem. Staram się po prostu ułożyć prawdopodobny scenariusz. Odtworzyć mozaikę na podstawie kilku

zachowanych fragmentów. Mogę się mylić. Nie mamy żadnych dowodów, więc zostaje nam tylko to.

- Poza tym nie mamy lepszego kandydata – powtórzyła jego słowa.
- Nie mamy.

Plac, na którym stali, wyłożony nową kostką i otoczony nowymi, choć stylizowanymi na stare kamienicami, z jednej strony, od północy, był otwarty. Patrząc w tamtym kierunku można było dostrzec, pomimo smug deszczu, górujące nad starym miastem wzgórze, na którym wznosiło się liceum, do którego chodzili oni wszyscy – Justyna, Dariusz Jakubiec i Andrzej Lesicki. A także on – szczupły chłopak z młodzieńczym wąsikiem, ich aktualny i jedyny podejrzany.

– Musimy tam wrócić – powiedział. – Musimy wrócić do ich szkoły. Ktoś tam musi jeszcze coś pamiętać. Może jakaś woźna albo pani ze stołówki. Coś mi mówi, że rozwiązanie jest właśnie tam.

- Dzień dobry, to znowu my. Moglibyśmy jeszcze raz porozmawiać?

Nauczyciel, z którym przeprowadzali wywiad poprzednim razem, spojrzał na Karolinę. Wydawał się być zaskoczony. Skończył porządkowanie biurka, schował papiery do skórzanej, zamykanej na suwak teczki i odchrząknął.

- Tak, oczywiście. Nie sądziłem, że przyjdziecie państwo ponownie.
- Mamy jeszcze parę pytań.
- W takim razie zapraszam. A gdzie ekipa?
- Zmieniliśmy pracodawcę – stwierdziła z uśmiechem Karolina. – Piszemy teraz reportaż dla prasy.

– Ach, tak? Rozumiem. Wejdźcie zatem. Akurat jest długa przerwa, mamy zatem chwilę czasu.

W klasie, tej samej co poprzednio, nie było już uczniów. Zostały po nich tylko odsunięte krzesła i kilka zabłąkanych pod ławkami śmieci.

Okna były otwarte, lecz pomimo tego w powietrzu unosił się dziwny, chemiczny zapach.

– Przeprowadzał pan jakiś eksperyment? – spytał Rozłucki.

– Kto, ja? Nie. Chodzi panu o ten zapach? W sali obok jest pracownia chemiczna i zdaje się, że mieli jakiś mały wypadek. Zbiła się kolba, czy coś w tym stylu. Dobrze, że jest ciepło i można otworzyć okna, bo inaczej nie dałoby się tu wytrzymać.

Usiedli w ławkach, tak jak poprzednio.

– Chcielibyśmy porozmawiać o Justynie Wasilewskiej. Pamięta ją pan? – zaczął Rozłucki.

– Pamiętam – odpowiedział nauczyciel. – To ta dziewczyna, która zaginęła.

– Nie powiedział nam pan o tym w czasie naszej poprzedniej rozmowy – zauważyła Karolina.

– Nie sądziłem, że ma to jakiś związek z tym, o co pytacie.

– Nie powiedział nam pan też, że chodziła z Dariuszem Jakubcem – dodał Rozłucki. – A to już ma związek z tą sprawą.

– A chodziła? Widziałem ich razem raz czy dwa, ale nie powiedziałbym, że była jego dziewczyną. Darek raczej nie miał stałej dziewczyny, mówiłem to już.

– Mamy informacje, że ich relacje były dość bliskie. Nie wiedział pan o tym?

– Nie. Ona chodziła do innej klasy. Do IVd, jeśli się nie mylę. My byliśmy w IVa. Widywałem ją tylko na korytarzu. Wiem, że była bardzo ładna, to tyle.

– A nie zauważył pan jeszcze kogoś, kto by się przy niej kręcił? – spytała Karolina. – Jakiegoś innego chłopaka. Kogoś, kto by ją zaczepiał, chodził za nią, narzucał się. Nieszczęśliwie w niej

zakochanego?

Nauczyciel zamilkł, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Nie, raczej nie. Niczego takiego sobie nie przypominam. Ale, jak sądzę, wielu się w niej kochało. Była naprawdę bardzo ładna, o wiele ładniejsza od innych dziewczyn w szkole.

– A pan? Pan się w niej kochał?

– Nie, ja nie.

– Dlaczego? Skoro była taka ładna.

– Byłem zakochany w kimś ze swojej klasy.

– Szczęśliwie czy nieszczęśliwie?

– Nieszczęśliwie. – Uśmiechnął się smutno. – W tym wieku to dosyć częste.

– A czy jest ktoś, kto mógłby nam powiedzieć coś więcej o Justynie?

– spytała Karolina. – Przychodzi panu ktoś taki do głowy?

– Jak już mówiłem, chodziliśmy do różnych klas. Nie mieliśmy chyba wspólnych znajomych. Z wyjątkiem, jak państwo twierdzicie, Darka Jakubca.

– A nauczyciele? Pracuje tu jeszcze ktoś, kto ją kiedyś uczył?

Nauczyciel zastanowił się.

– Nie, chyba nie. Dwadzieścia lat to kupa czasu. Wszyscy odeszli na emeryturę. Nikt, kogo dziś spotykam w pokoju nauczycielskim, nie uczył w tej szkole, gdy byłem uczniem.

– Nie ma nikogo, kto wtedy był młody i dopiero zaczynał tu pracę, a teraz jest statecznym belfrem z dodatkiem za wysługę lat?

– Nie. Byli, z tego, co pamiętam, wówczas młodzi nauczyciele – był wuefista, nauczycielka muzyki świeżo po studiach, rusycystka – bardzo zresztą ładna – ale żadne z nich już tu nie pracuje. Zmienili szkołę, odeszli z zawodu, wyjechali – różne były powody.

– A co z tymi, którzy odeszli już na emeryturę? Ma pan z nimi jakiś kontakt? – spytał Rozłucki. – Na przykład jej wychowawczynie? Nie wie pan, gdzie mieszka?

– Wychowawczynie nie żyje. Umarła dwa lata po naszej maturze. Sam byłem na jej pogrzebie. Szczerze powiedziawszy, nie była zbyt dobrym pedagogiem.

– A inni nauczyciele?

– Część z nich na pewno też już nie żyje, inni zapewne mieszkają jeszcze w Olsztynie. Ale nie, nie mam z nimi żadnego kontaktu.

– Nie przychodzą czasami do szkoły? Nie zapraszacie ich na Dzień Nauczyciela?

– Pewnie zapraszamy. Ale wie pan, jak to jest: na takie imprezy przychodzi się dwa, góra trzy lata po przejściu na emeryturę. Gdy jeszcze odczuwa się jakąś więź z dawnym miejscem pracy, gdy można spotkać starych znajomych i porozmawiać z uczniami, których się uczyło. Potem już człowiekowi zwyczajnie się nie chce.

– Ale pewnie w sekretariacie mają ich adresy?

– Nie wiem, pewnie mają. Jak chcecie, możecie spróbować ich odszukać. Ale szczerze powiedziawszy, nie spodziewam się, by wyjawili wam jakieś rewelacje.

– Dlaczego?

– Wyobrażacie sobie, ilu uczniów poznaje nauczyciel w czasie czterdziestu lat pracy w szkole? Tysiące. Nie sposób wszystkich zapamiętać. Pamięta się tych pierwszych, z pierwszego roku pracy. I tych, których aktualnie się uczy. Reszta z biegiem lat zlewa się coraz bardziej w jedną homogeniczną masę. Wychwytuje się z niej bardziej określone typy niż poszczególne jednostki. Są trzy, cztery typy chłopców i podobna ilość typów dziewczyn. W każdej klasie można

znaleźć większość z nich. Ale imiona, nazwiska, indywidualne cechy charakteru? Proszę o tym zapomnieć.

– Być może, ale Justyna Wasilewska nie była jednym z wielu uczniów – zauważył Rozłucki. – Zaginęła. Z tego, co wiemy, to wydarzenie wywołało w szkole spore poruszenie. Kogoś takiego łatwiej jest chyba zapamiętać.

– Nie przeceniałbym tego. Pracuję w tej szkole już piętnaście lat. Wie pan, ile w tym czasie było zaginięć, samobójstw, śmiertelnych wypadków, przedawkowań? Dziesiątki. To duże liceum. Co roku przewijają się przez nie setki uczniów. A młodzi ludzie w tym wieku mają skłonność do ryzykownych zachowań.

Nauczyciel wymownie spojrział na zegarek.

– Za chwilę kończy się przerwa – powiedział – a jeszcze nawet nie byłem w toalecie. Przykro mi, musimy już kończyć.

Wstał zza biurka.

– Dobrze. Dziękujemy panu bardzo. – Rozłucki i Karolina również wstali ze swoich miejsc. – W każdym razie spróbujemy któregoś z tych nauczycieli odszukać – powiedział Rozłucki.

– Życzę powodzenia.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziała Karolina. – Czy w liceum też nosił pan takie wąsy?

Nauczyciel pogładził się odruchowo po górnej wardze.

– Nie, wtedy nie – zaśmiał się skrepowany. – Nie za bardzo mi chciały jeszcze wtedy rosnąć. Zapuściłem je dopiero później, gdy przyszedłem tu po studiach, by choć trochę odróżnić się od swoich uczniów.

Ruszył do wyjścia.

– I jeszcze jedno, już na sam koniec – powiedział Rozłucki. – Ma pan



żonę? Bo nie widzę na pana palcu obrączki.

Nauczyciel spojrzał na niego zdziwiony.

– Co to za pytanie? – obruszył się. – Czy moje życie osobiste ma jakiś związek z tematem waszego reportażu?

– Pytanie jak pytanie. Ja na przykład nie mam żony. Rozwiodłem się.

– I każdemu pan o tym opowiada?

– Nie, ale nie wstydzę się tego. Gdyby pan spytał, odpowiedziałbym.

– Dobrze, skoro już tak bardzo chcecie wiedzieć, nie mam żony. Umarła trzy lata temu. Miała raka. Dzieci też nie mam. Chcieliśmy, ale nie zdążyliśmy. Wystarczy tyle informacji, czy mam podać jeszcze jakieś szczegóły?

## ROZDZIAŁ 52

Wyszli ze szkoły. Stanęli na szerokich, choć niskich schodach z szarego betonu prowadzących od wyjścia na chodnik.

– Mam ochotę zapalić – powiedziała Karolina. – Chcesz też?

Wyciągnęła z torebki paczkę.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział.

– W zasadzie nie palę – odpowiedziała. – Kiedyś paliłam, na studiach. Wtedy wszyscy palili, więc ja też. Ostatnio mi jakby wróciło. Pewnie przez to wszystko. To co, chcesz czy nie?

Pokręcił głową.

– Jeśli już mam od czegoś umrzeć, wolę, żeby to była marskość wątroby.

Podpaliła papierosa i zaciągnęła się nim.

– Chyba powinniśmy stąd pójść – powiedział. – Palić pod szkołą, to trochę niepedagogiczne.

– Jasne. – Wypuściła dym. – Tu się pali tylko w toaletach.

Uśmiechnął się.

– Teraz już chyba nawet tam nie. Wszędzie są zamontowane czujki dymu.

– Do tego właśnie służą prezerwatywy – odparła. – Rozciągasz ją, nakładasz na czujkę i możesz palić, ile wlezie.

– Do tego? A ja myślałem, że do czego innego.

– Dzieciaku.

Zeszli ze schodów i wyszli przez bramę. Znaleźli się teraz na małej i dość krótkiej ulicy zabudowanej z obu stron przedwojennymi kamienicami. Stanęli.

– Zapytam o to samo, co zawsze – powiedziała. – I co ty o tym wszystkim sądzisz?

– A ja odpowiem też tak samo: nie wiem.

– Jesteś najbardziej niezdecydowanym facetem, jakiego poznałam, wiesz?

– Nadmierna pewność to najpewniejsza oznaka głupoty.

– Ale co sądzisz o nim? O panu nauczycielu? Przez chwilę myślałam, że to on.

– Ja też. Ale on nie pasuje. Przede wszystkim chodził do innej klasy niż Justyna. A nasz angielski łącznik powiedział wyraźnie, że ten chudy chłopak chodził do tej samej.

– No i ten wąsik... Jak wspomniał, że tamten go nosił, od razu pomyślałam o nim.

– No tak. Ale nauczyciel twierdzi, że zapaścił go dopiero po studiach.

– Mógł skłamać.

– Mógł.

– Niestety nie pasuje też do twojej charakterystyki przestępcy, panie profilerze. Samotny, sfrustrowany mężczyzna, który nigdy nie nawiązał satysfakcjonującej relacji z kobietą. A on miał żonę.

– Nie jestem profilerem. Jestem tylko kiepskim psychologiem i bardzo słabym psychoterapeutą. Samotnym i sfrustrowanym, który nigdy nie nawiązał satysfakcjonującej relacji z kobietą, choć również miał kiedyś żonę. I mogę się mylić.

Zaśmiała się cicho. Dopaliła papierosa i rozgniotła niedopałek obcasem na chodniku.

– I nie cierpię ludzi, którzy śmieją – dodał.

– O rany! – Westchnęła teatralnie i podniosła niedopałek z ziemi. – Mogę go wyrzucić do zwykłego kosza, czy wolałbyś raczej pojemnik do

recyklingu?

– Wolałbym taki do recyklingu, ale w drodze wyjątku może być zwykły.

Podeszła do stojącego przy furtce do szkoły kosza na śmieci i demonstracyjnie wrzuciła do niego niedopałek.

– Zadowolony? – spytała z uśmiechem.

– Jak najbardziej. A teraz wracamy do szkoły – powiedział. – Spróbujemy znaleźć tych nauczycieli. Może w sekretariacie mają ich adresy.

– Trzeba było od razu przyjść do mnie! – Kobieta siedząca w sekretariacie emanowała wprost ciepłem i życzliwością. Wyskubane w cienkie, półokrągłe nitki brwi nadawały jej twarzy wyraz wiecznego zdziwienia. Miała koło sześćdziesięciu lat, okulary w złotej oprawie i ufarbowane na jasny blond włosy uformowane za pomocą dużej ilości lakieru w rodzaj przydużego hełmu.

– Dyrektor! – prychnęła. – Co on może wiedzieć? Przyszedł tu dopiero siedem lat temu, z „Jedynki”. – Słowo „Jedynki” wymówiła z wyraźnym lekceważeniem. – A ja wiem wszystko. Pracuję tu już od czterdziestu lat. Człowiek nie wymyślił jeszcze lepszego komputera od tego, który nosi na własnej szyi. Siadajcie, co tak stoicie.

Usiedli na dwóch krzesłach stojących pod ścianą. Mieli teraz biurko, przy którym siedziała, po prawej stronie. Musieli wykręcać szyje, by na nią patrzeć. Za jej plecami było duże, szkolne okno, za którym, za zasłoną stojących na parapecie doniczkowych kwiatów, widać było nasyp kolejowy i tory biegnące w kierunku Warszawy. „Wszędzie te tory”, pomyślał Rozłucki.

– Pamięta pani wszystkich uczniów? – zdziwiła się Karolina.

– A co mam innego do roboty, jak ich pamiętać? – Kobieta uniosła

swoje brwi jeszcze wyżej. – Na tym między innymi polega moja praca, żeby wiedzieć wszystko o wszystkim. Żaden dyrektor, proszę pani, ani ten, ani poprzedni, ani żaden inny, nic by beze mnie nie zrobił. Ciągłe tu tylko przychodzą i się o wszystko pytają. Pani Jadziu, a gdzie jest to, a gdzie jest tamto. Na kiedy to jest i jak to załatwić. Sami nic nie wiedzą. A ja mam wszystko tu. – Popukała się w lakierowany hełm. – On nic nie wie, bo robi coś pierwszy raz, a ja widziałam, jak robił to poprzedni dyrektor i jeszcze poprzedni. Żadne wydarzenie mnie nie zaskakuje, każdą kryzysową sytuację już kiedyś przerabiałam. Już im współczuję, jak pomyślę, co tu się będzie dziać, jak odejdę na emeryturę.

– A pamięta pani Justynę Wasilewską? – spytał Rozłucki.

– Justynkę? – Pokiwała smutno głową. – Pamiętam, a jakże. Straszna historia. Trzy dni płakałam, jak się dowiedziałam, że ją znaleźli.

– Jaka była?

– Piękna. Mogłaby być modelką albo aktorką. Niektóre z tych, co je widuję w telewizji, do pięt jej nie dorastają. Ja też, wie pan, byłam kiedyś niczego sobie – uśmiechnęła się kokieteryjnie – ale ona to była zupełnie inna liga. Miała potencjał, mogła naprawdę zostać kimś. Gdyby nie zginęła, pewnie byśmy ją dziś wymieniali na jednym z pierwszych miejsc wśród znanych absolwentów szkoły.

– Dobrze się uczyła? – spytała Karolina.

– Raczej dobrze. Dopiero w ostatnim roku, a w zasadzie w ostatnim półroczu mocno się opuściła. Pamiętam, bo to ja wypisuję świadectwa i aż się zdziwiłam, takie miała słabe stopnie.

– Jaki mógł być tego powód, jak pani myśli?

– Nie wiem. Może miała jakieś problemy osobiste? Wie pani, to

bardzo dziwne, bo ostatni rok liceum to czas, kiedy wszyscy szczególnie się starają, żeby mieć dobre oceny, bo dobre świadectwo pomaga w dostaniu się na studia. A ona właśnie wtedy przestała się uczyć.

– Domyśla się pani, co to mogły być za problemy? – spytał Rozłucki.

– Nie mam pojęcia. Ale z doświadczenia wiem, że w tym wieku może to być jedna z trzech rzeczy: nieszczęśliwa miłość, kłopoty w domu albo narkotyki i alkohol.

– Brała coś, jak pani myśli?

– Nie, chyba nie. Wtedy w ogóle mało kto to robił, a już zwłaszcza w tak dobrym liceum, jak nasze. Narkotyki kojarzyły się marginesem społecznym, nie było na nie mody, jak teraz.

– Mamy informację, że mogła.

– Jeśli już, to okazjonalnie. Na pewno nie miała z tym jakiegoś problemu. Takie rzeczy się widzi.

– A alkohol?

– To już prędeż. Widziałam ją ze dwa, trzy razy na mieście, jak była pijana. Nie jakoś strasznie, ale zauważalnie. Tu na dole, jak się schodzi ulicą w kierunku starego miasta, była taka knajpa. Podobno tam przesiadywała. Czasami nawet zrywała się z lekcji.

– Z kim?

– A tego to już nie wiem. Nie wchodzę do takich miejsc.

– A jaka była? Wiemy, że ładna, wiele osób to podkreśla, ale to cecha fizyczna. Jaki miała charakter, osobowość? Jaki stosunek do życia? Co było jej dominującą cechą? – spytał Rozłucki.

Kobieta zamyśliła się.

– Nudziła się – odpowiedziała po chwili. – Tak, to chyba najwłaściwsze określenie. Sprawiała wrażenie, jakby ten etap życia ją już niecierpliwił. Jakby chciała już przejść do następnego. Jakby

chciała wreszcie zacząć żyć naprawdę. Dlatego wcale się nie zdziwiłam, gdy zniknęła. Myślałam, że uciekła, wyjechała gdzieś do Warszawy albo jeszcze dalej. Chyba wiele osób tak myślało. Myślę, że dlatego też nie szukano jej zbyt dokładnie.

– Podobno spotykała się z Dariuszem Jakubcem, słyszała coś pani o tym? – spytała Karolina.

– Z tym, co tak narozrabiał w telewizji?

– Tak, z tym. Myśli pani, że jej kłopoty mogły być spowodowane przez niego?

– Nieszczęśliwa miłość? Czemu nie? Darek byłby dobrym kandydatem, widywano go z wieloma dziewczętami. To był playboy, złoty chłopak, miał niezłe poprzewracane w głowie. Ktoś taki mógł spokojnie złamać serce młodej dziewczynie.

– A nie słyszała pani o kimś jeszcze? Jakimś drugim chłopaku, który się koło niej kręcił? Nie miała żadnego namolnego wielbiciela, kogoś, kto wystawał pod szkołą, przynosił jej kwiaty, nie dawał spokoju?

Zastanowiła się.

– Nie, chyba nie. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. Ale wie pani, ja siedzę w sekretariacie, stąd jednak nie wszystko widać.

– Słyszeliśmy, że był ktoś taki.

– Może i był. Na pewno wielu się w niej kochało. Ale Justyna potrafiła być wyniosła, nieprzystępna. Umiała trzymać na dystans. Większość pewnie bała się w ogóle do niej podchodzić. Potrzeba na nią było kogoś takiego jak Darek. Pewnego siebie, uważającego się za lepszego od innych, aroganckiego i pełnego uroku, z tą jego starannie pielęgnowaną otoczką elitarności.

– Nie widziała pani nikogo, kto by się kręcił koło niej? Proszę sobie przypomnieć – spytał Rozłucki. – Może widziała pani jakąś

niecodzienną sytuację, coś odbiegającego od normy, jakieś zachowanie jej albo kogoś, z kim rozmawiała, które panią zdziwiło?

Kobieta zmarszczyła wyskubane brwi.

– Chyba... chyba widziałam coś takiego. Ale to nie był nikt z uczniów.

– A kto?

– Jeden z rodziców... – Spojrzała na nich, jakby sama była tym odkryciem zdziwiona. – Ojciec Darka Jakubca.

– Widziała ją pani z ojcem Dariusza Jakubca? – Rozłucki aż podskoczył na krześle.

– Tak. Kiedyś, na starym mieście. Poznałam go, bo przychodził parę razy do szkoły załatwiać jakieś sprawy dla swojego synalka. Wyjątkowo nieprzyjemny typ. Dyrektorowi o mało w tyłek nie wszedł, a mi wydawał rozkazy, jakbym była jego służącą. I nawet mi bombonierki nie przyniósł, a wtedy wszyscy przynosili, nie to, co teraz.

– Co robili, gdy ich pani widziała? Rozmawiali?

– To mało powiedziane. Kłócili się.

– Kłócili?

– Tak. Nie jakoś strasznie głośno, raczej takimi stłumionymi głosami, ale widać było, że to jest kłótnia. On starał się mówić cicho, jakby bał się, że ktoś ich usłyszy. Ona co jakiś czas podnosiła głos.

– Nie słyszała pani, o czym mówią?

– Nie. Zresztą on mnie zaraz zobaczył i umilkł. Nawet mi się uklonił, gad jeden, choć wcześniej nigdy tego nie robił.



## ROZDZIAŁ 53

Wyszli na korytarz. Znow trwały lekcje, więc szkoła wydawała się pusta i prawie wymarła. Stanęli przy wielkim oknie na końcu korytarza. Rozłucki spojrział w dół, na stare miasto. Widok był doprawdy imponujący. Wielki zamek z czerwonej cegły, wijąca się wokół niego rzeka, a za nimi kamieniczki wokół rynku i przysadzista, ogromna wieża katedry.

Karolina stanęła obok niego.

– I co ty na to? – spytała. – Stary znał Justynę. Ciekawe, o co się kłócili? O Darka?

– Tak myślisz?

– Stary był przeciwny ich związkowi, sam nam o tym mówił. Nie uważał jej za odpowiednią partię dla przyszłego adwokata. Może chciał ją namówić, by z nim zerwała? Może nawet próbował czymś przekupić? A ona nie chciała.

– Romantyczna wizja.

– Uważasz, że nieprawdziwa?

– Nie wiem.

Powiódł wzrokiem wzdłuż kolejowego nasypu. W miejscu, gdzie tory przekraczały rzekę Łynę, wznosiły się dwa wysokie, łukowato sklepione wiadukty z czerwonej cegły. Czy to na nich Karolina piła kiedyś wino? Ciekawe, czy Justyna też tam kiedyś była? Wyobraził ją sobie – piękną, młodą dziewczynę, która właśnie przestała być grzeczną dziewczynką. Opuściła się w nauce, zaczęła pić i włóczyć się po podejrzanych lokalach. Dlaczego? W domu ojciec alkoholik niemalże ją molestuje. Jej chłopak, którego niewątpliwie kocha, zmusza ją do

coraz bardziej nieakceptowanych przez nią zachowań, nagrywa z nią film bez jej zgody. Jego ojciec spotyka się z nią i czegoś od niej chce. Która z tych rzeczy odpowiadała w największym stopniu za jej upadek? A może wszystkie naraz? Może splotły się w węzeł, którego nie potrafiła rozplątać?

– Masz przy sobie tę kasetę wideo? – spytał nagle. Coś zaskoczyło w jego głowie, tylko nie wiedział co.

– Mam.

– Pokaż.

Sięgnęła do przepastnej, czarnej, skórzanej torby, którą nosiła na ramieniu.

– Proszę.

Wziął ją do ręki. Wyjął plastikową kasetę z tekturowego pudełka. Obejrzał ze wszystkich stron. Już wiedział. Musiał to zauważyć wcześniej, gdy oglądał ją w piwnicy u Jakubca, albo potem, w samochodzie Karoliny, lecz informacja ta nie zdołała przebić się do jego świadomości. Czekala w odmętach podświadomości, aż coś, jakiś impuls lub skojarzenie, wydobędzie ją na powierzchnię. Karolina patrzyła na niego zdziwiona.

– Zobacz – powiedział. – Kolor długopisu na kasecie jest inny niż tego na pudełku. Nie dostrzegłem tego wcześniej.

Wyjęła mu z dłoni kasetę. Przyjrzała się uważnie.

– Faktycznie – powiedziała.

Z boku kasety na zszarzałej naklejce wypisane były cyfry: 1903. Na grzbiecie tekturowej okładki widniał zaś napis: „Niedole cnoty”. Oba napisy różniły się wyraźnie kolorem – cyfry napisane były niebieskim długopisem, tytuł czarnym.

– No dobrze, tylko co z tego? – spytała.

- Stary dawał ci wizytówkę, prawda? Masz ją jeszcze?
- Pewnie mam. – Znowu zaczęła grzebać w swojej torbie.
- Jest! – powiedziała po chwili. Podała mu ją.

Wziął kartonik ostrożnie w rękę i odwrócił go na drugą stronę. Z tyłu Olgierd Jakubiec wypisał swój numer telefonu komórkowego. Pismo było wyraźne, prawie techniczne.

– Popatrz na te cyfry – powiedział. – Na wizytówce i na kasecie. Nie pisała ich ta sama osoba, prawda?

Porównała oba napisy.

– Oczywiście, że nie. – Wzruszyła ramionami. – Na wizytówce jest pismo ojca, a na kasecie syna. To przecież jasne.

– A teraz spójrz na słowa „telefon komórkowy” wypisane na wizytówce i porównaj je z tym, co jest napisane na grzbiecie okładki. Spójrz zwłaszcza na litery „e”, „y”, „o” i „l”. Powtarzają się w obu napisach.

Widział, jak przenosi wzrok z kartonika na okładkę i z powrotem.

– I co? – spytał.

– Są takie same – powiedziała zdumiona. – Jakby pisała je ta sama osoba.

– Bo pisała – powiedział. – To pismo Olgierda Jakubca.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– To znaczy, że...

– Że stary znał tę kasetę. Widział ją, oglądał ten film. I podpisał, stosując szyfr, którego nie mogła zrozumieć jego żona, bo nie sądzę, żeby znała twórczość Markiza de Sade. I to on prawdopodobnie ukrył ją w swojej piwnicy, nie jego syn.

Spojrzała jeszcze raz na oba trzymane w dłoniach przedmioty.

– Tylko co znaczą te cyfry? – spytała. – 1903. To też jakiś szyfr?

– Coś w tym stylu – odpowiedział. – Choć ten na pewno znasz. To prawdopodobnie data. Dziewiętnasty marca. Dzień, w którym Dariusz nagrał ten film.

Rozległ się dzwonek na przerwę. Drzwi wszystkich klas otworzyły się praktycznie w jednym momencie. Korytarz, na którym stali, w jednej chwili zapełnił się nastolatkami.

– Chodź, musimy tam wrócić. – Wskazał na wejście do sekretariatu.  
– Mam do tej miłej pani jeszcze jedno pytanie.

– Przepraszam, to znowu my – powiedział. Gwar korytarza ucichł nagle, powstrzymany dźwiękoszczelnymi drzwiami. – Mamy jeszcze jedno pytanie, możemy?

– Jasne. Pytaj, o co chcesz, kochaniutki. – Uśmiechowane na różowo usta kobiety rozciągnęły się w wąskim uśmiechu. Jej twarz wyglądała teraz jakby żywcem przeniesiono ją ze starej japońskiej ryciny. Ciągle jednak była nad wyraz sympatyczna.

– Ta kłótnia, o której pani mówiła. Olgierda Jakubca z Justyną Wasilewską. Pamięta pani, kiedy to było?

– To musiała być czwarta klasa Justyny. Tuż przed tym, jak zaginęła.

– Raczej zima, czy raczej wiosna?

Zastanowiła się.

– Wiosna. I to już chyba późna. Pamiętam, że było bardzo ciepło. Adwokat miał zdjętą marynarkę. Trzymał ją przewieszoną przez ramię.

– Czyli nie marzec, raczej później?

– O, zdecydowanie! Myślę, że maj, albo nawet początek czerwca.

– A mogłaby nam pani powiedzieć coś więcej o tej kłótni? Jak wyglądała?

– Nie pamiętam, kochany, minęło już tyle czasu...

– Proszę sobie przypomnieć. Co pani czuła, patrząc na nią? Uczucia pamięta się dłużej niż fakty. Jakie miała pani odczucia, gdy pani obserwowała, jak się kłóca?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę.

– Że są ze sobą w jakiś sposób związani.

– Jak?

– Nie wiem. Że on czegoś od niej chce, a ona przed tym ucieka.

## ROZDZIAŁ 54

Szli przez wypełnione młodymi ludźmi korytarze, przedzierając się przez rozedrgane, wibrujące od tysiąca głosów powietrze. Ścigały ich śmiechy; wesole, wysokie, pełne radości głosy, przekrzykujące się i idące z sobą w zawody, nabrzmiałe energią, wiarą i nadzieją na przyszłość. Rozłucki patrzył na młode, gładkie, nieskalane jeszcze cierpieniem i troskami twarze i myślał o niej, tamtej dziewczynie, której przygoda z życiem zakończyła się tak niesprawiedliwie szybko. Jaki wyraz miała jej twarz? Czy odróżniała się od innych twarzy, tak samo dziewiczych, nieświadomych niczego, jak te? Czy widać było na niej już zapowiedź, proroctwo tego, co wydarzy się wkrótce? I czy idąc teraz, tu, przez ten współczesny korytarz, byłby w stanie wychwycić twarz równie naznaczoną, jak tamta?

Zeszli schodami i wyszli na zewnątrz. Stanęli dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio. Karolina tak samo jak wtedy wyjęła paczkę papierosów.

– Daj. – Wyciągnął do niej rękę.

Bez słowa podała mu paczkę i zapalniczkę. Wyjął jednego papierosa i oddał jej pudełko. Zapalił, potem zaciągnął się głęboko. Jego nieprzyzwyczajony do nikotyny organizm zareagował krótką paniką. Poczł zawrót głowy, ledwo powstrzymał się, by nie przytrzymać się ręki Karoliny.

– Dobrze – powiedziała – spróbujmy zatem to wszystko ogarnąć.

– Spróbujmy. – Kiwnął głową. Świat powoli wracał na swoje miejsce.

– Stary wiedział o kasecie, tak?

– Tak. Pytanie, od kiedy?

– Może znalazł ją dopiero później? – spytała.

– Może. – Wzruszył ramionami. – Ale ta kłótnia nasuwa nam myśl, że jednak nie.

– O co się kłócili? Może ją szantażował?

– Czym? Że wszystkim tę kasetę pokaże?

– Na przykład.

– Jeśli czego nie zrobi? – Postanowił zaryzykować i zaciągnął się jeszcze raz.

– Jeśli nie zostawi jego ukochanego synalka. Uważał, że Justyna jest dziwką, która puszcza się na prawo i lewo i nie jest godna być jego dziewczyną.

– Tak myślałaby jego żona, matka chłopaka. – Spojrzał na nią. – A on, co myślał?

Zamrugła oczami. Widać było, jak myśl ta, pokonując opór niechętnego umysłu, przebija się powoli do jej świadomości.

– Że też mógłby sobie poużywać – powiedziała.

Zamilkli. Każde na swój sposób trawiło tę nową hipotezę.

– Czyli co? – spytała. – Szantażował ją, bo chciał, żeby się też z nim przespała, tak jak z jego synem. Nie mamy na to żadnych dowodów.

– Na nic tu nie mamy dowodów. – Wzruszył ramionami. – Próbujemy zrekonstruować wiarygodny psychologicznie obraz zdarzeń. Stary jest lokalnym królem, ma władzę, prestiż, pewnie wszystko tu może. Ale starzeje się. Kryzys wieku średniego. I zapewne ma problem z dorastającym synem – młodym, przebojowym, mającym powodzenie u kobiet. Takim, jakim on ze swoimi kompleksami nigdy nie był. Ojcowie zawsze konkurują z synami, a synowie z ojcami, tak jest nawet w najbardziej kochających się rodzinach. To podświadome, podskórne. Musiał go szlag trafiać, gdy widział, jak jego syn zmienia dziewczyny

jak rękawiczki. On nigdy tak nie miał. A tu nagle wpada mu w łapy coś takiego. Pewnie nie mógł się oprzeć. Przespać się z dziewczyną własnego syna, to jest coś. Oznacza to, że ciągle jesteś największym bykiem w stadzie. Najdobitniejsze potwierdzenie własnej męskości.

– Ale za pomocą szantażu?! – prawie krzyknęła. – Przecież to obrzydliwe. Co w tym męskiego?

– Pewnie całe życie uciekał się do podobnych metod. Może tym razem zrobił krok dalej. Wszedł na wyższy poziom skurwysyństwa. Ale skurwysynem był już od lat.

– No dobrze, nawet jeśli tak było, jaki to ma związek ze śmiercią Justyny?

– Pewnie wtedy w samochodzie powiedziała o tym synowi. Wyobrażasz to sobie? Jakby nagle w kabinie wybuchła bomba. Po czymś takim wszystko jest możliwe. Może to on spowodował wypadek, a może ona? Może któreś z nich zrobiło to specjalnie, pod wpływem nagłego impulsu? Może świadomie ją tam zostawił ranną w lesie, bo był wściekły? Wraca potem do ojca, wyrzaskuje mu w twarz, że wszystko wie. Ojciec jedzie na miejsce posprzątać, widzi, że dziewczyna nie zginęła od razu. Wie, że to w pewnym sensie przez niego...

– Czekał, czekał... A co, jeśli jeszcze wtedy żyła?

– Słucham?

– Jeśli żyła, jak przyjechał? I to on ją zabił, bo gdyby tego nie zrobił, to wszystko by się wydało? Nie tylko wypadek syna, ale też i jego szantaż.

– To już są czyste spekulacje.

– Nie, pomyśl – zapaliła się. – Dlaczego stary tak to ukrywa, dlaczego wymógł na wszystkich, by nie zawiadamiali policji? Bo się boi, boi czegoś dla niego znacznie strasniejszego niż utrata syna i wnuczki.



Boi się, że wszyscy się dowiedzą, że szacowny pan adwokat jest mordercą.

Zapadło milczenie. Słowo to, tak straszne i naznaczone tyloma emocjami, zawisło między nimi jak lewitujący głaz. Ze szkoły wyszła grupka uczniów. Śmiejąc się i rozmawiając, przeszli obok nich i ruszyli dalej w głąb ulicy.

– Dobrze, niech ci będzie, to i tak nieistotne – powiedział w końcu.

– Jak to nieistotne?

– Nie jest ważne, kto i dlaczego ją zabił, ważne jest, kto trzyma te dwie dziewczyny i gdzie? Kim jest ten chłopak, który za nią chodził? Zakładając, że to on. I jeszcze jedno pytanie: skąd się o tym wszystkim dowiedział?

– To nauczyciel – powiedziała. – To on, jestem pewna.

Pokręcił głową.

– Nauczyciel nie pasuje. Po pierwsze był z innej klasy, po drugie nie nosił wtedy wąsów, po trzecie myślisz, że to on, bo tylko jego widzisz. Uważasz, że to on zabił szybę, bo stoi obok sklepu, a tymczasem prawdziwi chuligani już dawno uciekli. W klasie tej dziewczyny było kilkunastu chłopaków, o których nic nie wiesz. Może to któryś z nich? Musimy ich odnaleźć.

## ROZDZIAŁ 55

Podkomisarz Rafał Sądecki przyjął ich w tym samym pokoju, co poprzednio. Zdaje się, że miał nawet na sobie ten sam podkoszulek. Na biurku, obok papierów, dwóch telefonów komórkowych i kubka z osadem po herbacie, leżała kabura, z której groźnie wystawała kolba pistoletu. Pod ręką, w razie gdyby do biura pana podkomisarza nagle wpadli bandyci.

– Mieliście rację – powiedział zza biurka. – Jestem wam winien przeprosiny. Przyznali się. Prowadzę teraz oficjalne śledztwo w sprawie podwójnego porwania.

– Kto się złamał? – spytał Rozłucki. Usiedli.

– W zasadzie wszyscy – odparł podkomisarz, odchylając się na krześle. – Matka Jakubca, jego żona i żona Lesickiego. Tylko pan adwokat ciągle twierdzi, że nic nie wie. Nawet zaczął mi grozić, że uruchomi jakieś swoje dawne kontakty. – Policjant zaśmiał się krótko. – Dziadek chyba zapomniał, że już kto inny zbiera jabłka w tym sadzie. Ale reszty nie musieliśmy zbytnio przyciskać. Zdaje się, że stracili już wiarę w to, że ich córki wrócą. Załamali się. Można powiedzieć, że rozsypali się w naszych rękach. Wystarczyło dotknąć i bach! Przykro było na to patrzeć.

Na jego twarzy malowała się satysfakcja. Jakby nie zauważał, że mówi o ludziach pogrążonych w głębokiej rozpacz. Karolina przyjęła to z niesmakiem, Rozłucki ze zrozumieniem. W tego typu zawodach, gdzie człowiek na co dzień styka się z nieszczęściem i cierpieniem, emocjonalny dystans bywa najskuteczniejszą formą obrony.

– Miałeś do nas zadzwonić, gdy się czegoś dowiesz – powiedziała z

wyrzutem Karolina.

– Właśnie chciałem to zrobić. – Podkomisarz uśmiechnął się nieszczercze. – Ale już nie muszę, bo przyszliście.

– Proszę mi tylko powiedzieć jedną rzecz – odezwał się Rozłucki. – Jak ukrywali to, że ich córki zniknęły? Córka Dariusza Jakubca jest po maturze, nie chodzi już do szkoły, tu więc sprawa była prosta, ale co z córką Lesickiego? Ile ona ma lat?

– Piętnaście.

– Chodzi więc do gimnazjum, a tam do końca czerwca są, zdaje się, jeszcze zajęcia.

– Wyobraźcie sobie, że rodzice napisali jej usprawiedliwienie! Niezłe, co? Nie słyszałem jeszcze o czymś podobnym.

– Dobrze, i co dalej? – spytała Karolina. – Byłeś w szkole, dostałeś listy uczniów?

– Tak. Mam tu spisy absolwentów klasy Jakubca i klasy Justyny Wasilewskiej.

Podsunał w ich stronę dwa komputerowe wydruki.

Karolina chwyciła listę z nazwiskami uczniów z klasy Justyny.

– Sprawdzacie ich? – spytała.

– Tak. Zgodnie z tym, co mówiliście, skupiliśmy się głównie na kolegach Justyny Wasilewskiej. Mamy tu dwanaście nazwisk. Próbujemy ich odszukać, ale nie do wszystkich na razie dotarliśmy. Jeden na pewno nie żyje. Co najmniej trzech wyjechało za granicę, kilku innych poszło na studia do innych miast i prawdopodobnie tam mieszkają. Poprosiłem kolegów z tamtejszych komend, by sprawdzili ich alibi. Dwóch mieszka na pewno w Olsztynie, ale jeden z nich raczej odpada.

– Dlaczego?

– Parę lat temu miał wypadek i jeździ na wózku.

– A ten drugi?

Policjant zerknął na listę.

– Adam Kieliszek. Śmieszne nazwisko. Jeszcze go nie znaleźliśmy.

– Dlaczego?

– Nikt o takim imieniu i nazwisku, będący do tego w podobnym do Justyny wieku, nie figuruje w żadnej z dostępnych nam baz danych. Wydaje się, jakby nagle zniknął, zapadł się pod ziemię. Jest jeden Adam Kieliszek pod Lidzbarkiem Warmińskim, ale ten ma sześćdziesiąt dwa lata i jest proboszczem.

– Ksiądz Kieliszek? – zaśmiał się Rozłucki. – Nie jest biedakowi łatwo. Parafianie mają z jego nazwiska pewnie niezłe używanie.

– Zapewne. – Podkomisarz również się uśmiechnął. – W każdym razie szukamy. A jak szukamy, to prędzej czy później go znajdziemy.

– Myślisz, że to ten? – spytała Karolina.

– Jeśli wasze rozumowanie jest poprawne, to może być on. Chyba, że któryś z tych, co wyjechali, wrócił tu na gościnne występy. Z Polski albo i z zagranicy. Ale potrzebujemy trochę czasu, żeby to sprawdzić.

– Nie mamy go za wiele – zauważył Rozłucki. – Te dziewczyny tam ciągle gdzieś są. Może walczą w tym momencie o życie.

– Porwanie to poważna sprawa – odpowiedział policjant. – Tego typu działania mają zawsze priorytet. Uwierzcie mi, robimy, co możemy. A co u was? – Ponownie odchylił się do tyłu na krześle.

Opowiedzieli mu pokrótce o swoich odkryciach.

– To bardzo ciekawe – powiedział. – Ale chyba niewiele wnosi do sprawy. Nie sądzę, by to, czy pan adwokat był w jakiś sposób związany z Justyną Wasilewską, czy nie, miało jakiegokolwiek znaczenie. Szukamy porywacza. A to jest mimo wszystko wątek poboczny. Niewątpliwie

dość interesujący, ale raczej luźno związany z tematem. Przykro mi, ale uważam, że buksujecie trochę w miejscu.

– Próbujemy zbudować całościowy obraz sytuacji – odpowiedział Rozłucki. – Porywacz ukrywa się gdzieś na tym obrazie. Na drugim albo trzecim planie. Każdy szczegół tego, co się wtedy wydarzyło, może być ważny. Na tym etapie nie wiemy jeszcze który. Może właśnie ten?

– Może, ale szczerze mówiąc, nie sędzę. My tu, w policji, mamy trochę inny system pracy. Szukamy tam, gdzie można coś znaleźć. A już to wasze podejrzenie, że to adwokat mógł zabić dziewczynę, jest zupełnie karkołomne, wiecie o tym?

– Dlatego zaznaczyliśmy, że to tylko luźna hipoteza – odezwała się Karolina.

– Bardzo luźna. Gdyby porównać ją do majtek, dawno leżałyby już na ziemi.

Policjant uśmiechnął się rozbawiony własnym porównaniem. Naprawdę wydawał się być bardzo zadowolony z siebie. Trudno też było oprzeć się wrażeniu, że próbuje, być może samemu sobie tego nie uświadamiając, przy każdej okazji dopiec Karolinie. Jakby brał odwet za to, że go kiedyś rzuciła.

– Póki co to my przynosimy ci wszystko w zębach. – Karolina najwyraźniej poczuła się dotknięta. – To my odkryliśmy to porwanie. Więc twój protekcyjny ton jest chyba odrobinę nie ma miejscu, nie sądzisz? Najpierw spróbuj sam do czegoś dojść, a potem się wymądrzaj, dobrze?

Twarz podkomisarza ściągnęła się. Przestał huśtać się na krześle.

– Dobrze. W porządku – powiedział zmienionym tonem. – Wracajcie w takim razie do wymyślania tych swoich niestworzonych historii, a ja zajmę się prawdziwą pracą. Może i wpadlicie na dobry trop, ale nie

potraficie teraz za nim pójść. Zostawcie więc to lepiej profesjonalistom.

Karolina prychnęła, jakby poddawała w wątpliwość profesjonalizm swojego byłego chłopaka, po czym wstała z miejsca. Rozłucki też się podniósł.

– Mimo wszystko pozostaniemy w kontakcie – powiedział pojednawczo. – Jak na razie nasza współpraca przynosi korzyści obu stronom.

– Chyba bardziej jemu – rzuciła Karolina i ruszyła w stronę drzwi.

– Ale nigdy nie wiadomo, kiedy sytuacja może się odwrócić – powiedział Rozłucki.

– On ma rację – powiedział, gdy już ją dogonił. – Przynajmniej w jednym.

Szła wysokim korytarzem Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie i nie wyglądała na kogoś, kto ma zamiar się zatrzymać, by wysłuchać, co Rozłucki ma do powiedzenia.

– Słyszałaś? Ma rację – powtórzył, starając się dotrzymać jej kroku.

Rzuciła mu krótkie, pełne irytacji spojrzenie.

– Ciekawe w czym? – raczyła się wreszcie odezwać.

– W tym, że oni, policja, mają znacznie większe możliwości, by znaleźć porywacza, niż my. My możemy co najwyżej błądzić po omacku, licząc, że będziemy mieli szczęście i na coś trafimy. Oni sprawdzą wszystko systematycznie. Mają listę kolegów Justyny, mają bazy danych, odpowiednie procedury na takie okazje. Jeśli komuś ma się udać, to właśnie im.

– Więc co? – Zaczęła schodzić po schodach. – Mamy wrócić do domu i grzecznie czekać, aż ten głupek łaskawie do nas zadzwoni?

– Nie. – Dostawał już powoli zadyszki. – Zostawmy im szukanie porywacza, a sami zajmijmy się tym, co nam do tej pory wychodziło

najlepiej.

– Czym? – Zatrzymała się wreszcie. Omal na nią nie wpadł.

– Próbą odtworzenia tego, co się wówczas naprawdę wydarzyło.

Zbudowaniem prawdopodobnej psychologicznie mapy zdarzeń. Może odkryjemy w ten sposób coś, co doprowadzi nas do porywacza szybciej niż policję ich mozolne procedury?

Spojrzała na niego spode łba.

– To nasza jedyna szansa – powiedział. – Nie ścigać się z nimi, ale próbować uzupełnić ich pracę. Przedzierać się przez boczne ścieżki, gdy oni idą drogą.

– Masz już jakiś plan – powiedziała. – Widzę przecież. Co chcesz zrobić?

– Porozmawiać jeszcze raz z żoną Dariusza Jakubca – odpowiedział.

– Teraz, gdy już nie musi udawać, że wszystko jest w porządku, a jej córka po prostu gdzieś wyjechała, może powie nam coś więcej.

## ROZDZIAŁ 56

Dom Dariusza Jakubca – duży budynek o nowoczesnej architekturze, z płaskim dachem i elewacją częściowo wyłożoną drewnem, otoczony znacznie starszymi od niego sosnami i szczytujący się widokiem na niewielkie, ale za to urokliwe jezioro – zaczynał już przejawiać pierwsze symptomy upadku. Niekoszony dawno trawnik, odrosty na żywopłocie i nawiane przed bramą śmieci, których nie miał kto zamieść – wszystko to mówiło jednoznacznie, że rytm życia jego mieszkańców został gwałtownie i być może nieodwracalnie zaburzony. Rozłutki wpatrywał się w jego nowoczesną, świadczącą o dobrym guście właścicieli bryłę, jakże odmienną od wszystkich tych spadzisto- i czerwonodachych domów w okolicy, z których większość próbowała udawać pałacyki lub dworki, i zastanawiał się, czy ta aura smutku i beznadziei zdająca się bić z jego murów jest subiektywnym odczuciem wynikającym z wiedzy, co przydarzyło się jego mieszkańcom, czy też realnie istniejącym zjawiskiem.

Karolina zamknęła samochód i podeszła do niego. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, a on przypomniał sobie w jednym, krótkim przeblysku tamten wieczór na zamku w Rynie, zapach jej ciała, smak ust i kształt piersi. Odwrócił szybko wzrok. Poczul znajomy, tak często ostatnio doświadczany ucisk w sercu. Czy gdy to się wszystko skończy, zdoła powiedzieć jej, co czuje? Przełamać tę blokadę, która była w nim zawsze, a która teraz, po tamtych strasznych wydarzeniach dwa lata temu, zapiekła się niczym śruba w podwoziu samochodu? Tylko co by jej miał wtedy powiedzieć? Czy potrafił jeszcze mówić o uczuciach, nie używając psychologicznego bełkotu? Czy zdoła wydusić z siebie coś



więcej niż tylko propozycję przedłużenia i zintensyfikowania ich relacji, tym razem być może na innych, bardziej intymnych zasadach? Czy umie powiedzieć to samo, tylko tak zwyczajnie, po prostu? Mógłby spróbować zrobić to już teraz, ale bał się. Ich relacja była bezpieczna. Może niewystarczająca, ale bezpieczna. Bałby się zaryzykować to, co ma i co stawało się dla niego coraz droższe. Ale wtedy, gdy już ich chwalebna detektywistyczna przygoda dobiegnie końca, nie będzie miał wyjścia, będzie musiał coś zrobić.

Chyba że nie zrobi nic.

Karolina chrząknęła zniecierpliwiona przedłużającą się ciszą.

– Idziemy? – spytała.

Kiwnął głową.

Otworzyli niezamkniętą na klucz furtkę i podeszli do drzwi. Karolina wcisnęła przycisk dzwonka.

Po dłuższej chwili usłyszeli dźwięk otwieranego zamka. Małgorzata Jakubiec, tak jak podejrzewali, była w domu. Gdzie indziej zresztą miałyby być?

Twarz, którą zobaczyli, gdy otworzyły się drzwi, przedstawiała sobą przygnębiający widok. Rozłucki po raz drugi już dziś poczuł bolesne ukłucie w sercu. Piękna, choć cierpiąca kobieta, którą widzieli tu poprzednim razem, zmieniła się nie do poznania. Jasne odrosty na głowie, przetłuszczone i splątane włosy, podkrążone oczy i pomarszczona, jakby wyschnięta cera – wszystko to naocznie ukazywało, jak wielkie spustoszenie w ciele człowieka mogą wywołać rozpacz i cierpienie. Tylko jej oczy... Oczy wydawały się bardziej przytomne niż ostatnio. Może miała już dość otumanienia i postanowiła przeżyć swój ból w całej jego dojmującej okazałości? A może po prostu nie miała siły, by pójść do lekarza po kolejną receptę?

– Słucham? – usłyszeli cichy, matowy głos.

– Dzień dobry – powiedziała Karolina. – Nie wiem, czy nas pani pamięta, ale byliśmy już kiedyś u pani. Kilka dni po tym, co wydarzyło się w telewizji.

– Nie pamiętam – odpowiedziała kobieta. – W ogóle mało pamiętam z tamtego okresu.

– Jesteśmy dziennikarzami – kontynuowała Karolina. – Piszemy reportaż o tamtych wydarzeniach. Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Kobieta spojrzała na nią oczami ciemnymi od cierpienia.

– Nie sądzę... – po tych słowach nastąpiła długa, kilkusekundowa cisza – bym chciała na ten temat rozmawiać. Do widzenia.

Drzwi powoli zaczęły się zamykać.

– Pani Małgorzato! – Rozłucki chwycił za klamkę. Twarz kobiety w połowie była już zasłonięta przez skrzydło drzwi.

– Tak? – odparła mechanicznie. Skrzydło zatrzymało się.

– Wiemy wszystko – zaczął mówić szybko Rozłucki. – Wiemy, co wydarzyło się wtedy, dwadzieścia lat temu, wiemy, co zrobił pani mąż i dlaczego strzelił do siebie tam, w telewizji. Wiemy o roli pani teścia i o tym, że ten, kto porwał pani córkę, mści się za to, co się wtedy stało. Nie jesteśmy dziennikarzami. Może kiedyś nimi byliśmy, ale już nie jesteśmy. Chcemy pani pomóc. Chcemy odnaleźć tego, kto to zrobił, i uwolnić pani córkę. Proszę nam pozwolić wejść.

– Policja – odpowiedziała powoli kobieta – już się tym zajmuje. Przesłuchiwali mnie.

– Policja robi swoje, my swoje. W takiej sytuacji każda pomoc się liczy. Jestem psychologiem, być może wychwyćę w tym, co pani mówi, coś, czego oni nie zauważyli. Coś, co pozwoli nam wpaść na trop porywacza. Nie obiecuję pani tego, ale uważam, że nie może pani

pozwolić sobie na niewykorzystanie tej szansy, nawet jeśli jest ona niewielka.

Drzwi znowu uchylły się lekko. Ciemne oczy spojrzały na Rozłuckiego poważnie.

– Nie wierzę już – powiedziała kobieta – nie wierzę, że ona wróci. Zabił je. Na tym przecież polega zemsta, prawda? Śmierć za śmierć. Nie chciał okupu, nie przysłał nawet listu. Z wyjątkiem tej kartki... Pewnie nawet nie odnajdą ich zwłok. Może za dwadzieścia lat, jak tamtą. Tylko to jeszcze trzyma mnie przy życiu. Chcę doczekać do jej pogrzebu. Tylko tyle.

Drzwi pozostały jednak uchylone. Rozłucki pociągnął je delikatnie w swoją stronę.

– Nie sądzę, by miała pani rację – powiedział ostrożnie. – Myślę, że pani córka i córka Lesickiego mogą jeszcze żyć. Nie chciałbym budzić w pani złudnej nadziei, ale coś mi mówi, że on ich nie zabił. Wydaje mi się... wydaje mi się, że to nie jest ten typ człowieka.

Ciemne oczy wbiły się w niego. Trudno było wytrzymać intensywność tego spojrzenia. Nieomal widział, jak apatia i zniechęcenie walczą w nim z rozpaczliwą chęcią uwierzenia w to, co powiedział.

Jej usta poruszyły się, choć nie wydały żadnego dźwięku. Chciała coś powiedzieć, lecz zbyt wiele myśli i uczuć kłębiło się teraz w jej głowie, by potrafiła wybrać z nich jedną i zamienić na słowa. W końcu wyszeptała tylko:

– Jak to?

Rozłucki poczuł nagle ciężar straszliwej odpowiedzialności, jaką sam na siebie nałożył. Oto rozbudził nadzieję w człowieku, który zaczynał właśnie godzić się z nieuchronnością śmierci najbliższej i

najukochańszej osoby. Nadzieję, sam to przecież wiedział, być może bezpodstawną.

– Trudno mi to wytłumaczyć – powiedział – ale mówi mi to moja intuicja. Intuicja oczywiście może się mylić, z psychologicznego punktu widzenia jest ona tylko rodzajem podświadomego, preracjonalnego procesu porządkowania i selekcji danych uzyskiwanych dzięki zmysłom, ale często wychwytuje ona te rzeczy, na które rozum nie zwraca uwagi. – Zauważył, że kobieta nie rozumie, co do niej mówi, więc spróbował wyrażać się prościej. – Krótko mówiąc, na podstawie tych niewielu informacji, które udało nam się uzyskać o porywaczu, nabrałem przekonania, że nie byłby on zdolny do dokonania morderstwa z zimną krwią. Ten człowiek bardzo i przez wiele lat cierpiał, chciał, by ludzie, których o to cierpienie obwinia, poczuli to samo, co on, ale nie wierzę, by był zdolny do zabicia dwóch młodych, niewinnych dziewczyn, z których jedna z racji wieku przypomina mu zapewne Justynę. Nie jestem w stanie przedstawić żadnych racjonalnych argumentów, które by uzasadniały to przekonanie, ale jest ono bardzo silne.

Zobaczył, jak do oczu słuchającej go kobiety wracają iskry życia. Wiedział, że nie słyszy ona teraz jego zastrzeżeń, tych wszystkich „ale”, „być może”, „nie jestem pewien”. Słyszy tylko, jak ktoś mówi, że jej córka żyje.

Przestraszył się nagle tego, co przed chwilą zrobił. A co, jeśli to wszystko nieprawda? Co jeśli one obie już nie żyją, co jeśli leżą przysypane ziemią w jakimś dole w głębi któregoś z warmińskich lasów? Z rękami związanymi na plecach, z ustami pełnymi sosnowych igieł i piachu, z oczami wiecznie już wpatrzonymi w szeleszczącą robakami ciemność? Było już jednak za późno, by się wycofać.

– Proszę, wejdźcie, wejdźcie! – Kobieta pchnęła drzwi, zapraszając ich do środka.

Weszli. Salon, w którym poprzednim razem kręcili swój materiał, również wyglądał inaczej niż ostatnio. Na kanapach leżały rozrzucone i pomięte części garderoby, w kątach ścian i pod schodami widać było zwinięte kłębki kurzu, na podłodze stały talerze i opakowania po branych na wynos jedzeniu. Małgorzata Jakubiec, w którą wstąpiło nagle ozywienie, próbowała to wszystko teraz posprzątać. Zgarniała ubrania i zrzucała je za kanapę, odsuwała nogą puste pojemniki, starając się wygospodarować przestrzeń, na której można by usiąść. Jej ruchy były jednak rwane i chaotyczne, zawieszała się raz za razem, jakby nie radziła sobie nawet z tak prostym zadaniem.

– Przepraszam – odezwał się Rozłucki. – Czy nie byłoby zbyt wielkim kłopotem, gdybyśmy poprosili o coś do picia? Na dworze jest dziś dość ciepło. Może być zwykła woda.

Kobieta zatrzymała się w pół ruchu.

– Woda... – powiedziała nie do końca przytomnie. – Chyba nie mam takiej w butelce, ale ta z kranu jest całkiem dobra. Założyliśmy z mężem filtr...

– Może być z kranu.

– Już przynoszę... – Podreptała w stronę kuchni.

Karolina spojrzała na niego pytająco. Odgarnął pozostałą część rzeczy i usiadł na kanapie.

– Niech trochę ochłonie – wyjaśnił. – Proste czynności bardzo w tym pomagają.

Karolina usiadła obok niego.

Po chwili Małgorzata Jakubiec wróciła z dwoma wysokimi szklankami pełnymi wody. Podała je Karolinie i Rozłuckiemu, po czym

usiadła na drugiej kanapie. Wydawała się trochę spokojniejsza.

Dostrzegła stojącą przy swej nodze prawie pełną butelkę wódki. Podniosła ją zawstydzona.

– Próbowałam pić – usprawiedliwiła się. – Ale to nie dla mnie. Było jeszcze gorzej.

Odstawiła butelkę na szklany stolik.

– Co chcecie wiedzieć? – Spojrzała na Rozłuckiego. – Jestem gotowa.

## ROZDZIAŁ 57

Podniósł szklanę do ust i pociągnął z niej długi łyk. „Od czego zacząć?”, pomyślał. Teraz, gdy siedział oko w oko z jedynym świadkiem tamtych wydarzeń – jedynym, który chce coś powiedzieć, bo przecież stary Jakubiec wie jeszcze więcej, tyle tylko, że nigdy tego nie powie – poczuł nagłą pustkę w głowie. Naraz przypomniał sobie nauki profesora Konarzewskiego dotyczące przeprowadzania rozmów z pacjentami: „Gdy chcesz się czegoś dowiedzieć, nigdy nie pytaj o to wprost. Zataczaj kręgi. Najpierw szerokie, potem coraz węższe. Ta metoda jest skuteczna zwłaszcza wtedy, gdy sam nie wiesz, czego szukasz. Zacieśniając krąg, odsiewasz rzeczy ważne od mniej ważnych i skupiasz swoją uwagę na tych pierwszych. Odpowiedź w końcu pojawi się sama. Czasami wraz z niezadaniem nawet jeszcze pytaniem”. „A więc tak”, pomyślał. Szeroki krąg. Zaczniemy od szerokiego kręgu.

– Jak poznała pani męża?

Kobieta wzruszyła lekko ramionami.

– Bardzo nieromantycznie. Rodzice nas zeswatali. Aż za dobrze zresztą. Ojciec uparł się, żebym poszła na studniówkę z synem jego przyjaciela, najlepszego, jak mówił, adwokata w mieście. Często spotykali się na sali sądowej. Mieli chyba nawet coś w rodzaju układu. Jeśli dla któregoś z nich sprawa, którą się właśnie zajmowali, była szczególnie ważna, drugi pozwalał mu ją wygrać. Czasami w grę wchodziła zdaje się korupcja. Pan adwokat był doświadczeniem pana prokuratora, a pan prokurator do pana adwokata. Nie wiem tego na sto procent, ojciec nigdy nie mówił o takich rzeczach wprost, raczej mogłam się tego domyślać, podsłuchując przypadkiem niektóre rozmowy. No i

tak im się widocznie dobrze współpracowało, że postanowili przypieczętować to małżeństwem swoich dzieci. Jakby chcieli połączyć dwa książęce rody. Na początku bardzo się przed tym broniłam, byłam już umówiona z kolegą z klasy, ale z moim ojcem nie było dyskusji. Musiało być tak, jak postanowił.

– Poszliście więc razem na studniówkę?

– Tak. I muszę przyznać, że bardzo szybko zapomniałam o tamtym koledze. Darek oczarował mnie. Potrafił być uroczy. Jak wszyscy psychopaci. Macie może papierosa?

Karolina wyciągnęła z torebki paczkę i zapalniczkę i podała je kobiecie. Małgorzata Jakubiec zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wydmuchała dym przed siebie, nie zważając na to, że wgryzie się on w jej zasłony, ubrania i obicia mebli.

– Uważa pani, że był psychopata? – spytał Rozłucki.

– Nie wiem, czy to właściwe słowo – odparła kobieta. – Nie znam się na terminologii psychiatrycznej. Ale na pewno nie był całkiem normalny. Potrafił być naprawdę wspaniały, ale chwilę potem coś w niego wstępowało. Zwłaszcza jak się napił alkoholu. Wracał wtedy do domu, śpiewał na całe gardło albo siadał przed telewizorem i coś do niego krzyczał. Bywał wtedy dość straszny.

– Bił panią?

– Nie. – Zaciągnęła się znowu. – Raczej gwałcił. Sprawiało mu przyjemność, gdy ja nie chciałam. Przełamywał wtedy mój opór. Czasami dosyć brutalnie. I to nie była gra.

– Dlaczego więc pani od niego nie odeszła? – spytała Karolina. W jej słowach dało się wyczuć z trudem skrywane oburzenie.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Na początku go kochałam, byłam wręcz od niego uzależniona. Potem, wiadomo, dziecko plus w



miarę dostatnie życie. Muszę też uczciwie przyznać, że najgorzej było na samym początku. Zwłaszcza, gdy Ania się dopiero urodziła, a on zostawiał mnie z nią samą i znikał na całe dni. Potem Darek się trochę zmienił, wyciszył. Ostatnie lata były niemalże normalne. Nie był też złym ojcem. Kochał Anię, jestem tego pewna. Nie potrafił jej tego okazać, ale kochał ją. Naszego syna mniej, ją tak. Można to było poznać głównie po tym, że się o nią bał. Kilka razy, gdy coś jej się stało, gdy spadła z huśtawki albo oblała się gorącą kawą, widziałam w jego oczach strach. A teraz, gdy zniknęła... – zamilkła na chwilę – kompletnie się rozsypał.

Zaciągnęła się jeszcze raz. Biały popiół spadł na podłogę jej salonu. Nie zwróciła na to uwagi.

– Wróćmy do tej studniówki – spytał Rozłucki. – Co było dalej?

– Dalej było to, że mnie upił. Przyniósł butelkę wódki, mimo iż oczywiście na studniówkę nie można było wnosić alkoholu, i mnie upił. Zrobił to celowo, wykorzystał to, że nie miałam wówczas prawie żadnego doświadczenia w picciu. Dolewał mi raz za razem, a przy tym czarował tym swoim spojrzeniem, od którego robiło mi się gorąco. A potem zaciągnął półprzymkniętą toaletę i wziął od tyłu. Byłam wtedy jeszcze dziewicą. A on nawet nie raczył zamknąć drzwi od kabiny, dzięki czemu kilka moich koleżanek miało niezłe widowisko. Dobrze, że nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych.

– Nie protestowała pani?

– Wtedy nie. Byłam już wówczas, po tych paru godzinach, kompletnie zamroczone. Alkoholem i nim. Chyba nawet bardziej nim. Wie pan, on był zupełnie inny niż wszyscy. Inny niż koledzy z mojej klasy, inny niż jakikolwiek chłopak, którego znałam. Jakby przybył z innego świata, takiego, w którym nie obowiązują reguły, które innym

wpaja się od dziecka. Brał mnie, jakbym była jego, jakby nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Nikt wcześniej tak mnie nie traktował. To obezwładniało, w jakimś sensie upajało. Dopiero później zrozumiałam, że jego władczość i pewność siebie w stosunku do mnie wynikały głównie z tego, że kompletnie mu na mnie nie zależało.

– Co było potem?

– W poniedziałek podjechał pod moją szkołę. Czekał na mnie. Spytał, czy moi rodzice są w domu. Odpowiedziałam, że nie. Poszliśmy do mnie, a on rozebrał mnie bez słowa i wsadził mi fiuta w tyłek. Bolało jak diabli, ale byłam szczęśliwa. Że przyszedł, że o mnie pamiętał, że mnie kocha. Przez dwa następne miesiące mieliśmy taki schizofreniczny romans. Spotykaliśmy się oficjalnie, przychodził do nas na obiad, albo ja do niego, chodziliśmy razem do kina, a kiedy byliśmy sami, robił mi rzeczy, o których dotąd nie miałam pojęcia, że są możliwe. Potrafił włożyć mi palec w pochwę, gdy byliśmy w kinie, a obok siedzieli moi rodzice. Bawiło go to, bo wiedział, że nie mogę zaprotestować, muszę udawać, że wszystko jest w porządku. Myślę, że w ten sposób mścił się na mnie.

– Za co?

– Za to, że nie jestem nią, Justyną. I że musi się ze mną spotykać. Nie potrafił przeciwstawić się swojemu ojcu, więc wyżywał się na mnie. Jakby to była moja wina, że kazali mu ją zostawić i związać się ze mną. Obrywałam niejako w zastępstwie.

– Godziła się pani na to?

– Miałam jeden czy dwa momenty otrzeźwienia, gdy chciałam z nim zerwać, ale ojciec i matka nie chcieli o tym słyszeć. Przy nich grał rolę idealnego chłopaka ich ukochanej córki. Po prostu marzenie rodziców każdej panny na wydaniu. A potem zaszłam w ciążę i już nie było

odwrotu.

– Nie zabezpieczaliście się?

– Nie. Parę razy wspomniałam nawet o prezerwatywie, ale nie raczył mi nawet odpowiedzieć. Mogłam oczywiście pójść do lekarza i poprosić o tabletki, ale wstydziłam się.

– Co się wtedy stało?

– Rozpętało się piekło. Rodzice byli wściekli. Moi i jego. Ale Darka to chyba również bawiło. Mam wrażenie, że cieszył się, że zrobił im na złość. Jakby mówił: „Chcieliście, żebyśmy razem chodzili, to teraz macie!”.

– A pani?

– Byłam przerażona. Ale gdzieś w głębi duszy myślałam, że to chyba nawet lepiej, bo teraz może się już uspokoi i będzie normalny. Chciałam z nim być, kochałam go, ale jednocześnie nie chciałam z nim być w ten sposób. Myślałam, że dziecko i ślub wtłoczą nasz związek w jakieś zwyczajne ramy. W jakimś sensie miałam rację, bo po kilku latach rzeczywiście zaczął mnie traktować lepiej. Jak już zapomniał o niej i zaczął się przyzwyczajać do mnie.

– A jak on przyjął perspektywę waszego małżeństwa?

– Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go to nie obchodziło. Jakby odbywało się to wszystko gdzieś poza nim. Myślę, że do końca miał plan, że wywinie wszystkim numer i tuż przed ołtarzem powie, żebyśmy się pocałowali w dupę. Gdyby nie tamto, zrobiłby to, jestem tego pewna.

– Tamto?

– Tamto.

Zaciągnęła się papierosem. Mocno, głęboko, aż wklęśły jej policzki.

– Chodzi pani o historię z Justyną?

Pokiwała głową. Zapatrzyła się w okno, jakby zadumała się nad wszystkimi zmarnowanymi latami swojego życia.

– Znała ją pani?

– Nie. Dopóki nie zaginęła, nie wiedziałam nawet, że istnieje. Dopiero, kiedy policja wezwała Darka na przesłuchanie, a moi rodzice zaczęli ściszonymi głosami rozmawiać o tej sprawie, zaczęły do mnie docierać strzępki informacji.

– Wie pani, co się wtedy stało?

– Tak. Powiedział mi.

– Wtedy?

Roześmiała się.

– Chyba pan żartuje. Wtedy dla niego nie istniałam. Jakby mnie nie było. Nie wiem, co bardziej było tego przyczyną – moja ciąża czy jej zniknięcie – faktem jest, że zupełnie przestał mnie dostrzegać. A ja niczego nie rozumiałam i oczywiście myślałam, że to przeze mnie. Czułam się winna i próbowałam zasłużyć chociaż na tego fiuta w dupie. To chyba jeszcze bardziej mnie od niego uzależniło. Nie, nie wtedy. Teraz, jak to się wszystko stało. Zanim pojechał do Warszawy.

– Co pani powiedział?

– Że dowiedziała się o mojej ciąży i o naszym ślubie. Wściekła się. Zagroziła, że wszystkim opowie, co razem robili. Mi, moim rodzicom, wszystkim. Umówili się, żeby porozmawiać. Wieczorem, w parku nad Łyną, tuż przy zamku. Wtedy to było dość ustronne miejsce, mimo że znajdowało się prawie w środku miasta. Zresztą nawet teraz lepiej tam nie chodzić samemu po zmroku. Darek wziął ze sobą Lesickiego, żeby, jak twierdził, mieć świadka. Podjechali tym jego amerykańskim samochodem. A kiedy ona się zjawiała, zaczęła krzyczeć, że jego ojciec, ten stary skurwysyn, się do niej dobierał. Że znalazł jakąś kasetę i ją

nią szantażował. I że o tym też wszystkim powie. Gdy Darek to usłyszał, stracił zupełnie głowę, tak mi przynajmniej powiedział. Akurat szli jacyś menele, przestraszył się, że to usłyszą. Uderzył ją pięścią w twarz, a potem wciągnął do samochodu i ruszył przed siebie. Lesicki krzyczał z tyłu: „kurwa, co ty robisz?”, ale on nic nie słyszał, nic nie rozumiał, tylko gnał do przodu. Nie miał żadnego planu, nie wiedział, co chce zrobić, po prostu jechał. Lesicki krzyczał z tylnego siedzenia, szarpał go, on zaczął wrzeszczeć na niego, żeby się zamknął i uspokoił i wtedy ona się ocknęła. Zobaczyła, gdzie jest, zobaczyła, że ma twarz we krwi i zaczęła krzyczeć z przerażenia. Wrzeszczała, żeby ją wypuścili, żeby zatrzymali samochód, a potem chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi. Darek chciał ją złapać, żeby nie wypadła, ale wtedy stracił panowanie nad samochodem i wyleciał z drogi. Miał szczęście, że nie trafił w żadne drzewo, bo inaczej wszyscy by zginęli. Ale tam był taki leśny parking tuż nad jeziorem. Kawałek wolnej od drzew przestrzeni, na której z boku stała altanka i drewniane ławy, by można tam było urządzać pikniki. Tam właśnie wjechali. Darek dał po hamulcach, autem zarzuciło, obróciło nim wokół własnej osi, ścięli jakiś śmietnik i zatrzymali się na drewnianym płocie oddzielającym parking od skarpy nad jeziorem. Wtedy zauważył, że drzwi samochodu są otwarte, a jej nie ma. Wybiegł z auta i zaczął jej szukać. Miał w bagażniku latarkę, więc krzyknął do Lesickiego, żeby mu ją przyniósł, ale ten tylko siedział i płakał. W końcu wrócił po nią sam, włączył i znowu zaczął szukać Justyny. Znalazł ją w końcu. Kiedy wypadła, złamała swoim ciałem drewniany płot i zatrzymała się na skarpie na jakimś krzaku. Leżała w dziwnej pozycji i wyglądała, jakby już nie żyła. Lesicki już wtedy wyszedł z samochodu. Zobaczył to i zaczął krzyczeć: „Zabiliśmy ją! Rozumiesz? Zabiliśmy! Ty ją zabiłeś!”. Darek

chciał do niej zejść, ale Lesicki wpadł w panikę, zaczął go szarpać i wrzeszczeć, żeby uciekali. No więc uciekli. To tyle.

Zaciągnęła się papierosem po raz ostatni, przypalając prawie filtr, po czym zaczęła się rozglądać za miejscem, w którym mogłaby go zgasić. W końcu rzuciła go przed siebie na sam środek salonu.

– Co było dalej? Wrócili do domu? – spytał Rozłucki.

– Tak. Wrócili do tego okropnego domu nad rzeką. Ojciec Darka wyszedł i zobaczył, że samochód jego syna ma zбитy przedni reflektor i wgnieciony błotnik. Zaczął na niego krzyczeć. Wtedy Darek nie wytrzymał i wywrzeszczał mu wszystko, co wiedział. O Justynie, o kasecie i o tym wypadku nad jeziorem. Potem rzucił się na niego z pięściami. Ale stary, mimo że mały, jest dość silny. Nie tak łatwo go pokonać. W młodości trenował boks. Usadził więc Darka paroma ciosami w brzuch, a potem złapał za włosy i kazał sobie wszystko opowiedzieć. Co się dokładnie stało i gdzie to było. Potem wprowadził samochód Darka do garażu, a sam wsiadł do swojego i pojechał. Wrócił po dwóch godzinach. Powiedział, że problem jest rozwiązany i żeby nigdy nikomu nie wspomnieli o tym, co zaszło. Lesickiemu zagroził, że gdyby pisnął choć jedno słowo, zniszczy jego i jego rodziców. Powiedział, że ma haki na jego ojca i nie zawaha się ich użyć. Że ma kontakty w prokuraturze. A poza tym on, Andrzej Lesicki, jest w tej chwili współwinny zabójstwa i ucieczki z miejsca wypadku, więc jeśli nie chce być przez najbliższe kilka lat cwelony w więzieniu, ma siedzieć cicho. Następnego dnia sam odklepał w garażu błotnik samochodu, pojechał nim na Śląsk i sprzedał go na jakiejś giełdzie samochodowej. Wrócił akurat na czas, by uczestniczyć w przesłuchaniu Darka.

## ROZDZIAŁ 58

Małgorzata Jakubiec zastygła. Jej szeroko otwarte, szkliste oczy wpatrywały się w leżący na podłodze niedopałek. Mimo upływu kolejnych sekund jej powieki nawet nie drgnęły. Wydawała się wręcz nie oddychać. W końcu mrugnęła dwa razy i spojrzała na Rozłuckiego.

– Najśmieszniejsze w tym jest to, że dopiero wtedy, gdy mi o tym opowiadał, zaczął się zachowywać jak człowiek – powiedziała. – Jakby coś w nim pękło. Cierpiał i było to widać. To wszystko musiało w nim tkwić przez te dwadzieścia lat. Myślę, że ją kochał. Mnie nie, ją tak. Była pierwszą i jedyną miłością jego życia, tylko wtedy nie wiedział, co z tym zrobić. Był jak dziecko, które dostało zabawkę, ale nie umie się nią bawić, bo nikt wcześniej mu nic podobnego nie dał. Więc ją niszczy, bo tylko to potrafi. Grał sam przed sobą cynicznego skurwiela, zresztą pewnie nim trochę był – nauczył się tego od swojego ojca. Ale kochał ją. Robił jej wszystko to, co robił, traktował ją tak, jak ją traktował, bo nikt nigdy nie pokazał mu, jak okazywać drugiej osobie to, co się do niej czuje. Ojciec wpoił mu, że związek polega na dominacji i upokarzaniu słabszego. Więc tak się właśnie zachowywał. Wobec mnie i wobec niej. I kiedy zginęła, kiedy w zasadzie ją zabił, to połamało go tak, że nigdy już nie zdołał do końca się poskładać. Takim go właśnie znałam, z takim spędziłam dwadzieścia lat życia. Ale mógł być inny. Mógł być taki jak wtedy, gdy trzęsąc się i płacząc, opowiadał mi tę straszną historię. Pomyślałam wówczas, że takiego mogłabym go nawet jeszcze raz pokochać. Ale było już za późno.

Uśmiechnęła się smutno. Z jej oczu pociekły dwie duże łzy.

Rozłucki wpatrywał się w jej twarz, nie mógł wprost oderwać od niej

oczu. Cudze nieszczęście jest zawsze fascynującym widowiskiem. Karolina odchrząknęła i poprawiła się na kanapie. Pewnie przez cały czas słuchania tej opowieści nie śmiała nawet przełknąć śliny.

– Kto wpadł na pomysł tego przedstawienia w telewizji? Pani mąż czy Lesicki? – spytał Rozłucki.

Kobieta otarła łzy wierzchem dłoni.

– Mój mąż. Myślę, że oprócz chęci uratowania córki był też to dla niego rodzaj ekspiacji, zadośćuczynienia za tamten czyn. On także uważał, że należy się za to kara. Żył z tą myślą dwadzieścia lat, ale dopiero teraz, gdy zrozumiał, dlaczego porwano Anię, gdy zrozumiał, po co tamten to zrobił, i że jego śmierć jest być może jedyną, choć niepewną szansą na jej powrót do domu, zdecydował się ją ponieść. Złożył siebie samego w ofierze.

– Czyli jednak nie był psychopatą – powiedział Rozłucki. Nagle poczuł przemożną chęć, by ją jakoś pocieszyć. Usprawiedliwić i nadać sens, choćby spóźniony i pozorny, tamtym wszystkim zmarnowanym latom.

– Słucham?

– Pani mąż nie był psychopatą. Gdyby tak było, nie czułby tego wszystkiego. Miłość, poczucie winy, chęć zadośćuczynienia – są to raczej uczucia obce psychopatom. Żaden psychopata nie poświęciłby swojego życia dla ratowania drugiej osoby, nawet własnej córki. Jeśli już kogoś bym podejrzewał o to zaburzenie, to raczej jego ojca. Pani mąż po prostu miał pecha. Wiem, jak to brzmi w tym kontekście, ale czasem tak po prostu jest. Najpierw wychowywał się w zaburzonej rodzinie, a później doprowadził do śmierci jedyną osobę, która miała szansę go uratować. To, co zrobił w telewizji, w pewnym sensie go zbawiło. Nadało sens całemu jego życiu. Jego poświęcenie udowodniło,



że nie był do końca złym człowiekiem.

Pokiwała głową.

– Może i tak. Tylko jakie to wszystko ma teraz znaczenie?

Zamilkła. Jej twarz znowu zaczynała powoli zastygać w wyrzeźbioną cierpieniem maskę. „Czy to wszystko, co może nam powiedzieć?”, pomyślał Rozłucki. Jeśli chce się jeszcze czegoś od niej dowiedzieć, musi się śpieszyć, bo za chwilę nie będzie już z nią kontaktu.

– A ta kartka? – spytał. – Co było na tej kartce?

– Co?

Małgorzata Jakubiec z wielką trudnością wróciła znowu do rzeczywistości.

– Mówiła pani, że porywacz przysłał wam jakąś kartkę. Co na niej było?

Spojrzała na niego przytomniejszym wzrokiem.

– Nie mówiłam tego jeszcze? Zdjęcie Justyny.

– Jakie zdjęcie?

– Takie z liceum. Darek mówił, że był w jej klasie chłopak, który miał dobry aparat i robił zdjęcia, a potem sprzedawał odbitki. To było takie zdjęcie.

– Co na nim było?

– Mówiłam już, Justyna.

– Ale jak wyglądała, co robiła?

– Zdjęcie było zrobione w pociągu, w czasie jakiejś szkolnej wycieczki. Justyna siedziała na korytarzu na rozkładanym siedzeniu. W dawnych wagonach były takie. Miała głowę opartą o ścianę. Oczy miała otwarte i wpatrzone gdzieś w bok. Wyglądała na tym zdjęciu na dużo starszą, dużo bardziej dojrzałą niż w rzeczywistości. Bił od niej jakiś smutek, wydawała się przygnębiona i zrezygnowana. Można

wręcz powiedzieć, że wyglądała na nim, jakby czuła, że niedługo umrze. Choć pewnie każdemu można by zrobić takie zdjęcie. Nawet tym, którzy będą żyć jeszcze sześćdziesiąt lat.

– Był na tym zdjęciu ktoś jeszcze?

– Nie. Korytarz za nią był pusty.

– A było na nim coś napisane, może z tyłu, na odwrocie?

– Nie.

– Może data albo nazwa zakładu fotograficznego?

– Nie. Darek mówił, że ten chłopak sam wywoływał odbitki. Zrobił sobie ciemnię w łazience.

– Wie pani, jak się nazywał?

– Nie.

– A wie pani, co to była za wycieczka?

– Chyba do Krakowa. Tak mówił Darek.

– Ma pani to zdjęcie?

– Nie. Policja je zabrała.

Wyszli. Stanęli na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce. Karolina wyjęła paczkę papierosów i bez słowa wyciągnęła ją w stronę Rozłuckiego. Odmówił, kręcąc w zamyśleniu głową.

– I co? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Wygląda na to, że znowu nie dowiedzieliśmy się niczego konkretnego.

– Dowiedzieliśmy się, jak to wszystko wyglądało, jak zginęła Justyna.

– Ale nie ma w tym niczego, co mogłoby nas doprowadzić do porywacza. Nawet to zdjęcie... Nawet tam nie ma żadnej wskazówki.

Jak myślisz, dlaczego im je wysłał, skoro tak naprawdę nic na nim nie było?

– Żeby uzmysłwić im związek między zniknięciem ich córek a śmiercią Justyny. Gdy je zobaczyli, ten związek stał się dla nich aż nadto widoczny. Nie potrzeba było żadnego listu, żadnej wiadomości z wyciętych z gazet liter. Wystarczyło to zdjęcie, by zrozumieli. I by zrozumieli, że nie może być mowy o żadnych negocjacjach.

– A jeśli...

– Jeśli co?

– Jeśli tam jednak była jakaś wiadomość, tylko ani my, ani żona Jakubca, ani policja nie ma możliwości jej odczytać?

– Co masz na myśli?

– Może chodzi o tę wycieczkę do Krakowa? Może coś się tam wydarzyło, coś, o czym wiedział zarówno porywacz, jak i Dariusz Jakubiec? I to coś jest właśnie wiadomością?

Rozłucki pokiwał głową.

– Na pewno nie byłoby głupie odnaleźć autora tego zdjęcia. Albo w ogóle kogokolwiek, kto był na tej wycieczce. Jeden z kolegów z klasy Justyny mieszka w Olsztynie. Ten, który miał wypadek i jeździ na wózku. Nie może być porywaczem, ale może coś wiedzieć. Obawiam się, że będziesz znowu musiała zadzwonić do swojego byłego chłopaka.

## ROZDZIAŁ 59

Mężczyzna, który im otworzył – po wielu dzwonekach, gdy już mieli odchodzić, myśląc, że umówione telefonicznie spotkanie nie dojdzie jednak do skutku – nie jeździł na wózku. Chodził o kulach. Z dużym wysiłkiem, z cierpieniem widocznym na spoconej, nabrzmiałej twarzy, ale chodził.

– Pan Michał Przegrodzki? – spytała Karolina. – Karolina Janczewska i Zygmunt Rozłucki. Rozmawialiśmy przez telefon.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Przepraszam, że tyle to trwało, zanim otworzyłem – wysapał – ale dopiero się uczę. Dziś po raz pierwszy podszedłem do drzwi na własnych nogach. Wchodźcie.

Zachwiał się, lecz szybko odzyskał równowagę, po czym ze złością odtrącił wyciągniętą w jego stronę dłoń Rozłuckiego.

– Ja sam – powiedział.

Odwrócił się z trudem i ruszył wolno w głąb mieszkania. Poszli za nim.

Zaprowadził ich do dużego jasnego pokoju, którego całą jedną ścianę zajmowało długie, dzielone na cztery części okno. Jedną z tych części były drzwi balkonowe. W oknach nie było zasłon ani firanek, choć pod sufitem można było dostrzec karnisz ze zwisającymi z niego bezużytecznymi żabkami. Widać było przez nie elewację stojącego naprzeciwko bloku, dokładnie takiego samego, jak ten, w którym mieszkał mężczyzna. Drugą ścianę, prostopadłą do tej z oknami, zajmował ciemny regał, na którego środku stało zdjęcie trzydziestokilkuletniej, dość ładnej kobiety przepasane w lewym

dolnym rogu czarną wstążką.

Mężczyzna opadł z głośnym sapnięciem na stojący pod oknem fotel inwalidzki, po czym kulą wskazał im znajdującą się naprzeciwko kanapę. Usiedli, taktownie czekając, aż mężczyzna uspokoi oddech i będzie mógł wreszcie coś powiedzieć.

– Przepraszam – powtórzył raz jeszcze – ale strasznie ciężko mi to idzie. Muszę uruchamiać teraz zupełnie inne mięśnie niż kiedyś. Ale nie mam wyjścia, muszę zacząć chodzić. Mieszkam na trzecim piętrze w bloku bez windy, nawet do lekarza nie mogę wyjść, jeśli nikt mi nie pomoże. Mógłbym co prawda wystąpić do spółdzielni o założenie tu takiej specjalnej windy dla wózków, ale zanim by się zgodzili, zanim to zamontowali, minąłby pewnie rok, albo i dłużej. To już chyba szybciej będzie, jak się nauczę.

Mężczyzna, nawet gdy siedział, wyglądał na wysokiego. Masywna czaszka i grube kości wskazywały też, że kiedyś musiał być dość potężnie zbudowany. Teraz jednak jego głowa i ręce obciągnięte były skórą. Tylko włosy – jasne, mocne i gęste – sterczały zawadiacko w górę, niczym las pik trzymany w krzepkich dłoniach przez wychudzone i zmaltretowane, lecz nieskore do kapitulacji wojsko.

– Słucham – powiedział. – Jestem cały do waszej dyspozycji.

– Jak panu już mówiłam przez telefon – zaczęła Karolina – prowadzimy coś w rodzaju dziennikarskiego śledztwa na temat wydarzeń, które zaszły w pana szkole dwadzieścia lat temu, a które związane były z zaginięciem Justyny Wasilewskiej. Współpracujemy w tym względzie z policją, to od niej dostaliśmy pana numer telefonu.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Nie wiem, czy będę wam mógł wiele pomóc. W wyniku wypadku straciłem pamięć. Teraz co prawda stopniowo mi ona wraca, ale ciągle

jest jeszcze dziurawa jak ser. Lekarze twierdzą, że być może nigdy nie odzyskam wszystkich wspomnień. Nie pamiętam na przykład prawie w ogóle swojej żony, nie pamiętam naszego ślubu ani tego, jak się poznaliśmy. Psycholog, który do mnie przychodził, gdy jeszcze leżałem w szpitalu, twierdził, że to może nawet i lepiej. Nie mam wspomnień, więc nie mam czego żałować, ale nie wiem, czy to dobrze. – Spojrzał na stojące na regale zdjęcie. – Mimo wszystko jednak chciałbym coś pamiętać. – Uśmiechnął się smutno. – A tak zostały mi tylko zdjęcia. Całe szczęście mam ich dosyć sporo.

– Nas interesuje dalsza przeszłość – powiedział Rozłucki. – Pamięta pan coś z dawniejszych czasów?

– Więcej niż z ostatnich lat. Choć wolałbym odwrotnie. W ogóle im dalej w przeszłość, tym mam więcej wspomnień. Lekarze twierdzą, że do tych bliższych też być może kiedyś odzyskam dostęp.

– A liceum? Dużo pan pamięta z tamtych lat?

– O tyle, o ile. Ale pytajcie. A nuż będziecie mieli szczęście.

– Pamięta pan wycieczkę do Krakowa? W czwartej klasie liceum pojechaliście tam z pana klasą. Pamięta pan to?

Mężczyzna kiwnął niepewnie głową.

– Niech pan mówi dalej – powiedział.

– Był tam chłopak, który robił zdjęcia. Nie wie pan, kto to był?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie pamiętam imion swoich kolegów z klasy, ale to akurat wiem. To byłem ja. Ja robiłem te zdjęcia. – Wskazał na leżący na parapecie aparat. – Teraz to znowu moja ulubiona rozrywka. Zresztą jedyna. Robię zdjęcia ptakom, czasami ludziom z bloku naprzeciwko. Ale o tym, ciiii... nie mówcie nikomu – zaśmiał się. – Niestety wózek nie mieści mi się w drzwiach balkonowych. To dlatego kazałem zdjąć zasłony. Całe

szczęście nie muszę już stać w ciemni, by je wywoływać. To cyfrowa lustrzanka, prezent od żony na piątą rocznicę ślubu. – Zamilkł na chwilę. – Tak przynajmniej twierdzi moja matka – dodał.

– Ma pan może te zdjęcia? – spytała Karolina.

– Jakie zdjęcia? Ptaków?

– Nie, tamte z liceum, z tej wycieczki do Krakowa.

– Powinienem mieć – odpowiedział mężczyzna. – Kiedy przeprowadzaliśmy się z żoną do tego mieszkania, sporo rzeczy wyrzuciłem. Jakies stare zeszyty, książki, plakaty różnych nieistniejących już zespołów. Ale zdjęcia zostawiłem. Tylko będziecie mi musieli pomóc się do nich dostać.

Mężczyzna chwycił za koła wózka inwalidzkiego i pchnął je do przodu. Pojechał w kierunku korytarza. Wstali i poszli za nim.

– Tam, w tym pawlaczu – wskazał podłużną szafkę wiszącą nad drzwiami wejściowymi – powinno być takie pudło z szarej tektury. Są w nim wszystkie moje zdjęcia z liceum.

Rozłucki przyniósł z kuchni krzesło, wszedł na nie i otworzył pawlacz. Odszukał szare pudło i wyciągnął je spod stosu innych pudeł, książek i rupieci.

– To? – Pokazał je mężczyźnie na wózku.

– Tak, to. Nie zaglądałem do niego od lat.

Wrócili do salonu. Rozłucki położył mężczyźnie pudło na kolanach. Przegrodzki podniósł jego wieczko z wyraźnym wzruszeniem.

– Niestety nie ma tu wszystkich zdjęć, jakie zrobiłem w liceum. Zarabiałem na odbitkach, papier fotograficzny był dla mnie wtedy dość drogi, więc zostawiałem sobie tylko te zdjęcia, które, jak sądziłem, szczególnie dobrze mi wyszły albo które miały dla mnie jakieś znaczenie. Resztę sprzedawałem. Miałem gdzieś jeszcze osobne

pudełko z negatywami, ale teraz go raczej nie znajdę. Może kiedyś, jak nauczę się lepiej chodzić.

Część zdjęć zapakowana była w osobne, białe, podpisane koperty, część leżała luzem. Mężczyzna przyglądał się im, przerzucał je, przy niektórych zatrzymywał się dłużej, wpatrując się w nie z uwagą i napięciem.

– Nie wiem – powiedział przygnębiony. – Wydaje mi się, jakbym część z nich widział pierwszy raz w życiu. Te sytuacje, te twarze nic mi nie mówią. Ale czasami coś sobie przypominam. Dobrze, że chociaż koperty są podpisane.

Karolina i Rozłucki czekali cierpliwie. Obserwowanie tej podróży w przeszłość było dość wzruszające.

– O, jest! – Mężczyzna wyciągnął z pudła jedną z kopert. – „Kraków – wycieczka”.

Podeszli do niego i stanęli mu za plecami, by lepiej widzieć. Mężczyzna wyciągnął zdjęcia z koperty.

Spojrzały na nich młode, świeże, pełne energii twarze. Zazwyczaj śmiejące się, czasami robiące głupie miny. Nastolatki w ubraniach, jakich nikt już nie nosi, w zimowych, zbyt obszernych kurtkach, w czapkach z włóczki zrobionych na drutach przez mamy lub babcie.

– Problem z byciem fotografem – powiedział mężczyzna – polega na tym, że nie ma cię potem na żadnych zdjęciach.

– Można sobie zrobić selfie – powiedziała Karolina. – Teraz to bardzo popularne.

– Miała pani kiedyś w ręku zenita? – spytał mężczyzna. – Te fotografie są robione właśnie nim. Trudno zrobić sobie czymś takim zdjęcie samemu. Zresztą wtedy jeszcze nie było takiego zwyczaju.

– Możemy je obejrzeć? – spytał Rozłucki.



– Proszę. – Mężczyzna podał im zdjęcia. – Usiądźcie sobie na kanapie, będzie wam wygodniej. Chcecie może kawy albo herbaty?

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała Karolina.

– Nie krępujcie się. To, że jeżdżę na wózku, nie oznacza jeszcze, że nie potrafię zagotować wody i zalać nią torebki w szklance. Albo włączyć ekspresu.

– Ja poproszę kawę – powiedział Rozłucki. – Czarną, małą, bez cukru.

– Ja w takim razie to samo.

Wózek odjechał w kierunku kuchni. Rozłucki i Karolina usiedli na kanapie.

Zdjęcia były czarno-białe, większość z nich przedstawiała młodych, roześmianych ludzi. W tle były zabytki Krakowa: kościół Mariacki, Wawel, Rynek i Sukiennice. Część przedstawiała sytuacje towarzyskie: posiłek przy długim, wąskim stole; pokój, prawdopodobnie w hotelu lub schronisku młodzieżowym, z piętrowymi łózkami i kilkoma młodzieńcami w dziwnych pozach. Kilka zdjęć prezentowało detale architektoniczne bądź romantyczne zaułki i świadczyło o artystycznych inklinacjach fotografa. Jedno, szczególnie ładne, przedstawiało witraż autorstwa Wyspiańskiego w kościele franciszkanów, na którym Bóg Ojciec stwarzał wszechświat.

Na wielu z nich była Justyna.

## ROZDZIAŁ 60

Wózek, lekko skrzypiąc, wrócił z kuchni. Na jego bocznych oparciach spoczywała taca, na której stały dwie filiżanki z nieco tylko wychlapaną kawą.

– Proszę – powiedział Przegrodzki. – Trochę mi się porozlewało. Ale przewidziałem, że tak to się może skończyć i wziąłem serwetki.

– Nic nie szkodzi – odparła Karolina.

Wzięli filiżanki i napili się czarnego płynu. Ponieważ nie za bardzo było gdzie je odłożyć, musieli trzymać je cały czas w dłoniach.

– Mówił pan, że zostawiał pan sobie tylko te zdjęcia, które panu szczególnie dobrze wyszły albo te, które miały dla pana znaczenie. Na wielu z tych, które pan zostawił, jest Justyna Wasilewska. – Rozłucki pokazał mężczyźnie jedną z fotografii. – Dlaczego?

– Pewnie się w niej kochałem – uśmiechnął się Przegrodzki. – Jak wszyscy. Bardzo ładna była – powiedział, patrząc na zdjęcie.

– Nie pamięta pan?

– To akurat pamiętam. W tym miejscu zamiast dziury jest ser.

– A pamięta pan tę wycieczkę? Zaszło w jej trakcie coś szczególnego? Mężczyzna zamyślił się.

– Wie pan, raczej niewiele pamiętam. Ale nie wiem, czy winić za to trzeba moją amnezję, czy też po prostu było to tak dawno.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć. Czy zdarzyło się wówczas coś dziwnego, coś niecodziennego, zwłaszcza w związku z Justyną Wasilewską? Może ktoś się z nią pokłócił? Może jakichś dwóch pana kolegów rywalizowało o nią, może się pobili? Może, nie wiem, zniknęła gdzieś nagle i wróciła dopiero po jakimś czasie? Albo ktoś wchodził

przez balkon do jej pokoju?

Mężczyzna spojrział w okno. Próbował sobie coś przypomnieć, na jego twarzy można było dostrzec wysiłek z tym związany.

– Przykro mi – powiedział zrezygnowany. – Nic takiego nie pamiętam. Pamiętam, że byliśmy w kawiarni Jama Michalika i że na ulicy Grodzkiej był sklep z pamiątkami, w którym można było kupić replikę rycerskiego miecza. I że bardzo podobał mi się kościół Mariacki. Ale nic podobnego do tego, o czym pan wspomniał.

– Dobrze. – Rozłucki postanowił wypróbować po raz kolejny swoją sprawdzoną metodę. – Proszę w takim razie spróbować przypomnieć sobie uczucia, które miał pan w czasie tego wyjazdu. Uczucia pamięta się dłużej niż fakty. Niech pan weźmie to zdjęcie – podał mu fotografię, na której była Justyna w towarzystwie kilku innych osób – niech pan się w nie wpatrzy i spróbuje przypomnieć sobie, co pan wtedy czuł. Nie, co czuje pan teraz w związku z tamtymi wspomnieniami, ale co czuł pan wtedy.

Mężczyzna wziął zdjęcie do ręki i wbił w nie swoje spojrzenie. Widać było, że stara się, że z całych sił próbuje zrobić to, o co prosił go Rozłucki.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Naprawdę nie wiem.

– Ty, popatrz – odezwała się nagle Karolina. – Ten chłopak na tym zdjęciu. – Podsunęła Rozłuckiemu pod nos fotografię. – Nie przypomina ci kogoś?

Rozłucki spojrział na zdjęcie. Trzech chłopców i dwie dziewczyny schodziło ze schodów budynku wyglądającego na hotel. Jeden z chłopaków zgięty w pół śmiał się właśnie z dowcipu opowiedzianego przez swojego towarzysza. Z tyłu, trochę z boku, szedł kolejny. Tylko on zauważył, że jest w nich wycelowany obiektyw. Patrzył się prosto w oko

aparatu. Jego twarz faktycznie kogoś mu przypominała.

– Miał wtedy dłuższe włosy i był bardziej pucołowaty, ale to on – powiedziała Karolina.

– Kto?

– Arkadiusz Chmielewski.

Rozłucki przyjrzał się jeszcze raz chłopakowi na zdjęciu.

– Rzeczywiście – powiedział z wahaniem. – To chyba on. Tylko co on tu robi? Przecież nie chodził do tej klasy.

Spojrzał na Przegrodzkiego.

– Potrafi pan to wyjaśnić? – spytał.

– Co? – Mężczyzna na wózku zdawał się nie wiedzieć, o co chodzi. – Przepraszam – powiedział. – Mam również problemy z pamięcią krótkoterminową. Czasami tracę wątek.

– Ten chłopak – Rozłucki pokazał mu postać na fotografii – Arkadiusz Chmielewski, nie chodził do waszej klasy, chodził do IVa. Dlaczego jest więc na tym zdjęciu? Przecież to była wycieczka klasowa, prawda?

Przegrodzki przygryzł wargi. Widać było, że intensywnie myśli. Trwało to dość długo, lecz Rozłucki czekał cierpliwie. Położył dłoń na kolanie Karoliny, dając jej w ten sposób znak, by i ona nie przeszkodziła mężczyźnie w jego zmaganiach z własną pamięcią. Poczul nagle, że drgnęła, jakby jego ręka ją oparzyła. Dopiero teraz zrozumiał, że ten odruchowy gest może mieć również całkiem inne znaczenie. Cofnął dłoń przestraszony. Końcówki jego uszu zapłonęły żywym ogniem. Odwrócił twarz w drugą stronę, by nie zauważyła, że się czerwieni. „Jak sztubak”, pomyślał. Jakby to on był w liceum. Naraz ich zwykle, najzwyczajniejsze siedzenie obok siebie przestało być takie proste. Zaczęło buzować podskórnym napięciem, iskrzyć od

spuszczonych ze smyczy emocji. Nie mógł wprost wysiedzieć od tego niepokoju. Powodowany nagłym impulsem postanowił zaryzykować i przesunął kolano w jej stronę. Ich uda zetknęły się, ciała, mimo oddzielających je ubrań, poczuły wzajemne ciepło. Zamarł z przerażenia, czekając na jej reakcję. Nie cofnęła nogi. Napięcie stało się wprost nie do zniesienia. W końcu to on nie wytrzymał. Udając, że poprawia się na kanapie, odsunął swoje kolano od jej nogi. „Kurwa”, zaklął w duchu. „Kurwa...”

– Tak – w samą porę odezwał się mężczyzna. – To była wycieczka klasowa. Ale mogli się na nią zapisywać także uczniowie z innych klas.

– Jak to? – Rozłucki poczuł prawdziwą ulgę, że mógł odwrócić jej i swoją uwagę od tego, co się przed chwilą stało.

– Mieliśmy takiego polonistę – zaczął powoli Przegrodzki. – To był bardzo fajny gość, pełen pasji. Studiował w Krakowie, był poetą, wydał podobno nawet kiedyś tomik wierszy i miał dużo znajomych w tamtejszym środowisku artystycznym i literackim. Co roku organizował tam wycieczkę w maturalnej klasie. W programie było oczywiście zwiedzanie zabytków, ale też wizyta w kabarecie „Piwnica pod Baranami”. Wtedy było to bardzo sławne miejsce, występowali tam znani artyści, ciągnęła się za nim legenda matecznika krakowskiej bohemy. A nasz nauczyciel miał tam kolegów jeszcze ze studiów. Spotkaliśmy się z kilkoma z nich. No i dlatego między innymi dyrekcja szkoły zgodziła się, żeby w tych wycieczkach brali udział uczniowie wszystkich klas, które on uczył. Oczywiście ci, którzy mieli ochotę.

– I Arkadiusz Chmielewski miał taką ochotę?

– Chyba tak. Nie pamiętam. Nie pamiętam nawet takiego nazwiska. Ale skoro jest na tym zdjęciu...

– Pamięta go pan na tej wycieczce?

– Nie pamiętam. – Mężczyzna uśmiechnął się przeprasząco. – Gdybyście mi go nie pokazali na tej fotografii, nie wiedziałbym, że tam w ogóle był.

– A pamięta pan inne osoby spoza pana klasy, które pojechały na tę wycieczkę?

– Nie, przykro mi. Może gdybym jeszcze raz zobaczył zdjęcia...

Podali mu plik fotografii.

– Może Dariusz Jakubiec? – podpowiedziała Karolina.

Mężczyzna wpatrywał się bezradnie w leżące na swoich kolanach zdjęcia. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

– Musicie mi wybaczyć – powiedział w końcu. – Moja głowa naprawdę nie działa tak, jak kiedyś.

Kilka fotografii zsunęło mu się z kolan.

– Może kiedyś... gdy już nauczę się z powrotem chodzić... przypomnę sobie to wszystko. Przypomnę sobie moją żonę... Wiecie, że jej nie pamiętam, ale pamiętam tego cholernego kota?

– Jakiego kota? – spytał Rozłucki.

– Nie mówiłem wam? Próbowałem ominąć kota, który wybiegł na drogę. To dlatego spowodowałem wypadek. Przez tego głupiego kota zginęła moja żona. Najgorsze jest to, że ja niespecjalnie lubię koty. Nie jestem też żadnym szczególnym miłośnikiem zwierząt. To był odruch. Nie podjąłem tej decyzji w sposób świadomy. Coś we mnie podjęło ją samo, automatycznie. Psycholog mówił, że było to działanie instynktowne, że nie powinienem się za to winić. Wszystko działało się za szybko, dlatego rozum nie zdążył się włączyć i sygnał do ręki wysłały jakieś bardzo stare struktury w mózgu, takie, które ukształtowały się, gdy jeszcze byliśmy zwierzętami. Trwało to sekundę, może nawet mniej. I teraz już wiem, ile dzieli normalny, zwyczajny

dzień od najgorszego dnia w życiu. Jedna sekunda. I nie ma potem odwrotu, nie można tego cofnąć. Ta sekunda niszczy wszystko, zmienia na zawsze ciebie i twoje życie. Nic nie jest już takie jak przedtem. Wszystkie plany, które miałeś – te małe, dotyczące najbliższego dnia, i te wielkie, które obejmowały lata – tracą nagle aktualność. I nikt temu podobno nie jest winny.

## ROZDZIAŁ 61

– Nie powiedział nam, że był na tej wycieczce – powiedziała Karolina. – Chmielewski. Myślisz, że coś ukrywa?

Schodzili w dół z trzeciego piętra. Blok, w którym mieszkał Przegrodzki, był stary, ale klatka schodowa była odnowiona. Na parapetach pod oknami stały obowiązkowe w takich miejscach rachityczne doniczkowe rośliny.

– W sumie nie pytaliśmy go o to – zauważył Rozłucki.

– Ale pytaliśmy go, czy znał dobrze Justynę. A on odpowiedział, że tylko ją widywał. A tu się okazuje, że spędzili razem kilka dni w Krakowie.

– Może chodziło mu o to, że nie byli bliskimi znajomymi? Nie rozmawiali ze sobą, nie żartowali razem. Mógł z nią przecież być na tej wycieczce i nie odezwać się do niej przez cały czas nawet słowem. Zwłaszcza, że byli z różnych klas. Ludzie często operują takimi skrótami myślowymi. Dopiero jak ich dokładnie wypytasz, okazuje się, jak było naprawdę.

– No nie, nie zgadzam się z takim postawieniem sprawy – zaprotestowała Karolina. – Pytanie brzmiało, czy ją dobrze znał. A on był z nią na tej cholernej wycieczce. Przez parę dni chodzili razem, jedli w tych samych miejscach, zwiedzali te same zabytki, jeździli tymi samymi pociągami i spali w tych samych hotelach. Prawidłowa odpowiedź powinna więc brzmieć: „Nie, nie znałem jej zbyt dobrze, ale byliśmy kiedyś wspólnie na wycieczce”. A nie: „Widywałem ją czasami”.

– Pewnie masz rację – zgodził się Rozłucki. – Tylko co to oznacza?

Wyszli przed blok.



– To może oznaczać wszystko – odparła. – Na przykład to, że to on jest poszukiwanym przez nas drugim chłopakiem Justyny.

Rozłucki popatrzył na nią uważnie.

– Bo to on opowiedział nam historię o tajemniczym absztyfikancie? – dokończył za nią. – Wysokim chłopaku z wąsikami czekającym na Justynę na ławce pod blokiem?

– Właśnie. Wiemy o nim tylko od niego. Mógł to wymyślić, by odwrócić uwagę od siebie. Ktoś taki mógł w ogóle nie istnieć. Albo mógł tak powiedzieć specjalnie, by skierować nasze podejrzenia na nauczyciela.

Rozłucki zamyślił się.

– Wyciągnęliśmy ten wniosek na podstawie jednego, jedyne zdjęcia. Nie sądzisz, że to trochę zbyt nikła podstawa?

– Sam mówiłeś, że nie mamy żadnych dowodów. Że próbujemy zrekonstruować wiarygodny psychologicznie obraz wydarzeń – odparła. – Stworzyć historię, która w najbardziej prawdopodobny sposób opisuje to, co się wydarzyło. A to, co powiedziałam, brzmi prawdopodobnie.

Nie mógł się z nią nie zgodzić.

– W każdym razie warto by się było z nim jeszcze raz skontaktować – podsumował. – Może jest w stanie wytłumaczyć nam to wszystko w sposób jeszcze bardziej wiarygodny. A poza tym: był na tej wycieczce, może widział tam coś ciekawego? Nawet jeśli to nie on jest porywaczem, może pamięta z niej jakieś wydarzenie, które może nas do niego doprowadzić.

– Nie odbiera – powiedział. – Abonent czasowo poza zasięgiem.

– Może leci samolotem? – spytała. – Mówił, że wraca do Anglii. Za dwa dni. A my spotkaliśmy się z nim dwa dni temu.

– Cholera – zasępił się Rozłucki. – To sobie z nim już nie pogadamy.

– Jak wyląduje, włączy telefon. Wtedy do niego zadzwonisz.

– To nie to samo. Gdy rozmawiasz z kimś przez telefon, jesteś odcięty od wszystkich tych pozawerbalnych komunikatów, które wysyła w sposób nieuświadomiony każdy człowiek podczas zwyczajnej rozmowy. A te komunikaty mogą być bardzo istotne. Zwłaszcza w przypadku kogoś, kogo podejrzewamy o kłamstwo.

– To może tam polecimy? Londyn to nie koniec świata. Lot trwa niecałe trzy godziny.

– Ale cała wyprawa zajęłaby nam co najmniej dwa dni. Nie mamy tyle czasu. Te dziewczyny tam ciągle gdzieś są. A my nie wiemy nawet, czy nasze podejrzenia są słuszne.

– To co proponujesz?

– Musimy spróbować je jakoś potwierdzić.

– Jak?

– Nie wiem. – Potarł dłonią czoło. – Może jest coś, o czym zapomnieliśmy? Jakiś przeoczony przez nas trop? Informacja, którą ktoś nam przekazał, a my nie zwróciliśmy na nią uwagi albo po prostu zapomnieliśmy o niej, bo za chwilę pojawiło się coś innego, co w tamtej chwili wydawało się ważniejsze i ciekawsze. Na pewno jest coś takiego, jesteśmy amatorami, nie mamy doświadczenia, działamy chaotycznie. Krążymy w tym wszystkim po omacku. Pomyśl, może coś sobie przypomnisz.

Stali na chodniku przed blokiem, w którym mieszkał Przegrodzki, zwróceniu do siebie twarzami, choć niepatrzący na siebie, niczym dwójka zagubionych akwizytorów.

– Lista nauczycieli – powiedziała Karolina. – Parę razy już byliśmy w szkole, by ją zdobyć, i za każdym razem coś odwracało naszą uwagę.

Pokiwał głową.

– Masz rację. Ale to chyba ciągle nie to.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Moglibyśmy odnaleźć tego nauczyciela, który był z nimi wtedy na tej wycieczce w Krakowie. Może on coś zauważył?

– Ten nauczyciel co roku organizował takie wycieczki. Ile ich przeżył? Kilka? Kilkanaście? Myślisz, że zapamiętał szczególnie dobrze tę konkretną? Że pamięta, kim był Arkadiusz Chmielewski i co wtedy robił? Jak nic innego nam nie pozostanie, odnajdziemy go, oczywiście. Ale teraz powinniśmy spróbować znaleźć coś lepszego.

– Ale co?

– Nie wiem. Świadczenie kogoś, dla kogo tamte wydarzenia były jedyne i niepowtarzalne. Jak dla Justyny.

Spojrzała na niego, jakby powiedział coś odkrywczego.

– Właśnie, Justyna... – powiedziała.

– Co, Justyna?

– To jest to, o czym zapomnieliśmy. Zapomnieliśmy o niej. O najważniejszej osobie. Wypytujemy wszystkich, a nie spróbowaliśmy nawet ustalić, jaka jest jej wersja tych wydarzeń.

Uniósł brwi zdziwiony.

– Jak możemy to ustalić? Przecież ona nie żyje.

– Ale jej ojciec twierdzi, że ma gdzieś jej rzeczy. Spakował je w kartony i zniósł do piwnicy bloku, w którym mieszkali. Może tam coś jest? Jakiś pamiętnik, zdjęcia, osobiste notatki? Pamiętasz, mówił nam o tym. Nawet umawialiśmy się, że je kiedyś przejrzymy.

– Tak, tylko że zaraz potem wsadziliśmy go do więzienia.

– Nie do więzienia, tylko do aresztu. Z którego, jak podejrzewam, już dawno wyszedł. Nie sądzę, by trzymali go tam aż do procesu.

– Nawet jeśli, to raczej nam ich teraz nie pokaże.

– A to niby dlaczego?

– Dlaczego?! Bo obwinia nas, zresztą słusznie, o to, co się stało. O to, że żyje teraz z perspektywą odsiadki.

– Założymy się, że go przekonam? Tylko musisz najpierw podjechać do bankomatu.

– Wynoście się! Won mi stąd!

Skóra na twarzy Romana Wasilewskiego nabiegła krwią, gdy tylko ich zobaczył.

– Kapusie! Mendy! Czego jeszcze ode mnie chcecie?! Mało wam, że wsadziliście mnie do pierdła?! – krzyczał, plując przed siebie kropelkami śliny. Był tak rozzłoszczony, że wyszedł przed próg swojego domku, spychając ich w stronę furtki. Było to o tyle dobre, że przynajmniej nie zamknął im od razu drzwi przed nosem, czego obawiał się Rozłucki. Gorsze było to, że wyglądał, jakby za chwilę miał dostać wylewu.

– Spokojnie, panie Romanie. – Karolina sprawiała wrażenie, jakby cała ta eksplozja nagłej furii nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. – Chcielibyśmy panu coś zaproponować. Jeśli pan nas wysłucha, na pewno się pan zgodzi.

– Co wy mi możecie zaproponować? Co wy mi możecie zaproponować?! Chyba, żebym was kopnął w dupę! – Ręce mężczyzny zacisnęły się w pięści. Rozłucki na wszelki wypadek postąpił krok w przód, tak by w razie czego zasłonić Karolinę przed ewentualnym ciosem. Czym oczywiście sam się na taki cios narażał.

Karolina jednak najwyraźniej nie potrzebowała obrony. Sięgnęła do torebki, wyciągnęła z niej zwitek banknotów, po czym rozłożyła je w wachlarz. Pięć profili króla Władysława Jagiełły spojrzało na Wasilewskiego swoimi orlimi spojrzeniami.

– Pięćset złotych – powiedziała. – To jest nasza propozycja. Chcemy w zamian za to obejrzeć rzeczy Justyny.

Król Władysław Jagiełło, pogromca wojsk Zakonu Krzyżackiego spod Grunwaldu, mimo iż umarł ponad pięćset lat temu, zachował najwyraźniej wiele ze swojej władczej charyzmy, bowiem Roman Wasilewski wyraźnie przycichł. Co nie znaczy jednak, że minęła mu cała złość.

– W dupę sobie wsadźcie te swoje pieniądze! – powiedział trochę jednak mniej już pewnie. – Myślicie, że możecie mnie kupić? Won mi stąd! – krzyknął, lecz wciąż wpatrywał się w banknoty.

– Mamy też kontrpropozycję – ciągnęła niezrażona Karolina. – Jeśli się pan nie zgodzi, poprosimy o pomoc naszych znajomych z policji. Pan również ich ostatnio poznał, prawda? – Wasilewski aż sapnął ze złości. – Wówczas też pokaże nam pan te rzeczy, tyle tylko, że nie dostanie pan pieniędzy. Co pan na to?

Wasilewski jeszcze raz sapnął, potem zgrzytnął zębami. Czerwień z jego twarzy zaczęła powoli znikać.

– A o wyrok nie musi się pan martwić – dodała Karolina. – Rozmawiałam z podkomisarzem Sądeckim. Obiecał przedstawić wszystko w jak najkorzystniejszym dla pana świetle. Prawdopodobnie więc sąd orzeknie karę w zawieszeniu. Jeśli oczywiście będzie pan z nami współpracował.

Rozłucki popatrzył na nią z podziwem. Mieszanina przekupstwa, szantażu i zręcznego manipulowania faktami w jej wykonaniu brzmiała bardzo przekonująco. „Gdzie się tego nauczyła?”, pomyślał. „Na studiach dziennikarskich?”

Wasilewski mruknął coś pod nosem i sięgnął po banknoty.

– Niech wam będzie – powiedział. – Ale ja tam nie pojedę. Nie chcę

się w tym znowu babrać. Weźcie se klucz i róbcie, co chcecie. Od klatki wam nie dam, tylko od piwnicy. Będziecie se musieli jakoś poradzić. Pod trójką mieszka taka babcia, co wszystkim otwiera. I tak nie słyszy, co się do niej mówi przez domofon, więc na wszelki wypadek wpuszcza każdego.

Zwinął nabożnie pieniądze i schował je do kieszeni spodni.

– I podrzucicie mnie po drodze do sklepu – powiedział. – Wasi znajomi z policji zabrali mi wszystkie flaszki.

## ROZDZIAŁ 62

Sąsiadka spod trójki rzeczywiście otwierała każdemu. Weszli do środka. Budynek przy ulicy Pana Tadeusza numer 7 był typowym czteropiętrowym blokiem z lat sześćdziesiątych. Wąskie schody, ciemna, choć schludna klatka schodowa i unosząca się w powietrzu subtelna, lecz wyraźnie wyczuwalna woń starych ludzi, którzy wprowadzili się tu zapewne w młodości, gdy blok był nowo zbudowany i zestarzelili się wraz z nim, tworzyły razem świetnie dopasowaną całość.

Zejście do piwnic było z lewej strony, tuż za wiszącymi na ścianie skrzynkami na listy.

Rozłucki ruszył przodem. Zszedł kilka stopni w dół i stanął przed białymi, odrapanymi drzwiami. Większy z dwóch kluczy przekazanych im przez Wasilewskiego pasował do zamka. Przekręcił go, nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Owionął go wilgotny, piwniczny i wcale nie taki nieprzyjemny zapach. Woń od dzieciństwa kojarząca mu się z ziemniakami, słoikami na półkach i tajemnicą. Tajemnicą, z którą dziś miał szansę rzeczywiście się zetknąć.

Wyciągnął rękę i wymacał w ciemności włącznik światła. Był z lewej strony, tuż za drzwiami. Przekręcił bakelitowe pokrętło. Piwnicę zalało jasne światło z wiszących u sufitu zakratowanych lamp.

Karolina stanęła tuż za nim.

– Jaki numer? – spytała.

Pokazał jej duży, drewniany brelok z napisaną niebieskim flamastrem cyfrą. Przed nimi, na ścianie z białych, przybrudzonych cegieł namalowane były czarną farbą numery piwnic oraz strzałki pokazujące kierunki, w których należało ich szukać.

– W prawo – powiedział.

Ruszyli wąskim korytarzem. Po jego obu stronach były drzwi do komórek z wymalowanymi na nich taką samą czarną farbą numerami. Na końcu korytarza, tuż przy małym, brudnym i pokrytym pajęczynami okienku, znaleźli numer, którego szukali.

– To tu – powiedział. Stała obok niego.

Drzwi były drewniane, ażurowe, zbite z wąskich deszczulek, między którymi były kilkucentymetrowe szpary. Zamknięte były na dużą, metalową, pordzewiałą kłódkę.

Wziął w palce mniejszy z dwóch wiszących przy breloku kluczy i włożył go do otworu w kłódce. Spróbował przekręcić.

Nic.

Chwytał mocno drugą dłonią kłódkę i jeszcze raz napałł palcami na klucz. Wyczuł, jak metal, z którego jest wykonany, skręca się, lecz mechanizm nie miał zamiaru ustąpić.

– Cholera – powiedział. – Dawno nikt jej nie otwierał.

Stał bokiem do drzwi i oparł się o nie ramieniem, by mieć pewniejszy chwyt. Spróbował ponownie. Bez rezultatu.

– Szlag by to trafił – powiedział. – Ani drgnie.

– Spróbuj mocniej – powiedziała. – Nie jadłeś śniadania?

– Nie mogę mocniej – odpowiedział poirytowany. – Jeszcze chwila i klucz pęknie. Trzeba by wezwać kogoś z administracji.

– Daj. – Odsunęła go od drzwi. – Będzie mi tu od razu administrację wzywał!

Zacząła grzebać w torebce. Po chwili wyciągnęła z niej mały pojemnik z napisem WD-40.

– Skąd ty, u diabła, masz coś takiego? – spytał zdumiony.

Machnęła ręką.



– Kiedyś wynajmowałam mieszkanie w starej kamienicy na Pradze. Tam zamki ciągle się zacinały. To było jakieś trzy lata temu, ale jakoś do tej pory nie udało mi się tego pozbyć. Do kobiecej torebki łatwiej coś włożyć, niż to potem wyrzucić, nie wiedziałaś? Mam nadzieję, że to dziadostwo jeszcze działa – mruknęła.

Potrząsnęła energicznie pojemnikiem i wstrzyknęła jego zawartość w otwór kłódki. Oczekała chwilę, po czym włożyła ponownie klucz i delikatnie zaczęła go przekręcać. Po którejś próbie mechanizm ustąpił.

– Proszę bardzo – powiedziała, zdejmując kłódkę. – A ten chciał administrację wzywać...

Pociągnęła za drzwi. Ustąpiły nie bez oporu, szurając dolnymi krawędziami deszczulek o podłogę.

Za nimi znajdował się kolejny włącznik światła, po przekręceniu którego wisząca u sufitu przykurzona żarówka rozjarzyła się nikłym blaskiem. Całe niewielkie pomieszczenie zastawione było kartonami i zawalone związanymi za uszy plastikowymi torbami z supermarketów. Pod nimi widać było jakieś meble, jakiś stary, składany rower, jakieś dziecięce sanki, lecz zdaje się, że stanowiło to starszą warstwę tego archeologicznego znaleziska.

Widok tych sanek jakoś szczególnie podziałał na Rozłuckiego. Poczuł ścisnięcie w dołku.

– Myślisz, że na nich jeździła? Na tych sankach? – spytał.

Karolina spojrzała na niego zdziwiona.

– A kto miał jeździć? Ona i jej brat. Przecież nie stary.

Też miał takie sanki. Metalowe, z drewnianym siedzeniem. Kiedyś przewrócił się na nich i rozciął głowę o niewidoczny pod śniegiem kamień. Ojciec, który go ciągnął, był wtedy pijany.

– Co tak stoisz? – fuknęła. – Musimy to przejrzeć. Do roboty.

Zaczęła rozwiązywać pierwszą z toreb. On zabrał się za kolejną.

– Czego szukamy? – spytała.

– Nie wiem. Czegoś. Zdjęcia, pamiątnika, pudełka ze skarbami.

Przedmiotu, który może nam coś opowiedzieć.

W torbach, które przeglądali, były prawie wyłącznie ubrania. Dziewczęce bluzki, džinsy nieznanych, a więc zapewne tanich marek, sweterki, czapki i szaliki. Rozłuckiemu trafił się nawet stanik. W innych torbach były kurtki, w jeszcze innych pościel, a w jeszcze innych buty. Wszystko stare, stęchłe, częściowo pogryzione przez mole, zeszywniałe od długiego leżenia w torbach i nieużywania. Przypominało to rzeczy, jakie pozostały po ofiarach Oświęcimia, które widział kiedyś podczas wizyty w tamtejszym muzeum.

Gdy przejrzeni już i odłożyli na bok wszystkie torby, przyszedł czas na kartony. W pierwszym były książki, w większości należące do literatury młodzieżowej, w tym między innymi cała seria *Ani z Zielonego Wzgórza*. W drugim były podręczniki i zeszyty z liceum. Rozłucki próbował przeglądać te ostatnie, mając nadzieję, że znajdzie tam jakieś odręczne osobiste notatki, jakieś rysunki, które on sam, jak pamiętał, robił na okładkach i marginesach, ale nic takiego tam nie było. Zeszyty prowadzone były wzorowo, jak na dobrą uczennicę przystało. Oceny, które wpisywali do nich nauczyciele, także nie były najgorsze.

W trzecim kartonie były rzeczy bardziej osobiste: pamiątki z różnych wycieczek, z czasów nad morzem, z wizyty w Zakopanem. Długopis w kształcie ciupagi, szklana kula ze znajdującym się w środku rybackim kutrem i napisem „Ustka”, mała drewniana figurka żubra z Białowieży.

Był tam też pusty flakonik po perfumach. Wziął go do ręki. Czy to te

perfumy podarował Justynie Darek Jakubiec? Zdjął zatyczkę i powąchał. Woń była jeszcze wyczuwalna i coś mu przypominała. Spojrzał na napis – „Masumi”. Czy jego matka nie miała kiedyś takich? Poczuł, jak coś chwyta go za gardło. On też kiedyś, tak jak ojciec Justyny, pakował w worki i kartony rzeczy pozostałe po swoich bliskich. Najpierw po matce i ojcu, potem po siostrze. Tylko że on nie schował ich do piwnicy, ale wyrzucił na śmietnik.

W kolejnym kartonie były głównie zdjęcia i albumy ze zdjęciami. Zaczęli je wspólnie przeglądać. Nie było ich znowu aż tak dużo. Kiedyś nie robiło się tylu zdjęć, co teraz. W większości przedstawiały sytuacje rodzinne, z czasów, gdy dzieci były jeszcze małe, a ich rodzice młodzi. Wyjął z albumu jedno z nich. Justyna z bratem na sankach. Tych samych, które teraz poobijane i obdrapane wystawały częściowo spod kartonów. Z tyłu, za nimi, matka i ojciec. Matka w kozuszkach, ojciec w palcie z futrzanym kołnierzem i czapce z norek. Wszyscy poważni, wręcz smutni, choć okoliczności zrobienia fotografii wydawałyby się raczej wesołe.

W następnym albumie były już zdjęcia Justyny ze szkoły. Najpierw z podstawówki, potem z liceum. Na początku zdjęcia klasowe, z uczniami stojącymi w rzędach i wychowawcą pośrodku, później bardziej indywidualnie. Na żadnym z nich nie było jednak młodego Jakubca.

– I co? – powiedziała Karolina. – Na razie nic?

– Jeszcze nam trochę zostało – odpowiedział. – Gdzieś musi być ten mityczny pamiętnik. Przecież wszystkie dorastające dziewczęta go prowadzą.

– Ja nie prowadziłam – odparła. – Zaczęłam, ale starczyło mi cierpliwości tylko na pierwszą stronę. A ona, coraz bardziej to czuję,

była podobna do mnie.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wydaje ci się tak tylko. Zaczynasz się z nią utożsamiać. Przypisujesz jej swoje myśli i uczucia. To wcale nie musi być prawda.

– Co ty tam wiesz. Była do mnie podobna i tyle.

Kolejny karton stał pod samym prawie stropem piwnicy. Żeby go zdjąć, Rozłucki musiał wejść na sanki. Ściągnął go, wycierając przy okazji rękawem kurze z całej najbliższej okolicy.

– Cholera! – zaklął, bo zranił sobie rękę o wystający ze ściany gwóźdź. Położył pudło na ziemi, po czym przytknął dłoń do ust i zaczął ssać ranę.

– Będiesz żył? – spytała z ironią w głosie. – Czy wezwać administrację?

Spojrzał na nią ze złością. Gdyby nie to, że trzymał własną łapę w ustach, powiedziałby jej coś do słuchu. Jeśli oczywiście udałoby mu się wymyślić odpowiednio ciętą ripostę przed zachodem słońca.

Karolina tymczasem kucnęła i zabrała się za przeglądanie zawartości kartonu, który z narażeniem zdrowia ściągnął właśnie na ziemię. Zaprzestał wysysania ranki i przykucnął obok niej.

– Co my tu mamy? – powiedziała ni to do niego, ni to do siebie. – Zobaczmy.

W środku były głównie papiery: zaproszenie na studniówkę, kilka świadectw szkolnych, trzy legitymacje z coraz bardziej dojrzałymi zdjęciami, zbiór luźnych kartek z notatkami z języka angielskiego, testy do pisemnej części egzaminu na prawo jazdy. Pod tym wszystkim było jednak coś jeszcze – nieduże kartonowe pudełko po butach.

– Pudełko w pudełku – powiedziała Karolina. – No, no... Coś mi mówi, że nasz skarb musi być ukryty właśnie tutaj.

Wyjęła je i otworzyła. W środku były listy. Spojrzeli na siebie. Czegoś takiego dokładnie szukali.

Łapczywie rzuciła się do przeglądania ich zawartości.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponował. – W tym świetle mało co widać.

Wydawała się go nie słyszeć. Brała w ręce kolejne koperty, sprawdzała ich nadawcę, czytała pobieżnie początek, po czym odrzucała na ziemię jako nie warte uwagi. Wyjął telefon, by przyświecić jej chociaż w ten sposób.

– Od jakiejś dziewczyny – informowała. – Poznały się na koloniach. Cztery listy. Pewnie potem im się znudziło. Z 1987.

Na ziemię.

– Od koleżanki z podstawówki, Wioletty. Wyjechała z rodzicami do Niemiec. Siedem listów.

Na ziemię.

– Jakiś kuzyn. Z Wrocławia. Ich rodziny spędzały wspólnie wakacje nad morzem. Chyba trochę się w niej kochał. Mieli wtedy – sprawdziła – po trzynaście lat. Pięć listów. W ostatnim pyta, dlaczego Justyna nie odpisuje.

Na ziemię.

Rozłuckiemu ścierpły nogi. Przyklęknął na jedno kolano, ryzykując zabrudzenie spodni.

– Jakies pocztówki, widokówki – kontynuowała – głównie od koleżanek, babć i dziadków – pewnie już nie żyją. Nic ciekawego. O, tu jest coś! – Wzięła w dłonie paczkę listów ściśniętych gumką, która zresztą przy pierwszej próbie wyjęcia jednej z kopert pękła ze starości.

Koperta była biała, prosta, pozbawiona kolorowych nadruków przedstawiających kwiaty czy biegnące konie, jak te, w które wkładały

swoje listy koleżanki Justyny. Pismo, którym wypisany był adres, również nie należało z pewnością do dziewczyny.

– Nie ma nadawcy – powiedziała Karolina. – A pieczętka na znaczku jest z Olsztyna. Czyli to ktoś stąd.

Wyjęła list z koperty. Pismo było równe, staranne. Nagłówek: „Najukochańsza Justynko” – odrobinę większy niż reszta.

– List miłosny – powiedziała Karolina. – O coś takiego nam chyba chodziło, prawda?

## ROZDZIAŁ 63

Zaczęła czytać na głos:

„Najukochańsza Justynko, serce mi pęka, ilekroć Cię widzę. Dlaczego zachowujesz się, jakbyś mnie nie dostrzegła, jakbym był powietrzem, którym nawet nie masz już ochoty oddychać? Czyżby ten wieczór w Krakowie był snem? Czyżby nic między nami wtedy nie zaszło? Odezwij się chociaż, spójrz na mnie, daj mi znak, że tamta noc i ta nasza rozmowa wydarzyły się naprawdę. Do dzisiaj czuję smak Twoich warg. Wiem, że byłaś pijana i że pewnie tylko dlatego pozwoliłaś mi się pocałować, ale wiem też, że byłaś wtedy szczerą i że wszystko, co mówiłaś, było prawdą. To tam, siedząc na tych schodach na ostatnim piętrze i płacząc, przy wejściu na dach, którego nie udało Ci się otworzyć, by rzucić się, jak mówiłaś, w otchłań, byłaś prawdziwa, nie teraz. Błogosławię ten płacz, bo dzięki niemu Cię wtedy znalazłem. Pamiętasz? Wszyscy już spali. Tylko ja nie mogłem zasnąć, bo myślałem o Tobie. Wszedłem na korytarz, by pójść pod Twój pokój i chociaż posłuchać Twojego oddechu. I wtedy usłyszałem ten płacz. Wróc do mnie taka, jaką byłaś wtedy, proszę Cię, błagam o to. Czyż nie jest największym okrucieństwem dać umierającemu z pragnienia skosztować wody tylko po to, by za chwilę wytrącić mu szklanekę z rąk? Jeśli się wstydzisz tego, co mi wtedy wyznałaś, wiedz, że czynisz to niepotrzebnie. Kocham Cię teraz jeszcze bardziej niż przedtem, jeszcze bardziej. Nie obchodzi mnie, co robiłaś wcześniej, nie obchodzi mnie on ani ci wszyscy ludzie. Liczy się tylko to, że chcesz od tego uciec i proszę

Cię – ucieknij razem ze mną. Wszystko obmyśliłem i przygotowałem. Wystarczy, że się zgodzisz. Wyjedziemy do Anglii, do Londynu, mówiłaś przecież, że zawsze chciałaś stąd wyjechać, wyrwać się z tego miasta i z tego kraju, zobaczyć, jak wygląda prawdziwy świat i prawdziwe życie. Możemy to zrobić razem i jest to prostsze, niż Ci się wydaje. Kościół Metodystyczny organizuje w Londynie letnie kursy języka angielskiego. Zapisalem nas na taki kurs. Musiałem skłamać, że jesteś chora i nie możesz przyjść. To dlatego nie mogłaś ostatnio znaleźć legitymacji, pamiętasz? To ja ją wziąłem i podrzuciłem następnego dnia w szatni, żeby wyglądało, że tam Ci wypadła. Ten kurs jest zupełnie za darmo, wystarczy tylko, że na miejscu uczęszcza się na ich nauki. Jakoś to wytrzymamy, zresztą dla mnie i tak jedyną religią jest miłość do Ciebie. Poza tym nie musimy przecież wcale na nie chodzić, możemy tam pojechać i uciec od razu, pierwszego dnia. Znajdziemy jakąś pracę, wynajmiemy mieszkanie i zaczniemy nowe życie. Zapomnimy o wszystkim, co się wydarzyło wcześniej. Tylko musisz się zgodzić, musisz dać mi znak. Będę czekał cierpliwie, wiesz, gdzie mnie szukać. Wystarczy, że spojrzysz, skiniesz ręką, zagwiżdżesz – za chwilę będę przy Tobie. Już ten Twój gest, sam Twój widok wystarczy, bym był szczęśliwy. Lecz Ty możesz dać mi szczęście jeszcze większe, szczęście niewyobrażalne. Szczęście, które nie byłoby, jak to, które teraz odczuwam patrząc na Ciebie, jednocześnie torturą. Mi szczęście, a sobie wolność. Wolność i spokój. Nie ten, o którym mi mówiłaś, spokój śmierci. Naprawdę, nie musisz uciekać aż tak daleko. Są znacznie bliżej nasze Wyspy Szczęśliwe. Pamiętasz wiersz Gałczyńskiego, który recytowałem Ci na schodach?

A ty mnie na wyspy szczęśliwe zawieź,



wiatrem łagodnym włosy jak kwiaty rozwiej, zacałuj,  
ty mnie ukołysz i uśpij, snem muzykalnym zasyp,  
otumań,  
we śnie na wyspach szczęśliwych nie przebudź  
ze snu...

Pozwól mi się tam zaprowadzić. Daj sobie i mi szansę. Nikt nie kocha Ciebie tak jak ja. Poświęcę się dla Ciebie cały, roztopię się, unieważnię, byś tylko była szczęśliwa. Jeśli będzie trzeba, stąpię, jak Orfeusz, do piekła. Tylko się zgódź. Twoje szczęście i moje jest teraz w Twoich rękach, zależy od jednej Twojej decyzji. Podejmij ją, proszę.

Twój zawsze i na wieki,

A.”

Skończyła czytać. Umilkła. Widać było, że jest poruszona, głos pod koniec łamał jej się i odmawiał posłuszeństwa. Spojrzała na Rozłuckiego.

– Nigdy nie dostałam takiego listu – powiedziała. Nad jej dolnymi powiekami zebrały się łzy, gotowe w każdej chwili spłynąć po policzkach.

– Ty? – zdziwił się. – Mówiłaś przecież, że wszyscy się w tobie kochali.

– Ale nikt mnie tak nie kochał. I nie potrafił tak pięknie mówić. A ty, napisałeś kiedyś taki list?

– Tak – odpowiedział. – W każdym razie podobny. Bez propozycji ucieczki za granicę kraju, rzecz jasna. I też zdaje się w liceum.

– I co? Co ona na to?

– Nic. Też udawała, że mnie nie dostrzega. Teraz ma trójkę dzieci, jest gruba i wygląda starzej ode mnie.

– Dobrze jej tak. Głupia baba.

Pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni. Sięgnęła po pozostałe listy. Było ich jeszcze cztery. Wszystkie w takich samych kopertach i podpisane tym samym inicjałem.

– Te są wcześniejsze – powiedziała, gdy już przebiegła wzrokiem ich treść. – Sprzed wycieczki. Bardzo romantyczne, lecz w sumie nie ma w nich nic ciekawego. Wyznania miłości i takie tam.

Pociągnęła jeszcze raz nosem. Wstała z kolan. Podniósł się wraz z nią.

– „A.” – powiedziała. – Myślisz o tym samym, co ja?

– Arkadiusz Chmielewski – dopowiedział. – Był tam wtedy. Na tej wycieczce. I nie powiedział nam o tym.

– I wyjechał po wszystkim do Anglii. Wszystko się zgadza.

– Nie wszystko – zaoponował. – Nie było go w Polsce w czasie porwania. Przyleciał z Londynu dopiero później. Sami odbieraliśmy go z lotniska.

– Skąd wiesz, że go nie było? Mógł przylecieć wcześniej, a potem wrócić. Samoloty tanich linii kursują między Warszawą a Londynem jak tramwaje. To niecałe trzy godziny lotu. Tyle co pociągiem z Warszawy do Krakowa.

Spojrzeli na siebie. Łzy w kącikach jej oczu już wyschły.

– Myślisz, że to on jest naszym porywaczem? – spytał.

– Na to wygląda – odpowiedziała. – Wszystko się zgadza – powtórzyła raz jeszcze.

Przeciągnął dłonią po włosach.

– Dzwon do naszego podkomisarza – powiedział. – Niech sprawdzi, czy Chmielewski ma jakiś dom albo działkę. Może gospodarstwo na wsi po dziadkach lub domek letniskowy nad jeziorem. Jeśli znajdzie coś takiego...

– ...to tam właśnie mogą być porwane dziewczyny – dokończyła za niego. – Lub ich zwłoki – dodała po chwili. – Skoro wyjeżdżał...

Poczuł, jak skóra cierpnie mu na karku.

– Niekoniecznie – rzucił szybko. – Jest ciepło. Jeśli zostawił im jedzenie i picie, to niekoniecznie. Mój wujek robił tak z psami. Potrafiły wytrzymać nawet tydzień.

Zrozumiał niestosowność tego porównania.

– W każdym razie, dzwoni. Im szybciej, tym lepiej.

– I znowu głupek się przyda – powiedziała. – Miałeś rację.

## ROZDZIAŁ 64

Czekali w samochodzie. Telefon w końcu oddzwonił. Bardzo dobrze, bo Rozłucki zdążył już sobie paznokciem palca wskazującego wydrapać w kciuku niewielką ranę. Zawsze tak robił, gdy był zdenerwowany.

– I co? – spytał, gdy już skończyła rozmawiać.

– Jest. – Spojrzała na niego. Oczy jej błyszczały. – Arkadiusz Chmielewski ma dom na osiedlu Dajtki. Betonowy klocek z lat osiemdziesiątych. Z dużą piwnicą i garażem. Takie się wtedy budowało.

– To daleko stąd?

– Jakieś dwadzieścia minut drogi. Tyle samo mniej więcej ma policja. Sądecki już tam jedzie.

Ruszyła z piskiem opon.

– Jest jeszcze coś – powiedziała.

– Co?

– Arkadiusz Chmielewski bywał w tym roku dość często w Polsce. Ostatni raz akurat wtedy, gdy porwano dziewczyny.

Pędzili na złamanie karku. Zatrzymywały ich jedynie światła lub jadący lewym pasem kierowcy, których Karolina nieodmiennie nazywała „debilami”. Szeroka, dwupasmowa ulica, widać, że niedawno oddana do użytku, pozwoliła im ominąć centrum. Po dwudziestu dwóch minutach byli na miejscu. Duży, kwadratowy dom z płaskim dachem, obłożony betonowym, przybrudzonym, szarym tynkiem stał na rogu dwóch osiedlowych uliczek. Przy schodkach prowadzących do jego wejścia rósł wysoki, sięgający pierwszego, piętra kwitnący krzak jaśminu. Jego oszałamiający zapach uderzył ich w nozdrza, gdy tylko wysiedli z samochodu.

Sądeckiego jeszcze nie było. Karolina rzuciła się do furtki.

– Poczekaj. – Chwycił ją za rękę. – Musimy poczekać na policję. Jak chcesz tam wejść?

Radiowóz zajechał po paru minutach.

– Cholerne korki! – wysapał podkomisarz, gdy już wygramolił się z samochodu. – Kiedyś w Olsztynie ich nie było. Czy już naprawdę wszyscy mają samochody? Nawet kogut czasami nie pomaga. To tu?

Razem z nim z radiowozu wysiadł jeszcze jeden policjant. Ten dla odmiany był w mundurze.

– Przyjechaliście tylko we dwóch? – zdziwiła się Karolina.

– Po naszych ostatnich doświadczeniach ze staruszkim-przemytnikiem wolałem nie ściągać tu całej komendy. Tym bardziej że, jak twierdziłaś, ewentualny porywacz jest teraz w Londynie.

– Ale jak... jak chcecie się tam dostać? Wyważycie drzwi?

Sądecki wyciągnął z kieszeni pęk wytrychów.

– Stary dom, stare zamki. Nie powinno być problemów.

– Ciekawe... – mruknął do siebie Rozłucki, który wykorzystał oczekiwanie na policję, by dokładnie przyjrzeć się budynkowi.

– Co jest takiego ciekawego? – zainteresował się podkomisarz.

– Piwnica jest na poziomie ziemi. Okna są zakratowane, ale nie przesłonięte. Od biedy można przez nie zajrzeć do środka. Jeśli on rzeczywiście je tu gdzieś trzyma, musiał zbudować jakieś wewnętrzne pomieszczenie.

– Nie dowiemy się, póki tam nie wejdziemy. – Karolina najwyraźniej miała już dość czekania. – Ruszcie tyłki i otwórzcie wreszcie tę cholerną furtkę!

– Na początek jednak zadzwonimy – odpowiedział spokojnie Sądecki. – Tak nakazują procedury oraz zdrowy rozsądek.

Wcisnął przycisk domofonu. Rozległ się charakterystyczny elektryczny brzęczyk.

– Dobra, nikogo tam nie ma. Mówiłam ci przecież. – Karolina była coraz bardziej zniecierpliwiona. – Weź te swoje zabawki i zrób z nich wreszcie użytek!

– Słucham? – rozległ się głos z głośnika przy furtce.

Karolina spojrzała na niego zaskoczona. Podkomisarz Sądecki westchnął, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”, i nachylił twarz bliżej kostki domofonu.

– Pan Arkadiusz Chmielewski? – spytał.

– Tak, a o co chodzi?

– Policja. Moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

– Tak, oczywiście – w głosie dobiegającym z głośnika można było usłyszeć zdziwienie. – Już otwieram.

Furtka szczęknęła, sygnalizując możliwość otwarcia. Podkomisarz pchnął ją i wszedł na teren posesji. Ruszyli za nim.

Po chwili drzwi do domu otworzyły się. Stał w nich Arkadiusz Chmielewski we własnej osobie. Gdy dojrzał Karolinę i Rozłuckiego, zdziwił się jeszcze bardziej.

– Tak?

– Podkomisarz Rafał Sądecki z Wojewódzkiej Komendy Policji w Olsztynie – przedstawił się policjant. Odgarnął połę skórzanej kurtki tak, żeby było widać wiszącą u jego pasa kaburę z bronią. Pan podkomisarz najwidoczniej nie tylko był policjantem, ale również grał policjanta. – Możemy wejść? – spytał.

– A o co chodzi? – Chmielewski wydawał się nie mieć najmniejszego pojęcia, co jest grane.

– Chcielibyśmy obejrzeć pana dom.

– Mój dom? – Brwi Chmielewskiego powędrowały w górę. – Szczerze mówiąc, niewiele jest w nim do oglądania. Dwa dni temu go sprzedałem. Większość rzeczy jest już albo na śmietniku, albo w drodze do Anglii, albo porozdawana po rodzinie i znajomych.

– Mimo to chcielibyśmy go obejrzeć.

– Dobrze, oczywiście. – Chmielewski cofnął się w głąb korytarza. – Chwileczkę – znowu postąpił krok do przodu – a nie potrzebujecie przypadkiem jakiegoś nakazu?

– Nie, nie potrzebujemy – odpowiedział policjant. – Dostaliśmy zgłoszenie o możliwości bezpośredniego zagrożenia życia. W takim przypadku nie potrzeba nakazu rewizji.

– Bezpośredniego zagrożenia życia? – Arkadiusz Chmielewski wydawał się być bezbrzeżnie i szczerze zdumiony. – W moim domu?!

– Z tego, co pan mówi, już nie w pańskim. Można?

Podkomisarz Sądecki odsunął byłego właściciela ramieniem i wkroczył do środka. Tuż za nim wszedł policjant w mundurze.

– No dobrze, a co wy tu robicie? – spytał Chmielewski, gdy przechodziła obok niego Karolina.

– To mój były chłopak – odparła, wskazując plecy policjanta, tak jakby to wyjaśniało sprawę.

Dom rzeczywiście był prawie pusty. Z mebli zostały już tylko te, które najwyraźniej nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Krzywy i porysowany stolik w przedpokoju, szafki w kuchni, zbyt stare i zbyt zniszczone, by je gdzieś przenosić. Oprócz nich ostatnią wartość na tym opuszczanym posterunku pełniły jeszcze pojedyncze, zapomniane przedmioty: zszarzały kilim na ścianie w przedpokoju, kilka zakurzonych ozdób wiszących na poręczy przy schodach na piętro, zielony, ceramiczny żyrandol leżący przy ścianie, najpierw zdjęty, lecz

później najwidoczniej uznany za niegodny zabrania.

Podkomisarz Sądecki i towarzyszący mu policjant w mundurze ruszyli na obchód domu. Szybko i sprawnie przeglądali kolejne pomieszczenia, sprawdzając, czy nie ma w nich niczego podejrzanego. Karolina, Rozłucki i Chmielewski zostali sami w dość dużym holu, z którego rozpościerał się widok na kuchnię i dwa pokoje.

– Możecie mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – spytał Chmielewski.

– Miał pan być, zdaje się, już w Anglii – odpowiedział pytaniem na pytanie Rozłucki. – Gdy się spotkaliśmy, mówił pan, że wylatuje za dwa dni. Dziś jest już trzeci. Co się stało?

– Musiałem przebukować lot – odparł Chmielewski. – Nie zdążyłem wszystkiego załatwić. Sprzedaż domu to nie taka prosta sprawa.

– Dzwoniliśmy do pana, ale telefon był poza zasięgiem. Myśleliśmy, że jest pan w samolocie.

– Musiałem coś robić w piwnicy. Pewnie dlatego.

Karolina i Rozłucki spojrzeli na siebie.

– A co takiego robił pan w piwnicy?

– Nie wiem, sprzątałem, pakowałem...

Na schodach prowadzących z pierwszego piętra dały się słyszeć kroki.

– Góra czysta – powiedział podkomisarz. – Pierwsze piętro też.

– Pora zstąpić do otchłani. Jak Orfeusz – powiedział Rozłucki.



## ROZDZIAŁ 65

– No dobrze, spytam w takim razie jeszcze raz: o co tu chodzi? – W głosie Chmielewskiego dało się słyszeć zniecierpliwienie.

– Tu jest zejście do piwnicy, prawda? – podkomisarz zignorował zupełnie to pytanie.

– Tak – machinalnie odpowiedział Chmielewski. Drewniane, sosnowe drzwi znajdowały się pod schodami wiodącymi na piętro. – Może chociaż wy mi to powiecie? – zwrócił się do Karoliny i Rozłuckiego.

Podkomisarz schodził już po schodach w dół. Drugi policjant został na górze i dyskretnie zagroził Chmielewskiemu drogę ucieczki.

– Szukamy dwóch zaginionych dziewcząt – odpowiedział Rozłucki. – Jedna z nich jest córką Dariusza Jakubca.

– U mnie?! – zdziwienie Arkadiusza Chmielewskiego wydawało się bezbrzeżne. „Czy można było to zagrać aż tak wiarygodnie?“, pomyślał Rozłucki. Wiedział, że można, lecz mimo to zasiało to w jego głowie wątpliwość. Wiedział też jednak, że tego typu reakcje działają na odbiorcę nawet, gdy wie on, że są nieszczerze. Tak po prostu skonstruowany jest ludzki umysł. Doprawdy, wiedza psychologiczna czasami bardziej przeszkadza, niż pomaga.

– Ale dlaczego u mnie...? – spytał raz jeszcze Chmielewski, patrząc to na Rozłuckiego, to na Karolinę.

Rozłucki jednak nie miał ochoty mu na to odpowiadać. Jedyne, na co miał teraz ochotę, to być tam na dole, w piwnicy. Ruszył w kierunku otwartych sosnowych drzwi.

– Zaczekaj! – Chmielewski chwycił go za ramię. Karolina już

schodziła po schodach. – Dlaczego u mnie? Co ja, na litość boską, mogę mieć z tym wspólnego?!

Wrodzona uprzejmość oraz nigdy nieprzezwyciężony brak asertywności spowodowały, że Rozłucki jednak został. Choć być może wpływ na to mogło mieć i to, że coraz mniej wierzył, że cokolwiek tam na dole znajdują.

– Podejrzewamy, że mógł pan je porwać – powiedział. I dopiero w momencie, gdy wypowiedział to zdanie, poczuł, jak bardzo jest absurdalne.

– Ja?! Ale po co? – Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Rozłuckiego z dziecięcym niemalże zdziwieniem.

– Żeby zemścić się za śmierć Justyny. W której się pan skrycie kochał – brnął dalej Rozłucki, lecz coraz bardziej wstydził się tego, co mówił.

– Żeby zemścić się za śmierć Justyny? – powtórzył Chmielewski, jakby nie do końca zrozumiał. – W której się skrycie kochałem?

– Dotarliśmy do zdjęć z pewnej wycieczki do Krakowa. Był pan na tej wycieczce razem z Justyną.

– I to jest dowód na to, że kogoś porwałem?

– Nie, ale nie powiedział nam pan o tym. Pytaliśmy pana, czy znał pan dobrze Justynę, a pan powiedział, że tylko ją widywał i że mieliście tego samego instruktora na kursie prawa jazdy.

– Bo to prawda.

– Ale o wycieczce nie wspomniał pan ani słowem. Dlaczego?

Karolina i podkomisarz wrócili na górę. Nie wyglądało na to, by coś znaleźli.

Chmielewski spojrzał na nich skonfundowany. Właśnie, skonfundowany, pomyślał Rozłucki. Nie przestraszony czy przerażony,

lecz raczej zawstydzony. Nie jak ktoś, kogo zbrodnia została przed chwilą wykryta, raczej jak ktoś przyłapany na mijaniu się z prawdą.

– Nie wiem – powiedział. – Może faktycznie się w niej wtedy kochałem.

– To dlaczego nam pan o tym nie powiedział?

– Bo... – Odwrócił wzrok. – Bo chyba się tego trochę wstydę. To było takie... szczeniackie, niedojrzałe. Zrobiłem z siebie przy tej okazji parę razy głupka. Ona mnie wyśmiała, wtedy, przy wszystkich. Wiem, że to głupie, minęło w końcu dwadzieścia lat, ale ciągle jak sobie o tym przypomnę, mam ochotę zapaść się pod ziemię. Nawet teraz.

Podkomisarz uważnie przysłuchiwał się temu, co mówi.

– Był pan w Polsce w czasie, gdy porwano te dwie dziewczyny – powiedział surowo. – Sprawdziliśmy to. To poważna poszlaka.

– Byłem, bo sprzedawałem dom. – Chmielewski rozłożył ramiona. – To nie takie proste, zwłaszcza jak się mieszka w innym kraju. Przylatywałem tu parę razy. Ojciec umarł, matka przeprowadziła się do nas, do Anglii, żeby nie być sama i żeby nam pomóc przy dzieciach. Dom stał pusty. Trzeba go było sprzedać – powiedział, jakby się usprawiedliwiał.

– Znaleźliśmy też list – powiedział Rozłucki. – List miłosny, w którym ktoś podpisany inicjałem „A.”, wyznaje miłość Justynie i proponuje jej wspólną ucieczkę do Anglii. Pan wyjechał wkrótce potem do Anglii, prawda?

– Nie wkrótce, ale dwa lata potem. I nie napisałem, na litość boską, żadnego listu! To znaczy napisałem, nawet kilka, ale nigdy żadnego nie wysłałem.

– W liście jest wspomniana pewna rozmowa, którą odbył jego autor z Justyną podczas noclegu w Krakowie. Na schodach, wieczorem, gdy już

wszyscy spali, na ostatnim piętrze hotelu czy też schroniska młodzieżowego. To wtedy pana wyśmiała?

Twarz Chmielewskiego rozjaśniła się.

– I to jest właśnie dowód na to, że to nie mogłem być ja! – prawie wykrzyknął. – Upiłem się wtedy strasznie, mam na to świadków. Musieli to zapamiętać, bo była z tego powodu wielka awantura. Po tym, jak mnie wyśmiała, ale przy wszystkich, nie na jakichś schodach, chciałem się jakoś, czy ja wiem, zrehabilitować w oczach innych, zagłuszyć tamten swój wstyd. Założyłem się z jednym chłopakiem z jej klasy, że wypiję duszkiem półlitrowkę wódki. Doszedłem do połowy i z wymiotowałem. Całe szczęście zresztą, bo pewnie bym już nie żył. Zarzygałem sobie spodnie i buty, a wkrótce potem urwał mi się film. Musieli mnie potem rozebrać i zanieść do pokoju. Wszyscy to potwierdzą, ten nauczyciel, który z nami tam wtedy był, na pewno to pamięta, bo miał z tego powodu potem spore nieprzyjemności. Że dopuścił na swojej wycieczce do takich zachowań. Ja zresztą też, miałem przez to obniżoną ocenę ze sprawowania na świadectwie maturalnym. Moi rodzice byli wzywani. Nie mogłem rozmawiać wtedy z Justyną, bo leżałem nieprzytomny.

– Ten nauczyciel, jak się nazywał? – spytał podkomisarz.

– Kowalski. Zdzisław Kowalski. Mówiliśmy na niego „Kowal”.

Podkomisarz pokiwał głową.

– Sprawdźmy to. Kiedy pan planował wylot?

– Jutro. Mam zostać?

– Raczej nie będzie takiej potrzeby. Ale proszę być pod telefonem. –

Spojrzał na Karolinę i Rozłuckiego. – No to już chyba czas na nas – powiedział. – Idziemy.

– Niczego nie znaleźliście? – spytał Rozłucki, gdy już stali przy

samochodzie. Bardziej dla porządku niż z ciekawości.

– Niczego. – Podkomisarz Sądecki pokręcił głową. – Żadnych śladów świeżego kopania, murowania, żadnych zamkniętych drzwi, ukrytych wejść. Nic. Piwnica i garaż też są prawie puste, więc dosyć łatwo było to sprawdzić.

– Może ma jeszcze gdzieś jakąś działkę, domek na wsi, czy ja wiem... – próbowała jeszcze Karolina.

– To nie on – przerwał jej Rozłucki. – Jestem tego pewien. Możecie go sprawdzić, ale to nie on.

– I teraz mi pan to mówi? – spytał z przekąsem policjant.

– Teraz, bo słyszałem jego wyjaśnienia i widziałem, jak je wygłasza. Brzmi to razem bardzo wiarygodnie.

– Słuchaj, Rafał, przepraszamy cię... – zaczęła Karolina.

Policjant machnął ręką.

– Zdarza się – powiedział. – Nie przejmuj się. Kto boi się mylić, ten nigdy nie dojdzie do prawdy. Te wszystkie poszlaki rzeczywiście wskazywały na niego. Sam bym to tak zinterpretował. Poza tym...

– Poza tym co? – spytała.

Podkomisarz zapatrzył się na widoczną w dalekiej perspektywie końca ulicy linię lasu.

– Poza tym musimy te dziewczyny przecież znaleźć, nie? Coś trzeba robić, a nie za bardzo wiadomo co.

– Wasze śledztwo nie przynosi żadnych rezultatów?

– Jak na razie nie. Docieramy powoli do kolegów z klasy Justyny, ale wszyscy albo mają alibi, albo w ogóle od dawna nie było ich w Olsztynie. Jedyne tego rezultat jest taki, że zaczyna mi na tym coraz bardziej zależeć.

– To tak jak nam.

– Paskudna sprawa. To porwanie i to, co stało się dwadzieścia lat wcześniej. Przeglądałem ostatnio papiery tamtej sprawy. Przeczytałem jeszcze raz protokół z autopsji szkieletu Justyny Wasilewskiej.

– I co?

– Pokazałem go patologowi, z którym zazwyczaj współpracujemy. Powiedział, że żadne z obrażeń, których doznała w trakcie wypadku, nie było zbyt poważne. Kilka złamań, pęknięć kości, lecz żadne z nich nie świadczyło o urazie zagrażającym życiu. I że najprawdopodobniej nie umarła w wyniku wypadku ani będącego jego skutkiem wykrwawienia, ale utopiła się. Dwa lata temu nie zwróciliśmy na to uwagi, bo zakładaliśmy, że jej ciało wpadło do wody w konsekwencji uderzenia samochodem albo że samo sturlało się do jeziora. Ale skoro twierdzicie, że Olgierd Jakubiec pojechał po wszystkim „posprzątać” i że to on wepchnął jej ciało do wody...

– Tak przynajmniej mówiła jego żona, a potem synowa. Małgorzata Jakubiec wyraźnie powiedziała, że według jej męża ciało Justyny zatrzymało się na drzewie.

– ...to znaczy, że stary Jakubiec wrzucił ją do jeziora, gdy jeszcze żyła. Patolog twierdzi, że mogła być nawet przytomna.

Umilkli. Każdy po swojemu przetrwał tę informację. Rozłucki wyobraził sobie przerażenie młodej dziewczyny wpychanej nocą do zimnej wody.

– Miałaś rację – zwrócił się do Karoliny. – Zabił ją.

– Nie wiadomo, czy zrobił to specjalnie – stwierdził podkomisarz. – Mógł myśleć, że nie żyje.

– Ale ją zabił. Da się to jakoś udowodnić?

– Jak tylko znajdziemy te dziewczyny, poproszę patologa o oficjalną ekspertyzę. To plus zeznania Małgorzaty Jakubiec powinno

wystarczyć. Na pewno, by postawić go w stan oskarżenia, bo co do wyroku, to może być różnie. Ale najpierw musimy je znaleźć, to teraz absolutny priorytet.

– Sprawa się nie przedawniła?

– Ciężko powiedzieć. Morderstwo przedawnia się po trzydziestu latach. Nie minęło tyle. Ale trudno byłoby mu chyba udowodnić, że wiedział, że ona żyje. Wtedy sąd mógłby zmienić kwalifikację czynu na nieumyślne spowodowanie śmierci. Coś takiego przedawnia się po dwudziestu latach. Czyli udałoby mu się wywinąć. Poza tym...

– Poza tym co?

Podkomisarz rzucił im krótkie spojrzenie.

– Pan adwokat nie żartował, kiedy mówił, że ma kontakty. Dzwonili do nas w jego sprawie. Ma widocznie jeszcze kilku starych kolegów w sądzie i w prokuraturze. Jeśli nie znajdziemy żadnych naprawdę przekonujących dowodów, raczej na pewno ujdzie mu to na sucho.

## ROZDZIAŁ 66

Podkomisarz odjechał. Zostali sami. Widzieli jeszcze, jak Arkadiusz Chmielewski zamyka dom i nie patrząc w ich stronę, idzie w kierunku przystanku autobusowego.

– Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia – powiedziała.

– Na to wygląda.

Spojrzał na widoczny na końcu ulicy las.

– Przejdźmy się – powiedział. – To nigdy nie zaszkodzi.

Ruszyli chodnikiem wzdłuż ulicy. Mijali podobne do siebie kwadratowe domki różniące się tylko kolorem tynku, ilością i kształtem przybudówek i roślinami posadzonymi przed wejściem. Większość z nich była płaska, lecz dwa czy trzy zaopatrzone zostały w nowe, spadziste dachy z czerwonej blachodachówki, pasujące do nich jak pięść do nosa. Doszli wreszcie do lasu. Z bliska nie prezentował się on, szczerze mówiąc, zbyt okazale. Składał się głównie z sosen, świerków i śmieci, które okoliczni mieszkańcy zostawiali tu podczas spacerów.

– Ty też miałeś rację – powiedziała.

– W czym?

– Jesteśmy amatorami. Nie mamy szans tego rozwikłać. Jedyna nadzieja w Sądeckim. Może on wreszcie do czegoś dojdzie. Tylko ile mu to czasu zajmie? Miesiąc? Dwa? Rok? I co wtedy znajdzie? Szkielety w dwóch czarnych, plastikowych workach? Takich jak ten? – wskazała leżący przy ścieżce rozerwany worek z wysypującymi się z niego śmieciami.

Rozpaczliwie próbował wymyślić coś optymistycznego, coś, co



mógłby teraz powiedzieć i co przywróciłoby jej nadzieję, której sam nie mógł w sobie odnaleźć.

– Nie musi wcale tak być – powiedział wreszcie. – Ta dziewczyna w Austrii, pamiętasz ją? Natascha Kampusch. Też ją porwano. Przeżyła w niewoli osiem lat.

Sam usłyszał, jak bardzo nieprzekonywująco zabrzmiała ta próba.

– Osiem lat! Boże drogi! – To porównanie jeszcze bardziej ją przybiło. – To już nie wiem, co gorsze! Gdy sobie pomyślę, że te dwie młode dziewczyny są tam gdzieś teraz w jakiejś ciemnej piwnicy czy jamie, a my nie możemy im pomóc... – Głos jej się załamał.

– Przestań – powiedział. – Nie myśl w ten sposób. Emocje nic nam w tej chwili nie pomogą. Spróbujmy pomyśleć raczej, co jeszcze moglibyśmy zrobić? Jakie konkretne działania możemy jeszcze podjąć. Może jest coś, co nam umknęło? Jakaś ścieżka, którą zapomnieliśmy pójść? Zastanów się.

Westchnęła z rezygnacją.

– Pozostaje nam już chyba tylko ta cholerna lista nauczycieli. Może wreszcie wydobędziemy ją z tej szkoły? To jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy.

„Choć nie sądzisz, by to coś dało”, pomyślał. „Ja chyba też”.

– Poczekaj. – Coś sobie nagle przypomniał. – Stań przy tym sklepie.

Brukowana ulica, którą jechało się w górę dawnego Katowskiego Wzgórza, dawała się ostro we znaki silnikowi niewielkiego auta Karoliny. Z tym większą ulgą zatrzymało się ono pod zielonym szyldem małego sklepu spożywczego znajdującego się na parterze jednej z przedwojennych, pseudogotyckich kamienic.

Szybko otworzył drzwi i nie wyjaśniając niczego Karolinie, wysiadł z samochodu i wbiegł do sklepu.

– Co tam masz? – spytała, gdy już wrócił, trzymając w ręku białą plastikową torbę na zakupy.

– Kawę i bombonierkę – wyjaśnił. – Jak za starych, dobrych czasów.

Pani w sekretariacie wyglądała dokładnie tak, jak poprzednio. Hełm z jej ufarbowanych na blond włosów był tak samo idealny, a okulary tak samo złote i błyszczące. Cienkie, wyskubane brwi uniosły się wysoko na ich widok.

– A wy znowu tutaj? – zaświergotała. – Czego wam jeszcze potrzeba, drogie dzieci?

– Mamy do pani pewną maleńką prośbę – powiedział Rozłucki. – Ale wcześniej prezent. W podziękowaniu za pomoc. Tę minioną i tę przyszlą.

Wyciągnął niezdarnie z reklamówki paczkę z kawą i pudełko z pralinkami.

– Nie wierzę! – Kobieta aż klasnęła w ręce. – Kawa i bombonierka! Mój Boże, jak ja dawno czegoś takiego nie dostałam! – Wzięła z czułością do ręki błyszczące, czerwone pudełko. – Czekoladki... – rozmarzyła się. – Straciłam przez nie swoją dziewczęcą talię... Ale powiem wam – uśmiechnęła się szelmowsko – warto było.

Schowała oba prezenty do biurka.

– Widzę, młody człowieku, że potrafisz się zachować – powiedziała z udawaną powagą. – W czym w takim razie mogę ci pomóc? Albo nie, poczekajcie. Gdzie moje maniery? Siadajcie, a ja zaparzę kawę. Ale nie tę, którą przynieśliście. Mam tu jeszcze otwartą paczkę.

Zerwała się zza biurka i ruszyła w stronę stolika pod ścianą, na którym stał elektryczny czajnik, pojemniki na kawę i cukier oraz zestaw brązowych szklanek z uchem. Dopiero teraz można było zauważyć, że obok okularów w złotych oprawach ma jeszcze na sobie

złoty łańcuszek przewiązany w talii i pełniący funkcję paska. Talii, trzeba to uczciwie przyznać, wcale nie takiej straconej.

– Ale mówcie, mówcie. O co wam chodzi? Ja słucham.

Usiedli.

– Chcielibyśmy dostać od pani listę nauczycieli, którzy uczyli Justynę Wasilewską. Tych, którzy jeszcze żyją, oczywiście. Najlepiej z adresami.

– Żaden problem – odpowiedziała kobieta, wsypując mieloną kawę do szklanek. – Mam w komputerze adresy wszystkich naszych byłych nauczycieli. Co roku z okazji świąt wysyłamy im bony do supermarketu. Tylko musiałabym posprawdzać, którzy z nich uczyli Justynę.

Czajnik kliknął, sygnalizując, że woda się zagotowała. Kobieta podniosła go i wlała wrzątek do szklanek.

– A wy ciągle o niej, co? – powiedziała, stawiając szklanki na małej plastikowej tacce. – Tak mi jej szkoda. Jeszcze ostatnio sobie o niej myślałam. Taka była ładna... Byłam na jej pogrzebie, jak już ją znaleźli. Szczerze mówiąc, niewiele było osób.

Podniosła tackę i przeniosła ją na biurko.

– Słodzicie? – spytała. – Może śmietanki? Mam tylko taką w proszku, bo tu nie ma lodówki.

– Dziękuję – odpowiedział Rozłucki. – Wolę czarną.

– Ja też – powiedziała Karolina.

Zaczął mieszać kawę metalową łyżeczką. Fusy na jej powierzchni utworzyły gruby kożuch. Wszystko tu było „jak za starych, dobrych czasów”, nawet kawa – nasypała do szklanki i zalana wrzątkiem. Kiedy ostatnio pił taką? Nie mógł sobie tego przypomnieć.

Czegoś jeszcze nie mógł sobie przypomnieć. Tylko czego? Coś

dzwoniło mu w głowie, a on nie wiedział co. Coś, co miało związek z tym, co powiedziała ta kobieta.

– Co pani powiedziała? – spytał, podnosząc wzrok znad szklanki.

– Kiedy? – zdziwiła się sekretarka.

– Przed chwilą.

– Spytałam, czy słodzicie.

– Nie to, wcześniej.

– Mówiłam o pogrzebie Justyny. Że niewiele przyszło na niego osób.

Wstał i nic nie mówiąc, wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi do sekretariatu. Całe szczęście trwała przerwa i nikt mu nie mógł przeszkodzić.

Co to było?

Po chwili drzwi do sekretariatu otworzyły się, stała w nich Karolina. Za nią widać było wpatrujące się w niego z zaciekawieniem oczy za złotymi oprawkami.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie teraz – powiedział. – Wejdz do środka!

Prawie że wepchnął ją z powrotem i zamknął za nią drzwi.

Pogrzeb. Chodziło o coś związanego z pogrzebem. Pogrzeb Justyny? Nie, o jakiś inny.

Zakrył oczy palcami i włożył sobie kciuki do uszu. Chałupniczy, domowy sposób na deprywację sensoryczną. Odcina dwa główne zmysły i umożliwia skupienie się na swoich myślach. Pozwala płynąć swobodnie skojarzeniom. Odetchnął głęboko i wyobraził sobie, że wchodzi do wielkiej, ciemnej hali swojego umysłu. Nauczył go tego... Nie, nie. Nie myślmy teraz o tym. Myślmy o tamtym. O pogrzebie. Czym pogrzebie? Na jakim ostatnio pogrzebie był? Andrzeja Lesickiego? Nie, nie chodzi o ten pogrzeb. To o jaki? Pogrzeb, pogrzeb...

Nauczył go tego Konarzewski, tej metody. Cholera! Miał o tym nie myśleć! Jego nauczyciel. Nie myśl o tym, do diabła! Skup się na tamtym, na pogrzebie. Nauczyciel? Powinno być raczej „profesor” albo „promotor”. Czy kiedykolwiek pomyślał o profesorze Konarzewskim jako o swoim nauczycielu?

Nagle przez wciśnięte w uszy kciuki przedarł się ostry dźwięk, przeganiając z jego głowy wszystkie myśli. Drzwi klasy na końcu korytarza przeciągle skrzypnęły i zaczęły przez nie wychodzić uczniowie. Słyszał ich głosy i kroki. Opuścił ręce i otworzył oczy. Nie szkodzi. Już wiedział.

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi i wszedł do sekretariatu.

– Co to było? – spytała Karolina. Jej oczy wpatrywały się w niego ze zdziwieniem, ale i z uwagą.

– Mówiłam właśnie pani Karolinie, że może kawa panu zaszkodziła.

– Kobieta z sekretariatu miała zmartwioną minę. – Robię bardzo mocną, bo taką lubię, a to może powodować nagły skok ciśnienia. Jak ktoś nieprzyzwyczajony...

– Nie, to nie kawa – przerwał jej. – Proszę się nie martwić. Po prostu coś sobie nagle uświadomiłem.

– Co? – Twarz Karoliny wyrażała najwyższe napięcie.

Rozłucki zamiast do niej zwrócił się jednak do kobiety w złotych okularach.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy z nauczycielem fizyki, panem Adamem Romanowskim, tym, który chodził do jednej klasy z Dariuszem Jakubcem, powiedział nam, że był na pogrzebie wychowawczyni z klasy Justyny. Było to dwa lata po jego maturze, czyli nie uczył jeszcze w szkole, był na studiach. To dosyć dziwne, a przynajmniej niespotykane.

– Co w tym dziwnego? – spytała Karolina.

– To, że był na pogrzebie wychowawczyni innej klasy. Czy ty poszłabyś na pogrzeb wychowawczyni z nie swojej klasy?

– Może też go uczyła i ją lubił? – spytała.

– Nie – odpowiedział. – Pamiętam wyraźnie, jak mówił, że według niego nie była dobrą nauczycielką. Pamięta pani, czego uczyła? – zwrócił się do kobiety z sekretariatu.

– Chemii – odpowiedziała. – Była chemiczką. Miała opinię dość ostrej.

– Właśnie. To, pamiętam, też mówił. „Chemiczkę mieliśmy wredną” – to jego słowa. Dlaczego wobec tego był na jej pogrzebie?

– Bo to była również jego wychowawczyni – odpowiedziała pani z sekretariatu.

Oczy Rozłuckiego i Karoliny zwróciły się w jej stronę.

– Jak to? – pytali prawie jednocześnie.

– Adam Romanowski, zresztą wtedy nazywał się inaczej, przeniósł się z klasy Darka do klasy Justyny. Z IVa do IVd. Było to trochę dziwne, gdyż twierdził, że przenosi się do nich, bo to klasa humanistyczna, a on chce studiować historię. A potem i tak poszedł na fizykę.

– Nazywał się inaczej? – Rozłucki ledwo wydobył głos z zaschniętych ust.

– Tak, Romanowski to nazwisko jego żony. Przyjął je zresztą niedawno, tuż przed jej śmiercią. To bardzo smutna i wzruszająca historia. Jego żona chorowała na raka. Byli razem w Niemczech, w Monachium, bo tam jakaś klinika podjęła się jej leczenia. Terapia była eksperymentalna, niestety nie przyniosła spodziewanej poprawy. I kiedy już wiadomo było, że niewiele jej czasu zostało, postanowili się

pobrać, bo wcześniej czekali, aż ona wyzdrowieje. Ślubu udzielił im tam na miejscu, w szpitalu, polski ksiądz, który pracował w którejś z tamtejszych parafii. Było z tym potem sporo problemów, bo ślub kościelny udzielany w innym kraju nie jest automatycznie rejestrowany przez polski Urząd Stanu Cywilnego, tak jak to się dzieje ze ślubami kościelnymi w Polsce. Trzeba wdrażać jakieś specjalne procedury. Także nie wiem, czy do dziś to nie pozostało niezrealizowane.

Rozłucki i Karolina spojrzeli na siebie.

– A proszę mi powiedzieć, jak się wtedy nazywał Adam Romanowski? Pamięta pani?

– Trudno nie zapamiętać – odpowiedziała. – Kieliszek. Takie śmieszne nazwisko.

## ROZDZIAŁ 67

– Czy nosił wtedy wąsy? – spytała Karolina.

– Wąsy? Tak – odparła kobieta. – Choć może nie wąsy, a wąsiki.

Wielu chłopców je w tamtych czasach nosiło. Wtedy jeszcze wszyscy młodzi starali się wyglądać na starszych, niż są w rzeczywistości, teraz wszyscy starzy starają się wyglądać na młodszych. W ogóle niewiele się moim zdaniem od tego czasu zmienił. Tylko skronie mu trochę posiwiały.

– A czy ktoś jeszcze przeszedł do klasy Justyny w tamtym czasie? Albo do klasy Jakubca? – Rozłucki starał się usystematyzować posiadaną wiedzę, zapełnić w niej dziury i wygładzić fałdy.

– Zaraz sprawdzę. – Usiadła przy komputerze. – Tak. Do klasy Darka przeszedł na początku czwartej klasy jeden chłopak. Jego rodzina przeprowadziła się do Olsztyna z innego miasta, zdaje się, że z Rucianego-Nida.

– Arkadiusz Chmielewski? – odpowiedział jej Rozłucki.

– Tak, skąd pan wie? – Odwróciła się do niego zdziwiona.

Spojrzał na Karolinę.

– To dlatego nie znał Kieliszka – powiedział. – Mówił o jakimś wysokim chłopaku z wąsami chodzącym do klasy z Justyną. Gdy przyszedł do klasy Darka, Adama Kieliszka już tam nie było.

Karolina pokiwała głową.

– A my mieliśmy spis absolwentów z ostatniej klasy. Na nim nazwisko Kieliszek figurowało w klasie Justyny. Nie przyszło nam do głowy, by porównać go z listą osób przyjętych do pierwszej klasy cztery lata wcześniej.



Teraz z kolei Rozłucki pokiwał głową.

– Nic nie rozumiem – powiedziała kobieta. – Moglibyście mi to wyjaśnić?

– Właśnie odkryliśmy coś bardzo ważnego – odpowiedział jej Rozłucki. – Ale nie mamy teraz czasu wszystkiego pani tłumaczyć. Mamy do pani tylko jeszcze jedną, ostatnią i najważniejszą prośbę: może nam pani podać adres Adama Romanowskiego? Wie pani, gdzie mieszka?

– Tak. Ale prościej będzie chyba wytłumaczyć, niż podawać adres. Adresy są dobre w mieście, a on mieszka na wsi, a w zasadzie nawet za wsią, w domu po rodzicach. Jak się jedzie na Ostródę jest taki zakręt, droga biegnie tam tuż nad jeziorem. Trzeba pojechać dalej i za jeziorem skręcić w prawo. Dojeżdża się do wsi. Ale to jeszcze nie tam. Trzeba jechać dalej prosto, wzdłuż jeziora, minąć kościół i już za wsią na wzgórzu nad jeziorem jest dom. Taki stary poniemiecki. To tam.

Rozłuckiemu ciarki przebiegły po grzbiecie.

– Czy to nie przypadkiem w tym jeziorze znaleziono zwłoki Justyny? – spytał.

– Tak – kobieta zamrugła oczami – chyba tak.

– A czy pan Adam Romanowski jest jeszcze w szkole?

– Już sprawdzam. – Ponownie zajrzała do komputera. – Właśnie skończył ostatnią lekcję. Jak się pośpieszycie, zdążycie jeszcze go złapać.

\*

Nie zdążyli. Klasa, w której prowadził przed chwilą lekcję, była już pusta. W pokoju nauczycielskim także go nie zastali. Pani z

sekretariatu, która rzeczywiście chyba wiedziała wszystko, podała im markę i kolor samochodu, którym jeździł nauczyciel, ale na parkingu przed szkołą takiego auta także już nie było.

– Ten dom, w którym mieszka – spytał Rozłucki. – Wiesz, gdzie to jest?

– Mniej więcej – odpowiedziała Karolina. – Powinnam trafić.

Podbiegli do auta Karoliny i wskoczyli do środka. Zanim Rozłucki zdążył na dobre zamknąć drzwi, Karolina ruszyła.

W dół ulicy jej samochód jechał znacznie szybciej. Znacznie, znacznie szybciej. Wyłożona poniemieckim jeszcze brukiem nawierzchnia o mało nie doprowadziła do jego rozpadu, a Rozłuckiemu prawie że wybiła zęby. Po chwili na szczęście wjechali na asfalt. Skręcili w lewo i omijając całe olsztyńskie stare miasto, ruszyli w dół, w kierunku zamku, ominęli go szerokim łukiem, przejeżdżając most na Łynie, przejechali pod nasypem kolejowym, którym biegły tory w kierunku Warszawy i na którym Karolina piła kiedyś tanie wino, skręcili na rondzie w lewo i już po chwili znaleźli się na drodze do Ostródy.

Miasto nie zamierzało jednak wcale jeszcze się kończyć. Mijali salony samochodowe, stacje benzynowe i osiedla domków. W jednym z nich mieszkał Arkadiusz Chmielewski – byli u niego niecałą godzinę temu.

– Dzwonimy do Sądeckiego? – spytał Rozłucki.

– Poczekaj – odpowiedziała Karolina. – Najpierw to sprawdzimy. Żeby się znowu nie okazało, że robimy zamieszanie na darmo.

Po jakichś dziesięciu minutach zabudowania zaczęły się wreszcie powoli kończyć. Karolina jeszcze przyspieszyła, mimo iż teoretycznie ciągle obowiązywało tu ograniczenie prędkości do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Zwolnij – powiedział nagle Rozłucki.

– Boisz się? – spytała Karolina.

– To też. Ale spójrz tam. Czy to nie jego samochód?

Gwałtownie zahamowała. Gdyby nie pasy, zbierałby już swoje zęby z deski rozdzielczej.

Po lewej stronie, tuż przy drodze, stał sklep. Duży, samoobsługowy, należący do taniej sieci handlowej. Pod nim zaparkowanych było kilkanaście samochodów. Wśród nich błękitne mitsubishi Carisma. Dokładnie takim samochodem jeździł nauczyciel.

– Skąd wiesz, że to jego? – spytała Karolina. – Może ktoś ma taki sam?

– To niezbyt popularny w Polsce model – odpowiedział. – Mój znajomy miał kiedyś taki, a ten jest drugi, jaki widziałem w całym swoim życiu. No i ten kolor. Przyznasz, że dość oryginalny. Zaparkuj tam. Byle nie za blisko. Nie może nas zobaczyć.

Zjechała na parking pod sklepem. Stanęła trzy samochody od mitsubishi.

– Musimy poczekać, aż wyjdzie – powiedział. – W sklepie łatwo by nas zauważył.

– Nie musisz mówić rzeczy oczywistych – odpowiedziała. – Aż taka głupia nie jestem.

Była zdenerwowana. On zresztą też.

Nie czekali długo. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy w drzwiach sklepu pojawił się Adam Romanowski. W obu rękach dźwigał plastikowe torby.

– Dużo tych zakupów – stwierdził Rozłucki. – Jak na wdowca mieszkającego samotnie. A może ta uwaga również była zbyt oczywista?

Nie odpowiedziała. Romanowski wyszedł ze sklepu i skierował się w stronę swojego samochodu. Otworzył go pilotem przy kluczykach, podniósł tylną klapę i włożył siatki do bagażnika. Zamknął bagażnik i z powrotem wcisnął przycisk pilota. Auto trzy razy zapiszczało, sygnalizując zamknięcie.

– Co on jeszcze będzie robił? – spytała z irytacją Karolina. – Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy przechodzić obok nas.

Całe szczęście nie przyszło. Romanowski odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku sklepu. Minał go z lewej strony i zniknął za rogiem.

– Cholera... – Karolina nie mogła wprost usiedzieć na miejscu. – Gdzie on poszedł? Może powinniśmy iść za nim?

– Czekaj. – Położył jej dłoń na kolanie. – Zostawił zakupy, to wróci.

Tym razem nie wzdrygnęła się ani nie zeszywniała. Chwyliła jego dłoń swoją dłonią i ścisnęła mocno.

– Jezu, ale się denerwuję! – powiedziała.

Rozłucki zapragnął nagle, by nauczyciel nie wracał. By mogli tak siedzieć, trzymając się za ręce, całą wieczność.

Ta prośba nie została jednak wysłuchana. Po chwili nauczyciel pojawił się znowu. Wyszedł zza rogu sklepu, trzymając coś w ręku. Długi, jasny przedmiot o nieregularnym kształcie, rozszerzający się na końcu w kształt przypominający dłuto.

Karolina ścisnęła jego rękę jeszcze mocniej.

– Kwiaty! – powiedziała z przejęciem. – Kwiaty... Po co mu kwiaty?

Romanowski podszedł do błękitnego mitsubishi i włożył owiniętą w papier wiązanę do bagażnika. Potem usiadł za kierownicą i odpalił silnik.

– Jedź za nim – wyszeptała. – Tylko nie za blisko.

– To ty siedzisz za kierownicą – przypomniał jej. – Ty prowadzisz.

– Faktycznie – powiedziała. Puściła jego rękę i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Mitsubishi już wyjeżdżało tyłem ze swojego miejsca parkingowego. Karolina również wrzuciła wsteczny bieg.

– Nie tak prędko – zmitygował ją. – Bo się z nim zderzysz.

Odczekała chwilę i też wyjechała ze swojego miejsca. Samochód nauczyciela właśnie wjeżdżał na drogę do Ostródy.

– Powoli – uspokajał ją. – Nie możemy jechać za blisko. Wiemy, dokąd zmierza, więc i tak go nie zgubimy.

Nagle samochód szarpnął mocno i zgasł. Rozłucki zamarł. Czyżby się zepsuł? Teraz, w takim momencie?!

– Jasna cholera! – zakląła Karolina. – Nie ten bieg!

Przez chwilę mocowała się z drążkiem zmiany biegów, w końcu zrezygnowała.

– Ty prowadź – powiedziała. – Jestem zbyt roztrzęsiona. Jeszcze chwila i rzeczywiście w coś walnę. Przesiadamy się. Szybko! – Otworzyła gwałtownie drzwi.

Zamienili się miejscami. Błękitne mitsubishi właśnie wjeżdżało w las. Rozłucki wyjechał na drogę i dodał gazu. Po chwili minęli tabliczkę z przekreśloną nazwą „Olsztyn”.

– Gdzie on jest? Gdzie on jest? – panikowała Karolina. – Zgubiliśmy go! Przyspiesz!

– Zaraz go dogonimy. – Starał się emanować spokojem, mimo, że w nim aż kipiało od emocji. – Nawet nie miałyby tu gdzie skręcić. Nie minęliśmy żadnej drogi.

Po chwili, za kolejnym zakrętem, pojawiły się tylne światła samochodu nauczyciela. On z kolei nie jechał zbyt szybko. Jego auto

toczyło się po szosie spokojnie i bez pośpiechu.

– Zwolnij! – krzyknęła. – Bo zobaczy, że go śledzimy!

– Nie zobaczy – uspokoił ją. – To uczęszczana droga. A my po prostu jedziemy w tym samym kierunku. Poza tym ludzie zazwyczaj nie zwracają uwagi na to, kto jedzie za nimi.

– Ludzie zazwyczaj nie porywają młodych dziewczyn i nie trzymają ich u siebie w domu – odparowała. – Gdy ktoś robi coś takiego, ma powód, by oglądać się potem za siebie.

Przyznał jej rację i troszeczkę zwolnił. Pozwolił nawet, by wyprzedziło go jakieś auto. Chociaż szczerze powiedziawszy, chętnie by przyspieszył. Coraz lepiej czuł się za kierownicą.

– Te zakupy – powiedziała. – Czy to znaczy, że one żyją?

Nie odpowiedział od razu. Przypomniał mu się przypadek, o którym kiedyś czytał. Mężczyzna przez ponad rok mieszkał ze swoją martwą żoną. Gotował obiady dla dwojga, sadzał jej wysuszone zwłoki przy stole, stawiał przed nimi talerze z jedzeniem i pytał, czy smakowało. Postanowił jednak nie dzielić się z Karoliną tymi przemyśleniami.

– Nie wiem – odparł. – Miejmy nadzieję.

## ROZDZIAŁ 68

Niebieskie mitsubishi jechało równo dziewięćdziesiąt na godzinę, dokładnie tak, jak nakazywały przepisy. Droga, na której odbywał się ten nieśpieszny pościg, była niedawno przebudowana. Asfalt był równy, nawierzchnia szeroka i zaopatrzona w solidne pobocza. W niektórych miejscach poprowadzono ją też nową trasą, ścinając dawne, zbyt meandrujące zakręty. Te odcięte niczym nożem nową linią szosy fragmenty wykorzystano jednak, zmieniając je w leśne parkingi. Przed jednym z takich parkingów samochód nauczyciela zwolnił, jakby miał zamiar się na nim zatrzymać.

– Cholera! – zaniepokoiła się Karolina. – Nie możemy przecież wjechać tam za nim, będziemy musieli pojechać prosto.

– Staniemy najwyżej na następnym i poczekamy na niego.

Niebieskie mitsubishi zwolniło do pięćdziesięciu na godzinę. Jeszcze chwila i będzie je musiał wyprzedzić. Między drzewami za parkingiem zamajaczyła tafla wody.

– To tu – powiedziała nagle Karolina. – To ten zakręt, gdzie zginęła Justyna.

Zrobiło mu się dziwnie, jakby jej ciało ciągle tam leżało. Popatrzył na drzewa, za którymi widoczne było jezioro. Złapał się na tym, że szuka na nich śladów wypadku, który zdarzył się przecież dwadzieścia lat temu. Zamiast nich zobaczył przybity do pnia drewniany krzyż, a pod nim sztuczne kwiaty. Pomyślał o wiązance w bagażniku nauczyciela.

– Kwiaty. – Karolina najwyraźniej myślała o tym samym. – To po to mu były te kwiaty...

Jednak nie po to. Samochód nauczyciela zamiast zjechać na parking, minął go tylko i ponownie przyspieszył. „Czyżby ich dostrzegł?”, pomyślał. „Zauważył, że ktoś za nim jedzie?”

Nie miał jednak czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo w jadącym przed nim aucie zamigotał kierunkowskaz. Czerwone, pulsujące miarowo światelko wskazywało, że nauczyciel ma zamiar skrócić w prawo.

Rozłucki zwolnił. Wkrótce pojawiła się tabliczka z nazwą miejscowości i informacją, że znajduje się ona półtora kilometra w prawo od głównej drogi. Samochód nauczyciela również zwolnił i skręcił w boczną drogę.

Rozłucki prawie stanął, trzymając się jak najbliżej pobocza. Nie chciał wjeżdżać w boczną drogę tuż za niebieskim mitsubishi, by nie wydało się to jego kierowcy zbyt podejrzane. Czym innym jest ruchliwa szosa między dwoma miastami, a czym innym dojazd prowadzący do jakiejś wsi. Kilka samochodów jadących za nim wyminęło go szerokim łukiem. Jeden nawet krótko zatrąbił, wyrażając swoje oburzenie.

Wreszcie nie było wyjścia, trzeba było skrócić. Rozłucki włączył kierunkowskaz i powoli, najwolniej jak się dało, zaczął wjeżdżać w boczną drogę. Samochodu nauczyciela całe szczęście nie było już widać.

Droga, na którą wjechali, była dość wąska i obrośnięta z obu stron wiekowymi drzewami, które tworzyły nad ich głowami zielony tunel. Po kilkudziesięciu metrach z jej lewej strony pojawiło się jezioro. To samo, które przed chwilą mijali, jadąc szosą na Ostródę.

Wjechali do wsi. Niskie, poniemieckie domki z czerwonej cegły przeplatały się w niej z nowszymi, polskimi betonowymi klockami. Czasami między nimi pojawiały się hybrydy, niczym dzieci poczęte z mezaliansu między tymi dwiema kulturami – ceglane, poniemieckie



domki z betonowymi, polskimi przybudówkami lub szare polskie klocki z nałożonymi na nie czerwonymi, spadzistymi dachami.

Wieś położona była na łagodnym, morenowym wzgórzu dochodzącym do jeziora. Droga wiła się po nim, próbując dopasować się do jego pofałdowanej powierzchni. Na najwyższym punkcie wzgórza wznosił się kościół – niezbyt duża, gotycka świątynia w charakterystycznym dla tych rejonów prostym, pozbawionym architektonicznych szaleństw stylu. Wieś, choć całkiem spora i dość rozległa, wydawała się wymarła, a ich samochód był jedynym poruszającym się po tej drodze autem. Raz czy dwa mignęło im na jej końcu niebieskie mitsubishi, po czym natychmiast znów zniknęło za kolejnym domem i kolejnym zakrętem.

Naraz pod kołami szafirowego New Beetle zachrząścił żwir. Asfalt skończył się, a wraz z nim skończyła się wieś. Rozłucki zjechał na pobocze.

– Dalej nie możemy jechać – powiedział. – Dostrzegłby nas natychmiast. Daleko jeszcze do jego domu?

– Nie wiem – odpowiedziała Karolina. – Nigdy tu nie byłam.

– Mówiłaś, że wiesz, gdzie to jest. – Spojrzał na nią zaskoczony.

– Mniej więcej – odparła. – Wiedziałam, że jest tu ta miejscowość i że jeśli jest tu za wsią jakiś dom, to musi być w tamtą stronę, bo innej drogi tu nie ma.

– Ale jak daleko stąd? Mniej więcej kilometr czy mniej więcej pięć?

– Nie wiem – powtórzyła.

Wyłączył silnik i zaciągnął hamulec.

– Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak sprawdzić to na własnych nogach – powiedział.

Wysiedli. Ruszyli w górę. Droga wspinała się po kolejnym pagórku i

niknęła w lesie. Owionęło ich wilgotne, pachnące jeziorną wodą i świerkowym lasem powietrze.

Po drugiej stronie wzgórza droga wrzynała się w jego zbocze, tworząc niewielki wąwóz. Po prawej stronie między drzewami błyskała cały czas lśniąca tafla jeziora. Czerwcowe, ciepłe powietrze sprawiło, że Rozłucki prawie natychmiast się spocił. Otarł ukradkiem pot z czoła i spojrzał na Karolinę. Szła prosto, pewnie i bez wysiłku, a jej włosy wyglądały, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera.

Las wreszcie skończył się, a przynajmniej skończyła się ta jego część, która dochodziła do samego jeziora. Wyszli na rozległe pagórkowate pole, dawno jednak chyba nieuprawiane, bo porośnięte krzakami, samosiejkami drzew i wysokimi na półtora metra chwastami. Droga szła jego prawą stroną, tuż nad brzegiem jeziora, i niknęła w kolejnym jęzorze lasu. Samochodu nauczyciela, ani tym bardziej jego domu, nie było nigdzie widać. Zatrzymali się na chwilę.

– Czyli to jeszcze nie tu. – Zadyszał się trochę, lecz starał się to ukryć przed Karoliną. Po co w zasadzie zostawili samochód? Wystarczyłoby przecież trochę odczekać, a potem jechać powoli, wypatrując uważnie tego, co jest przed nimi. Ale nie, podchodów im się zachciało.

– Pewnie dom jest za tym lasem. – Wskazała na widoczną przed nimi linię drzew.

– A jak nie?

– To pójdziemy jeszcze dalej.

– Może czas już zadzwonić do pana podkomisarza? – powiedział. – Te zakupy w bagażniku... One chyba rzeczywiście tam są. Kwiaty też, jak się okazało, nie były dla Justyny.

– Poczekaj – odpowiedziała. – Jesteśmy już tak blisko. Podejźmy,

zobaczymy co i jak i wtedy zadzwonimy. A co, jeśli po prostu zaprosił sąsiadów na grilla? Albo szykuje romantyczną kolację, bo przyjeżdża do niego nauczycielka biologii? A te kwiaty są dla niej.

Ruszyła przed siebie, nie czekając na jego odpowiedź. Nie pozostało mu nic innego, jak pójść za nią.

Znowu miała rację. Za następnym lasem był dom. Wpadli na niego nagle, zupełnie niespodziewanie, przyklejony był bowiem do wzgórza i otoczony z tyłu gęstym, młodym świerkowym zagajnikiem. Za to od przodu otwierał się z niego widok, którego można było pozazdrościć. Szerokie pole łagodnie schodzące do jeziora lśniącego w dole rozległą, majestatyczną połącią.

– A niech mnie! – wyszeptał z podziwem Rozłucki. – Chciałbym mieszkać w takim miejscu.

Schylił się machinalnie i cofnął za drzewo, choć nikt raczej nie miał szans go zobaczyć, bo od tej strony dom nie miał okien, a na podwórku nie było nikogo.

– Jak uwolnimy dziewczyny i wsadzimy pana nauczyciela do więzienia, możesz go spytać, czy ci tego nie sprzeda – odpowiedziała również szeptem.

Ona także zeszła z drogi i schowała się między drzewami. Spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały z podniecenia.

– Jesteśmy – powiedziała. – Nareszcie. Czuję, że to tu, że one tu są.

– Przed chwilą mówiłaś, że nie wiadomo – przypominał jej.

– Tak mówiłam?

Weszła w las. Poszedł za nią. Przykucnięci, przygarbieni przedzierali się przez gęsty, świerkowy młodniak niczym para zdesperowanych grzybiarzy. Wyschnięta ściółka chrzęściła im pod stopami, rachityczne, pozbawione igieł gałązki łamały się, gdy

przechodzili, wydając głośne, suche trzaski. Wiedział, że nikt tam w domu na dole nie ma prawa ich usłyszeć, mimo to za każdym razem wzdrygał się przestraszony, bojąc się, że za chwilę zostaną odkryci.

Wchodzili na stok, przy którym stał dom. Tam, ukryci za nieprzeniknionym parawanem młodych świerczków, będą mogli spokojnie i bez obawy wykrycia przyjrzeć się temu, co jest poniżej.

Dotarli wreszcie na miejsce. Byli teraz na wysokości dachu. Wyraźnie widzieli miejsca, gdzie ubytki w starym, przedwojennym jeszcze, pociemniałym i pokrytym gdzieś mchem pokryciu załatano nowymi, krwiście czerwonymi dachówkami.

Cały dom wyglądał w ten sposób. Jak stary płaszcz z nowymi łatami. Ciemne ceglane mury upstrzone były tu i ówdzie plamami świeżej zaprawy. Zwłaszcza wokół okien, które jakiś czas temu wymieniono na nowe, widniały jasne, wprost nieprzyzwoicie białe obwódki tynku. Jedna plama była jednak szczególnie duża.

– Zamurowane okno – wyszeptał. – I to stosunkowo niedawno. Te pustaki nie zdążyły się nawet trochę przybrudzić.

Z trzech okien na niskiej, jakby wkopanej do połowy w ziemię ścianie domu od strony wzgórza jedno, to znajdujące się najbardziej na lewo, zamurowane było dużymi, białymi cegłami z suporexu. W pozostałych dwóch wisiały gęste, zszarzałe firanki.

Spojrzał na Karolinę, a ona na niego.

– Musimy obejść dom z tamtej strony – powiedział cicho. – Jeśli i od frontu okna są zamurowane...

Nie dokończył. Przygryzła wargi. Jej twarz była napięta, skupiona, poważna. Oto dotarli do kresu drogi. Wiedzieli o tym oboje.

## ROZDZIAŁ 69

Ruszyli. Karolina przodem, on za nią. Pochyleni ku ziemi, już nie tylko po to, by nikt ich nie dostrzegł, ale także po to, by łatwiej przedzierać się przez gąszcz. Zagarniając porozwieszane między gałązkami pajęczyny, zbierając włosami igły, zabierając na krótkie przejażdżki leśne owady i pająki.

Dom ciągle był w dole. Dziwnie było patrzeć na niego, obserwować, jak obraca pod nimi, niczym w jakiejś animacji 3D. Jej osią był komin, to wokół niego kręciła się ta omszała planeta. Komin wiekowy, widniejący dokładnie przed ich oczami, odkrywający przed nimi sekrety przebudów i napraw, odsłaniający intymny, niewidoczny z dołu szczegół, jakim była nowa, ocynkowana rura wpuszczona w starą, ceglana konstrukcję.

Dotarli wreszcie do ściany szczytowej. W tym miejscu wzgórze łagodnie opadało w dół, tak więc i oni znaleźli się niżej. Także i z tej strony okno było zamurowane.

Ruszyli dalej. Gęsty, świerkowy lasek zaczynał tu rzednąć i ustępować miejsca brzózkom i leszczynie, co miało swoje dobre i złe strony. Dobra była taka, że coraz łatwiej im się szło, a zła, że coraz trudniej było im się ukryć.

Dotarli wreszcie do skraju zarośli. Dalej rozciągała się już porośnięta nieskoszoną trawą i pozastawiania różnymi porzuconymi sprzętami przestrzeń podwórka. Żeby zejść dom od przodu i zobaczyć, jak wygląda z tamtej strony, musieliby przejść po otwartej przestrzeni.

– Co robimy? – spytała szeptem Karolina.

Z lewej strony domu osiem, może dziesięć metrów od nich stała

stara, drewniana szopa. Jej dach zapadł się do środka, ukazując żebra belek tworzących strop.

– Tam – powiedział. – Musimy tam przebiec. Okno z tej strony jest zamurowane, nie powinien nas dostrzec, chyba że akurat wyjdzie rozejrzeć się na ganek.

– Czyli bawimy się w Indian? – spytała. – Dawno tego nie robiłam.

Uśmiechnął się.

– Tego się nie zapomina.

Ruszyli. Z nosami przy ziemi, przygarbieni, biegnąc jakimś dziwnym, wilczym truchtem. Mimo wszystko było to dosyć zabawne. Czy jeszcze tydzień temu, siedząc w swoim nudnym gabinecie przy placu Konstytucji, mógł przypuszczać, że niedługo będzie robił takie rzeczy?

Dobiegli wreszcie. Schowali się za ścianą z desek i zamarli. Rozłucki słyszał, jak jego krew huczy, próbując przepchać się przez za cienkie na taką jej ilość tętnice. Oprócz tego szumu nie słyszał jednak nic więcej, żadnego niepokojącego dźwięku. Spojrzał na Karolinę. Uśmiechnęła się szeroko. Spodobało jej się to, jemu zresztą chyba też.

Przeszli wzdłuż szopy na jej drugi koniec. Rozłucki wychylił się, by móc spojrzeć na dom, po czym natychmiast schował się z powrotem.

– Zamurowane? – spytała półgłosem.

– Tak – potwierdził.

Otwór okienny z tej strony budynku także wypełniały białe pustaki. Dom był niewielki i wyglądało na to, że ma dość prosty układ pomieszczeń. Dwie izby – jedna z jednej, druga z drugiej strony – a w środku sień połączona z kuchnią. Jedna z tych izb została zupełnie pozbawiona okien.

– Zdaje się, że zbudował tu sobie małe więzienie. Pokój strażnika

jest po drugiej stronie.

Tym razem to ona wyjrzała.

– W tym drugim oknie nie ma firanek – powiedziała. – Można tam zajrzeć. Ale nie stąd. Kąt jest zbyt duży.

– Po co chcesz tam zaglądać? – zdziwił się. – Wszystko chyba jest już jasne.

– Nie wszystko. Potrzebujemy ostatecznego potwierdzenia.

– Jakiego?

– Nie wiem. Po prostu chcę tam zajrzeć. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po tych wszystkich wpadkach i fałszywych tropach, uważam, że nam się to należy. Zobaczyć to na własne oczy.

– Jak chcesz niby to zrobić?

Wskazała na stojące na podwórku błękitne mitsubishi.

– Stamtąd będzie doskonale widać – powiedziała.

– Ale jak chcesz się tam dostać? Znowu przebiec? Będziemy całkiem na widelcu. Wystarczy, że spojrzy przez okno i nas zobaczy.

– Grałeś kiedyś w paintball? – spytała.

– Nie.

– No właśnie. Za to ja tak. Parę razy. Wiesz, co jest w nim najważniejsze?

– Co?

– Nie dać się trafić kulką wypełnioną farbą. I trafić taką kulką przeciwnika. Żeby tego dokonać, trzeba go podejść, będąc cały czas zasłoniętym przed jego strzałem.

– No i?

– No i spójrz. – Wskazała na coś palcem. Podążył za nim wzrokiem.

– Stos desek przykrytych papą. Możesz do niego dojść, pozostając niezauważonym z domu, bo zasłania cię wtedy ta szopa. Potem –

przesunęła palec – żeliwna wanna odwrócona do góry dnem. Potem – jakiś stary samochód przykryty brezentem – chyba duży fiat – widać spod płachty jego sflaczałe opony. Gdy patrzysz na to od strony domu, pod kątem, pod jakim widziałby to człowiek wyglądający przez niezamurowane okno, każda z tych rzeczy zachodzi na siebie. Można przejść od jednej do drugiej bez ryzyka dostrzeżenia z domu. A potem do naszego mitsubishi.

– Trzeba by się chyba czołgać.

– Albo iść na czworakach.

Opadli na ziemię. Karolina, jako mistrzyni paintballa, wytyczała drogę. Widział teraz dokładnie podeszwy jej butów; do jednego z nich coś się przykleiło, chyba guma. Widział też wyraźnie jeszcze coś: oszałamiającą zgrabność jej nóg i nad wyraz doskonały kształt opiętych dżinsami pośladków, podkreślany dodatkowo przez ruch pracujących pod materiałem mięśni. Podjął wówczas decyzję – dokładnie w tym momencie, niezbyt trzeba przyznać odpowiednim – że kiedy to się wszystko skończy, podejmie jakieś stanowcze kroki, by móc dobrać się do tego uciekającego teraz przed nim cudu.

Dopełzli wreszcie do błękitnego mitsubishi, po czym usiedli za nim, opierając się plecami o karoserię. Trawa na szczęście była tu na tyle wysoka, że nie było ryzyka, by ktoś dostrzegł ich przez szparę między ziemią a podwoziem. Spojrzeli na siebie, Rozłucki wskazał palcem górną krawędź samochodu. Pora była się wynurzyć.

Ostrożnie, powoli podnieśli się do góry. Rozłucki próbował dojrzeć coś przez podwójne okna auta, dochodząc do wniosku, że w ten sposób będzie najmniej widoczny, okazało się jednak, że nie tylko jego nie było widać, ale i on nic nie może zobaczyć. Karolina za to wybrała tylny zderzak. Najpierw zapała się dłońmi o błękitną, nieco już



podrzewiała ponad kołami karoserię, potem delikatnie zaczęła wysuwać głowę z za klapy bagażnika.

– I co? – spytał szeptem, gdy już uznał, że miała wystarczająco dużo czasu, by się rozejrzeć.

Nie odpowiedziała.

– Co tam widzisz? – ponaglił ją zniecierpliwiony.

– Chodź, sam zobacz – odpowiedziała. W jej głosie było coś, jakaś emocja, której nie był w stanie zidentyfikować.

Zrobiła mu miejsce. Wychynął ostrożnie z za karoserii. Okno z prawej strony domu rzeczywiście nie miało firanek. Ponieważ pokój, który się za nim znajdował, był pokojem narożnym i oświetlało go jeszcze jedno, boczne okno, jego wnętrze było doskonale widoczne. To, co tam zobaczył, zaskoczyło go, choć przecież nie aż tak bardzo. Czytał o takich przypadkach, nie trzeba zresztą było być psychologiem, by wiedzieć, że coś takiego może się zdarzyć. Co innego jednak czytać i wiedzieć, a co innego zobaczyć to na własne oczy. Był tym widokiem tak zafascynowany, że zapomniał przez chwilę o wszystkim innym. Zapomniał o Karolinie, o powodzie, dla którego tu byli, o tym, że w każdej chwili może zostać dostrzeżony, klęczał tylko i patrzył, czerpiąc bezmyślną, słodko-cierpką przyjemność z jednej z najstarszych rozrywek ludzkości: podglądania nieświadomych tego faktu bliźnich.

## ROZDZIAŁ 70

Przy oknie stał stół. Nie było go widać, bo jego krawędź znajdowała się poniżej framugi okna, widać za to było siedzącą przy nim osobę – młodą dziewczynę o długich, rozpuszczonych włosach. Na stole przed nią stał wazon, a w nim świeże kwiaty. Z tyłu, w głębi pokoju, krzątała się druga postać, która właśnie, dokładnie w tej chwili, odwróciła się i podeszła do stołu, stawiając na nim jakiś półmisek. Był to nauczyciel. Spojrzał na siedzącą przy stole dziewczynę, powiedział coś i uśmiechnął się. Dziewczyna uniosła głowę i odwzajemniła uśmiech. Również coś powiedziała. Białe, plastikowe okno było uchylone, można było więc usłyszeć ich głosy. Nie na tyle wyraźnie, by zrozumieć, co mówią, lecz na tyle, by uświadomić sobie, że nie ma w nich strachu, napięcia ani agresji.

Było za to coś innego – spokój. Spokój i radość. Radość nieprzesadna może, nienachalna, raczej powolna, bezpieczna i cicha. Obrazek był wręcz idylliczny, jakby zajrzało się do wnętrza mieszkania młodego małżeństwa, do którego wrócił właśnie stęskniony po całym dniu spędzonym w pracy mąż.

Poczuł szarpnięcie. Osunął się z powrotem na ziemię.

– I co? – spytała cicho Karolina. – Widziałeś to?

Kiwnął głową.

– Syndrom sztokholmski – odpowiedział. – Dość częsty wśród ofiar uprowadzeń. Zakochała się w nim, a on w niej. Pewnie wydaje mu się, że to Justyna.

– Gdzie jest ta druga, jak myślisz?

– Zapewne w pokoju bez okien. O ile oczywiście żyje. Widocznie nie

wykazała aż tyle zrozumienia. Nastolatki bywają dość buntownicze. Zwłaszcza, jak się je porywa i trzyma w zamknięciu.

– To Ania? Córka Jakubca? Ta przy stole.

– Nie wiem. Nie widać jej aż tak dobrze.

– Myślę, że to ona. Widziałam ją na zdjęciu w domu starego. Ten sam kolor włosów.

– Zemsta doskonała – powiedział. – Córka i wnuczka morderców zastępuje ofiarę. – Pokręcił głową. – Aż się nie chce w to wszystko wierzyć.

– On się nie mści – odpowiedziała Karolina. W jej głosie było coś łagodnego. – Odbiera szczęście, które ktoś mu kiedyś zabrał.

Popatrzył na nią.

– Tylko się nie wzruszaj – powiedział. – To przestępca. Porwał dwie nastolatki. Jego motywacje i uczucia nie mają tu znaczenia.

– I to mówi pan psycholog? – W jej ściszym głosie dało się wyczuć poirytowanie. – Ty pierwszy powinieneś umieć wczuć się w jego sytuację.

– Umiem także wczuć się w sytuację matek tych dwóch dziewczyn, które nie wiedzą nawet, czy ich córki żyją – odparł. – Zrozumienie motywów czyjegoś postępowania nie oznacza jeszcze jego usprawiedliwienia. Ja rozumiem wszystkich, rozumiem czasem nawet aż za dobrze. Rozumiem swojego ojca i rozumiem starego Jakubca, który najprawdopodobniej zamordował Justynę z zimną krwią. Potrafię odnaleźć w sobie uczucia, które go do tego popchnęły, wiem, co wtedy myślał. Ja też, tak jak on, odczuwam strach przed śmiercią i też przeraża mnie, że się starzeję. I też miałbym ochotę napić się czasem z krynicy młodości, a może nawet wyssać ją do dna. Ale ja nikogo nie zabiłem. I nikogo nie porwałem.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko daleki szmer rozmów dobiegających przez uchylone okno. Odwrócił głowę i spojrzał na Karolinę. W jej oczach dostrzegł łzy. Położył jej dłoń na przedramieniu.

– Wiesz, że nie możemy ich tu zostawić, prawda? – powiedział. – Pamiętaj, że jest jeszcze ta druga, która wcale nie ma ochoty tu być.

– Wiem – odpowiedziała. Zdjęła jego dłoń ze swojej ręki. – Mam zadzwonić do Sądeckiego, tak?

– Nic innego nie jesteśmy w stanie w tej sytuacji zrobić.

Zobaczył, jak jej twarz się zmienia.

– Co? – krzyknęła. Musiało to być słyszać nawet w domu. Próbował dać jej znak, by mówiła ciszej, ona jednak zdawała się tego nie zauważać.

– Co?! – krzyknęła jeszcze głośniej. Niemal zobaczył, jak dwie głowy za oknem odwracają się w stronę podwórka.

Biały telefon komórkowy Karoliny szerokim łukiem poleciał w trawę.

– Ten skurwysyn już tu jedzie – powiedziała. – Jest już podobno we wsi. Odkryli wreszcie, że Romanowski i Kieliszek to ta sama osoba, porównali jakieś dwie bazy danych, a ten kretyn nawet się nie pofatygował, żeby nas o tym zawiadomić!

Była wściekła. Wściekła, ale i zrozpaczona. Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać.

– Przecież i tak mieliśmy go zawiadomić – powiedział.

– Nic nie rozumiesz! – krzyknęła. – Chciał nas wykiwać! Znowu! To myśmy przecież to wszystko odkryli. Na początku nawet nie wierzył, że było w ogóle jakieś porwanie! A teraz tu jedzie i... i...

– I co?

– I wszystko popsuje!

Wstała i wyjrzała zza samochodu. Rozłucki zrobił to samo.

Nauczyciel stał w otwartym oknie. Patrzył na nich, a oni na niego. Po chwili powiedział coś do dziewczyny, a ona podniosła się i poszła w głąb domu. Zamknął okno i również się cofnął.

Naraz usłyszeli dźwięk. Z początku cichy i odległy, po chwili jednak już wyraźny. Droga, którą tu przyszli, jechały samochody. Były jeszcze daleko, choć może to tylko las tłumił odgłosy ich silników.

Karolina wyprostowała się. On również. Teraz już nie było sensu się ukrywać.

– Idę tam – powiedziała.

– Co? – spytał, jakby nie usłyszał. Usłyszał jednak wyraźnie i co gorsza, zrozumiał.

Ona jednak już obeszła samochód i pędziła biegiem w stronę domu.

– Stój! – krzyknął. Nawet się nie obejrzała.

– Poczekaj! – Rzucił się za nią. Silniki samochodów brzmiały teraz głośno i wyraźnie. Musieli już być na wzgórzu nad domem.

Karolina dopadła drzwi. Były jeszcze otwarte. Nacisnęła klamkę i wpadła do środka. Był pięć, może sześć metrów za nią. Kątem oka dostrzegł zjeżdżające drogą ze wzgórza radiowozy. Zobaczył, jak drzwi się zamykają. Wyciągnął rękę, by złapać za klamkę, lecz potknął się na stopniu i całym pędem wpadł na nie, uderzając się boleśnie w ramię. Drzwi otwarły się z głośnym hukiem, a on wpadł do środka. Przeleciał jeszcze parę kroków, po czym wywalił się jak długi. Oślepił go półmrok pachnącej starym drewnem sieni. Taki sam zapach miała zakrystia w kościele, do którego chodził jako chłopiec. Zamrugał oczami. Dostrzegł nad sobą stojącą postać.

– Zamknij drzwi – usłyszał. – I przekręć klucz. A potem zasuń tę

zasuwę.

Usłyszał skrzypnięcie i w przedsionku zrobiło się jeszcze ciemniej. Po chwili jednak zalało go jasne, elektryczne światło.

Nauczyciel stał przed nimi. W ręku trzymał broń. Niemiecki Mauser 98k, krótki karabin z czterotaktowym zamkiem i magazynkiem na pięć naboji, podstawowe uzbrojenie żołnierzy III Rzeszy. Poznał go od razu, jego wujek miał taki sam, przerobiony tylko na myśliwski sztucer. Czasami wyjmował zamek i pozwalał mu się pobawić w wojsko. Romanowski musiał go znaleźć gdzieś na strychu lub odkupić od kogoś, kto trzymał go owiniętego w naoliwione szmaty jeszcze od czasów ostatniej wojny. I nie był to zapewne ostatni taki karabin ukryty w okolicznych miejscowościach.

– Klucz i zasuwę – powtórzył nauczyciel. Jego głos był spokojny, budził wręcz zaufanie.

Usłyszał, jak Karolina spełnia jego polecenie.

– A teraz do pokoju. Szybko.

Podniósł się z ziemi i odprowadzany spojrzeniem śmiercionośnego oka karabinu, wszedł do izby po lewej stronie. Karolina szła tuż za nim.

– Usiądźcie tam. – Nauczyciel wskazał im kanapę pod ścianą. Sam podszedł do okna, otworzył je, wystawił przez nie lufę karabinu i strzelił dwa razy w powietrze, przeładowując zamek między wystrzałami z głośnym klekotem. Potem zasunął grubą, zszarzałą firankę i usiadł na starym fotelu z wysokim oparciem, który stał w rogu pokoju. Miał stąd widok na wszystkie trzy okna i na kanapę, na której siedzieli jego nowi goście. Karabin położył na kolanach.

Za oknem dał się słyszeć głos mówiący przez megafon. Trudno było jednak rozpoznać słowa.

Nauczyciel patrzył na nich nieruchomym, spokojnym wzrokiem.

– Skoro już tu jesteście – powiedział – przydadcie się na coś. Zadzwońcie do nich i powiedzcie, że mam tu zakładników i broń, więc żeby nie wchodzili bez zaproszenia.

Rozłucki spojrział na Karolinę. Telefon do Sądeckiego. Znowu. Tym razem ta znajomość może im się naprawdę przydać.

Karolina zaczęła szukać czegoś po kieszeniach. Nagle spojrzała na niego przestraszonym wzrokiem.

– Wyrzuciłam go – powiedziała. – Telefon. Tam, przy samochodzie.

Przypomniał sobie biały kształt lecący długim łukiem w trawę.

– Szlag by to trafił – powiedział.

– Nie masz swojego? – spytała.

– Mam. – Wyciągnął z kieszeni czarną, przedpotopową Nokię. – Ale nie ma w nim numeru do podkomisarza.

Nauczyciel przysłuchiwał im się z uprzejmym zaciekawieniem.

– Zadzwońcie na 112 – poradził.

Rozłucki wybrał numer. Telefon długo próbował się połączyć, w końcu zrezygnował. Spojrział na wyświetlacz. W miejscu, gdzie powinny być kreski pokazujące siłę sygnału, widniało przekreślone kółko.

– Nie mam tu zasięgu – powiedział.

Nauczyciel zaśmiał się ubawiony.

– Faktycznie – powiedział. – Zapomniałbym. Musiałbyś wyjść na ganek.

„Znowu”, pomyślał Rozłucki. Znowu byli w tej sytuacji. On i Karolina. Siedzieli w zamkniętym pomieszczeniu, naprzeciwko nich był facet z bronią, a dookoła policja. Jak wtedy, w telewizji. Ciekawe, jak skończy się to tym razem? Czy znowu wyjdą z tego cało? Czy można mieć tyle szczęścia dwa razy w ciągu siedmiu dni?

– Pójdę do nich – powiedział. – Porozmawiam i wrócę.

Zobaczył, jak oko karabinu nakierowuje się na niego.

– Ktoś tu chce czmychnąć – zauważył nauczyciel. W jego głosie i twarzy nie było specjalnych emocji. – Zostawisz swoją koleżankę samą?

– Nie zostawię – odparł Rozłucki. – Wrócę. Powiedziałem przecież.

– Dlaczego miałby ci wierzyć?

– Bo ją kocham. Tak jak ty kochałeś Justynę. Zostawiłbyś ją samą i uciekł?

Przez twarz nauczyciela przebiegł ledwo zauważalny skurcz. Taki sam ścisnął serce Rozłuckiego. Patrzył teraz na mężczyznę z karabinem, lecz cała jego uwaga i wszystkie zmysły skierowane były w napięciu w zupełnie inną stronę – w stronę kobiety, która siedziała obok niego na kanapie. Usłyszała to. Co sobie pomyślała? Czy zrozumiała, że naprawdę tak myśli? A może pomyślała, że powiedział tak tylko ze względu na okoliczności?

– Idź – powiedział nauczyciel. – Wierzę ci.



# ROZDZIAŁ 71

– Co wy, kurwa, odpierdalacie?! Pojechało was?! Po chuja żeście tam wleźli?! – Podkomisarz Rafał Sądecki wrzeszczał tak, że aż opluł sobie brodę.

Rozłucki pozwolił mu się wykrzyczeć, po czym spokojnie odpowiedział:

– W każdym razie tam jesteśmy. Tak wygląda obecna sytuacja. A on ma broń. I czterech zakładników. I prosi, żebyście nie wchodzili bez pukania.

Podkomisarz otarł sobie brodę rękawem. W ręku trzymał pistolet. „Ciekawe, czy będzie miał okazję go użyć?”, pomyślał Rozłucki.

– Dziewczyny żyją? – spytał znacznie już spokojniej policjant. – Widziałeś je?

– Tylko jedną. Zdaje się, że to córka Jakubca. Ale drugiej moim zdaniem też nic nie jest. Więzi ją w tym pokoju z zamurowanymi oknami. – Wskazał za siebie. – Teraz zresztą obie tam są.

Podkomisarz w dalszym ciągu tarł brodę. Jego spojrzenie wbite było w widoczny za plecami Rozłuckiego dom.

– Czyli w razie ewentualnego szturmu będą bezpieczne? – spytał. – Oddział antyterrorystyczny z Gdańska już tu jedzie.

Rozłucki powiódł spojrzeniem wokoło. Tych kilkunastu policjantów schowanych za swoimi radiowozami z wyciągniętymi przed siebie Waltherami P99, niczym w jakimś amerykańskim filmie, było widocznie zbyt małą siłą na jednego faceta ze starym karabinem.

– One może tak. My nie – odpowiedział. – Siedzimy w tym drugim pokoju, a on ma nas na muszce.

– Ty, z tego, co widzę, stoisz tu – zauważył podkomisarz. – Wystarczy, że wskoczysz za ten radiowóz i będziesz bezpieczny.

– Nigdzie nie wskoczę. Wracam tam. Już mówiłem.

– Warto ryzykować życie dla jakiejś dupy? – spytał Sądecki. – Zastanów się. Ona i tak tam jest, nic na to nie poradzimy. Ale ty nie musisz się narażać. W magazynku Mausera jest pięć naboji. Wystrzelił dwa. Jeśli go nie doładował, zostały mu jeszcze trzy. W sam raz, by posłać was do piachu.

Rozłucki spojrzał mu prosto w oczy. Patrzył w nie tak długo, aż tamten spuścił wzrok.

– Już raz kiedyś zostawiłem kogoś w potrzebie – powiedział. – Prawie dokładnie dwa lata temu. Nie mogę sobie pozwolić, by drugi raz popełnić ten błąd.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami podkomisarz. – Kawaleria i tak jeszcze nie przyjechała. Ale gdy się tu wreszcie zjawia, to oni przejmą dowodzenie. I kiedy zarządzą szturm, znajdziesz się na linii ognia. To profesjonaliści, szkoleni do odbijania zakładników. Ale wiesz, jak to jest: on zacznie strzelać, oni zaczną strzelać. A ty będziesz mniej więcej pośrodku.

Rozłucki poczuł zimno na karku. Choć może to tylko wiatr owiał mu spoconą szyję.

– Mimo wszystko wrócę tam i porozmawiam z nim – odparł, siląc się na spokojny ton. – Może dam radę go przekonać, żeby się poddał.

– Chcesz się zabawić w negocjatora?

– Chcę – odpowiedział Rozłucki.

„I może tym razem mi się uda”, pomyślał.

– Wróciłeś – zauważył nauczyciel. Stał w przejściu między pokojem a sienią z przyłożoną do ramienia kolbą karabinu i celował w

Rozłuckiego przez otwarte drzwi.

– Tak – odparł Rozłucki. – Wróciłem. Miałeś jakieś wątpliwości?

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Potem przekręcił klucz i zasunął zasuwę. Nauczyciel opuścił broń i cofnął się, wpuszczając go do pokoju. Karolina siedziała tak jak poprzednio na kanapie. Jedną rękę miała wyciągniętą w bok i przykutą kajdankami do kaloryfera.

– Musiałem to zrobić – wyjaśnił nauczyciel – żeby nie zrobiła nic głupiego, gdy będę na ciebie czekał w sieni. To futerko – kajdanki obszyte były różowym, sztucznym futrem – to nic nie znaczy. – Chrząknął zakłopotany. – Po prostu nie wiedziałem, gdzie kupić normalne kajdanki, a te też są w miarę porządne. No i nie obcierają nadgarstków.

Rozłucki przeszedł parę kroków i usiadł obok Karoliny.

– W internecie – powiedział. – Gdy nie wiesz, gdzie coś kupić, poszukaj w internecie.

– No tak – odparł nauczyciel. – Nie pomyślałem.

Wydawał się być teraz mniej pewny siebie niż poprzednio. Ciągłe spokojny, ale trochę jednak zagubiony. Może to tych kilka chwil sam na sam z Karoliną spowodowało tę zmianę? Pewnie kobiety go onieśmielają, a już zwłaszcza tak piękne, jak ona.

– I co ustaliliście? – spytał, jakby Rozłucki wrócił ze spotkania na temat szkolnej wycieczki, a nie z rozmowy z policją, która otacza dom. Czyżby dostrzegł w tym pytaniu próbę zrzucenia z siebie odpowiedzialności? Niewypowiedzianą i pewnie nieuświadomioną prośbę, by ktoś za niego rozwiązał tę sytuację?

– Będą czekać – odpowiedział Rozłucki. – To, co się teraz stanie, zależy od ciebie. Ale jadą już tu antyterrorysty, w razie gdybyś chciał wywinąć jakiś numer.

Zamilkli. Na ścianie po lewej stronie nauczyciela wisiał stary zegar w drewnianej skrzynce z wahadłem huśtającym się za pękniętą szybką. Jego głośne, miarowe tykanie było jedynym dźwiękiem, który było teraz słychać.

– Co z dziewczynami? – spytał Rozłucki. – Wszystko u nich w porządku?

– Tak – odparł nauczyciel. – W porządku. Nic im nie zrobiłem, jeśli o to ci chodzi.

– Porwałeś je i uwięziłeś. Czyli coś im jednak zrobiłeś.

– No tak. Ale nic... nic bardzo złego. Nie biłem ich ani... ani nie zgwałciłem.

Wyglądał, jakby się usprawiedliwiał. Jakby było mu wstyd za to, co zrobił. Rozłucki uznał, że jest to właściwy moment, by spróbować zmienić naturę relacji między nimi.

– To po co to zrobiłeś? – rzucił zaczepnie, prawie agresywnie. Nauczyciel spojrzał na niego zdziwiony.

– No, po co? – powtórzył.

Romanowski uciekł wzrokiem w bok. Próba powiodła się.

– Teraz już naprawdę nie wiem – odpowiedział. – Ale nie żałuję. Przez parę dni czułem się tak, jak mógłbym się czuć całe życie, gdyby nie wydarzyło się tamto.

Jego spokój był pozorny. Był jak gładki, lecz cienki lód, pod którym krył się ocean rozpacz. Rozłucki przypominał sobie Dariusza Jakubca. Wtedy, w studiu telewizyjnym. Zachowywał się bardzo podobnie. Postanowił rozbić tę taflę.

– Oni jechali do ciebie, prawda? Wtedy, dwadzieścia lat temu.

Tykanie zegara stało się nieznośnie głośne. „Raz, dwa, trzy...”, zaczął liczyć w myślach mijające sekundy. Byleby tylko wytrzymać to

napięcie. Byle nie wypaść z granej roli.

– Tak. – Nauczyciel przesunął lewą dłońią po twarzy. – Tak.

– Dlaczego?

Twarz Romanowskiego ściągnęła się w krótkim spazmie, jakby chciał zapłakać, lecz nie potrafił.

– Ona chciała od niego odejść. I wyjechać ze mną do Londynu. Zgodziła się w końcu, przekonałem ją.

– Wtedy, w Krakowie?

Spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie. Później – odpowiedział. – Znacznie później. Parę dni przed tym wypadkiem. Ona była... zrozpaczona. Czowała się jak w matni. Winiła się za to, co się stało. I uważała, że nic nie jest warta. Ofiarowałem jej miłość. Miłość bezwarunkową, akceptującą wszystko. I ona ją w końcu przyjęła. Byliśmy razem przez te parę dni. Aż do tamtego wieczoru.

Zakrył oczy dłońią. Druga ręka, zaciśnięta na kolbie karabinu, zbielała.

– Musiała mu wtedy powiedzieć. O nas i o wszystkim. A on postanowił się zemścić. – Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. – Nie wiem, co chciał zrobić. Pobić mnie, może zabić? Chyba też ją kochał, na swój chory, pokręcony sposób. A ona... może bała się, że faktycznie mnie zabije? I chwyciła za kierownicę, żeby go powstrzymać? Nie wiem.

– Dlaczego dopiero teraz? – spytał Rozłucki. – Przecież wiedziałeś o tym przez te wszystkie lata. Dlaczego dopiero teraz zrobiłeś to wszystko?

Nauczyciel uśmiechnął się smutno.

– Nie wiecie, jak to jest – powiedział. – Gdy znika ukochana osoba, robi się wszystko, byleby tylko nie przyznać, że może nie żyć. Wbrew

wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew własnej wiedzy. Ja też wierzyłem, że ona wciąż żyje. Że po rozmowie z nim postanowiła uciec, ale sama. Zostawić za sobą wszystko, także mnie. Że tych parę dni, gdy byliśmy ze sobą, było jej potrzebne tylko po to, by wyrzucić tamtego ze swojego życia. A gdy już spełniłem swoją rolę, zostawiła mnie i odeszła, piękna i wreszcie wolna. Dopiero jak ją znaleźli w tym jeziorze, tym, na które patrzyłem codziennie ze swojego okna, zrozumiałem, jak było naprawdę. Kapałem się w tym jeziorze przez te wszystkie lata, pływałem w nim. A ona gdzieś tam leżała i gniła. To tak, jakbym pływał w jej zwłokach. Nie jest łatwo przejść nad czymś takim do porządku dziennego.

– I wtedy postanowiłeś się zemścić?

– Nie od razu. Ja naprawdę próbowałem zapomnieć. Ale nie potrafiłem. A gdy się nie zdoła zapomnieć, pamięta się coraz bardziej.

## ROZDZIAŁ 72

– Dobrze powiedziane – powiedział Rozłucki. Wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Nauczyciel pokiwał w milczeniu głową.

– Miałem wtedy naprawdę dużo czasu na myślenie – zaczął znowu.  
– Niedawno umarła moja żona i nie było to krótkie ani łatwe umieranie. A gdy choruje ktoś bliski, chorujesz razem z nim. Tyle tylko, że on w pewnym momencie odchodzi i ma już spokój. A ty nie. Ty zostajesz i musisz się z tym wszystkim uporać. I właśnie wtedy znaleźli Justynę. Jeden taki cios pewnie dałbym radę przetrwać, ale dwa? Niektórym czasami naprawdę się nie wiedzie. – Uśmiechnął się gorzko.  
– To trochę tak jak z wirusem. Gdy atakuje wtedy, kiedy organizm jest już osłabiony, nie masz szans się obronić. Mój był. Siedziałem w tym przeklętym domu, patrzyłem na jezioro i miałem przy sobie dwa upiory – jeden snuł się za dnia po tych pokojach, drugi wypełzał nocą z wody. Naprawdę byłem w stanie uwierzyć wtedy w duchy. To było jak gorączka, jak maligna. Myślę, że bardzo niewiele dzieliło mnie od szaleństwa. I wtedy nagle pojawiła się ta myśl: że to niesprawiedliwe, że on, Dariusz Jakubiec, ma wszystko – dom, żonę, rodzinę – a ja nie mam nic. I że powinienem mu to odebrać, tak jak on odebrał mi Justynę i całe moje życie. Bo nawet śmierć mojej żony, to też w pewnym sensie była jego wina. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale to prawda. Gdy ją poznałem, była już chora. Wiedziałem to, spodziewałem się, że umrze. I chyba właśnie dlatego się z nią związałem. To dziwne, może nawet nienormalne, ale tak było. Przez kilkanaście lat od zniknięcia Justyny nie potrafiłem zapomnieć o niej i zakochać się w

żadnej innej kobiecie, aż tu nagle pojawił się ktoś, o kim mogłem być pewny, że opuści mnie tak samo jak ona. Moja żona zaofiarowała mi powtórzenie tego wszystkiego, czego doświadczyłem wtedy – krótkiego okresu szczęścia zakończonego w dramatyczny i pełen bólu sposób. Nie potrafiłem się oprzeć takiej pokusie. Gdyby nie on, gdyby nie to, co zrobił tych prawie dwadzieścia lat temu, nie cierpiałbym ani wtedy, ani teraz. Przez całe życie byłem jego zakładnikiem. Byłem uwięziony w klatce, którą stworzył tamtego wieczoru. Doszedłem do wniosku, że czas trochę wyrównać ten bilans cierpienia. Ja traciłem miłość dwa razy, on ani razu. Gdybym odebrał mu teraz to, co kocha, świat byłby choć trochę sprawiedliwszy.

Tykanie zegara przestało być już takie nieznośnie głośne. Ucichło jakby i złagodniało. Nauczyciel spojrzał na nich, najpierw na Rozłuckiego, potem na Karolinę, jakby szukał w ich oczach zrozumienia.

– Ta myśl paradoksalnie uchroniła mnie od utraty zmysłów – ciągnął dalej. – Jakby na nowo nadała sens mojej egzystencji, spięła na powrót wszystkie rozpadające się elementy. Zacząłem wyobrażać sobie, planować przyszłą zemstę. I upiory zniknęły. Nawet sypiać lepiej zacząłem. – Uśmiechnął się pod nosem. – A potem pojawiła się ona, córka Jakubca – w jego głosie pojawił się miękki ton. – Tak samo młoda i tak samo piękna.

– Jak ją porwałeś? – spytał Rozłucki.

– Nie było to wcale takie trudne – powiedział. – Jestem fizykiem, moja pracownia sąsiaduje z pracownią chemiczną. Wystarczyło pogrzebać jeden wieczór w internecie, następnego dnia zostać parę godzin po lekcjach i już miałem odpowiedni środek usypiający. Potem kolejny wieczór przy komputerze i już byliśmy znajomymi. Poznałem ją



bardzo dobrze, nawet nie wiecie, ile rzeczy wyjawiała mi przez internet. Reszty domyśliłem się, bo przecież znałem jej ojca, wiedziałem, jaki mógł dla niej być. Po miesiącu byłem jej najlepszym przyjacielem. W taki sposób podobno pedofile usidlają swoje ofiary. Potem wystarczyło się umówić w odpowiednio ustronnym miejscu...

Wiecie, że wtedy chciałem się wycofać? – Uśmiechnął się lekko, jakby opowiadał znajomym zabawną anegdotę. – Gdy wiozłem ją uśpioną w bagażniku swojego auta, byłem przerażony tym, co zrobiłem. Chciałem zatrzymać się, zostawić ją na jakimś przystanku i uciec. Ale na wszystkich przystankach czekali jacyś ludzie. Tylko dlatego przywiozłem ją tutaj, bo nie znalazłem miejsca, w którym mógłbym ją zostawić.

A potem... potem było już za późno. Obudziła się, zaczęła krzyczeć. Uśpiłem ją więc jeszcze raz i zamknąłem w swoim lochu. – Wskazał brodą pokój po drugiej stronie. – Wtedy nie było już odwrotu. Pojechałem więc po drugą.

– Justynę Lesicką?

– Tak. – Kiwnął głową. – Z nią poszło trochę gorzej. Jest głupsza i mniej wrażliwa, ale przez to bardziej podejrzliwa. Numer z przyjacielem z Facebooka nie wypalił. Ale i na nią znalazłem w końcu sposób. Jestem nauczycielem od piętnastu lat, sporo się przez ten czas napatrzyłem, znam ten typ dziewczyn. Początek był banalnie prosty – podszedłem do niej pod jej domem w Warszawie i powiedziałem, że znam jej ojca. A potem przekonałem, że jestem mu winny pieniądze i chciałbym je oddać. Za chwilę wylatuję na zawsze za granicę i nie mam czasu na niego czekać. Podałem niedużą sumę: pięćset złotych. Dała się złapać. Pewnie pomyślała, że będzie mogła sobie te pieniądze zatrzymać, nic nie mówiąc ojcu. Chciwość zawsze stępia czujność, nie

była pod tym względem wyjątkiem. Nawet się nie spytała, dlaczego trzymam te pieniądze w samochodzie, a nie, jak każdy normalny człowiek, w portfelu.

Przerwał na chwilę. Zegar na ścianie znów przypomniawszy o sobie.

– A potem miałem je obie u siebie – zaczął po chwili. – Tam – wskazał ręką izbę po drugiej stronie korytarza – są teraz dwa pomieszczenia. Gdy zamuroywałem okna, przedzieliłem też pokój ścianką działową. To był dobry pomysł, bo córka Lesickiego od początku stwarzała problemy, nie to, co Ania. – Po raz pierwszy wymówił jej prawdziwe imię. – Ona od razu ujęła mnie za serce. Była aniołem. Smutnym i przerażonym, ale aniołem.

Wziął głęboki oddech, jakby chciał powstrzymać nadciągające wzruszenie.

– Wiedziałem, że to nie Justyna, nie jestem aż tak głupi ani aż tak nienormalny. Wiedziałem to. A jednak zacząłem je z sobą utożsamiać, myśleć o nich, jakby były jedną i tą samą osobą. Nie potraficie sobie nawet wyobrazić, jaką poczułem wtedy radość i ulgę. Mimo tego, że wiedziałem przecież, że i jedno, i drugie jest kłamstwem, iluzją. Nie umiałem odmówić sobie tego oszustwa.

– A ona – uśmiechnął się znowu, tym razem lekko, z czułością – na początku oczywiście bała się, nawet płakała. Dość szybko jednak zrozumiała, że nie zrobię jej krzywdy. Byłem dla niej miły, dobry i uważny. Naprawdę stałem się jej przyjacielem. Chyba nikt dotąd nie traktował jej w ten sposób. Jej ojciec... – Przerwał na chwilę, jakby samo wspomnienie o Dariuszu Jakubcu sprawiało mu ból. – Jej ojciec nawet swojej córce nie potrafił okazać miłości. A ode mnie ją dostała. Darmo i w nadmiarze. Zbombardowałem ją tą miłością, a ona rozkwitła pod tym nawałem jak róża jerychońska pod kroplami deszczu. Poczwała

się po raz pierwszy kobietą. Dałem jej to, czego najbardziej potrzebowała: miłość i poczucie wyjątkowości. Nie mogła mnie nie pokochać.

Zapatrzył się w jezioro za oknem. Rozłucki mimowolnie podążył za jego spojrzeniem. Po rozświetlonej słońcem, błękitnej tafli gdzieś w oddali płynął skuter wodny. Nawet tu słychać było denerwujący dźwięk jego motoru.

– To nawet w pewnym sensie dziwne, bo to przecież ta druga ma na imię Justyna – zaczął znowu. – Ale to jeszcze dziecko, w dodatku rozpuszczone i niegrzeczne. Na początku była nieznośna, gryzła mnie i kopała. Teraz siedzi całymi dniami przed telewizorem, je chipsy i pewnie uważa, że ma najlepsze wakacje w życiu. A odkąd dałem jej tablet z ustawioną kontrolą rodzicielską, tak, by nie mogła kontaktować się ze światem zewnętrznym, jest wprost przeszcześliwa. Jedyne, czego żałuje, to tego, że nie może wrzucać na Facebooka zdjęć ze swojej czaderskiej przygody. Koleżanki posikałyby się pewnie z zazdrości, gdyby zobaczyły, jak zajebiście cierpi.

Poprawił się na fotelu. Lufa Mausera obniżyła się i celowała teraz prosto w brzuch Rozłuckiego. Rozłucki przełknął ślinę. Poczuł, że zaczyna się pocić. Spróbował przypomnieć sobie, czy nauczyciel przeładował karabin po ostatnim strzale i czy pocisk jest teraz w lufie. Jego palec, Rozłucki widział to stąd wyraźnie, ciągle spoczywał na spuście.

– Nawet ją pytałem, dlaczego ojciec dał jej tak na imię. Mówi, że nie wie. – Nauczyciel zatopiony w swoich myślach nawet nie zauważył, że jeden z jego słuchaczy żegna się właśnie z życiem. – Myślę, że to dlatego, że ten biedak też kochał się w Justynie, tak jak my wszyscy. Może chciał w ten sposób odpokutować, przywrócić ją w jakimś sensie

do życia? Nie wiem. Jego w sumie najbardziej mi żal. To naprawdę nie była jego wina.

– Ani moja – dodał po chwili.

Megafon za oknem znowu się odezwał. Podkomisarz Sądecki najwyraźniej był zniecierpliwiony przedłużającym się oczekiwaniem.

– I co teraz? – spytał Rozłucki. Włosy z tyłu głowy miał już kompletnie mokre od potu. – Co chcesz dalej zrobić?

Nauczyciel popatrzył na niego spokojnie.

– Wypuszczę je – powiedział. – I was. I tak chciałem to zrobić, tylko... Tylko nie potrafiłem podjąć decyzji. W sumie dobrze, że przyszliście. Sam bym chyba nie potrafił tego przerwać. Nie jest łatwo zrezygnować z własnej woli ze szczęścia.

Rozłucki wyciągnął do niego rękę. Zobaczył, jak jego palce drżą na tle białej ściany.

– Daj mi ten karabin – powiedział, pokonując suchość w ustach. – Wyjdę i powiem, że już po wszystkim. Poproszę, żeby cię dobrze traktowali. W sądzie też będziemy świadczyć na twoją korzyść. Nie powinieneś dostać zbyt dużego wyroku. W grę wchodzi tylko porwanie, bo trudno będzie ci udowodnić związek ze śmiercią Jakubca i Lesickiego. Dostaniesz parę lat, wyjdiesz po dwóch.

Nauczyciel pokręcił powoli głową.

– Przykro mi – powiedział. – Ja tu zostaję. Już mi się nie chce nigdzie iść. Nie ma już nic na tym świecie, co dawałoby mi powód do życia.

Odwrócił karabin lufą do góry i przyłożył ją sobie od dołu do brody.

– Poczekaj! – prawie krzyknął Rozłucki. Poczł strach, paniczny strach, jakby ta kula miała za chwilę roztrzaskać jego mózg. „Nie, tylko znowu nie to!”, pomyślał. Zaczł gorączkowo, rozpaczliwie szukać w

myślach czegoś, co mógłby powiedzieć temu człowiekowi, żeby zrezygnował ze swego zamiaru. Co można powiedzieć samobójcy, by znowu chciał żyć? Co mógł powiedzieć jemu, jej, swojemu ojcu i siostrze? Myślał przecież o tym wiele razy. Przez wiele dni, miesięcy, lat nie mógł przestać o tym myśleć. – A ona? A Ania? Pomyślałeś o niej? Dwa lata to niedługo, może jak wyjdiesz...

Nauczyciel uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Piękne kłamstwo – przerwał mu. – Jakże bym chciał umieć w nie uwierzyć. Wiem jednak, że to nieprawda. Jak tylko opuści ten dom, wszyscy zaczną ją przekonywać, że jestem potworem. Co gorsza, będą mieli chyba rację. I ona w to w końcu uwierzy. Gdy wyjdę, będzie już dorosłą, samodzielną kobietą. Pójdzie na studia, pozna nowych przyjaciół, znajdzie chłopaka. Nie będzie chciała mnie znać. Zresztą... lepiej chyba nawet, żeby nie chciała. I tak nieźle namieszałem w jej życiu. Zabiłem ojca, uwięziłem. Lepiej, żeby nigdy już mnie nie widziała. Byłem samolubny i egoistyczny. Chciałem zemsty, a nie pomyślałem, jak to może wpłynąć na nią. Gdybym ją znał wcześniej, wiedział, jaka jest wspaniała, nie zrobiłbym jej tego wszystkiego.

Położył kciuk na spuście.

– Zamknijcie oczy – powiedział. – Nie ma tu trzeciego pokoju, do którego mógłbym pójść.

## ROZDZIAŁ 73

Usłyszał płacz Karoliny. W uszach ciągle dudnił mu huk wystrzału. Bębenki bolały go tak, jakby miały za chwilę pęknąć. Czuł zapach prochu. Prochu i jeszcze czegoś, czego w tym momencie wołał nie nazywać.

Otworzył oczy, lecz starał się nie patrzeć na miejsce, gdzie siedział nauczyciel. Karolina miała wciąż zaciśnięte powieki. Wypływały spod nich łzy.

– Nie otwieraj oczu – powiedział. – Wyprowadzę cię stąd.

Na stole leżały kluczyki od kajdanek. Wstał i podszedł tam. Musiał przejść obok fotela, lecz wyteżył wszystkie siły, byleby tylko nie spojrzeć na tego, który tam ciągle siedział. Pomimo tego, że wzrok miał wbity w stolik, coś tam jednak dostrzegł. Wiedział, że nawet ten widok, rozmazany i niewyraźny, zarejestrowany samym kącikiem oka, będzie mu się śnił po nocach.

Wziął kluczyki i wrócił do Karoliny. Zdjął z jej przegubu kajdanki i położył jej dłoń na swoim przedramieniu.

– Chwyć mnie mocno za rękę i wstań – powiedział.

Megafon za oknem prawie oszalał. Musieli tam usłyszeć wystrzał i szykowali się pewnie do szturm. Nie było czasu do stracenia.

Wyszli z pokoju. Odwrócił się, by zamknąć za sobą drzwi. Przez krótką chwilę widział go. Nie był w stanie się powstrzymać, żeby nie spojrzeć. Człowieka z połową głowy i dużą, rozszerzającą się ku górze, ciemno-czerwoną plamę w rogu pokoju. Zatrzasnął drzwi i przekręcił w nich klucz. W drzwi po drugiej stronie sieni ktoś się dobijał. Czyjeś pięści waliły w nie, a wysoki, dziewczęcy głos krzyczał niezrozumiale

słowa.

Karolina wciąż miała zaciśnięte powieki. Puścił jej rękę i podszedł do wyjścia. Stał pod ścianą, uchylił skrzydło drzwi i wystawił przez nie otwartą dłoń. Potem zamachał nią i powoli wyszedł.

Antyterrorysty już dojechali. Zobaczył wycelowane w siebie lufy czarnych karabinów. Zszedł po trzech schodkach i ruszył w ich kierunku. Ręce miał uniesione w górze.

Zza jednego z policyjnych radiowozów wychyliła się głowa podkomisarza Sądeckiego. Widząc go, Rozłucki opuścił ręce.

– Już po wszystkim – powiedział. – On nie żyje. Strzelił sobie w głowę z karabinu.

Gdy to powiedział, poczuł się, jakby cały był z pustki. Jakby tam, za jego oczami, nie było już nic. Czuł, jak ciepły wiatr znad jeziora owiewa od wewnątrz kości jego czaszki.

Podkomisarz wyprostował się do końca.

– A inni? – spytał.

– W porządku – odpowiedział Rozłucki. – Karolina jest w sieni, a dziewczyny są zamknięte w pokoju obok. Gdy będziecie je wyprowadzać – dodał po chwili – przypilnujcie, by nie musiały oglądać zwłok. To niezbyt przyjemny widok.

Zobaczył, jak przygarbione, czarne sylwetki antyterrorystów w swoich owadzich hełmach podnoszą się i trzymając wciąż przed sobą wyciągniętą broń, ruszają biegiem w stronę domu. Było to zupełnie nierealne, jakby oglądał film w telewizorze, zaglądając komuś przez okno w salonie. Po chwili jeden z nich wyprowadził Karolinę. Była blada, lecz już nie płakała.

Podszedł do niej. Zrobiła krok i bez słowa przyłgnęła do niego całym ciałem. Objął ją i pogładził po włosach.

Zobaczył, jak dwóch policjantów wyprowadza jedną z dziewczyn. Była to córka Jakubca. Tuż za nią kolejna dwójka prowadziła następną – brzydką i dość grubawą blondynkę.

Policjanci przyprowadzili je do Sądeckiego.

– Już wszystko dobrze – powiedział. – Wasz koszmar się skończył. Za chwilę odwieziemy was do waszych rodziców.

Córka Lesickiego żuła gumę i nie wyglądała ani na szczególnie ucieszoną, ani na szczególnie zmartwioną. Córka Jakubca spojrzała na podkomisarza i spytała:

– Czy on... nie żyje?

Miała zaczerwienione oczy.

– Tak – odpowiedział za niego Rozłucki. – Sam odebrał sobie życie. To była jego decyzja.

Słowa, które wypowiedział, zawisły nad nim w powietrzu, jakby wymówił je ktoś inny. Słuchał, jak ich dźwięk pobrzmiwał ciągle w jego głowie, i dziwił się ich sensowi.

Dziewczyna zwróciła się w jego stronę.

– Czy bardzo cierpiał zanim... to zrobił? – spytała cicho.

– Nie – odparł Rozłucki. – Był spokojny i opanowany. Nie było w nim strachu ani rozpacz. Uznał po prostu, że jest to najlepsze wyjście. Dla niego i dla ciebie. Miał do tego prawo.

Nagle poczuł dziwną ulgę. Jakby tym ostatnim zdaniem przyznawał prawo do decydowania o swoim losie nie tylko temu biednemu człowiekowi, lecz także swojemu ojcu i siostrze. Jakby wybaczał im i uznawał, że mogli zrobić to, co zrobili, nawet jeśli pamiętał, jak wiele bólu mu tym sprawili. Do jego oczu napłynęły łzy. To były słowa, które należało wypowiedzieć już dawno. Nie było już w nim gniewu i urazy. Nie było poczucia winy. Ani strachu, że kiedyś sam pójdzie tą drogą.



Jeśli pójdzie, to co z tego? Miałby do tego prawo. Godząc się na taką możliwość, tracił jeden bardzo dobry powód, by z niej skorzystać.

– Oszczędził nam w ten sposób sporo kłopotu – wtrącił podkomisarz.  
– Jednego skurwysyna mniej.

Dziewczyna zamknęła oczy, lecz po chwili ponownie je otworzyła i wbiła spojrzenie w policjanta.

– Wczoraj się kochaliśmy – powiedziała. – Mam nadzieję, że jestem w ciąży.

Odwróciła się i odeszła w stronę jednego z radiowozów. Za nią poszli inni.

Zostali sami: on, Karolina i Sądecki.

– Dobrze – powiedział podkomisarz. Wyglądał na zmęczonego. Wszyscy wyglądali na zmęczonych. – Możecie już chyba iść. Każę was podwieźć do waszego samochodu. Widziałem go po drodze. Musicie oczywiście złożyć jeszcze zeznania, ale myślę, że równie dobrze możecie to zrobić jutro. Każę do was komuś zadzwonić w tej sprawie.

Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nie miał już chyba ochoty ich dłużej oglądać. Z wzajemnością zresztą.

– Odezwij się, jak będziesz jeszcze kiedyś w Olsztynie – powiedział, nie patrząc na Karolinę.

– Jasne – odpowiedziała. – Na pewno.

Poszedł w kierunku domu.

Policyjny radiowóz zawiózł ich na skraj wsi. Wysiedli z niego i wsiedli do szafirowego New Beetle. Karolina włożyła kluczyk do stacyjki, lecz go nie przekręciła. Coś jeszcze nie dawało jej spokoju.

– Żona Dariusza Jakubca mówiła, że to jej mąż zamierzał rzucić Justynę, lecz ona wściekła się, gdy dowiedziała się o jej ciąży. Pokłócili się o to i stąd ten wypadek. Nauczyciel twierdził zaś, że to Justyna

chciała zerwać, a Jakubiec nie chciał się na to zgodzić. Jak myślisz, które z nich miało rację? – spytała.

Rozłutki zastanowił się przez chwilę.

– Moim zdaniem nauczyciel. Jakubiec skłamał. Nie chciał przyznać się żonie, że wolał inną od niej, tylko tamta go nie chciała. Zachował się tak, jak zachowałyby się każdy mąż na jego miejscu. Co zresztą jest paradoksalnym dowodem na to, że mimo wszystko coś do niej jednak czuł. Nie kłamie się komuś, kto nas nic nie obchodzi. Nie był więc takim absolutnym skurwielem. Cała reszta jego opisu pewnie się zgadza.

– To, że Justyna powiedziała mu o szantażu jego ojca, to, że ją uderzył i wciągnął do samochodu, to, że w pewnym momencie się obudziła i otworzyła drzwi?

– Pewnie tak było. Nie miałby żadnego powodu, by to wymyślać.

– Ale co było dalej? Gdy już jego ojciec przyjechał na miejsce. Tego się nigdy nie dowiemy, tak?

– On nam nie powie. A ona nie żyje.

– A jak ty myślisz?

Oparł głowę o zagłówek.

– Moim zdaniem są dwie możliwości. Albo rzeczywiście myślał, że ona nie żyje i wrzucił jej ciało do wody, by ukryć ślady, albo...

– Albo co?

Zamknął oczy.

– Zastanawia mnie jedna rzecz. To, co nam kiedyś powiedział: „To była zwykła, mała kurewka. Każdy mógłby ją mieć”. Taki sposób mówienia o ofierze jest charakterystyczny dla gwałcicieli.

Zamilkła. Słyszał jak oddycha.

– Myślisz, że... – nie dokończyła.

– To jest ta druga możliwość. Być może, gdy dojechał na miejsce, Justyna była już przytomna. A on to widział, wiedział, że żyje. W takim wypadku nie miałby powodu, by ją wpychać do wody. Chyba że...

– Ją wcześniej zgwałcił?

– Może uznał, że to doskonała okazja? Nikt nigdy się nie dowie.

Wziął sobie siłą to, czego wcześniej nie mógł uzyskać szantażem. I pozbył się jedyne go świadka.

Usłyszał, jak jej oddech staje się coraz szybszy.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym Romanowskiemu? – spytała. W jej głosie słycać było tłumiony gniew. – O tym, że to stary Jakubiec zabił Justynę? I o tym, co jej najprawdopodobniej zrobił.

Otworzył oczy.

– Nie wiemy, czy to robił, czy nie. To tylko przypuszczenia. Myślisz, że byłoby ludzkie obarczać go czymś takim, nie wiedząc nawet, czy ma się rację?

– Ale to, że stary ją zabił, to akurat wiemy. Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś?!

– Nie wiem – odpowiedział. – Może dlatego, że i tak już dużo wycierpiał? Po co mu była ta informacja? Żeby zrozumieć, że zemścił się nie całkiem na tym człowieku, co trzeba? Trzymał nas na muszce, nie wiedziałem, jak mógłby na coś takiego zareagować. Wydawało mi się, że w tym momencie lepiej będzie, jeśli będzie myślał, że wszystkie rachunki są już wyrównane.

– Ale nie są – powiedziała chłodno.

Sięgnęła pod siedzenie i wyjęła stamtąd swoją torebkę. Położyła ją na kolanach i zaczęła czegoś szukać. Gwałtownie, ze złością. Po chwili to znalazła – starą, poszarzałą wizytówkę z napisanym odręcznie z tyłu numerem telefonu.

– Daj mi swoją komórkę – rzuciła w jego stronę.

Sięgnął do kieszeni i podał jej telefon. Wzięła go i wpisała w niego numer z wizytówki.

– Halo, pan Olgierd Jakubiec? – powiedziała, gdy stary już odebrał.

– Dzwonię z dobrymi informacjami. Właśnie znaleźliśmy pana wnuczkę, Anię. Jest cała i zdrowa, policjanci wiozą ją teraz do jej matki. Porywacz nie żyje. Popełnił samobójstwo. Tak jak pana syn. To były chłopak Justyny Wasilewskiej, który mścił się za jej śmierć. I właśnie w związku z tą sprawą wyszły też nowe, ciekawe okoliczności. Okazuje się, że Justyna jeszcze żyła, gdy jej ciało znalazło się w wodzie. Wskazuje na to protokół autopsji zwłok. Pana synowa zeznała, że kiedy pana syn odjeżdżał z miejsca wypadku, ciało Justyny leżało wciąż jeszcze na brzegu. Tak przynajmniej jej powiedział. Oznacza to, że to pan musiał wepchnąć ją do wody. Na pewno da się to jakoś inaczej wytłumaczyć, ale policja tak to interpretuje. Czeka więc pana zapewne wkrótce niezbyt przyjemny proces o morderstwo. Oczywiście istnieją duże szanse, że sąd zakwalifikuje to jako nieumyślne zabójstwo, które, jak pan zapewne wie, już się przedawniło, podobnie jak gwałt, do którego również zdaniem policji doszło. W każdym razie sprawa będzie na pewno głośna i szeroko komentowana. Jest pan w końcu znanym członkiem lokalnej społeczności. Ale proszę się nie przejmować, mam w olsztyńskich mediach paru znajomych, poproszę ich, by odpowiednio ją naświetlili. Uprzedzam pana o tym wszystkim, by zdołał się pan do tego przygotować i podjął odpowiednie kroki zaradcze. Na pewno istnieje jakiś sposób, by uniknąć skandalu.

Opuściła rękę z telefonem na kolana. Zamknęła oczy. Rozłucki patrzył przez boczną szybę na jezioro. Wiedział, co zrobiła, i wiedział, co to oznacza. Wiedział też, że już na zawsze położy się to między nimi

cieniem, że zbuduje to między nimi mur nie do przebiccia, bo ona nigdy nie wybaczy mu tego, że widział i zrozumiał, co przed chwilą zrobiła. Z tym właśnie będzie jej się kojarzył, z niczym innym. Ilekroć na niego spojrzy, przypomni sobie właśnie to. I będzie czuła wstyd. Bo nawet jeśli teraz jest przekonana, że postępuje słusznie, to prędzej czy później pojawią się wyrzuty sumienia, a razem z nimi poczucie winy. Tak więc nie będzie go chciała oglądać. Takie tajemnice nie łączą ludzi, raczej odsuwają ich od siebie.

Nagle zachciało mu się pić. Mocno, bardzo mocno. Od kilku dni już nie czuł takiego pragnienia. Wyobraził sobie, jak wchodzi do swojego mieszkania na Bielanych. Otwiera szeroko drzwi balkonowe, by ciepłe, czerwcowe powietrze owionęło mu twarz. Myje zęby, po czym napełnia duży, koniakowy kieliszek dwunastoletnią whisky single malt, siada w fotelu i patrząc na trzy sosny za oknem, wypija ją jednym, długim łykiem.

## ROZDZIAŁ 74

Olgierd Jakubiec odłożył telefon na stolik. Wstał z fotela i podszedł do czarnej, rzeźbionej komody w stylu gdańskim. Otworzył drzwiczki. Za nimi był sejf. Niezbyt wielki, stalowy sejf wmurowany w ścianę. Za pomocą staromodnego pokrętła wprowadził szyfr umożliwiający otwarcie zamka: 15081769 – datę urodzin Napoleona Bonaparte. Wyjął ze środka niewielką, polimerową walizeczkę. W jej wnętrzu był rewolwer Taurus 65 – brazylijska, tańsza kopia amerykańskiego Smith & Wessona. Sprawdził bębenek – były wszystkie naboje. Zamknął ponownie sejf i wprowadził szyfr. Nikt oprócz niego go nie znał, nawet żona. Będą musieli użyć palnika, by dostać się do środka. Słyszał, jak jego żona, ta głupia, coraz starsza krowa, szczęka garnkami w kuchni. „A to się zdziwi!”, pomyślał. Ciekawe, czy choć ona jedna będzie go żałować? Szczerze powiedziawszy, gównu go to obchodziło.

Nie, nie da im tej satysfakcji. Tym wszystkim, którzy zawsze go nienawidzili, zazdrościli mu jego pozycji, spiskowali, obmawiali za jego plecami, wyśmiewali się po kątach. Nie pozwoli im oglądać swojego upadku, nie pozwoli cieszyć się z tego, że traci wszystko, na co przez tyle lat pracował. Niedoczekanie.

„Głupie fiuty”, pomyślał. „Nie dorastacie mi do pięt”.

Usiadł z powrotem w fotelu, spojrzął po raz ostatni na herb widniejący nad kominkiem i włożył sobie lufę do ust.

KONIEC

# PODZIĘKOWANIA

Chciałbym serdecznie podziękować trzem pięknym i mądrym kobietom, których wiedza i życzliwe uwagi pomogły mi w napisaniu tej książki – Karolinie Rabendzie, Luizie Biedrzyckiej i Annie Orszulak. Szczególne podziękowania należą się Karolinie, która służyła mi za przewodnika po świecie psychologii i która uchroniła mnie przed kilkoma (choć pewnie nie przed wszystkimi) spektakularnymi pomyłkami.

Bardzo dziękuję również Joannie Jodełce, która w odpowiedniej chwili wyciągnęła pomocną dłoń do kolegi po piórze, za co będę jej dogonnie wdzięczny.

Dziękuję także Wioletcie Staszczyk, bez której, jak zwykle, nic by się nie udało.